



# TAKE IT

JAGNA ROLSKA





# TAKE IT

JAGNA ROLSKA



Redakcja: Rafał Dębski  
Korekta: Jolanta Rososińska

Projekt okładki i stron tytułowych: Agnieszka Zawadka  
Zdjęcia wykorzystane na I stronie okładki: © LightField Studios/Shutterstock  
Zdjęcie autorki: archiwum prywatne

Skład i łamanie: Cyprian Zadrozny  
Konwersja do EPUB/MOBI: [InkPad.pl](http://InkPad.pl)

Wydawnictwo Mięta Sp. z o.o.  
03-707 Warszawa, ul. Floriańska 14 m. 3  
[biuro@wydawnictwomieta.pl](mailto:biuro@wydawnictwomieta.pl)  
[www.wydawnictwomieta.pl](http://www.wydawnictwomieta.pl)

**ISBN 978-83-67341-66-0**

Copyright © Jagna Rolska 2023  
Wydanie I  
Warszawa MMXXIII



## W POPRZEDNIM TOMIE:

2117 rok. Ziemia stała się więzieniem bez możliwości ucieczki. Przed kilkudziesięciu laty nieznanemu nikomu naukowiec John Howard opublikował wyniki badań dotyczących ponadnormatywnej aktywności wulkanów. Wkrótce dochodzi do erupcji w kilku miejscach, co badacz przewidział z dużą dokładnością. Ludzie są przekonani, że koniec świata jest bliski, i żądają rozwiązania problemu od Rządu Światowego. Niebawem powstają w przestrzeni kosmicznej Arki, na które ludzie są ewakuowani specjalnymi wahadłowcami. Chociaż aktywność wulkanów ustaje, wysyłanie ludzi na Arki jest zbyt dochodowe, by rząd chciał to przerwać. Podsycia strach przed kolejnymi wybuchami, coraz mocniej ograniczając zakres swobód obywatelskich, w myśl zasady, że dla wspólnego bezpieczeństwa są potrzebne wyrzeczenia.

Całkowicie znacjonalizowane media przedstawiają Arki jako kosmiczne wyspy szczęśliwości. Są organizowane loterie, w których główną wygraną są bilety na Arki, ludzie wyprzedają wszystko, co mają, by dostać się do wymarzonego Raju.

Mimo rozbudowanej propagandy istnieje grupka osób, które przejrzały oszustwo i w warunkach całkowitego terroru i inwigilacji próbują organizować ruch oporu. Jedną z nich jest emerytowany już i ukrywający się pod przybranym nazwiskiem John Howard, naukowiec, który zaalarmował świat swoimi badaniami i był jednym z twórców programu „Ewakuacja”. Odszedł i ukrył się po tym, gdy zorientował się, jakimi pobudkami kierują się rządzący.

Do grupy młodych należy Sara, która jest zbiegłą z domu córką Eugene’a Wordswortha, przewodniczącego Rządu Światowego. Towarzyszy jej Black, chłopak o nie do końca jasnej historii. Jednym z ich największych sukcesów jest zwerbowanie do współpracy pilota wahadłowca, Maxa White’a. Mężczyzna w dość dramatycznych okolicznościach poznaje Sarę. Wspólnie ratują z wahadłowca i ukrywają małą dziewczynkę, Allie. Dzięki niej docierają do jej matki, Moniki. Ojciec Allie został wysłany na Arkę i dziewczynka ani jej matka nie mają z nim kontaktu.

Ludzie przyszłości są wyposażeni we wszczepione interfejsy, dzięki którym są podłączeni do sieci. Za jej pomocą są kontrolowani, a ich oczom podsuwane są fałszywe obrazy. Należący do grupy buntowników haker Jordan tworzy piracką aplikację SeeIT, która usuwa skutki niewolących ich programów. Nadzieją na to, że naród się obudzi, jest rozesłanie SeeIT po całej sieci. Nadzieją na włamanie do serwera należącego do przewodniczącego Rządu Światowego jest także Allie. Niezwykle uzdolniona, działająca intuicyjnie „hakerka”.

Z buntownikami współpracuje właścicielka nielegalnego baru, Mary Sue. Przechwycona z transportu przez handlarzy ludźmi, trafia do rezydencji Wordswortha i jest wielokrotnie przez niego gwałcona i bita. Niewolnicy w domu przewodniczącego mają wgrane aplikacje paraliżujące ich wolę. Mary Sue dzięki SeeIT okazuje się odporna na działanie aplikacji. Robi, co jej każą, czekając na okazję do ucieczki. Ta nie dochodzi jednak do skutku.

Okazuje się, że powodem, dla którego przewodniczący upatrzył sobie Mary Sue, jest podobieństwo do Felicji Lawrance, wieloletniej kochanki Wordswortha i znanej polityczki. Dzięki przymusowym zabiegom Mary Sue staje się kopią kobiety.

Tymczasem grupa zostaje zdemaskowana i rozpoczyna się bezwzględny pościg. Buntownicy decydują się uciec poza miasto, by odnaleźć dom letniskowy przewodniczącego i jego kochanki Felicji, w którym są ukryte serwery zdolne rozpowszechnić wirus SeeIT po całej sieci.

Udaje im się dostać do środka, gdzie zastają Wordswortha. Ten umówił się tu wcześniej z Felicją. Zabił ją w pijackim amoku, a na jej miejsce podstawił Mary Sue. Kobiecie udaje się przekonać przewodniczącego, że zabił fałszywą Felicję, a ona jest tą prawdziwą.

Misja buntowników kończy się sukcesem, a wirus SeeIT opanowuje sieć i ściąga zasłonę z oczu wszystkich obywateli. Ale to dopiero początek walki z bezwzględnym totalitaryzmem.

## Z DZIENNIKA KAPITANA MAXA WHITE'A

Wczoraj mnich bibliotekarz pozwolił mi na chwilę podłączyć interfejs do Worldwebu. Zdumiewające, jak wielkie zmiany zaszły na świecie w ciągu zaledwie kilku miesięcy od wypuszczenia SeeIT. Wyświetlam doniesienia ze wszystkich obszarów i aplikacja wyrzucająca poza nawias wyszukiwania wszystkie fake newsy, aż rzezi od nadmiaru chlamu. Dezinformacja zawsze była najlepszą formą oglupiania zwykłych ludzi, ale to, co się teraz dzieje, przechodzi wszelkie pojęcie. System wygłusza wszystkie sygnały rodzących się w bólach niezależnych stacji holowizyjnych.

Z tego, co pospiesznie czytam, Rada Dwunastu została przyparta do muru w Wielkich Demonstracjach i najwyraźniej postanowiła poluzować śrubę w nadziei na stworzenie kontrolowanej opozycji. Na fali odwilży powstały niezależne e-media, które potem wydusiła i zamknęła Obyczajówka, powołując się na ósmy punkt Traktatu Pokojowego. Tego, który głosi, że żaden człowiek ani organizacja, ani jednostka terytorialna nie może publikować treści raniących czyjekolwiek uczucia. To sprawia, że nawet podana neutralnym tonem informacja o nadchodzących opadach powoduje niepokój i dyskomfort u członków trzyosobowej sekty czcicieli Słońca, więc można ją legalnie zdyskredytować i pospiesznie usunąć z publicznych mediów. Sprytne. Nic się nie zmieniło. A w każdym razie nie za wiele.

– Oni się boją, Max – powiedziała Allie.

A we mnie jakby piorun strzelił. Skąd Allie wie takie rzeczy? Już wcześniej, na długo przed wydarzeniami w willi przewodniczącego Wordswortha, zdawałem sobie sprawę, że to dziecko jest absolutnie wyjątkowe, ale sądziłem, że wyjątkowość dotyczy możliwości intuicyjnego poruszania się w sieci. Nie przypuszczałem, że mała umie tak dojrzałe interpretować fakty i analizować dane. I jednocześnie rysować z mozołem koślawą sosnę na pogniezionej kartce papieru. Allie uwielbia życie na łonie natury. Zafascynowała się roślinami podczas naszej karkołomnej wędrówki przez lasy Obszaru Ameryka 5. Niebagatelny w tym udział miał profesor Howard, który z zapałem prezentował i objaśniał dziewczynce otaczający ją świat.

Zdumiewające, że jeszcze niedawno nie znałem Allie, profesora ani reszty. A teraz bez wahania oddałbym za nich życie i nie ma w tym stwierdzeniu nawet grama patosu. No, może za Yoshiego bym się nie poświęcił, albo niezbyt chętnie. To oczywiście trochę żart, bo tak naprawdę żal mi chłopaka. Nie dość, że jego ojcem okazał się największy sukinsyn, jakiego nosi ta planeta, to dowiedział się, że są z Sarą rodzeństwem. Należy się pocieszać, że oboje są bardzo młodzi i gdy ból minie, znajdą sobie innych partnerów. Życie potrafi być bardzo pogmatwane i zaskakiwać w najmniej spodziewanych momentach. I coś czuję, że niedługo znowu nas zaskoczy.

Sara dzieliła z Allie i Monicą niewielki pokój mieszczący się w najdalszym skrzydle klasztoru. Zupełnie jakby mnisi chcieli trzymać kobiety z dala od korytarzy, którymi codziennie chodzili w milczeniu wokół własnych spraw. Dziewczynie to nie przeszkadzało. Lubiła to miejsce. Kładła się na niskim pościeliu wyścielonym szarym wełnianym kocem i godzinami wpatrywała się w ośnieżone szczyty za oknem. Allie przeważnie spędzała czas z profesorem w bibliotece klasztornej albo snuła się jak cień za Maxem. Monica korzystała z ciepłej aury i chodziła na długie spacerunki w towarzystwie Jordana. Oprócz tego pomagała w kuchni. Sara ze wstydem przyznała w duchu, że sama też powinna się bardziej zaangażować w pomoc gościnnym mnichom. Tylko że to groziło tym, iż wpadnie na Yoshiego. A tego by nie zniosła. Wciąż i wciąż od nowa przeżywała w myślach swój wstyd. Jak to możliwe, że niczego nie wyczuła? I jak mogła odczuwać pożądanie do własnego brata? Zwłaszcza to ostatnie pytanie, które z trudem formułowała nawet w najskrytszych myślach, pozostawało bez odpowiedzi. I jeszcze sprawa jej ojca. Fakt, nigdy się dobrze nie dogadywali, lecz obojętność, jaką okazał przy ich ostatnim spotkaniu, po prostu bolała. Kiedyś Sara o tym nie myślała, ale skoro Wordsworth bezwzględnie kazał ścigać własną córkę, to jaki los przypadł w udziale jej matce? Nigdy nie była z nią szczególnie związana. Można powiedzieć, że odkąd Sara podrosła i zaczęła widzieć chory świat wokół siebie, odsunęła się od matki. Dla niej była ona częścią tego wynaturzonego systemu, w którym jej ojciec, matka i paru innych byli katami reszty społeczeństwa. Młoda, prostolinijna dziewczyna nie umiała przyjąć do wiadomości, że świat po prostu taki jest, a ona jest w nim osobą uprzywilejowaną. Bo to właśnie matka próbowała jej wmówić. Wiecznie zajęta ekskluzywnymi zabiegami, wiecznie zatroskana, czy aby na pewno podoba się ojcu, leżała w kolejnych kabinach beautube i tłumaczyła siedzącej u jej stóp córce, jak według niej wygląda rzeczywistość.

Dobre sobie. Kanarek, który całe życie spędził w złotej klatce, próbuje drugiemu kanarkowi wyjaśnić, jak czuje się szybujący po niebie orzeł. W odczuciu Sary mniej więcej do tego sprowadzały się monologi matki. Gdy była mniejsza, to słowa kobiety zwyczajnie ją nużyły, ale potem podrosła i zaczęła lepiej rozumieć swoją i jej rolę w świecie ojca. I zaczęło jej być żal matki. Coraz częściej wychwytywała w jej słowach nutki strachu, a to ostatecznie utwierdziło ją w przekonaniu, że jej ojciec, przewodniczący Wordsworth, jest bezwzględnym tyranem. I z każdym dniem pragnienie ucieczki stawało się coraz silniejsze.

Sara nieraz zastanawiała się, jak by się potoczyły jej losy, gdyby nie pomoc Yoshiego podczas ucieczki z rezydencji ojca. Zapewne skończyłaby tak jak jej matka. Ładna, wypalona z jakichkolwiek emocji lalka popijająca od rana do wieczora szampana w oszronionych kryształowych kieliszkach, opróżnianych jednym haustem i odstawianych z trzaskiem na złote



tace noszone przez niezliczonych kelnerów wypełniających wszystkie piętra rezydencji o marmurowych podłogach.

Zamiast tego wplątała się w romans z bratem i została wrogiem publicznym numer jeden, ściganym przez wszystkich funkcjonariuszy Obyczajówki i Geneo na polecenie własnego ojca. Na dodatek mieszkała w ciasnym pokoiku z ciężarną kobietą i małą dziewczynką. Ale choć była rozżalona, to musiała uczciwie przyznać, że nawet jej obecne schronienie na końcu czy też dachu świata – jak mawiał profesor Howard – było bez porównania lepsze od losu, jakiego życzyłyby sobie dla niej mający ją w nosie rodzony ojciec. Sara nie wiedziała, co jeszcze przyniesie los. Było raczej pewne, że nie spędzi reszty życia w klasztorze. Co do tego zgadzała się z towarzyszami.

Nie rozmawiali o tym, co począć dalej. Panowała niepisana zasada, że do czasu porodu Moniki wszystko pozostaje bez zmian. Cokolwiek stanie się potem, będzie już potem. Teraz najważniejsze, żeby dziecko urodziło się zdrowe. Minione przeżycia połączyły ich tak silną więzią, że właściwie każdy z grupy przyjaciół czuł się odpowiedzialny za małeństwo mające się pojawić na tym okrutnym świecie.

Sara zerknęła w okno, na ośnieżone szczyty, a potem przeniosła wzrok niżej, na łąkę usianą mekonopsami. Intensywnie niebieski kolor tych maków himalajskich niesamowicie kontrastował ze szmaragdową trawą w dolinie. Ta z kolei odcinała się od bieli śniegu zalegającego w wyższych partiach gór. Na ich tle doskonale widoczna była również płomiennowłosa Monica. Stała na dywanie niebieskich kwiatów z twarzą zwróconą w stronę słońca. Nawet z tak daleka Sara widziała wypukłość jej brzucha.

Nieopodal biegła Allie. O dziwo, nie było przy niej ani Maxa, ani nieodłącznego towarzysza Moniki, Jordana. Za dziewczynką pędził z rozłożonymi ramionami Yoshi. Wyraźnie tych dwoje bawiło się w berka. Sarę uderzyły jednocześnie dwie myśli. Pierwsza: jak różne musiało się wydawać Allie to życie pośród kwiatów i otwartych przestrzeni od wczesnych lat egzystencji spędzonych w zamknięciu w betonowych podziemiach fabryki Space.corp. Druga skłoniła ją do zastanowienia nad bez troskim zachowaniem Blacka. Wbrew temu, co dotychczas sądziła, były chłopak i jak najbardziej aktualny brat nie zajmował się przeżywaniami rozpachy w czterech ścianach klasztornej celi. Sara odetchnęła głęboko kilka razy i wstała. Podeszła do okna i jeszcze przez chwilę obserwowała trójkę tak bliskich jej osób. Sielanka sceny była absurdalna w kontekście ich ostatnich przeżyć, ale paradoksalnie dodała dziewczynie otuchy. Jeśli człowiek ma wystarczająco dużo siły, podniesie się po wszystkim. Z tą myślą oraz głębokim przeświadczeniem, że jeszcze nieraz zapłacze ze wstydu, i – co tu dużo mówić – z tęsknoty za Yoshim, Sara wyszła z pokoju, zamykając za sobą cicho drzwi. Energicznym krokiem podążyła w stronę klasztornej kuchni. Uznała, że terapeutyczny seans zmywania garów w zimnej wodzie jest tym, czego właśnie w tej chwili potrzebuje.



Profesor John Howard czuł się w klasztorze jak ryba w wodzie. Nie przeszkadzał mu wycofany styl bycia mnichów ani surowy górski klimat. Po latach ukrywania się w kolejnych mieszkaniach pod przybrzonym nazwiskiem poczuł, że w końcu żyje. Że skończył się etap ponurej szczerzej egzystencji i czasu, gdy tchórzliwie krył się przed Wordsworthem. Jakby fakt ujawnienia się oraz to, że stanął z dyktatorem twarzą w twarz, zwróciło profesorowi godność. Może nie był już młody, ale przynajmniej czuł się potrzebny tej grupie przypadkowych osób, połączonych ze sobą dramatycznymi przeżyciami. Howard całym sercem życzył wszystkim, żeby los w końcu przyniósł im szczęście i spokój. Szczególnie dzielnej Monice i jej maleństwu, które nosiła pod sercem. Już sam fakt, że kobieta urodzi drugie dziecko, był cudem. Howarda dodatkowo elektryzowało to, że dziecko będzie rodzeństwem Allie – genialnej dziewczynki. Profesor miał nadzieję, że uda mu się pożyć na tyle długo, by dowiedzieć się, czy maleństwo pójdzie w ślady siostry i też będzie obdarzone tak unikatowym mózgiem. Pozostawało jedynie cierpliwie poczekać do rozwiązania. Powinno nastąpić już wkrótce.

Czas oczekiwania profesor spędzał na studiowaniu ksiąg i zasobów klasztornych dysków prawdopodobnie w jedynej bibliotece, jaka istniała na całym świecie. Oszłomiło go bogactwo zgromadzonych tam zbiorów i zaszokował fakt, że żadnego z tekstów źródłowych nie zafalszowała wszechobecna cenzura. Znalazł, między innymi, kopie gazety „New York Times” z czasów na krótko przed swoim urodzeniem, a więc sprzed ponad osiemdziesięciu lat. Profesorowi nic ten tytuł nie mówił. Zresztą, jak mógłby mówić? Prasę papierową, a także korzystanie z papieru w ogóle, całkowicie zdelegalizowano właśnie osiemdziesiąt lat temu, tuż po przejściu władzy przez Rząd Światowy. Wszystkie wytwórnie papierów, także tych wartościowych, zostały z dnia na dzień zamknięte, a zgromadzone zasoby spłonęły wraz z budynkami. I zapewne razem z pracownikami. Tego ostatniego profesor mógł się jedynie domyślać. Opowiadała mu o tym szeptem babcia, gdy był małym chłopcem. Drastyczne szczegóły z pewnością pominęła. Staruszka była emerytowaną bibliotekarką w czasach, kiedy istniały emerytury i biblioteki. Obydwa słowa oraz ich znaczenie John Howard znał właśnie dzięki niej. Opowiadała mu treść książek, które kiedyś wypożyczała innym dzieciom. Dzięki niej profesor do dziś pielęgnował w pamięci obraz siwej bibliotekarki siedzącej za biurkiem w wielkim pomieszczeniu pełnym drewnianych półek i poustawianych rzędami książek z kolorowymi grzbietami. Z lewej strony sali, jak opowiadała babcia, było wejście do czytelnicy prasy.

– Dlaczego zniszczyli wszystkie książki i gazety? – zapytał pewnego dnia John. – W czym to wszystko im przeszkadzało?

Babcia była zbyt ostrożna, żeby nazywać rzeczy po imieniu. Nie wymieniała nazwy Rządu Światowego, tylko zawsze mówiła o tych złych „oni”. Miała świadomość, że nadal igra z ogniem, ale serce jej pękało na myśl, że wraz z nią odejdzie w niebyt pamięć o książkach.

– Dlaczego zniszczyli, pytasz? – odparła więc z namysłem. – Wydaje mi się, że chodziło o kontrolę. Da się podejrzeć i ocenzurować, a potem zmienić każdą wiadomość i myśl w sieci. A papier, szczególnie ten podawany sobie ukradkiem, pozostaje poza ich zasięgiem – powiedziała starsza pani i uśmiechnęła się, widząc niezrozumienie malujące się na twarzy chłopca. – John, to przecież oczywiste! Zabierając wolność słowa, zabrali ludziom całą wolność.

Profesor Howard pamiętał tę rozmowę, choć z każdym rokiem inaczej pojmował sens słów. Jedno było pewne. Gdy tylko osiągnął wiek trzydziestu lat oraz pewien status społeczny

i sensowne zarobki, pierwszą rzeczą, jaką zrobił, było napięcie się alkoholu w nielegalnym barze. Drugą oczywiście zakup książek na czarnym rynku. Konkretnie czterech książek.

Z tym większą ekscytacją przeglądał numery gazety, której tytułu wcześniej nie znał, a która była kiedyś czymś bardzo ważnym w jego macierzystym Obszarze Ameryka 5. Dzięki mnichom od przeszło miesiąca wczytywał się w nieocenzurowaną wersję wydarzeń poprzedzających przejście władzy przez Rząd Światowy. Howard musiał przyznać, że z początku łatwo nie było. Wprawdzie mnisi przyjęli ich dość serdecznie, choć z właściwą sobie powściągliwością, jednak nie mieli zamiaru dopuszczać gości do największych sekretów klasztoru. Przez pierwsze dni pobytu w Tybecie Howard i reszta poruszali się dość swobodnie w korytarzach łączących ich kwatery z kuchnią i wyjściem na dziedziniec, ale podczas próby eksploracji innych piętrowych byli delikatnie, acz stanowczo wypraszani. Pierwsze lody przełamała Allie. Mnisi mieli wyraźną słabość do tego dziecka, a gdy dowiedzieli się, że jest córką Thomasa, podwoje biblioteki klasztornej stanęły przed nią otworem. Profesor miał z tym nieco więcej problemów. A właściwie jeden problem w osobie mnicha bibliotekarza, który niepodzielnie panował w tym królestwie. Nazywał się Yeshi Gyatso, co profesorowi natychmiast skojarzyło się z Yoshim i na swoje nieszczęście powiedział to na głos. Tybetańczyk, traktujący bardzo poważnie swoje imię, podobnie jak wszyscy jego pobratymcy, wyraźnie się obraził za porównanie. Przez dobry tydzień zapraszał Allie do środka machnięciem dłoni, a równie wymownym uniesieniem ręki odsyłał profesora z kwitkiem. Ten poszperał nieco w zakamarkach zakurzonej pamięci i po raz kolejny powrócił pod bramę biblioteki. Zapukał dwa razy i drzwi nieomal natychmiast się uchyliły.

– Wybacz mi, Oceanie Mądrości, moje poprzednie nieuprzejme słowa. Wynikały z mojej ignorancji – wygłosił uroczyście.

Howard nie był pewien, czy mnich dosłuchał jego przemowy do końca, bo już po informacji, że profesor zna znaczenie jego imienia, twarz rozjaśnił mu pełen zadowolenia uśmiech. Opiekun biblioteki otworzył szerzej drzwi i zaprosił gościa do środka. Od tej pory pracowali we trójkę, próbując pozyskać informacje o Allie. Praca z wertowaniem materiałów i ich interpretacja zajmowała wiele żmudnych godzin, ale byli zadowoleni z postępów.

W wolnych chwilach Yeshi Gyatso pokazywał mu kolejne zasoby biblioteczne. A te były imponujące. Profesor odnalazł w sobie żyłkę poszukiwacza. Studiował stare książki, pliki i gazety w poszukiwaniu prawdy historycznej. Z doświadczenia wiedział, że zasadniczo nie istnieje coś takiego, a historię piszą zwycięzcy, ale zdążył się zorientować, że jeszcze niespełna sto lat temu istniała wolność słowa i prasy. Tę swobodę wypowiedzi i publikacji całkowicie zdławił potem Rząd Światowy. Najlepszym sposobem było czytanie tekstów pisanych przez ludzi o różnych poglądach politycznych i wyciąganie z nich średniej arytmetycznej. Mnich pokazał mu zasób skatalogowanych kopii dziennika „New York Times”, a w nim serię artykułów autorstwa Jany Novakovič. Kobieta miała pióro cięte jak brzytwa i bezkompromisowo rozprawiała się z każdą niesprawiedliwością społeczną, jednocześnie świetnie nakreślając realia epoki.

*Nowy Jork, 5 lipca 2028*

*Wczoraj, podczas obchodów Święta Niepodległości, na Herald Square miał miejsce kolejny zamach terrorystyczny. Kilku zamaskowanych osobników otworzyło ogień do tłumu obserwującego*

doroczne fajerwerki, organizowane przez Macy's. Terrorysty dobrze wiedzieli, co robią. W rozbitych światłach i przy akompaniamencie wybuchów serie wystrzałów z broni automatycznej były praktycznie nie do wychwycenia. Ludzie rażeni pociskami padali na ziemię, a następni, stojący w tłumie za nimi, przez dłuższy czas nie mieli pojęcia, co się dzieje. Najbardziej bulwersujące jest to, że sprawcy spokojnie oddalili się z miejsca zamachu. Prawie wszyscy. Opieszałym stróżom prawa udało się obezwładnić jednego. Ubranego na czarno, jak większość terrorystów na tym świecie. Może poza dwoma detalami. Purpurową koloratką, którą tak dobrze znamy, i białą maską imitującą twarz wykrzywioną w pełnym wściekłości grymasie. Przytrzymany przez policjantów zamachowiec zdołał zerwać maskę z twarzy, a cały świat ujrzał prześladowcę normalnych ludzi, i to od dość dawna, oblicze wielebnego Patricka L. z Kościoła Odnowy Świata.

W tym miejscu muszę zaprotestować przeciwko bezsensownemu ukrywaniu nazwisk zbrodniarzy. Oczywiście rozumiała jest zasada domniemania niewinności, ale jeśli pośród tysięcy świadków i centralnie przed kamerami telewizyjnymi człowiek sam z siebie pokazuje zbrodniczą twarz, to zastanianie się inicjałem zamiast podawania nazwiska wydaje się kompletnym nieporozumieniem. Zwłaszcza że wielebny L. zdecydowanie planował ujawnienie swoich zamiarów. Ludzie, którzy od lat obserwują jego działania i mają choć odrobinę oleju w głowie, zdają sobie sprawę, że ten człowiek to siewca niezgody, populistą i pozbawiony rozumu kaznodzieja. Zdumiewające, że w XXI wieku tak zaściankowo myślący samozwańczy ksiądz potrafi porwać za sobą tłumy. I to tłumy, które z entuzjazmem zareagowały na zdjęcie maski przez wielebnego tuż po dokonaniu zamachu. Jego liczni zwolennicy, którzy przed chwilą krzyczeli przerażeni na widok ofiar, chwilę później tratowali trupy, próbując dostać się jak najbliżej Patricka L. Wielu, brodząc we krwi, wrzeszczało w stronę stróżów prawa, że mają natychmiast puścić świętego człowieka.

Jak to jest w ogóle możliwe? Jak w dobie rozwoju technologii, humanitaryzmu i świadomości ekologicznej ludzie mogą tak masowo popierać religijnego terrorystę i samozwańczego guru? Odpowiedź jest niestety jedna i niezmienna od tysięcy pokoleń. Wystarczy odpowiednio głośno krzyczeć populistyczne hasła, a ludzie natychmiast je podchwycą. Wystarczy mówić do nich prostymi słowami, poruszyć struny w ich duszach, nazywając po imieniu ich największe problemy i wyjaskrawić ich lęki. A potem wskazać winnych i podać gotową receptę pozbycia się problemu. Proste i pociągające. Nie musieć robić nic, tylko zawierzyć takiemu kaznodziei Patrickowi L., a wszystkie problemy tego świata rozwiążą się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Wczorajsze zdarzenie jest najlepszym dowodem, jak bardzo skuteczny jest populizm. Ludzie, którzy cudem uniknęli masakry, rzucają się w obronę człowieka, który za tę masakrę odpowiada.

Oburza również nieudolność naszych służb. Policjanci wyraźnie wahali się, jak postąpić, i byli o krok od wypuszczenia fałszywego kaznodziei. On zresztą wykorzystał ich niezdecydowanie i wygłosił krótką płomienną przemowę o konieczności zmian na świecie. O tym, że bez nich nikt nie dostąpi zbawienia. W swoim cynizmie, a może w samouwielbieniu, dramatycznym gestem wskazał na zakrwawione ciała i ogłosił zgromadzonym, że taka była wola pańska, by oczyścić świat z ludzi, którzy zagrażają dziełu odnowy.

Wielebny, trzymany pod ramiona przez dwóch nieudolnych nowojorskich policjantów, stał prosto, z dumnie uniesioną głową. W jego lodowato błękitnych oczach płonął ogień fanatyzmu, a zebrani zaczęli histerycznie skandować jego imię. Jeden z policjantów otarł ukradkiem łzę wzruszenia. Wydarzenie pokazywano we wszystkich stacjach telewizyjnych, dodając do przekazu purpurowe logo Kościoła Odnowy Świata, czyli znany nam wszystkim równoramienny krzyż otoczony prawoskrętną strzałką. Wielebny uśmiechał się triumfalnie. Doskonale zdawał sobie sprawę,

że właśnie otrzymał medialne rozgrzeszenie w oczach opinii publicznej. Wkrótce zapewne rozpocznie się farsa zwana procesem wielbiegno Patricka L. i po raz kolejny jej główny bohater wyjdzie wolny z gmachu sądu.

*Czy naprawdę musi się stać coś straszego, aby ludzie w końcu zrozumieli, że właśnie narodził nam się kolejny Hitler? O nim mówiono, że na początku wystarczyłoby zaledwie siedmiu stróżów prawa, by rozpedzić nacechowaną nienawiścią demonstrację. Z tym że nikt nie reagował, a zbrodniarz rósł w siłę, uwodząc populistycznymi technikami kolejnych ludzi. Finalnie trzeba było milionów ofiar i milionów żołnierzy, by powstrzymać opętanego nienawiścią człowieka oraz jego wyznawców. Czy chcemy, by z powodu naszej bierności wobec Patricka L. historia zatoczyła koło?*

*Jana Novakovič*

Profesor Howard skończył czytać artykuł i zadumał się. Wydarzenia, o których pisała dziennikarka, były odległe raptem o dziewięćdziesiąt lat, a on nigdy w życiu o nich nie słyszał. Jakby historia świata została wykasowana, gdy John był niemowlęciem. I właściwie tak się stało. Profesor czuł, że trafił na sensacyjny zapis końca starego świata. Zrozumiał, że badania nad umysłem Allie to niejedyna ważna praca, jaka jeszcze go w życiu czeka. A im bardziej jego wysiłkom będzie sprzyjał bibliotekarz, tym lepiej. Profesor odwrócił się od monitora i z uśmiechem uklonił się Yeshiemu Gyatso.

– Napijemy się herbaty, Oceanie Mądrości? – zapytał chytrze i nie bez wysiłku podniósł się z bambusowej maty.



Yoshi siedział na trawie i obserwował Monicę, która plotła błękitny wianek dla córeczki. Allie nie wykazywała typowego dla dzieci w jej wieku zniecierpliwienia. Czekala grzecznie, aż kobieta skończy. Siedziała u jej stóp i podpierала brodę rączką. Bez słowa patrzyła na zwinne palce matki, ale jednocześnie była zatopiona we własnych myślach. Yoshi dałby wiele, by móc zrozumieć, co dzieje się w umyśle tej małej. Dziewczynka była przedziwną hybrydą geniuszu i rozbrajającej niewinności. Dorosły umysł i serce dziecka zamknięte w drobnym czarnoskórym ciele.

Gdyby chłopak nie był świadkiem wszystkich zdumiewających wyczynów Allie, z pewnością by w nie nigdy nie uwierzył. Jakim sposobem mały dzieciak umie hakować dowolne systemy Worldwebu? Tego, jak się wydaje, Allie też nie wiedziała. Działała instynktownie i miała spore trudności, żeby wytłumaczyć przyjaciółom mechanizm działania. Wiązki informacji nazywała świetlistymi strunami, a przeszukiwanie zasobów sieci i ich modyfikowanie według własnego widzimisię było dla niej po prostu podróżowaniem. To wszystko stawało się jeszcze dziwniejsze, gdy człowiek sobie uświadamiał, że Allie nie ma interfejsu, a jej jedynym wsparciem w poruszaniu się po sieci był mały zabawkowy miś o imieniu Tom, o którym ostatnio jakby nieco zapomniała.

Yoshi skupił spojrzenie na Monice. Wyglądała kwitnąco i ciąża zdecydowanie jej służyła. Spięte w niedbały kok rude włosy wyglądały zdrowo i lśniły w promieniach wiosennego słońca. Błada skóra zjaśniała jej jeszcze bardziej. W jaskrawym świetle miała wręcz niebieskawy odcień, który niesamowicie kontrastował z jej piegami i wielkimi zielonymi oczami. Twarz Moniki emanowała wewnętrznym światłem i spokojem, który odnalazła w klasztorze. Black długo szukał słowa oddającego obecny stan ducha kobiety. Ostatecznie uznał, że najlepiej pasuje do niej japońskie słowo *komorebi* oznaczające światło słoneczne przesączające się przez korony drzew. Chłopak stwierdził w duchu, że cała ta karkołomna wyprawa opłaciła się choćby dlatego, by zobaczyć Monicę-*komorebi* siedzącą na łące razem z Allie.

– Dziękuję! – powiedziała dziewczynka.

Black zerknął na nią zaskoczony. Czy to możliwe, żeby czytała mu w myślach nawet tutaj? Klasztor był odcięty od przepływu danych Worldwebu i z całą pewnością nie miał systemu obsługującego TOW. W tym miejscu traciły zasięg nawet ich ubrania. W miejscach wyświetlania się reklam migotały szare płaszczyzny. Yoshi był przekonany, że klasztor chroni potężna zapora sieciowa. Czy to możliwe, żeby w takich warunkach Allie nadal była w stanie zaglądać do ich umysłów? Spojrzał na nią. Uśmiechała się do matki i dziękowała jej za wianek, a nie jemu za to, że wraz z innymi przywiózł Monicę do Tybetu. Co on sobie właściwie myślał? Zmitygował się w duchu. Najwyraźniej demonizował nieprzeciętne umiejętności tego dziecka i chyba zbyt łatwo zapominał, że właśnie przede wszystkim Allie była dzieckiem. Małą, śliczną dziewczynką z kilkoma warkoczycami, ubraną w czarny uniform bez powierzchni reklamowych. Ten sam, który kazała wydrukować szafie w mieszkaniu Maxa. W wianku z błękitnych mekonopsów wyglądała jak istota zbyt piękna, by istnieć naprawdę w tym odrażającym świecie.

– Tobie też dziękuję, Yoshi – wyszeptła i położyła paluszek na ustach.

Więc jednak. Allie nie tylko hakowała dowolną sieć, ale też umiała czytać w myślach. Tak po prostu.



Hassan okazał się cichym i niekłopotliwym współlokatorem. Uśmiechał się, był życzliwy, nie mówił zbyt wiele, a przede wszystkim nie zadawał pytań. Jordan starał się odplacać tym samym. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że zarówno były kierowca Wordswortha, jak i Max doskonale wiedzą, że jest synem generała O'Briana, ale jak dotąd w ich trzyosobowej celi klasztornej nie wywiązała się żadna rozmowa na ten temat.

To zakwaterowanie na początku zirytowało Jordana. Mnisi przydzielili mu celę z Maxem i z dopiero co poznanym Hassanem, a Yoshiego ulokowali z profesorem Howardem, który nie chciał słyszeć o żadnej zamianie. Jordan wiele by dał, żeby w tych pierwszych dniach pobytu w klasztorze mieć przy sobie Yoshiego, swojego wieloletniego towarzysza, ale po dłuższym namyśle uznał, że dla nich obu lepszy będzie obecny układ. Yoshi, skupiony

właściwie wyłącznie na swoim nieszczęściu związanym z odzyskaniem ojca i utratą Sary, ciągle był poirytowany i obrażony na cały świat. Jordan, co noc budzący się ze strachu przed własnymi demonami, byłby dla niego jedynie dodatkowym bodźcem do depresji. Tymczasem profesor Howard był tak dalece zaprzątnięty pracą naukową z Allie, że właściwie nie mówił o niczym innym. Zapewne również wieczorami snuł entuzjastyczne monologi, których Yoshi siłą rzeczy wysłuchiwał. I, co zrozumiałe, chłopak był dziewczynką coraz bardziej zaintrygowany. Profesor namówił go, by asystował Allie w czasie, gdy on sam, zbyt zajęty swoimi sprawami w bibliotece, nie mógł tego robić. I Yoshi snuł się z dziewczynką po okolicy, bacznie ją obserwując. Ze zdumieniem spostrzegł, że dzięki temu jego własne problemy zeszyły na dalszy plan. Oczywiście, że nie odeszły w zapomnienie ani nie przestały doskwierać, ale dzięki Allie był w stanie zająć się czymś innym niż ponure rozmyślanie.

Z kolei Jordan w towarzystwie Maxa wyraźnie się odprężył. Ten młody mężczyzna był chodzącą pozytywną energią. Jeszcze niedawno pilot, człowiek sukcesu na miarę tych podłych czasów i flagowy produkt medialnej propagandy Rządu Światowego, nad wyraz bezboleśnie rozstał się z kamerami, kwiatami, poukładanym życiem i sportowym autolotem. Pogodnie znosił spartańskie warunki życia w klasztorze, nosił na rękach Allie, która go uwielbiała i właściwie tylko przy nim zachowywała się jak zwyczajne, radosne dziecko. Oprócz tego przejawiał wyraźną słabość do Sary. Może więc lepiej, że został zakwaterowany z Jordanem, z dala od Yoshiego.

W tej całej układance jedynym neutralnym elementem był właśnie Hassan. Jordan go podziwiał, ale i nie do końca mu ufał. Jego historię znali tylko z relacji zainteresowanego. Oczywiście stanął po ich stronie i pomógł uciec z domku letniskowego Wordswortha, opowiedział im także o tym, jak przewodniczący wykorzystał oprogramowanie miażdżące wolę człowieka i kazał mu zamordować własnoręcznie brata. Przyznał przy tym, że przez większość czasu, jaki spędził w rezydencji Wordswortha, jego wola była całkowicie sparaliżowana. W jaki sposób więc się uwolnił i odzyskał możliwość decydowania o sobie? Na te pytania Hassan nie odpowiadał i przeważnie zmieniał temat.

Profesor Howard doskonale znał metody Wordswortha i przypuszczał, że Hassan może ma szczerze intencje, ale nikt nie zagwarantuje, że nie ma wgranego jakiegoś wirusa szpiegującego. Na pewno nie był w stanie wysłać żadnych danych, bo nie pozwalała na to zaporą sieciowa klasztoru, nie zmieniało to jednak faktu, że Hassan mógł być zaprogramowany na zbieranie informacji. Stanowiłby rodzaj polisy ubezpieczeniowej Wordswortha.

To wszystko sprawiało, że Jordan był zadowolony z faktu, że nie mieszka z Yoshim, ma na oku Hassana i może spędzać czas z zawsze zadowolonym Maxem. Z Yoshim oczywiście się widywał, ale nigdy nie rozmawiali o poważnych sprawach. Siadali obok siebie w jadalni, w której obowiązywała klauzula milczenia, i niespiesznie spożywali prawdziwe jedzenie składające się z warzyw, sera i ze zbóż, a nie z proteinowych papek. Jordan zawsze szukał wzrokiem Moniki. Wyglądała pięknie i zupełnie nie przypominała chudej, wymizerowanej i zgaszonej istoty, którą poznał kiedyś w mieszkaniu na zapleczu pubu Mary Sue. Jeśli tylko mu się udawało, kończył posiłek równo z Monicą i wychodził za nią na korytarz. Zazwyczaj uśmiechała się do niego promiennie i zawsze była w doskonałym humorze. Tak reagują na diametralną odmianę losu ludzie, kiedy odzyskują poczucie bezpieczeństwa i radość życia po okresie kompletnego upodlenia. Monica nie opowiadała zbyt wiele, ale Jordan doskonale wiedział, jak traktuje się w Obszarze Ameryka 5 robotników przymusowych. Już sam fakt, że

jeszcze niedawno nie miała kontaktu z Allie, groziła jej śmierć i na co dzień po prostu przymierała głodem, stanowił dostateczne wyjaśnienie, dlaczego życie w klasztorze było dla niej cudowniejsze niż najpiękniejszy sen. A każdy, kto się do tej zmiany przyczynił, był dla kobiety rycerzem na białym koniu. Jordanowi na niej zależało, ale nie zamierzał żerować na jej wdzięczności. Absolutnie nie chciał, żeby pomyliła wdzięczność z miłością, co mógłby cynicznie wykorzystać. Po tym wszystkim nie zasługiwała na coś podobnego. Poza tym miała Allie i dziecko, które wkrótce powinno przyjść na świat, a także żywiła z pewnością nadzieję, że Thomas, ojciec obydwojga, odnajdzie się w cudowny sposób. Przecież sama zwykła mawiać, że w jej życiu zdarzyło się tyle cudów, iż kolejne są tylko kwestią czasu. To był oczywiście żart, okraszony perlistym śmiechem, ale Jordan uważał, że w głębi serca Monica wierzy w cudowny powrót partnera.



Były pilot wahadłowca, Max White, nudził się. Nudził się o wiele bardziej, niż byłby skłonny przyznać. Szanował mnichów, respektował obyczaje panujące w klasztorze, ale spokojne życie, monotonna dieta i codzienne, obowiązkowe medytacje doprowadzały go do szału. A im bardziej pozornie się wyciszał, tym mocniej buzowała w nim chęć do działania. Nie tego się spodziewał, gdy rzucił na szalę swój los i ruszył w świat z grupą buntowników, którzy zupełnie zawładnęli jego życiem, a każdy w inny sposób. Do Moniki żywił ogromną tkliwość, szanował profesora i Jordana, współczuł Hassanowi i Yoshiemu, uwielbiał Allie i chyba kochał Sarę. Gdy się nad tym zastanawiał, zdawało mu się, że zakochał się w niej już w chwili, gdy pierwszy raz podeszła do niego w kosmodromie. A potem był ten lot wahadłowcem, wspólne czuwanie w fotelu pilota. Nawet teraz Max był w stanie przywołać z pamięci każdy gest i słowo z tamtych chwil.

Sara była dzielną, niezwykle odważną osobą, szlachetną i skłoną podjąć ryzyko, by uratować obce dziecko. To właściwie jej Allie zawdzięczała życie. Profesor Howard też. A Sara z kolei wydawała się nieświadoma, że wokół niej są ludzie, którzy bez wahania poszliby za nią w ogień. Odcieła się od wszystkich, omiatała ich nieobecny wzrokiem i z determinacją godną lepszej sprawy trwała w swoim cierpieniu.

Max nawet nie próbował do niej dotrzeć. Stale czuł na plecach uważny wzrok Yoshiego i uznał, że lepiej nie pchać palca między drzwi. Zresztą wkrótce znalazł sobie ważniejsze zajęcie. Profesor Howard poprosił go o rozmowę. I to, co mu objaśnił, przypawiło byłego pilota o zawrót głowy.

– Jak wiesz, wraz z moim nowym przyjacielem o wdzięcznym imieniu Yeshi Gyatso zgłębiamy tajniki fascynującego umysłu Allie – rozpoczął uroczystym tonem, a Max zdumiał się w duchu, dlaczego właśnie z nim profesor rozmawia na ten temat. Czy nie powinien skierować tych słów do Moniki? Ale profesor mówił dalej; – Od początku najbardziej zależało nam na wyjaśnieniu, w jaki sposób mózg dziewczynki jest w stanie współpracować z maszynami. Oczywiście powiesz, że wszyscy ludzie w jakiś sposób to robią, ale dzieje się tak



wyłącznie dzięki wspomaganemu interfejsu, który przetwarza impulsy nerwowe w jednostki informatyczne o mocy zależnej od parametrów danego urządzenia. Zapewniam, że interfejs biedaka z fabryki nie jest tym samym urządzeniem co wzbogacony o technologię TOW wszczep nadrodowca.

Zamilkł na chwilę, najwyraźniej zastanawiając się, jak w miarę przystępnie przedstawić kwestię rozmówcy. Wreszcie podjął:

– U Allie, w gruncie rzeczy, proces odbywa się podobnie, jednak różnica polega na tym, że jej mózg zupełnie samodzielnie przetwarza impuls nerwowy w jednostki informatyczne, i to o mocy wyrażonej w yottabajtach, a więc znacznie przewyższającej nasze możliwości obliczeniowe. Co więcej, wczoraj odkryłem, że nasza dziewczuszka potrafi równie zgrabnie odwracać ten proces, to znaczy intensyfikować lub zmniejszać wielkości przepływu impulsów, a zapewne również wytworzyć impuls o niebywałej sile. Oczywiście to ostatnie wymaga spełnienia pewnych szczególnych warunków.

– Proszę wybaczyć, profesorze, ale nie jestem pewien, co to ma ze mną wspólnego – bąknął Max, który niewiele z tego rozumiał.

– Mój drogi, wybacz staremu nudziarzowi pseudonaukowy żargon – odparł Howard. – I tak starałem się go ograniczyć. Generalnie chodzi o to, że przez mózg Allie przepływają gigantyczne ilości informacji. Jest czymś w rodzaju biomaszyny, jakiej z całą pewnością nie umiałaby zbudować żadna fabryka. Ta technologia zdecydowanie przekracza możliwości Geneo, a system TOW jest przy niej dziecinną igraszką. Rzecz w tym, że nie wiemy, na ile mózg Allie jest w stanie kontrolować przepływ informacji. Obawiam się o to dziecko i, prawdę mówiąc, o los nas wszystkich. A mówiąc o wszystkich, nie mam na myśli tylko naszej grupy, lecz całą ludzkość żyjącą na Ziemi i na Arkach.

– Nie bardzo rozumiem, co pan chce przez to powiedzieć...

– Ja sam nie do końca to wszystko pojmuję, ale wychodzi na to, że Allie posiada zdolność wytworzenia impulsu w sieci. Impulsu o mocy przeliczeniowej porównywalnej do kilkuset ładunków jądrowych. Nie mam zielonego pojęcia, jak dalece to kochane dziecko kontroluje swoje umiejętności...

– Powiedział pan, że ona nie potrzebuje interfejsu, ale przecież ma tego swojego małego miśka. Sam pan mówił, że to on pełni funkcję przekaźnika dla Allie – zaprotestował Max.

– Mówiłem i nadal to podtrzymuję, tylko widzisz, tutaj, w klasztorze, prymitywna konstrukcja miśka w żaden sposób nie jest w stanie obejść zapór sieciowych. A jednak Allie umie korzystać z tych nielicznych pasm, które docierają do biblioteki. W jaki sposób?

– Tego nie wiem. Może znalazła jakieś obejście?

– Właśnie, Max. Z tym że nawet o tym nie wie, iż misiek jej w tym nie pomógł. Zrobiła to sama, wyłącznie za pomocą swojego wyjątkowego mózgu. Misiek w tym wypadku wyłącznie dodaje jej pewności siebie. I tu dochodzimy do sedna naszej pogawędki, czyli aspektu psychologicznego tej sprawy. Allie, choć jej umysł jest przedziwną hybrydą komputera i mózgu, przede wszystkim pozostaje wciąż człowiekiem. Pełnym emocji i jak to z nami bywa, nieprzewidywalnym w reakcjach.

Nas się nie da obliczyć. Przy ludzkiej naturze nie działają żadne informatyczne reguły. Allie jest tylko dzieckiem. Bardzo grzecznym, ale przerażająco łatwym do zmanipulowania. Wystarczy, że jej umiejętności zechciałyby wykorzystać dorosły o nieczystych intencjach. I co wtedy?

– Stanie się śmiercionośną bronią – odparł Max.

– No właśnie. Wielu rzeczy jeszcze o tym dziecku nie wiem, ale już tylko to wystarczy, żeby się o nią martwić.

– Dlaczego mi pan to wszystko mówi?

– Zapewne sam zauważyłeś, że Allie darzy cię szczególną sympatią.

– Z wzajemnością – powiedział z uśmiechem pilot.

– Co znacznie upraszcza sprawę i być może wpłynie na twoją decyzję, kiedy wysłuchasz mojej prośby.

– Jakiej prośby?

– Otocz tę małą szczególną, niemal ojcowską opieką. Wiem, że proszę o wiele, ale to bardzo ważne. W dużym uproszczeniu mówiąc, wsparcie kochającego człowieka pozwoli Allie pozostać dobrym dzieckiem.

– A złe dziecko stanowi odpowiednik bomby z natychmiastowym zapłonem, która za pomocą sieci rozwali wszystko w okolicy – dopowiedział Max.

– Rozwali, i to z mocą około dwustu megaton, według mojej skromnej opinii – odparł z ciężkim westchnieniem Howard.

Vika Novakovič najbardziej na całym świecie nie znosiła bezsensownego marnowania czasu. Przy jej energicznym usposobieniu każda stracona minuta wydawała się nieomal fizyczną torturą. A teraz stała w długiej kolejce autolotów i zgrzytała ze złości zębami. Co jakiś czas przeczesywała dłonią krótkie rude włosy.

Od czasu, gdy wirus SeeIT zainfekował ludziom interfejsy, praktycznie wszędzie panowały chaos oraz irytująca dezorganizacja. Osiedle, na którym mieszkała Vika, nie stanowiło oczywiście wyjątku. Jeszcze do niedawna był to po prostu zaprojektowany na planie kwadratu rozległy, strzeżony kwartał, otoczony niezbyt wysokim parkanem. Nie zbudowano wyższego, jako że nad bezpieczeństwem czuwała odpowiednia aplikacja o nazwie Wersal, która wyświetlała intruzom iluzję wysokiego muru. Kobieta jeszcze do niedawna nie знаła nazwy tej aplikacji, a nawet nie była świadoma jej istnienia. Także to się zmieniło przez wirus.

Vika doskonale pamiętała chwilę, w której piracki program opanował jej interfejs. Stała w prywatnym ogrodzie otaczającym jej willę i z przyjemnością wpatrywała się w refleksy błękitnego światła, odbijanego przez drobne fale wody w basenie. Chwilę później interfejs wyświetlił jej czarną planszę. Zdezorientowana kobieta zamrugła, ale nieprzenikniona ciemność nie ustąpiła. Zamiast tego pojawiły się czerwone litery układające się w tekst: „Mark Quince ma zaszczyt przedstawić Państwu aplikację SeeIT. Udanego nowego życia!”.

Litery zniknęły, kobieta ponownie zamrugła i z ulgą stwierdziła, że odzyskała wzrok. Z tą różnicą, że świat wokół zmienił się nie do poznania. Marmurowy taras zniknął, a zamiast niego pojawiła się brzydka betonowa płaszczyzna. Basen wyłożony błękitnymi kafelkami był teraz plastikową szarą niecką. Jedynie ogród wyglądał tak jak zwykle. Posadzone jej troskliwą ręką kwiaty i krzewy nadal bujnie kwitły pod parkanem. Samego parkanu, dotąd zapewniającego prywatność, w ogóle już nie było. Vika bez najmniejszego wysiłku mogła zajrzeć na podwórza swoich sąsiadów. Odwróciła się i z niepokojem spojrzała na dom. Miał ten sam kształt co zawsze, ale zamiast eleganckiej białej fasady ujrzała niewykończony, surowy budynek z malutkimi oknami.

Okazało się, że właściwie wszystko, co do tej pory znała, przez SeeIT zmieniło się na gorsze. Twórca aplikacji załączył plik tekstowy. Vika weszła do domu, usiadła w fotelu, który okazał się żółty i tandetnie krzykliwy. Kobieta sapnęła ze złością, starając się nie skupiać na żalu za wytwornym, obitym niebieskim pluszem meblem. Po uruchomieniu pliku tekstowego wyświetlił się komunikat.

*Drogi Użytkowniku aplikacji SeeIT!*

*Z pewnością jesteś poruszony tym, co właśnie zobaczyłeś dzięki programowi, zapewne już nazwanemu przez skorumpowane media „groźnym wirusem”. Nie irytuj się! To nie ja sprawiłem, że*

*Twój świat się zmienił. Od dawna Rząd Światowy fałszował rzeczywistość, instalując ludziom aplikację Wersal 01, a potem kolejne jego wersje. Tenże rząd uznał, że grzebiąc w osobistym interfejsie, nakaze Ci, co masz zobaczyć. Ja jedynie ściągnąłem zasłonę z Twoich oczu. Co zrobisz z faktami, które pomogłem Ci zobaczyć, jest Twoją sprawą. Choć ja osobiście ostro bym się wkurzył...*

*Pozdrawiam  
Twój Mark Quince*

Nieomal natychmiast świat pogrążył się w chaosie. Niżsi rangą nadrodowcy i ludzie uprzywilejowani zdali sobie sprawę, że ich świat nie jest tak cudowny, jak sądzili. Piękne domy, kupowane kosztem ogromnych wyrzeczeń, nie wyglądały nawet w połowie tak dobrze, jak powinny, a odizolowane od biedoty czyste i bezpieczne osiedla nie były aż tak czyste i bezpieczne, jak im się do tej pory wydawało.

Obniżenie statusu zamożnych wcale nie sprawiło, że biedota była mniej wściekła. Aplikacja obnażyła obraz tak ogromnej nędzy, że nawet nieco gorszy wygląd osiedli warstw uprzywilejowanych budził złość. Z kolei mieszkańców osiedli zaszokował fakt, jak straszliwy niedostatek panował tuż obok nich, oraz to, że sami stali się widoczni dla rozwścieczonej masy głodujących. Dotychczas iluzja wysokiego muru utrzymywała ciekawskie spojrzenia z dala od bogatych i bezpiecznych domów. Teraz teren osiedla Viki oblegał tłum ludzi, a niektórym udawało się przedostać do środka, gdzie z zapamiętaniem demolowali wszystko, co napotkali. Interwencje służb pomagały wprawdzie, ale na krótko. W efekcie do bram osiedli stały długie kolejki autolotów. Mieszkańców legitymowali funkcjonariusze z Geneo i pracownicy wynajętej ochrony. Pojazdy skanowano, a odkąd napastnicy próbowali się dostać na teren osiedla w bagażnikach, niektóre autoloty kierowano na wrywkową kontrolę.

Vika umościła się wygodniej w fotelu kierowcy. Stukała złotymi paznokciami o kierownicę. Próbuąc stłumić irytację, szukała w głowie jakiegokolwiek w miarę optymistycznej myśli. Nie bardzo jej to wychodziło. Najpierw przypomniała sobie wczorajszą wizytę u matki i to, jak straszliwie się pokłócili. Oczywiście jak zwykle o to samo, czyli o jej pracę. Wszystko było w porządku, dopóki podczas obiadu, siedząc nad talerzami z delikatnej porcelany, rozmawiały o banałach, takich jak pogoda, smak steków z modyfikowanej fasoli czy nowe donice z kwiatami na podjeździe osiedlowego medlabu, który ostatnio odwiedzała matka. Vika nieopatrznie powiedziała, że podobne kwiaty posadzili przed wejściem do jej biurowca Holo 2 i że śmiać jej się chce z żalonych zabiegów, które prawdopodobnie mają upiększyć otoczenie już nie za pomocą aplikacji Wersal, tylko naprawę. Oczywiście nie omieszkała stwierdzić, że takie zabiegi przypominają pudrowanie gówna. Matka aż poczerwieniała z oburzenia, a Vika przez chwilę miała nadzieję, że oburzyło ją wulgarne słowo. Niestety nie.

– Myślałam, że chociaż teraz, gdy trwa to całe zamieszanie, pójdziesz po rozum do głowy – powiedziała matka.

– O co ci właściwie chodzi?

– Doskonale wiesz o co! Sama się prosisz o kłopoty! Praca w mediach jeszcze nikomu w tej rodzinie nie wyszła na zdrowie, pamiętasz? Dookoła trwa nieomal wojna. A ty nie dość, że z uporem bierzesz w tym udział, to jeszcze robisz reportaże z terenu, zamiast wysłać tam roboty.

– Mamo, za dużo się dzieje. To stanowczo przekracza możliwości robotów, zwłaszcza że te z naszej stacji nie są specjalnie zaawansowane. Świetnie się sprawdzają podczas wywiadów w kosmodromie, ale to, co się dzieje na ulicach, jest zbyt nieprzewidywalne, żeby maszyna była w stanie sensownie relacjonować – odparła Vika, natychmiast żałując, że nie ugryzła się w język.

– No właśnie! Sama to powiedziałaś: to, co się dzieje na ulicach, jest zbyt nieprzewidywalne. A ty sobie chodzisz beztrosko między tymi wicherzycielami i zupełnie nie liczysz się z tym, że ja mogę dostać zawału.

– Ciekawe, czy ty byś nie była, jak to ujęłaś, wicherzycielką, gdyby ciebie rząd tak traktował – rozłościła się na dobre Vika.

– To, jak mnie rząd traktuje, nie jest twoją sprawą – ucięła matka. – Ma się w życiu to, na co człowiek zasłużył i zapracował.

– No rzeczywiście – powiedziała drwiąco Vika i szerokim gestem wskazała przestronny salon. – Zapracowałaś sobie na to tym, że miałaś fart urodzić się wśród nadrodowców. A ci biedacy na dole ciężko pracują i gówno mają, bo urodzili się w fabrykach. Nie znają swoich matek! Więcej, nie znają nawet tego słowa! Potrafisz sobie to wyobrazić, mamo? – zapytała Vika, celowo przesadnie akcentując ostatnie słowo.

– Nie zmieniaj tematu, dobrze? Zdaje się, że rozmawialiśmy o twojej pracy i bezsensownym ryzykowaniu własnego życia.

Tym razem matka powiedziała to wprost. Jej zdaniem zawodowe życie Viki nie miało sensu. Nie była dumna z jej osiągnięć, nie wspierała jej i pragnęła dla niej takiego życia, jakie sama wiodła. Próżniaczego, w otoczeniu eleganckich bibelotów, z dala od realnego świata i u boku uprzywilejowanego męża. Oczywiście nadrodowca.

Ojciec Viki nie był nikim specjalnie istotnym dla maszyny Rządu Światowego i, paradoksalnie, właśnie to w oczach matki okazało się jego największą zaletą. Cichy, skromny urzędnik pracujący na średnim szczeblu w zarządzie fabryki Space.corp, od lat wykonujący te same rutynowe obowiązki o tych samych porach dnia, był wymarzoną osobą dla Janet. Pasował jak ulał do jej poukładanego, ciasnego świata, a do tego miał łagodny charakter i był ugodowy. Nie grzeszył gadatliwością i był pod każdym względem przeciętny. Nie wyróżniał się z tłumu wzrostem ani urodą, był szczupły, miał szare oczy i brązowe włosy. Stanowił kompletne przeciwieństwo Janet, korpulentnej blondynki o krzykliwej urodzie.

Vika często się zastanawiała, jak to możliwe, że jest córką tych dwojga, i nawet przez jakiś czas podejrzewała, że ktoś ją wykradł z jakiegoś przyzakładowego przedszkola, żeby porzucić na progu domu rodziców. Matka dość łatwo wybiła jej te niedorzeczności z głowy, wyświetlając stare zdjęcie jej prababki ze strony ojca. Kobieta miała krótkie, kręcone rude włosy i piegę rozsiane po całej twarzy. Wyglądała dokładnie tak jak Vika. Była dziennikarką w czasach, kiedy istniała jeszcze prasa papierowa.

Dziewczynkę zafascynowała postać prababki, zwłaszcza gdy ojciec nieopatrznie wspominał, że kobieta została zamordowana, a sprawcy nigdy nie odnaleziono. Niestety wiele więcej nie miał do powiedzenia, bo nigdy jej nie znał. Zginęła wiele lat przed jego narodzinami. Te nieliczne strzępy informacji miał od swojej matki, która zawsze podkreślała, że babcia Jana była znaną na całym świecie reporterką. Nigdy nie wahała się pisać prawdy i zawsze stawiała w obronie sprawiedliwości. Zdaniem policji, czyli służb Geneo z tamtych czasów, to właśnie było motywem zbrodni. Ktoś chciał ją uciszyć. Trudno więc dziwić się matce, że znając tę

historię, bardzo źle zareagowała, gdy Vika postanowiła rozpocząć pracę w Holo 2. Nie przekonało jej nawet to, że czasy bardzo się zmieniły, panuje wszechobecna cenzura i nie ma niezależnych mediów. Mąż udowadniał jej, że Holo 2 zajmuje się głównie rozrywką i lekkimi tematami, a pracując dla rządowej holowizji, Vika jest najbezpieczniejszą osobą na świecie. Matki to nie przekonywało i zawsze, gdy temat schodził na pracę córki, rozpoczynały się lamenty i gderanie.

Kolejka autolotów nieznacznie drgnęła. Vika odwróciła wzrok od ruin domów stojących na poboczach drogi. Niedgdyś musiały tu być osiedla na przedmieściach, podobne do osiedli nadrodowców, ale obecnie zamieniły się w ponure slumsy. Mieszkańców zapewne wysiedlono i wysłano na Arki. Na samą myśl o tym, Vika aż się wzdrygnęła. Należała do nielicznej grupy ludzi, którzy bez oporów uwierzyli w film rozsyłany wraz z wirusem SeeIT. Widać na nim było ludzi w terminalu Arki 28 brutalnie mordowanych przez roboty. Rzecz była tak absurdalna, że prawie nikt w to nie wierzył. Zresztą, jak można uwierzyć w coś takiego? Arki powstały, żeby chronić i ratować ludzi, a nie ich mordować. Rząd Światowy ustami wszystkich mediów ostro dementował te doniesienia. I właśnie ta nadgorliwość rządu plus wiedza, że nikt z jej znajomych nadrodowców jakoś na Arkę się nie wybierał, a także świadomość manipulacji, jakie na co dzień obserwowała w swojej pracy, kazały jej przypuszczać, że film może być prawdziwy.

Vika w końcu wjechała przez bramę na teren osiedla. Zastanawiała się w duchu, dlaczego właściwie nie powiedziała matce, że w zeszłym tygodniu rzuciła pracę w Holo 2. Przecież nie byłoby kłótni, a Janet poczułaby się uszczęśliwiona. Z tym że to pociągnęłoby za sobą pytania o powody decyzji. A Vika nie czuła się na siłach, by znieść kolejną awanturę i przyznać się, że skorzystała z nowej swobody obywatelskiej i założyła własną holowizję o sugestywnej nazwie TakeIT. I że teraz rzeczywiście może być w niebezpieczeństwie jak kiedyś prababcia Jana.



Miejska rezydencja Felicji Lawrance mieściła się na tyłach siedziby Rządu Światowego. Dom należący do kobiety wzorowano na Wersalu i choć oczywiście był znacznie mniejszy, to nie znaczy, że bardziej skromny. Olśniewająco biały dwupiętrowy budynek stał wkomponowany w ten sam ogród wersalski, który otaczał gmach rządowy. Cały teren byłego Central Parku został zaorany i ogrodzony prawdziwym, solidnym murem. Ocalało jedynie jezioro, zdaniem Felicji pasujące do repliki ogrodów wersalskich. Śmiała koncepcja pochłonęła gigantyczne nakłady finansowe, ale to Felicji zupełnie nie interesowało.

Tamtego dnia, miesiąc wcześniej, Mary Sue Johnson wysiadła z czarnego autolotu, gdy jakiś człowiek, gnąc się w ukłonach, otworzył szeroko drzwi. Kobieta wyszła na brukowany dziedziniec i powiodła wzrokiem po eleganckiej rezydencji. W ostatniej chwili powstrzymała się od gwizdnięcia. Nie dało się ukryć, że Felicja Lawrance czerpała z życia pełnymi garściami. Bliskość gmachu rządu sugerowałaby ponadto, że była chora na władzę. I kogoś takiego Mary

Sue miałyby z powodzeniem udawać? Jedną z najbardziej rozpoznawalnych osób na świecie, otoczoną rzeszami współpracowników i armią służących? Mary Sue poczuła strach. Oddałaby wszystko, by móc cofnąć czas do wydarzeń, jakie rozegrały się w letniskowym domu Lawrance i Wordswortha. Była do tego stopnia zdesperowana, że wolałaby powtórzyć najkoszmarniejszy dzień swojego życia, wraz z wielokrotnym gwałtem i sceną morderstwa Felicji, niż przekroczyć próg tej olśniewającej rezydencji należącej do denatki. Teraz wiedziała, że gdyby mogła cofnąć czas, natychmiast by się ujawniła po tym, jak jej przyjaciele wpadli do domu. Krzyknęłaby, że nie jest Felicją, choć w wyniku zabiegów, do których zmusił ją Wordsworth, wyglądała dokładnie tak jak ona.

Co właściwie sobie wyobrażała? Że uda jej się szpiegować dla Skorpionów z drugiego co do wysokości stołka na całym świecie? Po opuszczeniu pojazdu na drżących nogach poszła w stronę szerokich kamiennych schodów prowadzących do dwuskrzydłowych drzwi wejściowych. Marzyła tylko o tym, żeby zdjąć już białą sukienkę Felicji. Fakt, że ta sukienka właściwie uratowała Mary Sue życie, nie był w stanie przyćmić obrzydzenia, że nosi na sobie ubranie, w którym została zamordowana Lawrance. Ta myśl paradoksalnie dodała jej sił. Determinacja, by zedrzeć z siebie odzież i zmyć gorącą wodą wydarzenia tego koszmarnego dnia, zepchnęła na dalszy plan paraliżujący strach. Starając się ignorować towarzystwo służącej Felicji, Fumiko, która dreptała za nią wiernie jak cień, Mary Sue weszła do obszernego holu. Stała na chwilę, zdezorientowana ogromną ilością drzwi i schodów, jakie znajdowały się wewnątrz. Tuż przed nią stało w rzędki kilkoro służących.

– Niech ktośś z was przygotuje mi kąpiel – rozkazała władczo, mając nadzieję, że głos jej nie drży.

Liczyła na to, że któraś z pokojówek natychmiast ruszy w stronę prywatnych apartamentów. Tak się też stało. Jasnowłose, najwyżej piętnastoletnie dziewczętko dygnęło wdzięcznie i pobiegło w górę po schodach najwyraźniej wiodących do prawego skrzydła domu. Mary Sue pogratulowała sobie w duchu refleksu, a w jej sercu pojawiła się odrobina otuchy i nadziei. W swoich poprzednich kalkulacjach nie uwzględniła jednego, dość istotnego aspektu, dzięki któremu być może jej zuchwały plan się powiedzie. Zapomniała, że Felicja była osobą nieomal wszechwładną, przed którą ludzie drżeli ze strachu i zginali się w pokłonach. To dawało sporą przewagę. Nikt nie będzie jej zadawał pytań ani kwestionował poleceń. Przynajmniej w tym domu.

– Fumiko, przekaż komu trzeba, że muszę wziąć trzy dni wolnego – rzuciła w przestrzeń, nie patrząc na kobietę.

Ruszyła po białych marmurowych schodach za młodą służącą i, starając się nie rozglądać na boki, weszła na piętro. Idąc szerokim korytarzem, odruchowo liczyła mijane drzwi. Nie tak dawno robiła dokładnie to samo w rezydencji Wordswortha, kiedy próbowała opracować jakiś plan ucieczki. Ostatecznie się udało, z tym że wpadła z deszczu pod rynnę. Obecnie tkwiła w jeszcze gorszej pułapce i nie istniał nikt, kto mógłby jej pomóc. Mogła polegać wyłącznie na sobie.

Prywatny apartament Felicji był oczywiście ogromny, składał się z czterech połączonych ze sobą pomieszczeń. Pierwsze z nich, gustowny salon, zaskakiwało zwyczajnymi jasnymi meblami. W ogromnych łukowatych oknach wisiały proste, ale z pewnością szlachetne tkaniny w kolorze piaskowego beżu, a na licznych stolikach, podobnie jak w domu

letniskowym, stały wazony z kwiatami. Nie dało się zaprzeczyć, że Felicja Lawrance miała doskonały gust.

Jasnowłosa służąca skrzyła w lewo, więc Mary Sue poszła za nią. Przez całą drogę nie odezwała się do dziewczyny. Teraz postanowiła przerwać niezręczną w jej odczuciu ciszę.

– Przypomnij mi, jak masz na imię? – zapytała, siląc się na obojętny ton.

Dziewczyna przystanęła i odwróciła się w stronę swojej chlebobawczyni. Jej twarz wyrażała bezbrzeżne zdumienie.

– Nigdy pani nie pytała... To znaczy... Mówiła pani, że jesteśmy jak roboty, a te nie mają imion... To znaczy... proszę wybaczyć, myślałam... – plątała się pokojówka.

Mary Sue uświadomiła sobie, jak złudna i ulotna była jej nadzieja. Skąd w niej wiara, że może to wszystko jakoś się ułożyć, skoro jednym niewinnym pytaniem skierowanym do zwykłej pokojówki może się zdekonspirować? Swoją drogą, jaką zimną i nieludzką suką musiała być Felicja Lawrance! Do kogo jeszcze będzie musiała odnosić się z pogardą, by dobrze wejść w rolę?

– Od myślenia jestem ja – warknęła. – Gdybym nie miała powodu, tobym nie pytała!

– Gwen, proszę pani. Mam na imię Gwen – odpowiedziała prędko pokojówka i dygnęła, po czym pospiesznie przeszła przez sypialnię do przylegającej łazienki.

Słowo „łazienka” zdecydowanie nie oddawało istoty rzeczy. Mary Sue stanęła w progu największego pokoju kąpielowego, jaki kiedykolwiek widziała. Myślała, że w prywatnej łazience Wordswortha panuje niedościgniony przepych, ale to pomieszczenie biło tamto na głowę. Oczywiście nigdzie nie było widać tuby neutralizacyjnej ani innych standardowych urządzeń, z jakimi na co dzień spotykali się nieuprzywilejowani obywatele. Felicja Lawrance miała wszystko w najlepszym gatunku.

Podobnie jak u Wordswortha, na środku stała wanna, do której z pewnością nalewano prawdziwą wodę. Z tym że w tym przypadku to był raczej niewielki basen z kilkunastoma dyszami. Mary Sue nie miała pojęcia, do czego służą. Nie wiedziała również, w jakim celu obok zamontowano przezroczystą kopułę, a nieco dalej fotel i umieszczony naprzeciwko niego na wysokości głowy łukowato wygięty panel holograficzny. Nieopodal ciągnęły się regały z mlecznymi szybami. Nigdzie natomiast nie było widać żadnych uchwyty do otwierania.

W najdalszym kącie pomieszczenia, częściowo za parawanem w orientalne wzory, stały dwie kabiny beautube. Zapewne najnowszej generacji, jak te w domu Wordswortha. Mary Sue zabiło mocniej serce. Może dzięki temu udałoby się odzyskać własny wygląd? Wiedziała, że to mrzonka, ale i tak obiecała sobie, że przyjrzy się urządzeniom dokładniej, gdy tylko zostanie sama. Pamiętała wprawdzie słowa przewodniczącego, że urządzenie, za pomocą którego zmodyfikowano jej wygląd, to prototyp, a powrót do poprzedniego wyglądu jest niemożliwy, ale w sumie, dlaczego miała wierzyć w te zapewnienia? Powiedzieć można wszystko, a przewodniczący Eugene Wordsworth nie należał do osób prawdomównych. Wręcz przeciwnie, z arogancką pewnością, że wszystko ma służyć jemu i tylko jemu, mówił to, co jego zdaniem w danej chwili należało powiedzieć, by osiągnąć korzyść. Mówiąc, że proces jest nieodwracalny, z punktu ucinał jakiegokolwiek próby protestu ze strony królika doświadczalnego. Mary Sue trochę za długo żyła na tym świecie, żeby czyjekolwiek słowa brać za dobrą monetę.

Z tą refleksją oderwała wzrok od kabin beautube i spojrzała na jasnowłosą dziewczuskę. Ciekawe, o czym myślała i skąd pochodziła? Czy podobnie jak Mary Sue została przechwycona



przez handlarzy niewolników z transportu na Arkę? A może wręcz przeciwnie? Może pochodziła z rodziny jakiegoś wysoko postawionego nadrodowca i została tu przysłana jako szpieg? Żyjąc na świeczniku, Felicja zapewne mogła spodziewać się wszystkiego. Mary Sue postanowiła w duchu, że będzie ostrożna i nie da się ponieść ludzkim odruchom. To była wojna, a ona nie miała żadnych sojuszników. Pokojówka przyłożyła dłoń do jednej z dysz ogromnej wanny i natychmiast z cichym, kojącym szumem woda popłynęła spienionym strumieniem. Chwilę później dziewczyna ułożyła na niskiej ławie cały stos puszystych czerwonych ręczników, a obok przewiesiła czarny szlafrok ozdobiony srebrnymi haftami.

– To wszystko. Możesz odejść – powiedziała Mary Sue, w ostatniej chwili powstrzymując się przed dodaniem „dziękuję”.

Miała pewność, że tacy ludzie jak Felicja Lawrance nie dziękują nikomu i za nic. Dziewczyna wyszła bezszelestnie, a Mary Sue zwalczyła natychmiastową potrzebę zanurzenia się w ciepłej wodzie. Zdawała sobie sprawę, że przede wszystkim musi jak najlepiej poznać teren, poczynając od prywatnego apartamentu Felicji.

Oprócz salonu i sypialni do apartamentu należał również gabinet. Niewielki, z wąskimi drzwiami dyskretnie ukrytymi za parawanem w orientalne wzory. Tu jednak napotkała przeszkodę. Na framudze był czytnik linii papilarnych. Mary Sue nie odważyła się przytknąć do niego dłoni. Wiedziała, że z pewnością nie zadziała, bo akurat dłoni jej nie zmodyfikowano. Poza tym niewykłuczone, że urządzenie wszczęłoby alarm, a na takie ryzyko nie mogła sobie pozwolić. Ciekawiło ją, czy podczas zabiegów upodabniających do Lawrance dłonie pominięto celowo czy przypadkiem. Jeśli miałyby się zakładać, to powodem były ostrożność i przezorność Wordswortha.

Mary Sue wróciła do łazienki. Z westchnieniem ulgi zdjęła sukienkę i podartą przez Wordswortha bieliznę. Unikając jak ognia własnego, a właściwie cudzego odbicia w ogromnym lustrze, weszła do wanny i usiadła z westchnieniem ulgi, opierając się o jej brzeg. Namydliła włosy, wciąż nie mogąc się nadziwić, że były tak różne w dotyku od jej własnych. Siegnęła po końcówkę, która – jak jej się zdawało – mogła być prysznicem, i nacisnęła przycisk. Woda nie popłynęła, a przycisk rozżarzył się na czerwono. Odmowa dostępu, niezgodność linii papilarnych palca wskazującego. Spłukując nad umywalką pianę z włosów za pomocą kryształowego kubeczka, uznała ostatecznie, że łatwo nie będzie. A potem, gdy również szafa z ubraniami odmówiła jej dostępu, Mary Sue zrozumiała, że bez zmian linii papilarnych nie zdoła egzystować w nafaszerowanym gadżetami świecie nieboszczki Felicji.

Z braku innych możliwości włożyła z powrotem białą sukienkę i buty na wysokich obcasach. Nie znosiła takiego obuwia, ale czuła przez skórę, że tego modelu prędko się nie pozbędzie. Przez chwilę rozmyślała, jakie ma możliwości, ale żaden szczególny plan nie przyszedł jej do głowy. Obecnie mogła bazować wyłącznie na tym, że każdy w tym domu zapewne będzie się trząsł ze strachu na jej widok. Westchnęła ciężko i wyszła z apartamentu. Zwiedzanie piętér zostawiła sobie na później. W tego typu rezydencjach, czego nauczyła się podczas niewoli w domu przewodniczącego, serce domu biło na parterze. I tam, właściwie nie wiedząc, czego konkretnie szuka, Mary Sue udała się w pierwszej kolejności.

Dom był przepiękny, ale w zimny, muzealny sposób. Strach by było czegokolwiek dotknąć, a meble wyglądem przypominały eksponaty. Schody niosły echo jej kroków, sprawiając, że mijana służba przerywała zajęcia i patrzyła w jej kierunku. Mary Sue powtarzała sobie w myślach, żeby traktować ich jak powietrze albo, jeszcze lepiej, zdobyć się na

lekki grymas twarzy i udawać, że są robakami. Przedeflowała w poprzek ogromnego holu, którego posadzka obecnie miała błękitny kolor. Najwyraźniej tuż nad nią był zamontowany hologram zmieniający barwę marmuru zależnie od życzenia właściciela. Mary Sue nie miała pojęcia, czy Felicja zajmowała się takimi sprawami, czy też ktoś, próbując się jej przypodobać, zaprogramował podłogę. Zresztą nie miało to teraz żadnego znaczenia. W jej głowie nagle zaświtała myśl, a nawet pewien plan, który wprawdzie nie był idealny, wręcz grubymi nićmi szyty, ale przynajmniej możliwy do zrealizowania. Skinęła głową na niską, czarnoskórą dziewczynę w niewielkim czepku na głowie i przywołała ją władcym gestem.

– Idziemy do kuchni! – oświadczyła i nie bacząc na przestrach w oczach dziewczyny, nakazała jej, by poszła przed nią.

Minęły dwuskrzydłowe uchylone lekko drzwi, za którymi widać było fragment jadalni ze stołem co najmniej na dwadzieścia osób, i weszły w krótki korytarz usytuowany dyskretnie za filarem. Mary Sue była nieomal pewna, że Felicja nigdy tędy nie chadzała. Dziewczyna otworzyła szeroko drzwi i przepuściła ją przodem. Kuchnia była oczywiście wielka, piękna i naszpikowana wszelkimi urządzeniami technicznymi, jak choćby czterokomorowy destruktor. Mary Sue nigdy wcześniej takiego nie widziała. Co więcej, reklam podobnych maszyn nie emitowano w holowizji. Na cóż biedakom żywiącym się racjami papek proteinowych byłoby podobne urządzenie? Mary Sue różne rzeczy słyszała w swoim barze. A rozmowę o destruktorze żywności podsłuchiwała, gdy opowiadały sobie o nim dwie stałe klientki, zblazowane żony nadrodowców, którym wizyty w nielegalnym pubie dla plebsu najwyraźniej dawały w życiu kopa. Niewykluczone, że szukały też seksu za kredyty. Według słów kobiet takie urządzenie było niesamowite i niezbędne w każdym modnym domu. Zmieniało wygląd i strukturę potrawy za pomocą niewielkiej aplikacji potrafiącej wyczytać wizję dania bezpośrednio z interfejsu osobistego właściciela. Kobiety opowiadały o błękitnej szarlotce o konsystencji żelu, ale o niebywałej chrupkości, a także o mieniącym się kolorami tęczy kurczaku zmieniającym co chwilę smak. Mary Sue zastanawiała się wtedy w duchu, jak smakuje prawdziwy kurczak.

Szukała tutaj jednak czegoś zupełnie innego niż destruktor. Powiodła spojrzeniem po urządzeniach kuchennych i odetchnęła z ulgą.

– Czy dzisiaj wydajemy jakieś przyjęcie? – rzuciła w przestrzeń, nie bardzo wiedząc, kto jest najstarszy stopniem w kuchni i do kogo powinna się zwracać.

– Dzisiaj nie, panno Lawrance – odparł rumiany kucharz w białym fartuchu, odkładając na talerz staroświecką drewnianą łyżkę do ręcznego mieszania potraw. – Tylko kolacja dla pani się szykuje.

– Nie jestem głodna – odparła szorstko Mary Sue. – Macie wszyscy wolne. Od teraz do jutra rana. Proszę wyjść.

Zdumiony personel posłusznie opuszczał kuchnię.

– Proszę przekazać reszcie służby, że wszyscy mają wolne. Chcę zostać sama i odpocząć w spokoju! – rzuciła jeszcze w stronę drzwi i z ociąganiem podeszła do halogenowej płyty, na której stały dwa parujące garnki z przezroczystego grafenu. Wyraźnie było widać bulgoczącą wewnątrz potrawkę i makaron. Kobieta wprawnym ruchem odstawiła je za pomocą uchwytu magnetycznego na pobliski blat i odetchnęła głęboko.

– No, Felicjo – szepnęła do siebie. – Do czegoś te twoje fikuśne gadzety się przydadzą.

Mary Sue zacisnęła z całej siły zęby i położyła obie dłonie na rozgrzanej do czerwoności płycie. Powstrzymując naturalny odruch ucieczki, docisnęła je mocniej, aż skóra zaczęła dymić. Dopiero wtedy oderwała dłonie i zemdląła, upadając pomiędzy szafki z talerzami.



To było najbardziej osobliwe przebudzenie w całym dotychczasowym trzydziestodwuletnim życiu Alexandry Dobois. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętała, była ucieczka z pubu Mary Sue i pościg funkcjonariuszy Geneo. Pamiętała, że błysnęły wiązki pocisków laserowych, a ona sama odruchowo osłoniła Monicę. I na tym wspomnienie się urywało. Najwyraźniej od tej chwili sporo się zmieniło, bo gdy w końcu udało jej się otworzyć oczy, ujrzała białe ściany sterylne pomieszczenia. Najpierw pomyślała, że leży w medlabie Geneo, ale była wyjęta spod prawa, więc z pewnością firma tak wspinałomyślnie by jej nie potraktowała. Gdyby pozostawała w rękach rządu, prawdopodobnie albo by już nie żyła, albo leżała w kącie zimnej stalowej celi. Tymczasem pokój wyglądał dość przytulnie. Przy łóżku z lawendową pościelą dobrego gatunku stał stolik, a na nim dzbanek z wodą i niewielka, opalizująca szklanka. Niską ławę dekorował bukiet kwiatów w wazonie. Wyglądało to obiecująco i dodawało otuchy. Alex spojrzała jeszcze w stronę jedynego wyjścia. Nie zauważyła kraty ani masywnych drzwi. Ot, zwykle, automatycznie przesuwane, jak w normalnych domach. Pytanie, czy były zamknięte, pozostawało chwilowo bez odpowiedzi.

Kobieta miała na tyle rozsądku, by nie wstawać gwałtownie. Wiedziała, że pod pubem została postrzelona i wołała nie ryzykować krwotoku wewnętrznego. Rozejrzała się dyskretnie po ścianach w poszukiwaniu kamer i podsłuchów. Bo to, że była przez kogoś obserwowana, nie budziło wątpliwości. W pokoju nie zauważyła niczego, co mogłoby jej posłużyć do obrony, ale też chyba nie było takiej potrzeby. Ktoś, kto zadbał o tak komfortowe warunki, pewnie nie chciał dla niej źle. Gdyby chodziło o to, żeby utrzymać ją przy życiu tylko w celu przesłuchiwania, raczej nie zadano by sobie trudu z kwiatami i lawendową pościelą. Chyba że ktoś chciał uspić jej czujność. To akurat było dość prawdopodobne.

Alex postanowiła spokojnie poczekać na rozwój sytuacji. Uniosła się ostrożnie na łokciu i spróbowała nalać wody do szklanki. Dzbanek okazał się dość ciężki, więc po namyśle zrezygnowała. Dosłownie w tej samej chwili, gdy już ostrożnie kładła głowę na poduszce, otworzyły się drzwi i do środka weszła ciemnoskóra kobieta w średnim wieku ubrana w biały fartuch z plakietką Geneo. Alex poczuła, że serce zaczyna jej łomotać. Czyli jednak. Była więźniem Geneo, a ten miły dla oka wystrój pokoju był wyłącznie mistyfikacją.

– Proszę gwałtownie nie wstawać – poleciła kobieta zaskakująco przyjaznym tonem. – Mam na imię Ella i jestem lekarzem. Opiekuję się panią od czasu, gdy tu pani trafiła.

– Długo tu jestem? – zapytała zachrypniętym głosem.

– Kilka dni. Przez większość czasu była pani nieprzytomna. Czasami się pani wybudzała, ale pełni świadomości bym tego nie nazwała. Jeszcze do wczoraj utrzymywała się wysoka temperatura. Nie zdziwiłabym się, gdyby niczego pani nie pamiętała.

– To prawda. Nic nie pamiętam... Gdzie ja jestem?

Lekarka spojrzała jej prosto w oczy. Miała nieodgadnioną minę.

– Na to pytanie nie mogę udzielić odpowiedzi. Niestety nie mam do tego odpowiednich kompetencji – odparła lekarka.

– A gdybym chciała wstać i stąd wyjść? – zapytała.

– Oczywiście może pani w każdej chwili, ale osobiście doradzałabym pozostanie. Uszkodzone tkanki wokół rany na klatce piersiowej odbudowaliśmy, ale są jeszcze bardzo delikatne i podatne na uszkodzenia. Trzy razy dziennie przechodzi pani zabieg w celu uniknięcia zbliznowaceń.

Alexandra milczała. Fartuch z naszywką Geneo nie pozostawiał złudzeń co do tego, w czyich rękach się znajduje, ale skoro troszczyli się nie tylko o to, by przeżyła, ale także by nie doznała uszczerbku na wyglądzie, to najwyraźniej nie mieli zamiaru wycisnąć z niej informacji i zlikwidować. To byłoby zwyczajnie nielogiczne. Nie zadawali by sobie tyle trudu.

– Czy jest pani w stanie powoli usiąść? – zapytała lekarka.

– Myślę, że tak.

Chwilę potem Alex stała w tubie neutralizacyjnej i poczuła się tak, jakby wstępowało w nią nowe życie. Później, przyglądając się odbiciu swojego nagiego ciała w lustrze, z ulgą zauważyła, że rana jest praktycznie zagojona i że prawdopodobnie nie zostanie po niej żaden ślad. Obejrzała krytycznie resztę swojego ciała. Było bardzo blade i jeszcze chudsze niż wcześniej. Jasne długie włosy wyglądały zaskakująco zdrowo. Błyszczały i wiły się falami wokół twarzy.

– Będiesz żyć – powiedziała z optymizmem do swojego odbicia.

Ella okazała się dyskretną osobą. Wyszła z pokoju i w bardzo wymowny sposób zostawiła uchylone drzwi. Alex zobaczyła biały i najwyraźniej bawełniany uniform ułożony na łóżku. Kto jeszcze używa naturalnej bawełny poza uprzywilejowanymi nadrodowcami? I to jeszcze bez obligatoryjnych dla zwyczajnych obywateli paneli reklamowych? Kobiętę to wszystko coraz mocniej intrygowało. Ubrała się tak szybko, jak tylko umiała, starając się nie naciągnąć skóry wokół rany, i powoli wyszła z pokoju. Nie chciała sprawiać wrażenia, że się skrada, bo przecież zgodnie ze słowami lekarki nie miała żadnego powodu, żeby to robić. Jeśli była w tym miejscu gościem, a nie więźniem, mogła bez przeszkód wyjść i trochę się rozejrzeć. Przesadnie głośno, choć nie trzaskając, zamknęła za sobą drzwi i ruszyła na zwiedzanie.

Alexandra tak do końca nie wiedziała, czego się spodziewać, ale na pewno nie normalnego, choć najwyraźniej dość zasobnego, domu mieszkalnego. Pokój, w którym ją ulokowano, znajdował się na parterze, na tyłach budynku. Przynajmniej tak wynikało z układu mijanych pomieszczeń. Całość sprawiała wrażenie przytulnego i miłego miejsca. Frontową część domu stanowił otwarty salon połączony z jadalnią. Alex miała nadzieję, że znajdzie tam Ellę i spróbuje od niej wyciągnąć jakiegokolwiek informacje. Niewiedza i kompletna pustka w głowie doprowadzały kobietę do wściekłości. Do jej mózgu powoli napływały niewyraźne wspomnienia. A może to były tylko majaki? Pamięć podsuszała rozmytą wizję jakiegoś pomieszczenia z odrapanymi ścianami. Leżała na niskim łóżku czy może materacu? A nad nią stały Monica i Allie. Ale jak to było możliwe? Doskonale pamiętała wszystko sprzed postrzału. Monica była pierwszą opiekunką Allie, zostały rozdzielone. Alex osobiście robiła testy temu dziecku, a ono dostało kategorię „U” i bezpowrotnie przepadło. Nie ma możliwości, aby te dwie

się odnalazły. Czyli to musiały być sensne urojenia, a prawdziwe wspomnienia urywały się z chwilą postrzału.

– Witaj, Alexandro – usłyszała miły męski głos za plecami. – Cieszę się, że już dochodzisz do siebie.

Alex odwróciła się gwałtownie. W obitym szarym materiałem fotelu siedział mężczyzna ubrany w domowy czarny uniform. W dłoni trzymał kieliszek białego wina. Wyglądał znajomo, ale w pierwszej chwili nie umiała skojarzyć go z nikim konkretnym.

– Masz ochotę na kieliszek wina przed kolacją? – zapytał uprzejmie.

– Tak, poproszę – odparła machinalnie, gorączkowo myśląc, skąd go zna.

Mężczyzna podniósł się zwinnie z fotela i podszedł do barku z alkoholem. Był wysoki, raczej szczupły, na pewno co najmniej w średnim wieku, a przynajmniej na takiego wyglądał pomimo siwych włosów. Był też z pewnością nadrodowcem, bo któż inny miałby przywilej posiadania w domu lekarza będącego człowiekiem, a nie robotem?

– Usiądź, moja droga – powiedział nadrodowiec, wskazując uprzejmym gestem fotel, na którym sam jeszcze przed chwilą siedział.

Usiadła posłusznie i przyjęła z jego rąk kieliszek wina. Podziękowała skinieniem głowy. Mężczyzna założył ręce za plecami i zaczął się przechadzać po pokoju.

– Muszę przyznać, że ostatnim razem, gdy się widzieliśmy, nie postawiłbym nawet trzech kredytów na to, że pod laboratoryjnym fartuchem kryje się taka buntownicza, na dodatek związana ze Skorpionami.

Alex gwałtownie oderwała usta od kieliszka i jak zahipnotyzowana wpatrywała się w nadrodowca. Mózg pracował gorączkowo, ale nie potrafił sformułować żadnych sensownych wniosków.

– Prawdę mówiąc, nie chciałem wierzyć synowi, że ma w organizacji pracownicę Geneo, która na dokładkę uprowadziła ciężarną robotnicę ze Space.corp. Spokojnie. Tego mi nie powiedział, ale cały wywiad jest na moich usługach, więc zanim moi ludzie przynieśli cię tutaj, dowiedziałem się co nieco. – Mężczyzna przerwał na chwilę monolog i uśmiechnął się uprzejmie. – Jeszcze trochę wina, moja droga?

– Nie, dziękuję – odparła drętwym głosem Alex.

Nie umknęło jej uwadze, że przy wzmiance o synu wzrok mężczyzny powędrował na ścianę za jej plecami. Odwróciła się i zobaczyła ogromny obraz przedstawiający wysoką rudowłosą kobietę i równie rudowłosego chudego chłopaka. Rozpoznała go od razu i strach ściął jej krew w żyłach. Jordan! Kim on, do cholery, jest?!

– Alexandro, spokojnie, z mojej strony nic ci nie grozi – powiedział łagodnym tonem nadrodowiec.

– Czyżby? – zdobyła się ironię.

– Gdyby miało ci się przytrafić coś złego, na przykład pojmanie przez nadgorliwych pracowników Geneo, to przecież nie spędzałabyś ze mną miłego wieczoru nad kieliszkiem wina, prawda? Zresztą obiecałem synowi...

– ...Jordanowi – weszła mu w słowo Alex.

– Niech będzie – westchnął. – Chociaż dla mnie to po prostu Mark, ale tak, obiecałem Jordanowi, że zadbam o ciebie jak o członka rodziny. I zamierzam dotrzymać słowa.

Alexandrze nagle wszystkie elementy układanki powskakiwały na właściwe miejsca. W sąsiednim fotelu w domowym ubraniu i z kieliszkiem w ręku siedział ojciec Jordana,

generał Jack O'Brian. Bez munduru wyglądał tak inaczej, że go nie rozpoznała. Ale to był on! Zwierzchnik Geneo i sił zbrojnych, który nie tak dawno skazał na sekcję „U” małą, genialną Allie Mc Anderson. Ojciec Jordana! Alex zakręciło się w głowie od tych rewelacji. Nie zdążyła sformułować na głos oskarżenia Jordana o szpiegowanie i zdradę, bo poczuła, że robi jej się słabo. Bardzo nie chciała robić scen, ale kieliszek mimowolnie wysunął się z jej dłoni i rozbił na podłodze.

Allie siedziała po turecku na niewielkim dywaniku i trochę oszukiwała. Profesor Howard poprosił ją, żeby miała przez cały czas zamknięte oczy, ale trwało to już nieznośnie długo, więc dziewczynka ostrożnie uchyliła powiekę prawego oka. Spod rzęs widziała, że mnich bibliotekarz bezszelestnie rozkłada na podłodze przed nią krótkie patyczki. Układał je w trójkąty, kwadraty i prostokąty. Profesor w tym czasie manipulował przy kamerze. Bardzo dziwnej zresztą – była duża i wglądała na starą.

– Allie! Nie podglądaj! – powiedział ze śmiechem Howard. – Wiem, że jesteś zmęczona, ale to już naprawdę ostatni test na dziś. A potem, jeśli kucharz się zgodzi, przygotujemy ci kubek słodkiego mleka, dobrze?

Nie była to wyłącznie forma przekupstwa. Dziewczynkę testy nieco wyczerpywały. Cierpiała na wyraźny spadek energii, więc po każdej sesji profesor osobiście przygotowywał jej ciepłe mleko, w którym rozpuszczał dwie duże łyżki miodu. Matka dziewczynki wykazywała i tak dalece idące zaufanie, pozwalając na badania i testy, więc Howard nie zamierzał jej się narażać, odprowadzając ślaniającą się na nogach małą. Poza tym prędzej by sobie rękę dał uciąć, niż pozwolili, by Allie coś się stało.

– Już nie będę – obiecała dziewczynka i przesadnym gestem zakryła rączkami oczy.

Była wzruszająco drobna i chudziutka, przez czarny materiał uniformu przebijały spiczaste kolanka. Wokół głowy podrygiwało kilka zaplecionych przez Monicę czarnych warkoczyków. Każdy z nich był zakończony małą wstążką innego koloru. Przy ciemnej skórze Allie dziwiło jej upodobanie do czarnych ubrań. Twierdziła, że od czasu, gdy wyczarowała sobie takie z szafy Maxa, są to jej ulubione. Efekt był taki, że dziewczynka wyglądała jak czarny duszek. Dobrze, że chociaż zgadzała się na kolorowe wstążki.

Howard porozumiał się wzrokiem z Yeshim Gyatso, a tamten krótko skinął głową i bezszelestnie pobierał patyczki. Z niewielkiego woreczka zaczerpnął garść piasku i rozsypał go na podłodze, nadając mu kształt okręgu. Profesor uruchomił archaiczną analogową kamerę VHS, skierowaną obiektywem na Allie i usypany z piasku kształt. Kciukiem pokazał bibliotekarzowi, że zaczęło się nagranie.

– Allie, czy widzisz, co jest przed tobą? – zapytał mnich.

– Widzę trójkąt – odparła dziewczynka.

– Jesteś pewna? – zapytał Howard, sprawdzając podgląd czarno-białego ekranu zabytkowej kamery. Ewidencją rejestrowała Allie z zasłoniętymi oczami i usypany z piasku okrąg. – Kochanie, skup się.

Wszystko szło nie tak. Celem eksperymentu było sprawdzenie, czy Allie potrafi przechwycić także sprzęt niepowiązany z siecią. Howarda kosztowało wiele zachodu namówienie bibliotekarza, żeby zamówił w sprzedaży wysyłkowej archaiczne urządzenie

mające ponad sto dwadzieścia lat. Złamali obaj milion klasztornych reguł i pewnie jeszcze więcej przepisów Obszaru Azja 11. Analogowa kamera, podłączona do zasilania za pomocą niezliczonych skrętek, zadziałała i była gotowa do nagrania. I z całą pewnością nie łączyła się z żadną siecią. Howard był natomiast ciekawy, czy Allie będzie w stanie posiłkować się urządzeniem, by rozwiązać zagadkę.

– Jestem pewna, że widzę trójkąt – odparła Allie wciąż przyciskając rączki do oczu.

– Allie, czy widzisz to poprzez kamerę? – zadał pytanie profesor.

– Widzę to w kamerze – odparła z lekką irytacją w głosie.

– To nie jest trójkąt, Allie – powiedział Howard, spoglądając w wyświetlacz.

Dziewczynka zwinęła ręce w pięści i tarła nimi oczy. Była ewidentnie znudzona i miała dość.

– Chcę do Moniki – powiedziała cicho.

– Oczywiście, kochanie, już kończymy i zaraz cię do niej zaprowadzę – odparł profesor, nadal zerkając w mały ekran. – Spróbuj tylko jeszcze raz powiedzieć, co widać w kamerze.

– Przecież już powiedziałam, że trójkąt!

– Niestety nie. Ale nic się takiego nie stało...

Allie otworzyła oczy i zerwała się na równe nogi. Była już wyraźnie rozszalona. Podeszła do kamery i położyła na niej rączkę.

– Trójkąt! – oświadczyła i wybiegła z pomieszczenia.

Howard spojrział na ziemię na nieco rozdeptany przez Allie, ale ciągle widoczny okrąg z piasku. Zerknął na mały ekran. Na samym środku widać w nim było usypany z piasku trójkąt. Mężczyzna spojrział na bibliotekarza, który wertował jakiś opasły papierowy tom i wydawał się nie interesować tym, co się dzieje w pomieszczeniu. Profesor zamyślił się głęboko i uznał w duchu, że eksperyment, wbrew pozorom, był bardzo owocny, bo pomógł mu dojść do trzech wniosków. Po pierwsze, Allie nie miała możliwości wnikania do urządzeń elektronicznych, gdy te pozostawały poza siecią. Po drugie, umiała zmieniać zapis informacji nawet w urządzeniu analogowym, jeśli miała do niego bezpośredni dostęp. I wreszcie po trzecie, w głowie Allie mieszkał jakiś demon. Coś ją trapiło albo dokuczało. Jej reakcja, zupełnie niewspółmierna do sytuacji, dawała do myślenia. Howard westchnął. Był pewien, że trzeba koniecznie ustalić, co zaprzęta myśli Allie i co tak ją trapi.



Allie rzeczywiście była pochłonięta własnymi myślami, ale zdecydowanie nic jej nie trapiło. Wręcz przeciwnie. W środku czuła się lekka i radosna jak nigdy dotąd. I wcale nie chodziło o te wszystkie badania. Nie to, żeby Allie ich nie lubiła. Profesor był bardzo miły, a ona polubiła go już dawno temu, wtedy, gdy w lesie opowiadał jej o różnych roślinkach i zwierzętach, a nawet pokazał, jak zbudować szałas. Nigdy wcześniej nie widziała ani lasu, ani szałas. I nie miała pojęcia, czym jest ognisko. Od czasu tamtej wyprawy profesor był dla niej najmądrzejszym dorosłym, który wie absolutnie wszystko. Zabawy, które nazywał badaniami, też były ciekawe.



Ale nie aż tak ciekawe, jak jej nowy przyjaciel. To właśnie dlatego tak się zniecierpliwiła podczas odgadywania kształtów. Skupiła się na zadaniu, a wtedy przyszedł i rozgościł się w jej głowie. Zawsze robił to nagle, bez pukania i nie pytając jej o zdanie, ale i tak był miłym, wyczekiwanym gościem. Często również znikał bez uprzedzenia i bez pożegnania. To dlatego Allie zależało na tym, żeby przerwać badania. Nie chciała tracić nawet chwili zabawy z przyjacielem. Wiedziała, że zachowała się brzydko wobec profesora, ale rozgrzeszyła się w myślach, że przeprosi go później. Nie tracąc więcej czasu, wyszła na klasztorny dziedziniec i usiadła pod niskim murkiem, opierając się o niego plecami. Zamknęła oczy.

– *No, nareszcie. Już chciałem odejść. Mało nie usnąłem!* – poskarżył się przyjaciel.

– *Musiałam skończyć badania* – wytłumaczyła się Allie.

– *Opowiesz mi o nich?*

– *Nudy!* – zbyła go i uważnie mu się przyjrzała.

Zawsze gdy przychodził, wybierał inny wygląd i miejsce zabaw. Za pierwszym razem pojawił się jako mały chłopiec o skośnych oczach i oliwkowej cerze. Miał czarne błyszczące włosy z równo przyciętą grzywką tuż nad brwiami. Siedział na jednej ze świetlistych strun, która nie wiadomo skąd się pojawiła w jej głowie. Było to o tyle dziwne, że od czasu, gdy przybyli do klasztoru, żadnych strun nie było widać. Profesor jej wytłumaczył, że to dlatego, iż mnisi schowali swój dom pod taką jakby szklaną kopułą. Świetliste struny nie wnikały do środka. Oczywiście oprócz tej jedynej wiązki prowadzącej do biblioteki. Miała bardzo dziwną budowę. Była jakby najeżona kolcami skierowanymi do wnętrza kopuły. To sprawiało, że choć różne rzeczy mogły wejść do środka biblioteki, to żadna nie mogła wyjść, bo zaczepiłaby się o kolce. Profesor nazwał to zaporą sieciową, ale ona na własny użytek nazywała ten system „różą” na zasadzie bardzo prostego skojarzenia. Łodyga z kolcami zwróconymi do środka była struną. Allie wiedziała, o czym mówi. Profesor pokazywał jej różne rośliny w atlasie, a ją najbardziej zachwyciły właśnie róże.

Dziewczynka wyobrażała sobie, że znajduje się na samym dole łodygi, a na jej drugim końcu był rozgrzany do czerwoności wielki kwiat wszystkich miejsc i urzędzeń, do których struny prowadziły. Było ich okropnie dużo i łączyły się w skomplikowane wzory, podobnie do płatków kwiatu. Róża tkwiła w wazonie, czyli w kopule, o której mówił profesor. A na samym jej dnie siedziała Allie i nie mogła się wspiąć, bo zewsząd sterczały kolce. Co więcej, kwiat tkwił w podwójnym wazonie. Jedyna wiązka świetlistych strun, jaka docierała pod kopułę klasztoru, była w niej zamknięta za pomocą mniejszej kopuły rozpostartej nad samym budynkiem biblioteki. Świetlista struna nie miała najmniejszych szans wydostać się spod małej kopuły na obszar większej. To sprawiało, że teren klasztoru był najbardziej niedostępnym miejscem na świecie i Allie chyba rozumiała, dlaczego Thomas, przyjaciel Moniki, którą coraz śmieiej nazywała mamą, schronił się właśnie tutaj, gdy miał tajemnicze kłopoty. Nie wiedziała jakie, usłyszała zaledwie parę słów z rozmowy profesora i bibliotekarza.

Tym większe było zdziwienie Allie, gdy pewnego razu poczuła obecność skośnookiego chłopca i świetlistych strun podczas spaceru po łące, z dala od małej kopuły biblioteki. Przyjaciel nie miał prawa tu przebywać, a jednak się zjawił. I najwyraźniej nic sobie nie robił z zakazów.

Nie przedstawił się ani nie przywitał. Chciał się bawić w zgadywanki. Zadawał mnóstwo pytań i skakał przy tym śmiesznie w tył i w przód po strunach. Był pierwszym dzieckiem, jakie spotkała od czasu lotu wahadłowcem na Arkę. To wtedy po raz ostatni

widziała się z Nancy. Później Allie otaczali wyłącznie dorośli. Kochała ich wszystkich, ale tęskniła za dziećmi. Prawdę mówiąc, kiedy się nudziła, to wspominała nawet Jessiego Pattersona z przedszkola zakładowego. Tego, który obrzydliwie pierdział i był okropnym żarłokiem, ale zamienił się z nią na naklejki, żeby mogła zostać z Nancy. Allie miała wrażenie, że minęło okropnie dużo czasu od tamtych wydarzeń.

Skośnookiego chłopca w głowie nazwała Salto. Przez to, że ciągle skakał. A ona się śmiała i klaskała. Gdy nagle zniknął, była niepokieszona, ale i bardzo wyczerpana. Nie wiedziała, jak długo się bawili. Widocznie musiało to trwać dłuższy czas, bo gdy w końcu otworzyła oczy, na zewnątrz zrobiło się zupełnie ciemno.

Salto wracał pod różnymi postaciami, i to wiele razy. Był białym królikiem, kangurem lub dziwnym ludzikiem ze sprężynami zamiast nóg. Zawsze ją to ogromnie bawiło, a nawet zapytała, dlaczego zawsze skacze. Nie odpowiedział, ale widziała, że mocno się zmieszał. Allie uznała, że za tym musi się kryć jakaś tajemnica, i wiedziała, że zrobi wszystko, żeby ją kiedyś odkryć. Ale na razie cieszyła się, że ma towarzystwo. Salto wyczarowywał dla nich las albo basen, czasem plac zabaw, po którym biegali.

Dzisiaj przybrał postać dużego śnieżnobiałego kota. Leżał na fotelu z wysokim oparciem w pokoju o drewnianych ścianach z rozciągniętymi na podłodze kolorowymi chodnikami. W tle wesoło trzaskał ogień w kominku.

– *No więc powiesz, co to za badania?* – ponowił pytanie.

– *Mówiłam przecież, że same nudy. Jak tu ślicznie! Pobawimy się w coś?*

– *Pobawimy* – przytaknął kot i przeciągnął się leniwie. – *Ale najpierw odpowiedz mi na pytanie.*

Allie przyjrzała mu się z uwagą. Dlaczego ciągle o to pytał? Co go to mogło obchodzić?

– *Albo się bawimy, albo sobie idę!* – odparła stanowczo.

– *Dobrze już, dobrze...*

Kot poderwał się na równe łapy i wywinął koziółka. Wylądował na podłokietniku fotela i uśmiechnął się szeroko do Allie, pokazując szereg ostrych, śnieżnobiałych jak on sam, ząbków. Tylko dlaczego dziewczynce jego uśmiech wydał się nieszczerzy?



Profesor podał bibliotekarzowi herbatę. Ten podziękował skinieniem głowy i upił łyk z niewielkiej czarki. Howard usiadł po drugiej stronie niskiego stolika.

– Oceanie Mądrości, jak to się stało, że choć na całym świecie upadły wszystkie religie, to tu, w klasztorze, jest inaczej? Jakby czas się zatrzymał wieki temu – zapytał profesor.

Yeshi Gyatso milczał przez chwilę. Po jego twarzy błąkał się tajemniczy uśmiech. Howard nieczęsto go widział w tak dobrym nastroju, więc postanowił wyciągnąć z mnicha tyle informacji, ile się tylko da. Bibliotekarz odchrząknął i zaczął cicho mówić:

– Kiedy prawie dziewięćdziesiąt lat temu rozpętała się tamta okrutna wojna, która zmiotła wszystkie religie z tego świata, przełożony naszego klasztoru, Karma Wangyal, zwołał

wszystkich ówczesnych mnichów do naszego du-khang i przedstawił im możliwe drogi dalszego życia. Ogłosił mnichom, iż dostał wiadomość, że wszystkie klasztory mają zostać niezwłocznie rozwiązane. On sam nie zamierzał się podporządkować temu rozporządzeniu. Klasztor leżał na całkowitym odludziu, w miejscu kompletnie zapomnianym przez ludzi. Karma Wangyal oświadczył, że zamknie klasztor od wewnątrz, więc kto chce odejść, niech to zrobi niezwłocznie, a ci, którzy zdecydują się na pozostanie, muszą się liczyć z tym, że nie będą mogli opuszczać terenu przybytku.

– Nie możesz pamiętać tych wydarzeń. – Howard bardziej stwierdził, niż zapytał.

Mnich wyglądał na nie więcej niż siedemdziesiąt lat.

– Nie, oczywiście, że nie. Znam to z opowieści, którą wspominamy w każdej rocznicy zgromadzenia Karmy Wangyala w du-khang.

– No ale skoro tyle lat temu klasztor został zamknięty, to jakim cudem pojawiali się nowi mnisi?

– Pamięć w mieszkańcach doliny jest ciągle silna. Ojcowie przyprowadzają synów... Ale i tak jest nas coraz mniej.

– Yeshi Gyatso, czy wiesz, jak to się stało, że w klasztorze przetrwały te wszystkie książki i zasoby sieci sprzed tylu lat?

– Czy wiesz, czym był Wielki Reset? – odpowiedział pytaniem bibliotekarz i nie czekając na odpowiedź, mówił dalej: – Po zakończeniu wojny, której nie wygrał nikt, za to przegrali wszyscy, nowo powołany Rząd Tymczasowy, obwołany później Rządem Światowym, zarządził usunięcie całej pamięci sieci. To także wtedy spalono wszystkie książki i zabroniono używania papieru piśmienniczego. Okropne to były czasy. Karma Wangyal postanowił zachować kopię zapasową wszystkiego, co udało się pobrać z sieci. To była żmudna praca pod presją czasu. Zajmował się nią mój poprzednik. Wszystkie dyski z pamięcią historii sieci są skatalogowane i opisane. Książek mieliśmy wiele od początku. Mnisi spędzający czas w murach klasztoru wbrew pozorom są bardzo ciekawi świata. Karma Wangyal pozwalał zamawiać mnichom powieści z całego globu. Gdy zakazano ich posiadania, wielu ludzi po cichu przysyłało swoje zbiory do nas. I nigdy nikt na nas nie doniósł władzom. Zresztą myślę, że rząd ma lepsze zajęcia niż kontrolowanie małego górskiego klasztoru.

Howard był zdumiony nagłą wylewnością bibliotekarza. Zwykle ograniczał się do monosylab, a niezmiernie rzadko używał krótkich zdań. A teraz potok słów płynął z jego ust do dobrych kilku minut. I najwyraźniej nie zamierzał wysychać.

– Czy myślisz, że religie mogą jeszcze kiedyś się odrodzić? – zapytał profesor.

Miał coraz więcej szacunku dla wiedzy i mądrości bibliotekarza.

– Tylko czy jest to do czegokolwiek potrzebne? – odparł Yeshi Gyatso.

Howard spojrzał na niego zaskoczony. Nie spodziewał się usłyszeć podobnych słów z ust mnicha.

– Nie wiem – rzekł z pewnym wahaniem. – Brakuje mi danych.

– Wiedzy znajdziesz tu pod dostatkiem – uśmiechnął się mnich i powiódł dłonią po otaczających ich regałach. – Tylko ona pozwala na wolność umysłu. Dlatego ją usunęli ze zbiorowej świadomości.

To były proste, ale i bardzo mądre słowa. Profesor zadumał się nad łatwością, z jaką odebrano ludzkości pamięć. Wystarczyło niespełna sto lat. Mógłby o tym jeszcze długo

rozmawiać, ale pozostawała bardziej przyziemna kwestia. Howard dość długo zwlekał z pytaniami, które tak naprawdę przywiodły ich do Tybetu.

– Powiesz mi coś więcej o Thomasie? – zapytał cicho.

Mnich spojrział na niego przenikliwie. Było oczywiste, że nie ma ochoty rozmawiać na ten temat, ale równie dobrze jak Howard wiedział, że tej rozmowy nie da się odwieleć w nieskończoność.

– Przebywał w klasztorze przez kilka miesięcy. To było sześć lat temu. Robiliśmy mu różnego rodzaju testy. Ja robiłem.

– Był taki jak Allie, prawda?

– Prawie taki – potwierdził bibliotekarz. – Dziewczynka jest znacznie lepsza. Poza tym chętniej współpracuje.

– Dlaczego odszedł?

– Uciekł – sprostował mnich, patrząc na niego ze zdumieniem. – Thomas przebywał tutaj jako więzień. Myślałem, że o tym wiesz. Na początku nawet współpracował, ale później popadł jakby w apatię. Potem uznaliśmy, że po prostu był zajęty planowaniem ucieczki. Dlatego nie chciałem o tym mówić przy dziewczynce.

– Nie miałem pojęcia. Myślałem, że przed czymś uciekał, ukrywał się...

– To oczywiste, że się ukrywał. Przed innymi biomodami...

– Przed kim?

– Chyba nie sądziłeś, że Allie jest jedyna?

– Prawdę mówiąc, właśnie tak uważałem. Potem, gdy dowiedziałem się o istnieniu Thomasa, uznałem, że to rodzaj jakiejś niezwyklej mutacji genowej, którą Allie odziedziczyła po ojcu. Ale do głowy by mi nie przyszło, że jest ktoś jeszcze...

– W dużej mierze masz rację. Jest to rodzaj mutacji genowej i dotyczy pewnej niewielkiej grupy ludzi. Nie wiadomo, kiedy dokładnie się pojawiła po raz pierwszy, wiadomo natomiast, że bywa dziedziczna. Dlatego każdy zidentyfikowany biomod natychmiast jest pod ostrzałem Geneo.

– Nigdy nie słyszałem o nich nawet słowa, a w swoim czasie pracowałem dla Geneo – rzekł profesor, krzywiąc się na to wspomnienie.

– To jest bardzo tajna wiedza. Nawet ludzie na wysokich stanowiskach w rządzie nigdy nie słyszeli o biomodach. Istnieje niewielka komórka, która podlega wyłącznie O'Brianowi i Wordsworthowi. Nazywają się najzwyczajniej jak się da, czyli Sekcja 2. Nikt nie wie, dlaczego akurat druga, skoro pierwszej nigdy nie było. Myślę, że nawet sam przewodniczący tego nie wie.

– Czy to przed Sekcją 2 uciekał Thomas? – zapytał Howard.

– Gdyby tak było, nie byłby naszym więźniem, tylko gościem, tak jak wy – westchnął bibliotekarz. – Problem w tym, że Thomas chciał uciec nie od nich, ale do nich.

– Muszę przyznać, że to staje się dla mnie coraz bardziej pogmatwane.

– Nie powiedziałem ci wszystkiego, gdy opowiadałem o tym, jak Karma Wangyal postanowił nie podporządkować się zakazowi prowadzenia miejsc kultu religijnego. To, co mówiłem, jest oczywiście prawdą, ale nie całą. Jak myślisz, w jaki sposób udało nam się przeżyć w spokoju tyle dziesiątków lat?

– Musieliście mieć, i pewnie nadal macie, potężnego sprzymierzeńca albo opiekuna – mruknął pod nosem profesor.

– Zgadza się. Karma Wangyal utrzymywał kontakty z wieloma świątłymi umysłami z całego świata. Podobnie jak on byli oburzeni zmianami, jakie dokonywały się na ich oczach. Tak jakby w jednej chwili cała ludzkość oteęiała i dała się omamić swoim nowym, totalitarnym przywódcom. Już po wojnie z roku dwa tysiące dwudziestego dziewiętego i po Wielkim Resecie, którego dokładnej daty nie znamy, Rząd Tymczasowy zaczął robić czystki wśród swoich przeciwników. A miał ich wielu. Likwidowali przywódców religijnych, rozpoznawalnych artystów, obalonych polityków poprzedniego systemu, a nawet byle gwiazdy sieci. Chodziło o zniszczenie absolutnie każdego, kto mógłby pociągnąć za sobą tłumy. W tych warunkach Karma Wangyal zaangażował się w pomoc uciekinierom. Przez pewien czas parę osób ukrywało się w klasztorze. Ci ludzie dość szybko się zorganizowali.

– Nazywali się jakoś? – zapytał profesor.

– Ich nazwiska w tej chwili niewiele ci powiedzą, mój przyjacielu. Najpierw musisz dowiedzieć się więcej o świecie, który przepadł. A nazwa organizacji to Orbis Perditus, czyli właśnie stracony świat.

Howard siedział porażony. Z pełną mocą dotarło do niego, jak niewiele wie o świecie, w którym przyszło mu żyć. I jak wiele ma do nadrobienia. Czy tę czarną dziurę w historii Ziemi w ogóle da się jeszcze jakoś wypełnić? Ogrom zła, jaki wyrządzili planecie rządzący, był niewyobrażalny. A on sam do pewnego stopnia stanowił bezwolne narzędzie w rękach totalitarnego rządu. To jego prace badawcze przyczyniły się przecież do powstania Ark.

– To musiała być gigantyczna, zaplanowana w najdrobniejszych szczegółach operacja – powiedział, mając na myśli wydarzenia po wojnie. – Kto był zdolny zrobić coś takiego? Przecież do tego potrzebny był geniusz zła.

– I rzeczywiście był ktoś taki – odparł mnich i podszedł do stojącego nieopodal regału.

Chwilę wodził palcem po różnokolorowych grzbietach książek i w końcu wyjął jedną z nich. Dość cienką, o błękitnych okładkach. Położył ją przed Howardem.

– „Odnowa świata. Wielebny Patrick Lawrance” – przeczytał profesor.

– To jest lektura obowiązkowa, jeśli się chce zrozumieć, co właściwie się wtedy wydarzyło.

– Zaraz, czy to nie jest ten sam kaznodzieja, o którym pisała rok przed wojną Jana Novakovič dla „New York Timesa”?

– Ten sam – potwierdził bibliotekarz. – Jesteś bardzo spostrzegawczy.

– Rozmawialiśmy o Thomasie – przypomniał mu Howard. – Dotąd powiedziałeś mi, że próbował uciec do Sekcji 2 i dlatego stał się waszym więźniem.

– Zgadza się. Uciekł z organizacji Orbis Perditus, z którą współpracujemy. Zdemaskowaliśmy go jako szpiega. Był informatorem Sekcji 2. Przez niego organizacja straciła kilku biomodów. Równowaga sił przetrwa tylko wtedy, kiedy obie strony będą w ich posiadaniu. Nie muszę chyba mówić, jak bardzo mogą być niebezpieczni w niewłaściwych rękach. Wojna w sieci nie rozpętała się dotąd tylko dlatego, że obie strony trzymały się w kłinczu.

– No właśnie, biomodzi...

– Do niedawna sądziliśmy, że te niezwykle umiejętności rozwinęły się u niektórych osób jako wyższa forma zintegrowanego z ciałem interfejsu.

– Allie nigdy nie miała interfejsu – odparł Howard.

– Ale miał go Thomas. Później, gdy został usunięty, pewien obszar mózgu przejął jego funkcje. Ale prawda, to nie jest żaden dowód.

– Zwłaszcza jeśli wiadomo, że mutacja podlega dziedziczeniu – dodał profesor. – Gdyby to był po prostu proces adaptacyjny mózgu po utracie interfejsu, to nie mógłby być dziedziczny.

– Doszliśmy do podobnych wniosków. Na podstawie analiz dokumentów i tej księżeczki – bibliotekarz postukał palcem w błękitny tom autorstwa wielbnego Lawrance’a – ustaliliśmy, że z dużym prawdopodobieństwem mutacja nastąpiła wcześniej, jeszcze w połowie lat dwudziestych dwudziestego pierwszego wieku, i mogła wytworzyć się samoistnie u pewnej grupy ludzi na co dzień spędzających znaczne ilości czasu na granii w prymitywne gry z tamtego okresu. W pewnym sensie stało się tak w toku ewolucji.

– Gdyby tak było, to ewoluowałiby wszyscy.

– Otóż nie, profesorze. – Yeshi Gyatso się uśmiechnął. – Antropogeneza, jedna z nielicznych nauk, której totalitarny rząd nie zakwestionował, stanowi, że na każdym etapie do zmian adaptowały się najsilniejsze osobniki, a słabsze stanowiły ślepą uliczkę ewolucji. Sądzimy, że to właśnie biomodzi stanowią grupę wchodzącą w nowy etap ewolucji, a my, cała reszta, z czasem wyginie. Zostaniemy wyparci z obecnych terenów i ustąpimy miejsca silniejszemu, bardziej zaradnemu ewolucyjnie nowemu gatunkowi. Czy to nie wystarczy, by ścigać każdego biomoda bez wytchnienia i bez litości likwidować? W opinii Sekcji 2 jak najbardziej.

– A jakie plany wobec nich ma Orbis Perditus?

– Wierzmy, że poznanie tajemnic ich fascynujących umysłów może pozwolić na pokojowe współistnienie – odparł mnich. – Wierzmy również, że paradoksalnie to dzięki nim powstały interfejsy. Że to biomodami inspirował się twórca urządzeń wszczepianych ludziom na całym świecie. I wierzymy, że wielbny Patrick miał z tym wiele wspólnego. Istnieją dokumenty, dzięki którym moglibyśmy udowodnić to z całą pewnością, a być może dowiedzieć się czegoś, co pozwoliłoby znacząco naruszyć równowagę sił, o której wcześniej wspomniałem. Żeby je zdobyć, potrzeba wiele pomysłowości, odwagi, a na pewno współpracy utalentowanego biomoda. Problem tylko w tym, że piętnastu naszych zniknęło w niewiadomych okolicznościach mniej więcej miesiąc temu. Dokładnie w czasie, gdy pojawiliście się wy.

Jeśli Howard miał jakiegokolwiek złudzenia, że ta rozmowa od początku nie zmierza w konkretnym kierunku, to właśnie w tej chwili się ich wyzbył. Wyjaśniło się także, dlaczego tak chętnie pozwolono im się zatrzymać w klasztorze.

– Z pewnością żadne z nas nie miało z tym nic wspólnego – powiedział spokojnie profesor.

– To wiem. Ktoś po prostu sprytnie wykorzystał zamieszanie, jakiego narobiliście.

– Założmy, oczywiście tylko teoretycznie, że pewne osoby z naszego grona podjęłyby się zdobycia informacji, gdzie podzieli się wasi biomodzi, oraz dostarczenia dokumentów, które tak was interesują. Gdzie powinny szukać tych ostatnich?

– Oczywiście u wnuczki wielbnego, sekretarz Rządu Światowego, Felicji Lawrance.

Przewodniczący Eugene Wordsworth oddawał się jednej ze swoich ulubionych czynności w towarzystwie nic nieznaczącej niewolnicy z ostatniego transportu. Młoda Azjatka leżała pod nim na brzuchu jak szmaciana lalka z rozrzuconymi ramionami. Miała przekreśloną na bok głowę, wybałuszone oczy i z pewnością była martwa.

Po uduszeniu fałszywej Felicji Eugene był przerażony swoim czynem. Niewiele zresztą z tego pamiętał. Przez kilka kolejnych dni miał koszmary, z których budził się zły potem i zatykał usta dłonią, żeby nie krzyknąć. W każdym z tych snów kochał się z Felicją i ją dusił. A ona, już martwa, otwierała oczy i patrzyła na niego szklanym wzrokiem. Nie wiedział, kiedy ta wizja zaczęła go podniecać, ale teraz budził się już nie z krzykiem, tylko z pulsującym od pożądania kroczeniem. Starał się to ignorować. Próbował tabletek nasennych. Sprowadził nawet architekta, Artura Blooma, by za pomocą swoich drukarek wyczarował kompletnie nowy wystrój pałacu. Właściwie było mu wszystko jedno jaki, byle nie ten przypominający Felicję. Architekt jak zwykle spisał się na medal, a wewnątrz urządzono ze smakiem w oszczędnym i jasnym stylu skandynawskim z pierwszej połowy dwudziestego wieku. Nawet to nie pomogło. Eugene budził się co noc. Zawsze po tym samym śnie i z coraz większym, niezaspokojonym pożądaniem.

Pierwszą dziewczynę tylko podduśił. Nie miał tyle odwagi, by dokończyć dzieła. Mimo że za pomocą aplikacji całkowicie stłumił jej wolę i nakazał, by leżała bezwolna z zamkniętymi oczami, dłonie mu zadrżały, gdy zacisnął je na smukłej szyi. Oczywiście spełnienia też nie mógł osiągnąć, więc doprowadzony do wściekłości dotkliwie ją pobił i wyrzucił nieprzytomną za drzwi apartamentu. Wtedy wpadł na pomysł, żeby nie patrzeć im w twarze. Gwałcił je od tyłu, jednocześnie dusząc, i wreszcie to pozwoliło mu osiągnąć satysfakcję.

Zszedł z Azjatki i niedbale zarzucił prześcieradło na jej nagie ciało. Włożył jedwabny złoty szlafrok i podszedł do barku. Nalał sobie odrobinę whisky. Od czasu, kiedy odkrył, że duszenie młodych dziewczyn sprawia mu taką satysfakcję, obywał się bez większych dawek alkoholu. Niosąc śmierć, przeżywał tak duże odprężenie, że picie do nieprzytomności przestało mu być potrzebne.

Ale teraz mały drink przyda się z pewnością. Jutro po południu odbędzie się ważna sesja Rady Dwunastu, na której musiał się stawić osobiście. Felicja też na pewno będzie. Spotkają się twarzą w twarz po raz pierwszy od wydarzeń w domu nad jeziorem. Eugene wielokrotnie próbował analizować swoje uczucia w stosunku do wieloletniej kochanki. Niewątpliwie coś się bezpowrotnie skończyło, ale czy nowy rozdział musiał być gorszy od poprzedniego? Dopuszczał możliwość, że te wszystkie duszone podczas gwałtu kobiety tak naprawdę były wyłącznie zastępstwem i to ją, Felicję, chciałby potraktować w ten sposób, ale jednocześnie miał świadomość, że życie w świecie, w którym by jej nie było, stanowiłoby

nieznośną torturę. Ona od zawsze trwała przy nim. Jego egzystencja bez niej stałaby się niepełna, a więc niekomfortowa. Zdawał sobie sprawę, że ten dylemat przypomina trochę dziecięcą rozterkę, jak tu zjeść ciastko i mieć ciastko, ale nic na to nie mógł poradzić.

Odstawił szklankę na stolik, gdy poczuł wibracje przychodzącego połączenia głosowego. Na prywatnym łączu to mógł być wyłącznie O'Brian. Poirytowany Wordsworth zacisnął zęby i zignorował sygnał. Wstał gwałtownie i wyszedł na drewniany taras urządony w stylu szwedzkim. Wokół stały białe ławki, a na nich wałały się poduszki zdobione skandynawskimi wzorami ludowymi. Eugene kopnął jedną z ławek, podniósł z ziemi strąconą przy okazji poduszkę i wyrzucił ją z furią za barierkę. Miał świadomość, że zachowuje się dziecinnie, ale dostawał szału na myśl o Jacku. Zawsze myślał, że człowiek, którego mianował najważniejszym generałem i zwierzchnikiem Geneo, odwdzięczy mu się elementarną lojalnością.

Ale już nawet nie o to chodziło. Choćby ze względu na wieloletnią przyjaźń mógł sobie darować pieprzenie się z Felicją. Wordsworth doskonale pamiętał, że O'Brian nieraz mu pomógł, choćby w ukryciu Yoshiego, ale Felicja już zawsze będzie tkwiła pomiędzy nimi jak zadra.

Eugene odetchnął kilka razy wilgotnym powietrzem i nakazał interfejsowi połączenie z O'Brianem. Uznał, że skoro mają grać w otwarte karty, to wymusi na nim holopołączenie wizualne, zarezerwowane wyłącznie dla rozmów najwyższej wagi. Prawie parsknął śmiechem, gdy na tarasie wyświetlił mu się zdezorientowany Jack ubrany w domowy czarny uniform. W rękę trzymał kieliszek z białym winem. Manewrował nerwowo własnym ciałem, by zasłonić widok w głębi własnego salonu. Wordsworthowi nie umknął obraz zjawiskowo pięknej, młodej blondynki siedzącej ze skrzyżowanymi nogami w ulubionym fotelu Jacka.

– Co jest, Eugene? – zapytał hologram O'Briana. – Czy stało się coś poważnego?

– Nic szczególnego, Jack. – Przewodniczący się roześmiał. – Chyba musiałem pomylić tryby wywołań. Widzimy się jutro, stary?

– Oczywiście – odpowiedział pośpiesznie Jack. – Do zobaczenia.

Wordsworth rozłączył się bez słowa, ale najpierw wysłał do TOW żądanie przetworzenia skanu z prawego oka. Tego, które na chwilę uciekło poza kadr i obejrzało zjawiskową blondynkę. Wszystko, co dotyczyło Jacka, było interesujące. Nawet to, kim jest kobieta, która obecnie grzeje mu łóżko.



Mary Sue spodziewała się długiej rekonwalescencji i jeszcze dłuższej serii pytań. Obudziła się w ekskluzywnym medlabie w otoczeniu robotów i ubranych na biało ludzi. Tuż obok łóżka stał ogromny bukiet kwiatów. Załączona do niego karteczka głosiła: „Szybkiego powrotu do zdrowia, Pani Sekretarz!”. Jedna z ubranych na biało kobiet podeszła i uśmiechnęła się profesjonalnie.

– Czy życzy pani sobie coś do jedzenia lub do picia? – zapytała przymilnym głosem.



– Szklanka wody wystarczy, dziękuję – odparła, starając się, by jej głos zabrzmiał dostatecznie władczo. – Jak długo tu jestem? – zapytała, patrząc na kompletnie wygojone dłonie.

– Niespełna dwie godziny, pani sekretarz – poinformowała ją kobieta. – Była pani nieprzytomna, gdy przyjechaliśmy, ale dość szybko udało się zrestrukturyzować skórę...

Mary Sue chciała zapytać, kiedy będzie mogła wrócić do domu, ale natychmiast sobie przypomniała, że ludzie pokroju Felicji raczej nikogo nie pytaliby o pozwolenie. Pogratulowała sobie w duchu refleksu i dość jasnego – pomimo ostatnich przeżyć – myślenia. Obecnie nic jej nie dokuczało, ale wspomnienie bólu, jaki odczuła, gdy jej dłonie skwierczały jak bekon na patelni, było paraliżujące. Kobieta musiała zinterpretować milczenie pacjentki jako oczekiwanie na dalszy ciąg wyjaśnień, bo lekko odchrząknęła i wpiła baczne spojrzenie w Mary Sue.

– Wprawdzie posiadamy pani kompletny skan w dokumentacji medycznej, ale niestety nie udało nam się w stu procentach odtworzyć linii papilarnych dłoni. Bardzo mi przykro z tego powodu.

Mary Sue poczuła, jak splywa na nią ulga. Prawdę mówiąc, gdyby wiedziała, że rekonstrukcja linii papilarnych jest możliwa w jakimkolwiek procencie, to pewnie w ogóle by się nie odważyła na bolesne samookaleczenie. W dalszym ciągu była zdumiona, że zdecydowała się na spalenie własnych dłoni. Nigdy w życiu nie podejrzewałaby siebie o podobną odwagę i determinację. Przywołała władczą w jej mniemaniu minę i chyba nieźle wyszło, bo kobieta stanęła na baczność i wyprężyła się służbiście.

– Chcę niezwłocznie wrócić do domu – zażądała Mary Sue.

– Oczywiście, pani sekretarz – przytaknęła gorliwie kobieta. – Jest pani w domu...

Drzwi medlabu się rozsunęły i oczom Mary Sue ukazał się znajomy hol. No tak, dlaczego wcześniej na to nie wpadła? Kobieta stojąca na szczycie łańcucha pokarmowego tej biednej planety nie udaje się do medlabu. Medlab wybiera się do niej, w razie potrzeby.

Mary Sue wstała z łóżka i przyjrzała się krytycznie własnej garderobie. Wciąż miała na sobie tę cholerną białą sukienkę, którą zdarła z trupa prawdziwej Felicji Lawrance. W drzwiach medlabu stała młoda jasnowłosa służąca, Gwen. Dygnęła nerwowo na jej widok. To przywołało Mary Sue do porządku. Wyprostowała się i dostojnie wyszła z medlabu do holu. Uniosła podbródek i przesadnie powolnym ruchem zlustrowała otoczenie. Większość służby zniknęła, biorąc sobie do serca wcześniejszy rozkaz, ale parę osób, wciąż tkwiących na posterunku, najwyraźniej czekało na informacje o jej stanie zdrowia. Mary Sue pewnie podziękowałaby im za lojalność, ale Felicja omiotła ich obojętnym spojrzeniem i podeszła do drzwi wejściowych. Uniosła rękę do czytnika linii papilarnych, zamontowanego tuż obok framugi. Urządzenie czytało wzór, po czym zaprotestowało donośnym piknięciem i rozżarzeniem się panelu na czerwono. Mary Sue pewnie by się tym zestresowała i przeprosiła zgromadzonych za niedogodności, ale Felicja zmrużyła oczy i z głęboką pogardą spojrzała na ubraną na biało lekarzkę.

– Nie umiała pani zrekonstruować dłoni dokładnie, więc za przeprogramowanie wszystkich urządzeń w moich domach i w budynku rządowym zapłaci pani firma – rzuciła lodowatym głosem i odwróciła się na pięcie.

– Oczywiście, pani sekretarz – odparła kobieta lekliwie. – Niezwłocznie przyślemy techników.

– Radziłabym jeszcze szybciej – odparła Mary Sue. – Właśnie zmierzam do prywatnej garderoby i, do jasnej cholery, nawet nie jestem w stanie wyjąć pieprzonych gaci z szuflady!

– Proszę o wybaczenie. – Kobieta nieomal szlochała. – Zajmiemy się tym natychmiast.

Mary Sue powstrzymała się od triumfalnego uśmiechu i skinęła na Gwen. Dziewczyna podskoczyła w miejscu jak żrebak i natychmiast przypadła do chlebobdawczyni.

– Idziemy – zarządziła Mary Sue i wspięła się na schody prowadzące do apartamentu Felicji.

Miała nadzieję, że mała Gwen ma uprawnienia do otwarcia szafy. Sukienka sukienką, ale jakaś piżama i bielizna bardzo by jej się przydały.

Mary Sue, upojona pierwszym małym sukcesem w świecie Felicji, nie zwróciła uwagi na Fumiko. Ubrana w strój pokojówki Azjatka odprowadzała swoją chlebobdawczynię i Gwen nienawistnym spojrzeniem.



Alexandra kompletnie nie wiedziała, co ma o tym wszystkim myśleć. O'Brian był szarmanckim i zdecydowanie przystojnym mężczyzną. Tak dalece odbiegał od oficjalnej holowizyjnej wersji i przykrych wspomnień z testów w przedszkolu Space. corp, że dziewczyna zaczynała wątpić we własne zmysły. Nigdy wcześniej tak o tym nie myślała, ale teraz zaczęła rozważać wariant, w którym siedzący na kanapie i zaśmiewający się Jack stał się pozytywnym bohaterem w jej życiu. Nie narzucał się, był uprzedzająco grzeczny i subtelnie ją adorował. Czy to mogło wynikać z prawdziwej troski? Tego Alex nie umiała rozstrzygnąć. Przyjął ją do swojego domu, właściwie uratował jej życie, dbał o jej potrzeby i zabawiał inteligentną rozmową.

Początkowo Alex spodziewała się, że do domu w końcu wejdzie ruda kobieta, której twarz znała z obrazu. Matka Jordana. Ale nic takiego się nie zdarzyło od kilku dobrych dni, więc nic nie wskazywało na to, by matka chłopaka była w życiu generała obecna. On sam w żaden sposób tego nie komentował, a Alexandra nie zamierzała pytać. Nie chciała być wścibska, a ponadto doskonale zdawała sobie sprawę, jak bardzo, pomimo sympatycznej atmosfery, jej status gościa w tym domu był kruchy. Miała też inne zmartwienia. Nie posiadała niczego, niewiele wiedziała i była całkowicie uzależniona od Jacka. Straciła nawet stare ubranie, w którym uciekała z baru Mary Sue. Jej cały majątek stanowiło kilka zmian bielizny i parę białych uniformów, które pozostawiała jej w pokoju Ella. Ona sama pojawiała się niezwykle rzadko. Zabiegi w beautube odbywały się teraz wyłącznie rano, więc jedynie wtedy lekarka asystowała jej i podawała leki przeciwbólowe. Później zostawiała ją w spokoju, a Alex nie do końca wiedziała, co ma ze sobą robić.

O'Briana nie było całymi dniami i wracał dopiero wieczorem. Jedli razem kolację, a potem rozchodzili się do swoich sypialni. Generał kilka razy ją poprosił, by czuła się jak u siebie w domu. I Alex dyskretnie zwiedzała ów dom, trzymając się wyłącznie pomieszczeń ogólnych. Nie miała złudzeń, że szpieguje ją cały arsenał ukrytych kamer, a mężczyzna, gdziekolwiek przebywa w ciągu dnia, być może właśnie ją obserwuje. Trzymała się więc z dala

od korytarzy wypełnionych drzwiami do prywatnych pokoi i nawet nie podchodziła do skrzydła, w którym z pewnością musiał być prywatny apartament Jacka. To tam kierował kroki po każdej kolacji, więc w korytarzu nie mogło kryć się nic innego. W pierwszej kolejności zwiedziła salon z jadalnią. Bywała tu każdego wieczoru, ale wtedy nie mogła tak swobodnie lustrować pomieszczenia. Oczywiście od niechcenia kierowała uwagę mężczyzn na różne przedmioty, by móc swobodniej się rozglądać i jednocześnie z nadzieją, że ten wplecie w opowieść o meblu jakiegokolwiek informacje, które mogłyby się jej przydać.

– O tej komodzie sam nie wiem, co mam właściwie myśleć – opowiadał jej ze śmiechem generał w czasie, gdy Alex analizowała wiszący nad nią obraz Jordana z matką. – Ciekawe, że moją żonę bawiły takie gadzety..

Mebel rzeczywiście był dość osobliwy. Na pierwszy rzut oka niepozorny i wyposażony w trzy szuflady, przy bardziej wnikliwym spojrzeniu zadziwiał. Nie tylko unosił się nad podłogą za pomocą poduszek antygravitacyjnych, ale część jego konstrukcji była hologramem. Między innymi ozdobne uchwyty szuflad. W rzeczywistości pozostawały złudzeniem optycznym, a dostępu do wnętrza broniły czytniki linii papilarnych. Nie to jednak było najbardziej osobliwe, tylko blat mebla. Zmyślnie zabudowany skrytkami z metamateriałów sprawiał, że ukryte w nich przedmioty pozostawały niewidoczne dla oka. Wyjąć je mógł tylko ktoś, kto wiedział, że nad blatem istnieją zaprojektowane kaskadowo szczeliny.

– Miała świra na punkcie nowoczesnej architektury użytkowej, a ja nie wtrącałem się w te małe pasje – wyjaśnił O'Brian.

Alex oczywiście głośno pochwaliła gust małżonki, ale bardziej niż na meblu koncentrowała się na obrazie. Jordan nie mógł być na nim o wiele młodszy niż obecnie, więc dość świeża nieobecność kobiety w tym domu, połączona ze sposobem mówienia o niej w czasie przeszłym, pozwalała wyciągnąć wniosek, że partnerka O'Briana nie żyje. To była nietypowa informacja. Ludzie pokroju O'Brianów nie umierali ot tak. Przynajmniej nie przed skończeniem stu lat. Jeśli następowało to wcześniej, przyczyna musiała być gwałtowna, a niewykluczone, że ktoś był w śmierć pani O'Brian zamieszany. Z takim dostępem do medycyny, jaki mieli nadrodowcy, na pewno nie zakończyła żywota z powodu pospolitego nowotworu. Drugą ważną informacją było to, że generał nie mówił „partnerka”, „towarzyszka życia” czy „przyjaciółka”, ale „żona”. Najwyraźniej wśród nadrodowców nadal funkcjonowały zwyczaje, których kultywowania zabroniono obywatelom.

– Co dzisiaj przewidziano na kolację? – zapytała Alex, celowo odwracając jego uwagę. W duchu pogratulowała sobie niezłej dedukcji i po raz kolejny zadała w myślach pytanie, dlaczego w domu nie było żadnych ludzi poza nimi i doktor Ellą. Nawet gdy siadali do stołu, to na piękne porcelanowe talerze, pozbawione pasków reklamowych, jedzenie nakładał robot. Kobieta tłumiała rozbawienie, gdy hydrauliczne ramię z lekkimi zgrzytnięciami serwowało im pieczołowicie odmierzone co do milimetra porcje pieczeni. Reakcji na prośby o ich zmniejszenie widocznie nie wpisano w algorytm, bo urządzenie nie reagowało na nie w żaden sposób. Niedoskonałości personelu nie przeszkadzały O'Brianowi. Zwykle po prostu zjadał ze smakiem wszystko, co pojawiło się na talerzu.

W świecie nadrodowców najwyraźniej wszystko było proste i na wyciągnięcie ręki. Pewnie nikt z nich nie musiał nigdy walczyć o dawkę proteinowego żarcia. Alex w życiu by się do tego na głos nie przyznała, ale nie znała nazw ani smaków większości potraw podawanych w domu generała. Wstyd powiedzieć, ale nigdy wcześniej nie miała okazji brać kąpieli

w wodzie ani dotykać bawełnianych tkanin. Zdumiewało ją także to, że nie snuł się za nią po domu przymusowy program holowizyjny. Oczywiście nadrodowcy nie musieli oglądać propagandowej szmiry. Pewnie mieli też dostęp do zupełnie innych kanałów, o jakich zwyczajni obywatele nie mieli pojęcia. Alex była przekonana, że nikt im też nie podtykał pod nos biletów na Arki. Zszokowało ją, gdy Mary Sue uświadomiła jej, czym naprawdę jest program „Ewakuacja”. Alex, jako przykładowa szeregowka pracownica Geneo, była całkowicie zaślepiona tym, co mocodawcy sączyli jej w uszy. Działała tu prosta zasada lojalności: nie może chcieć źle ktoś, kto wyciągnął mnie z biedy i pozwolił pracować dla największej agendy na całym świecie. Kobieta doskonale pamiętała nędzę panującą w jej przedszkolu. Nigdy nikt jej nie odwiedzał, głodowała i nie pamiętała swojego pierwszego opiekuna. Jej szczęśliwe wspomnienia zaczynały się od chwili, gdy wylądowała w Akademii G, placówce szkolnej, której absolwenci zasilali później szeregi Geneo, obejmując w nim najniższe stanowiska. To w szkole pierwszy raz poczuła się bezpiecznie i pomyślała, że może jednak cokolwiek znaczy. Tak jak pozostali koledzy z klasy, nie miała wysokich oczekiwań, a możliwość nauki, ciepłego posiłku oraz perspektywa pracy w przyszłości była dla niej spełnieniem wszystkich marzeń. Wiedząc, jak wygląda życie w Obszarze Europa 2, a w szczególności na zgłiszczach nigdy nieodbudowanego po wojnie Paryża, uważała, że ma wielkie szczęście. Jak więc mogła swoich dobroczyńców podejrzewać o złe zamiary? I przede wszystkim skąd mogła wiedzieć, że jest klasycznym produktem totalitarnego reżimu? Najwierniejszym żołnierzem systemu, który wprawdzie jest winny biedy i zła, ale przecież wyciągnął rękę i pomógł odzyskać elementarną godność.

Właśnie z tych powodów nie była na początku w stanie uwierzyć w to, co mówiła jej Mary Sue. I w pewnym sensie nawet teraz, gdy ledwie przeżyła spotkanie z żołnierzami na usługach swojej byłej firmy, odruchowo próbowała obarczać winą siebie. Postrzelili ją, bo przecież zdradziła. Odeszła. I ośmieliła się podać w wątpliwość słuszność systemu, gdy porwała z fabryki tę biedną Monicę.

Alex snuła się po domu i od niechcienia muskała miękkie tkaniny mijanych mebli. Odkryła wejście do kuchni i uznała, że generał nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli do niej wejdzie. Światła włączyły się automatycznie, gdy tylko przestąpiła próg. W pomieszczeniu nikogo nie było, a kompletnie puste blaty aż oślepiły sterylną bielą. Gdziekolwiek powstawało jedzenie, które dostarczano jej do pokoju i na kolacje z O'Brianem, to z pewnością nie w tej kuchni. Jedynym godnym uwagi elementem były drzwi w dalszej części pomieszczenia. Prawdopodobnie tędy wnoszono zaopatrzenie. Mleczne szyby, takie same jak w innych oknach domu, nie pozwalały dostrzec niczego na zewnątrz. Nie odważyła się podejść bliżej.

O ile Alex otrzymała zgodę na zwiedzanie domu, o tyle miała absolutną pewność, że próba wyjścia poza budynek będzie bardzo źle widziana, a niewykłuczone, że ktoś ją stanowczo przed tym powstrzyma. I raz na zawsze zburzy wątłą iluzję jej statusu gościa. Woląла nie ryzykować i cieszyć się choć namiastką swobody, niż zwiariować z bezczynności zamknięta w niewielkim pokoiku.

– Czym mogę służyć? – odezwał się nagle za jej plecami uprzejmy głos.

Odwróciła się, starając się zrobić to jak najwolniej. Nie chciała sprawiać wrażenia osoby przyłapanej na gorącym uczynku. Przed nią stał robot. Ten sam, który zwykle podawał kolację. Był mniej więcej wzrostu Alex, miał humanoidalny korpus, ale zamiast rąk maszyna miała wbudowane cztery hydrauliczne ramiona o znacznie większym niż u człowieka zasięgu. W miejscu ludzkich dłoni zamontowano chwytne wielosegmentowe palce z kciukiem

przeciwstawnym, a także precyzyjne szczypce. Tam, gdzie u człowieka są nadgarstki, robot miał wąskie szczeliny. Alex mogłaby się założyć, że wewnątrz ukryte są profesjonalne narzędzia wielofunkcyjne. Głowa androida oprócz podstawowych urządzeń, takich jak kamery i głośniki, była wyposażona w szereg soczewek i czujników. Kobieta nie miała pojęcia, do czego mogą służyć, ale ich obecność kazała się zastanowić nad przeznaczeniem robota i Alex aż się zawstydziła, że nie pomyślała o tym wcześniej. Dla pewności rzuciła okiem na mechanizm jezdny. W trzech punktach na wysokości jej kolan robot miał wypustki świadczące o tym, że pod grafenową powłoką kryją się teleskopowe wsporniki, być może przydatne przy pracach na wysokości, ale na pewno nie w kuchni.

– Chciałabym wyjść do ogrodu – zażądała na próbę.

– Odmowa – odparł robot, a kamery na jego głowie zaświeciły się ostrzegawczym czerwonym światłem.

Alex nie dyskutowała z maszyną. Nie miałoby to zresztą najmniejszego sensu. Wiedziała już wszystko. Robot stanowił element wojskowego wyposażenia Geneo, nie był urządzeniem domowym. To mogło oznaczać jedno – gdziekolwiek się teraz znajdowała, na pewno nie był to dom generała Jacka O'Briana.



Odkąd wybuchł skandal związany z SeeIT, świat nadrodowców mocno się skomplikował. Można nawet powiedzieć, że zyskał nowy wymiar. Dotąd grupy społeczne żyły obok siebie, właściwie się nawzajem nie dostrzegając. Robotnicy, będący własnością fabryk, mieli niewiele okazji, by spotykać członków uprzywilejowanej elity.

Tam, gdzie maszyny nie mogły zastąpić człowieka, pojawiali się ludzie z nizin. Wydobyci z przedszkoli kilku wyselekcjonowanych zakładów i wyształceni w Akademiach G byli łącznikami pomiędzy pozbawionymi jakichkolwiek praw obywatelskich pracownikami fabryk a nadrodowcami. Zajmowali niższe stanowiska w Geneo, pilotowali wahadłowce, byli młodszymi laborantami w medlabach albo opiekunami w przyzakładowych przedszkolach. Nadrodowcy urządzili sobie wygodny świat, w którym rozdźwięk między nimi a obywatelami był tak ogromny, że można już było w zasadzie mówić o odrębnych gatunkach ewoluujących w różne strony. Różnili się między sobą praktycznie wszystkim. Średnia długość życia obywateli wynosiła nie więcej niż sześćdziesiąt lat dla mężczyzn i siedemdziesiąt dla kobiet, a nadrodowcy do setki wyglądali nieomal młodzieńczo i zdecydowanie nie zamierzali odchodzić z tego świata. Warstwy społeczne różniły się budową i funkcjami mózgu. U nadrodowców kora mózgowa była stymulowana TOW, a szarych ludzi permanentnie ogłupiano holowizją i treściami Worldwebu udostępnianymi przez interfejsy. Rozdźwięk dotyczył absolutnie każdej dziedziny życia.

Trudno się więc dziwić, że gdy przez zamieszanie z SeeIT obie warstwy zaczęły nagle na siebie wpadać, zapanował trudny do opisanego chaos. Kiedyś enklawy nadrodowców, niewidoczne dla zwyczajnych obywateli, trwały spokojnie wraz ze swoimi mieszkańcami,

a teraz kłuły w oczy biedotę, stając się celami ataków. Sprzedawcy pospiesznie zabijali deskami witryny sklepów, bo luksusowe towary, teraz widoczne dla wszystkich, prowokowały do napadów i kradzieży. Nadrodowcy, szczególnie ci mieszkający na obrzeżach miast, poczuli się bardziej więźniami niż uprzywilejowanymi mieszkańcami osiedli. Kto mógł, ten wyjeżdżał do domów na wsi bądź wysyłał do krewnych swoje dzieci. Nikt nie mówił o tym wprost, ale właściwie wszyscy nadrodowcy obawiali się wojny albo jakiegoś lokalnego pogromu. Firmy drukujące i montujące domowe schrony oraz azyle nie wyrabiały się z realizacją zamówień. Wśród wyższej kasty czuło się wyraźne napięcie, a zwykli obywatele rozwścieczeni jawną niesprawiedliwością społeczną pozwalali sobie na coraz więcej. Nadrodowcy momentami mieli wrażenie, że są jak groźna zwierzyna powoli podkradająca się do ich domów.

Jeśli Vika Novaković miała podobne obawy, to jej życie było ostatnio zbyt intensywne, żeby miała je czas analizować. Chaos jej służył. Odnajdowała się w aktualnych wydarzeniach i nieustraszenie rzucała w wir tych najgorętszych. Z determinacją utworzyła własny kanał holowizyjny i ze zdumieniem zauważyła, że z dnia na dzień zyskuje na popularności. Gdyby zapytać Wikę, co sądzi o obywatelach czy nierównościach społecznych, odpowiedź mogłaby mocno zaskoczyć. Wychowana od dziecka w środowisku nadrodowców po prostu wiedziała, że to jej się należy i tak ma być. Ludzie byli dla niej falującą, anonimową masą odbiorców. Jeszcze z pracy w holo wyniosła przeświadczenie, że nie ma czegoś takiego jak pojedynczy widz, liczą się wyłącznie słupki oglądalności. Zresztą przy obowiązku oglądania holowizji słupki były zawsze bardzo wysokie, a preferencje widza wszystkie stacje miały po prostu gdzieś.

Jednak jeszcze nie to określało stosunek Viki do zwyczajnych obywateli. Jeśli jakaś grupa jest kompletnie obcym bytem i nagle zaczyna wkraczać w czyjś świat, to z założenia jej członkowie są intruzami. A jeśli do tego uznaje się tę tłuszcę za przedstawicieli odrębnego gatunku, to z punktu nie traktuje się ich jak równych sobie. Może z pewnym współczuciem jak bezdomne psy albo z obawą jak pładrujące miasto rozjuszone małpy, ale na pewno bez refleksji nad tym, czy psom należą się miejsca na uniwersytecie albo czy małpy powinny mieć rozbudowane pakiety medyczne. Vika nie знаła osobiście nikogo, kto nie był nadrodowcem, więc jak mogła się oddać jakiegokolwiek refleksji? Mimo wszystko była myślącym człowiekiem, a serce miała po właściwej stronie.

– Sześć kredytów! – oznajmił pogodnym tonem kelner.

Vika nieco się zdziwiła. Po pierwsze, kawa jeszcze wczoraj kosztowała dwa kredyty, a do tego nigdy wcześniej się nie zdarzyło, żeby personel restauracji „New York” żądał opłat z góry. Dziewczyna rozejrzała się bacznie. Dla osób sporadycznie bywających w tym miejscu lub pozbawionych zmysłu wnikliwej obserwacji knajpa nie różniła się niczym od tej sprzed aktywacji wirusa. Te same stoliki otulone śnieżnobiałymi obrusami, wygodne krzesła wyściełane szmaragdowym materiałem i dekadentkie przedwojenne zdjęcia miasta na ścianach. Serwowano jak zwykle mięso z prywatnych wiejskich ubojni, niemodyfikowane pomidory i inne warzywa z farmy pani Jabłońskiej oraz wypieki z zakładu sławnej Agnes Ramirez. Nawet posrebrzane sztućce błyszcząły jak zawsze. Tym, co odróżniało lokal od wersji sprzed SeeIT, były detale. Nerwowość kelnerów, okna przełączone na tryb nieprzejrzystej zieleni i holo ustawione na kanał informacyjny, na które zerkali klienci. Vika nie miała dotąd pojęcia, że w lokalu w ogóle znajdują się odbiorniki.

– Znowu jakaś awantura? – zapytała mężczyznę siedzącego przy sąsiednim stoliku.

– Robotnicy w fabryce Space.corp rozrabiają. Paru wichrzycieli ogłosiło strajk. Tym robotom już się kompletnie w głowach poprzewracało. Jeszcze chwila i zaczną się domagać wolności osobistej, a od tego już tylko krok do anarchii – odparł.

– To źle, że chcą być wolni? Pan by nie chciał?

– A co to w ogóle za porównanie? – zachnął się mężczyzna. – Ja czy pani to co innego, ale oni? – Wskazał brodą na tłum robotników widocznych w holo. – Toż to bezrozumna banda. Fabryki się nimi opiekują i tylko dzięki temu mają gdzie spać i co jeść. Sami by zwyczajnie zginęli. Są jeszcze gorsi od miejskiej biedoty. Ci drudzy co prawda uprzykrzają nam życie, odkąd wypuszczono ten przekłety wirus, ale przynajmniej w jakimś stopniu potrafią o siebie zadbać. A robotnicy? Jak zwierzęta!

Vika była zła na siebie, że zagała rozmowę. Nie to żeby całkowicie nie zgadzała się z mężczyzną, ale irytował ją pełen pogardy ton. Ona w gruncie rzeczy współczuła robotnikom, a nawet dopuściła do siebie na chwilę myśl, że na ich miejscu też by była wściekła. Znany świat chwiał się w posadach, a dziewczyna czuła przez skórę, że ta rozjuszona masa przyniesie bardziej spektakularne zmiany niż pamiętne kataklizmy sprzed pięćdziesięciu lat. Zerknęła w holo. Pokazywali teraz tłum wrzeszczący przed bramą wjazdową, strzegącą siedziby Rady Dwunastu, a reporter właśnie opowiadał, że do protestujących wyjdzie osobiście sekretarz Felicja Lawrance. Vika poderwała się i jeszcze nim wybiegła z restauracji, zadzwoniła do swojego kamerzysty, Ralfa. Skoro znajomy świat się chwiał w posadach, zamierzała to relacjonować. Aż do spektakularnego upadku.

Allie przewracała się z boku na bok i nie mogła zasnąć. Na sąsiednim materacu leżała Monica. Oddychała cicho i spokojnie i nic nie wskazywało na to, żeby miała się obudzić. Dziewczynka zapragnęła zakraść się do niej i przytulić się, by zasnąć przy jej boku, ale w przedszkolu Space.corp coś takiego było kategorycznie zabronione i surowo karane. Nie wiedziała, czy i mama się o coś takiego nie wkurzy. Tymczasem Allie miała okropny koszmar, obudziła się z niego z krzykiem i bała się teraz zamknąć oczy. Myślała, że gdy tylko usnie ponownie, zły sen powróci. Dziwne, ale gdyby Monica zapytała, co jej się takiego straszego śniło, to dziewczynka nie umiałaby opowiedzieć. Jak wyjaśnić komuś, że we śnie w jej głowie zamieszkały obce głosy i złowieszczym szeptem wydawały różne rozkazy? A ona nie mogła im się przeciwstawić i robiła wszystko, co kazały? Allie obawiała się, że szeptzy znów mogą się pojawić, nawet gdy nie będzie spała. Próbowała sobie tłumaczyć, że to nie było naprawdę, a poza tym, gdy Salto odwiedzał jej myśli, wcale nie było to straszne ani niemiłe. Tyle że on nie wydawał jej poleceń, a ona nie musiała go słuchać. Od paru dni zresztą wcale nie przychodził. Podczas poprzedniej wizyty, a ta miała miejsce kilka dni temu, powiedział, że teraz nie będzie mógł jej odwiedzać.

– *Dlaczego?* – zapytała.

Salto tym razem przybrał postać czarnoskórego chłopczyka z identycznymi warkoczykami, jakie nosiła Allie. Uśmiechnął się i podskoczył na trampolinie.

– *Zmienia się położenie planety i będzie za słaby sygnał* – powiedział. Allie nic z tego nie rozumiała.

– *Wytłumaczysz mi, jak to jest, że możesz mnie odwiedzać pod kopułą klasztoru? Mnich mówi, że tu nikt nie może wchodzić!*

– *Nie wiem* – odparł.

– *A jak mnie znalazłeś?* – drążyła Allie.

– *Też nie wiem. Chyba przypadkiem. Tak sobie podróżowałem to tu, to tam, aż nagle spotkałem strunę, która prowadziła tu do ciebie. I tyle.*

– *Ja stąd nie mogę nigdzie wyjść* – zwierzyła się dziewczynka i przypomniała sobie strunę wyglądającą jak lodyga róży.

– *Muszę już iść.*

– *Jeszcze nie!* – zaprotestowała.

– *Muszę, na serio* – powiedział i zaczął znikać.

Zwykle trwało to мгnienie oka, ale teraz bardzo powoli robił się coraz mniej wyraźny, przezroczysty, a potem odszedł, pod sam koniec migocząc parę razy. To było dziwne. Tak samo jak to z planetą i sygnałem. Allie żałowała, że nie może poradzić się profesora, bo ten na pewno miałby jakieś wyjaśnienie. Niestety przysięgła przyjacielowi, że nie powie o nim nikomu z dorosłych, i słowa musiała dotrzymać. Dziewczynka usiadła i objęła ramionami kolana.



– Allie, co się stało, dlaczego nie śpisz? – zapytała szeptem Sara, którą zbudziły ruchy malej.

– Miałam zły sen – wymamrotała.

– Chodź tu do mnie.

Sara uniosła róg koca w zapraszającym geście, a dziewczynka, niewiele myśląc, przeskoczyła na sąsiednie posłanie i przytuliła się mocno. Czuła kojącą pieśczętę dłoni głaszczącej ją po włosach i pomyślała, że ma wielu przyjaciół, których bardzo kocha i będzie ich zawsze bronić. I nie ma znaczenia, ile jeszcze razy głupie głosy będą jej nakazywały, że ma wszystkich zabić. Niech sobie gadają, co chcą.



Profesor Howard od dawna cierpiał na bezsenność, ale górskie powietrze Tybetu sprawiło, że przespisał nawet sześć godzin twardym, spokojnym snem. Jednak nie tej nocy. Obudził się tuż po trzeciej i z godzinę przewracał na materacu. W końcu się poddał i wstał po cichu, uważając, by nie obudzić Yoshiego. Chłopak nawet się nie poruszył i profesor aż mu pozazdrościł tego młodzieńczego, krzepkiego snu. Ubrał się bezszelestnie, opuścił klasztorną celę. Postanowił udać się do biblioteki. Rozmowa z Yeshim Gyatso stworzyła mu oczy na bardzo wiele spraw. Choć trudno mu było zaakceptować fakt, że przez tyle lat żył w głębokiej nieświadomości i nie miał pojęcia o najważniejszych sprawach tego świata. I właśnie świadomość, jak wielu rzeczy nie wie, wyzwoliła w nim potężne łaknienie wiedzy. Każdą chwilę spędzał na studiowaniu ocalonych okrucich dawnego Worldwebu. Zdawał sobie oczywiście sprawę, że nie ma najmniejszych szans poznać wszystkich yottabajtów z usuniętej ludzkiej pamięci, ale to nie powstrzymywało go przed oglądaniem starych filmów, zdjęć i wiadomości, które składały się na tę zapomnianą przez świat epokę. Często wracał do artykułów w „New York Timesie” i zawsze wyszukiwał te pióra Jany Novakovič. Sam nie wiedział dlaczego, ale czuł, że to bardzo ważne i pomoże mu zrozumieć tekst niebieskiej książeczki wielebnego Lawrance’a, kiedy w końcu zmusi się do jej przeczytania. Spodziewał się populistycznego bełkotu szaleńca, a to do lektury nie zachęcało. Niemniej jednak, przeczytać będzie trzeba, jeśli ma to rzucić choć odrobinę światła na wydarzenia poprzedzające Wielki Reset. Profesor umościł się wygodnie przed czytnikiem i postawił czarkę z mocną herbatą na biurku. Załadował kolejny numer gazety i zagłębił się w lekturze.

*Nowy Jork, 15 sierpnia 2028 roku*

*Jak można się było spodziewać, pierwsza rozprawa wielebnego Patricka L. była kompletną farszą. On sam, zaledwie po trzydziestu minutach, został zwolniony za kaucją przez sędzię Kate Woodman, która zupełnym przypadkiem należy do Kościoła Odnowy Świata. Ta oburzająca manipulacja umknęła większości stacji telewizyjnych. Tak, dokładnie tych, które finansują święty przybytek wielebnego. Jeśli dotąd nie wąpili Państwo w kondycję demokracji, to właśnie nadszedł moment, by sobie powiedzieć otwarcie: стоимy nad przepaścią i właśnie rzucamy w nią naszą*

konstytucję. Kościół Odnowy przyczynia się do tego zamachami terrorystycznymi, urzędnicy korupcją, a my, zwyczajni obywatele po prostu biernością.

Po opuszczeniu budynku sądu – oczywiście ochraniany przez korowód nowojorskich policjantów, z których pewnie większość jest wyznawcami wielebnego – kaznodzieja udzielił kilku wywiadów i wśród wiwatów tłumów wszedł do błyszczącej, długiej na dwanaście metrów czarnej limuzyny z przyciemnianymi szybami. Wielebnego nie obowiązuje piąty paragraf trzeciego artykułu Ustawy Antyterrorystycznej z 2021 roku, który zabrania stosowania nieprzejrzystych szyb w jakichkolwiek pojazdach, łącznie z prezydencką limuzyną. Patrick L. jest jednak ponad takie sprawy i oczywiście nie spotykają go najmniejsze konsekwencje. Zresztą, nie czarujmy się, skoro prawdopodobnie nie poniesie odpowiedzialności za morderstwa i działalność terrorystyczną, to tym bardziej za jazdę limuzyną z przyciemnianymi szybami.

W tej sprawie oburza absolutnie wszystko, łącznie z tym, że prosto z gmachu sądu wielebny udał się na lotnisko, a stamtąd odleciał do Waszyngtonu na spotkanie z prezydentem. Terrorysta i zbrodniarz siedzi na spotkaniu z najważniejszym człowiekiem w naszym kraju tuż po tym, jak stronnicza sędzia wypuściła go za kaucją. Szokujące i niebывale, ale najwyraźniej rzesze wyznawców Kościoła Odnowy nie dostrzegają tego absurdu i stoją murem za swoim przywódcą.

Nasz prezydent i jego doradcy doskonale zdają sobie sprawę z kapitału wyborczego, jakim dysponuje L., i nie zaryzykują potencjalnej utraty kilku dziesiątów milionów głosów. A wielebny ma świadomość, że nawet tak jawne pogwałcenie prawa, jak bezpośredni udział w morderstwach z 4 lipca na Herald Square, ujdą mu w tym politycznym klimacie na sucho. Co więcej, wygląda to tak, jakby nagle w tej pokerowej rozgrywce Patrick L. powiedział, że sprawdza, a to, jakie ma karty, nie miało najmniejszego znaczenia. Ważne, ile ma kart wyborczych. To sprawia, że może nawet zarzynać tępym nożem sieroty na placu zabaw, a włos mu z głowy nie spadnie. Witajcie w państwie wyznaniowym Kościoła Odnowy Świata.

Jana Novakovič

Howard westchnął ciężko i postukał palcami w blat. Wyłaczył dokument i oddał się przemyśleniom na temat wolności słowa. Niewątpliwie Jana Novakovič urodziła się w czasach, gdy każdy mógł mówić, co chciał, i robić, co uznał za stosowne, oczywiście dopóki swoimi słowami i postępowaniem nie krzywdził innych osób. Dla obecnego pokolenia z roku 2118 było to kompletnie abstrakcyjne, ale profesor rozumiał, że dla kogoś, kto wyrastał w ideałach wolności, oburzające było obserwowanie samozwańczego kaznodziei. Howard zerknął na niebieską książeczkę. Leżała obok niego jak niechciany wyrzut sumienia. Otworzył ją, ale zanim zerknął na pierwsze zdanie, coś sobie uświadomił. Przez całe swoje życie nie słyszał o Kościele Odnowy Świata, więc on też został wymazany z pamięci ludzkości. Jak to się ma do roli, którą ponoć wielebny odegrał w Wielkim Resecie? Co takiego wydarzyło się w czasie zawirowań dziejowych, że pamięć o kaznodziei po prostu przepadła? Westchnął ciężko i skoncentrował się na lekturze.

– Zamierzasz przeczytać książkę wielebnego? – dobiegł go głos bibliotekarza.

Yeshi Gyatso podszedł i usiadł obok profesora.

– Tak, i choć wszystko się we mnie buntuje przed tym obłąkanym wykładem, już wiem, że nie mam innego wyjścia – westchnął Howard.

– Zdziwisz się, przyjacielu, ale to wbrew pozorom wcale nie jest nudna lektura – odparł z uśmiechem bibliotekarz. – To nie jest monolog szaleńca, tylko pasjonująca opowieść. Z tego, co wiem, egzemplarz, który leży przed tobą, jest jedynym na świecie. A to dodaje pikanterii całej sprawie, nie uważasz?

– Nie wiem, Oceanie Mądrości – szepnął profesor. – Trudno ze spokojem czytać przemyślenia człowieka, który pchnął świat w wojnę i w ten koszmarny system.

– Nie był dobrym człowiekiem, to prawda. Ale postaraj się na niego spojrzeć jak na papierek lakmusowy tamtych lat. Gdyby nie pojawił się on, wówczas obwołaliby guru kogoś innego. Zmiany nigdy nie są spowodowane wolą pojedynczego człowieka. Pojedynczy człowiek staje się twarzą, pretekstem, a ostatecznie zakładnikiem rewolucji. Tak właśnie było z wielbnym Patrickiem Lawrance’em. Nie skończył dobrze, a rewolucja szybko o nim zapomniała.

– Dlaczego w takim razie właśnie on?

– Pożyteczny idiota z pakietem haseł, które w danym momencie doskonale się sprawdziły. Tak jak twoja praca była świetnym pretekstem do powstania Ark.

– Jestem pożytecznym idiotą rewolucji? – szepnął zgaszonym głosem Howard.

– I tak, i nie – odpowiedział mnich. – Wykorzystali cię tak samo jak wielbnego, to fakt. Ale on wszedł w to całym sobą i uwierzył, że jest nieomylnym władcą ludzkich dusz. A ty uciekłeś reżimowi, gdy tylko się zorientowałeś, do czego służy twoje dzieło, prawda? Nie uważasz, że to zdecydowanie zmienia perspektywę?

– Zapewne tak – odparł Howard, wpatrując się w błękitną książeczkę.

– Nie ma w życiu spraw całkowicie dobrych i absolutnie złych. Ludzie postępują, jak postępują, a oceniamy wyłącznie efekty ich działania. Rzadziej motywację.

Bibliotekarz uśmiechnął się do Howarda i wstał. A potem bezszelestnie wyszedł, zostawiając profesora sam na sam z zapomnianym Worldwebem i książeczką kaznodziei.



18 sierpnia 2028 roku

*Prezydent Carl Wilson jest rozsądnym człowiekiem. Doskonale zdaje sobie sprawę, że obecny system chyli się ku upadkowi, ale on sam nie zamierza upadać wraz z nim. Nie jest wierny Kościołowi Odnowy, ale widzi zgniliznę moralną, jaką przeziąknęty jest nasz świat. W imię tak zwanej wolności dopuściliśmy do tego, że rozwiązłość jest cnotą, a pieniądze religią. Nie ma już żadnych świętości ani ideałów. Ludzie drepczą wokół własnych spraw i nie sposób ich zjednoczyć w jakiegokolwiek idei. Jednocześnie konsumpcjonizm wywiera coraz większą presję, niektórzy zaś ludzie odczuwają pustkę i dlatego...*

– ...zwracają się w stronę Kościoła Odnowy Świata” – ostatnie słowa, których nie zdążył zapisać, Patrick Lawrance wycedził przez zęby i odwrócił się od laptopa w stronę intruza.

Sprzątaczką z przedszkola „Dzieci Odnowy” stała w progę, wyraźnie wzburzona, ale jednocześnie przerażona, że zakłóciła spokój swojemu guru.

– Wybacz, wielebny, że ośmielałam się przeszkadzać...

Kobieta przerwała, najwyraźniej nie wiedząc, czy ma dalej mówić. Dygnęła i pogładziła z zakłopotaniem fałdy czarnej spódnicy. Kobiety ze zgromadzenia miały obowiązek ubierać się skromnie. Unikały bluzek z dekolcami i krótkimi rękawami. Dobrze widzianymi kolorami były odcienie szarości, granatowy i oczywiście czarny. Spodnie były zakazane, a spódnice powinny sięgać co najmniej do połowy łydki. Stojąca przed wielebnym blondynka miała włosy gładko spięte w koński ogon i nijaką twarz bez makijażu, który również był zabroniony. Wodniste oczy obramowane ledwo widocznymi jasnymi brwiami spoglądały z przestrachem.

– Mów, o co chodzi, Elżbieto.

– Chodzi o Felicję, wielebny.

– Co z nią?

– Tęskni za... matką, wielebny. Odmawia jedzenia i udziału we wspólnych zabawach. Prawie cały czas płacze, a wychowawczynie mówią, że nie wiedzą, jak ją pocieszyć.

– Czy będziesz przychodzić do mnie za każdym razem, gdy któreś z wychowanków będzie miało jakiś problem albo odmówi jedzenia? – zapytał spokojnym, ale podsztytym furią głosem.

– Oczywiście, że nie. Nie śmiałybym – pospieszyła z gorliwym zapewnieniem. – Tylko że to wnuczka wielebnego i pomyślałam...

– Pomyślałaś, że co? – Kaznodzieja wstał gwałtownie z krzesła i podszedł do kobiety. – Że użyjesz przestarzałych słów, które gwałcą więzi międzyludzkie, i ja po prostu pobiegnę do tego dziecka pocieszać je w niedoli? A nie pomyślałaś, że przybiegłaś tylko dlatego, że – jak to mówisz – moja wnuczka tęskni za swoją matką?

– Przepraszam, myślałam, że wielebny troszczy się o tę małą – wyszeptala kobieta zsiniały mi ze strachu wargami.

Patrick Lawrance przeciągnął dłonią po srebrzystych włosach i roześmiał się ponuro. Westchnął ciężko, usiadł na niewielkiej kanapie stojącej nieopodal mahoniowego biurka. Spojrzał na kobietę i gestem nakazał, żeby usiadła obok niego. Usłuchała i natychmiast przycupnęła po drugiej stronie siedziska. Siedziała sztywno wyprostowana, z dłońmi ułożonymi równo na udach. Wielebnemu nie umknęło, że stopy w czarnych pantoflach ustawiła ściśle jedną koło drugiej.

– Elżbieto! Najwyraźniej nie zrozumiałaś dokładnie ostatniego kazania – powiedział dobitnie i z satysfakcją zobaczył, że kobieta kuli się jak klacz po smagnięciu biczem. – Dlatego sama wpadasz w pułapkę swojej niewiedzy! – dodał ostrzejszym tonem.

– Wybacz, wielebny, jeśli zgrzeszyłam – wyjąkała.

– Zgrzeszyłaś, Elżbieto. Pychą i niesprawiedliwością. Powiedz, czy gdyby jakiegokolwiek inne dziecko niż Felicja odmówiło zjedzenia kaszki na śniadanie, też przybiegłabyś do mojego gabinetu, żeby oderwać mnie od pracy na rzecz Kościoła?

– Nie, wielebny – odparła szeptem.

– Właśnie dlatego słowa, które tu dzisiaj wypowiedziałaś, a których stosowaniu ja się stanowczo sprzeciwiam, są sprawcami niesprawiedliwości społecznej. Córnka? Wnuczka? Zapamiętaj raz na zawsze, Elżbieto, że jeśli między ludźmi ma zapanować prawdziwa równość, to te przestarzałe słowa nie mogą w tym przeszkadzać. Wiesz dlaczego?

– Tak, wielebny.

– Nie, nie wiesz. Przytakujesz mi ze strachu.

Kobieta opuściła głowę i wtuliła się w róg kanapy.

– Dopóki krępują nas bezsensowne więzi społeczne, dopóty nie umiemy być sprawiedliwi. Twoja pycha wyniosła dzisiaj Felicję ponad inne dzieci z naszego świętego przybytku. A to jest grzeszne i pokazuje jednoznacznie, że nic nie rozumiesz z nauk naszego Kościoła!

Elżbieta zanosła się płaczem i ukryła twarz w dłoniach. Wielebny przysunął się bliżej i przez chwilę ją obserwował. Ominął obojętnym spojrzeniem rozedrgany podbródek i przez chwilę patrzył na lzy kapiące na bluzkę i wsiąkające w materiał na wysokości piersi. Od niechcenia wygładził materiał i lekko poklepał lewy wzgórek.

– Wyznaj mi swoje grzechy, Elżbieto! – wyszeptał i potarł sutek kobiety.

– Proszę, nie! – jęknęła, próbując się cofnąć.

Uderzył ją w twarz. Lekko. Nie czerpał najmniejszej przyjemności z kancerowania dzieł Bożych. Histeryzujące baby ogromnie go irytowały, a jeśli ich bezsensowna, nadmierna uczuciowość sprawiała problemy, przywoływał je do porządku. Ale nigdy nie okazywał braku szacunku. Teraz też nie zamierzał.

– Zapominasz się, kobieto! – Zgromił ją spojrzeniem, ale próbował w swoje słowa wlać odrobinę ciepła.

To normalne, że kobiety należące do wspólnoty błędziły. Jego misją było trzymać je w ryzach. Patrick Lawrance podniósł czarną spódnicę kobiety i zarzucił nad jej kolana. Nawet nie jęknęła. Wielebny czuł, że zeszywniała, ale nie odważyła się wykonać najłżejszego ruchu. Nie miała majtek. Nie były zakazane we wspólnocie, przynajmniej nie dla godnych poszanowania kobiet. Lecz Elżbieta do nich nie należała, bo urodziła dziecko, a nie miała partnera. Wielebny osobiście nie pozwolił, by otrzymała przydział na bieliznę. Przywileje należały się wyłącznie kobietom szanującym nauki Kościoła. A Elżbieta, choć próbował ją uhonorować stanowiskiem sprzątaczkii, była po prostu ladacznicą. Wielebny poczuł, że nie ma innego wyjścia. Musiał ją ukarać za grzechy i kompletny brak zrozumienia nauk, jakie od dawna próbował wlewać w jej oporną głowę.

– Rozłóż nogi! – zażądał i przesunął rękę wzdłuż jej uda.

Uśluwała i przytknęła dłoń do ust, by stłumić szloch. Wielebny przez chwilę wodził dłonią po najintymniejszym miejscu kobiety i rozkoszował się władzą, jaką miał nad swoimi wiernymi. Oczywiście, że najtrudniej być władcą dusz, ale żeby mocą słowa otwierać przed sobą ciała, trzeba być prawdziwym władcą. Ta upojna myśl sprawiła, że męskość wielebnego ożyła i nabrzmiała. Mężczyzna chwycił Elżbietę pod pośladki i przyciągnął na brzeg kanapy. Niecierpliwym gestem rzucił z siebie sutannę i rozpiął rozporek. Elżbieta nawet się nie poruszyła. Patrzyła oczami pełnymi przerażenia i bezgłośnie płakała.

– Tato, proszę, nie! – krzyknęła, gdy poczuła, że wdziera się w głęb jej ciała.

– Nic nie rozumiałaś – sapnął wielebny, metodycznie pracując pośladkami. – Zbędne słowa psują sprawiedliwość społeczną.

*Jak już wcześniej wspomniałem, prezydent Carl Wilson sprzyja Kościołowi Odnowy Świata. Nie ma innego wyjścia. Albo poprze mnie, albo już teraz może się pożegnać z reelekcją. Jest rozsądnym człowiekiem i wie, że media stoją za mną, opłacane z hojnych datków naszych wiernych. A Carl po prostu chce żyć, wykształcić dzieci i mieć na fryzjera dla pierwszej damy. Jest zakładnikiem słupków popularności i swojej zdegenerowanej partii. Zabawne, prawda? Ja, człowiek znikąd, mogę pstryknięciem palców obalić prezydenta, senat i pogrążyć w chaosie cały ten przeżarty zgnilizną*

świat. Ale nie zamierzam tego robić. Nie teraz. Poczekam, aż przypełzną błagać o zmiłowanie. Gdy wybuchnie rewolucja, nie będą mieli innego wyjścia. Wyżrą na wyścigi kraby i steki, dopiją drogą whisky, ukryją w piwnicy wypieszczone dzieciaki i gdy wymiecie je płomień historii, nawet nie załapią, że zagłada przyszła ze strony internetu. Bo przez ostatnie lata próbowali wyjaśniać światu, że sieć psuje dzieciaki. Oczywiście, że tak. Tylko nie docenili gier, które Kościół Odnowy wypuszcza za darmo. I kreuje te młode umysły. Jest ich miliard, zakochanych w postaciach z gier, i gdy przyjdzie pora, te postacie przemówią do nich. A oni przystaną do nas jak armia uzależnionych zombi.

– Pani mnie wzywała? – Gwen dygnęła i stanęła tuż przy drzwiach.

– Pomożesz mi ułożyć włosy i wybrać ubrania na dzisiaj – poinformowała ją Mary Sue. Dziewczynie rozszerzyły się oczy ze zdumienia.

– Może pójdę po Fumiko, proszę pani? – zapytała nieśmiało. – To ona zawsze...

– Nie – ucięła Mary Sue i nakazała dziewczynie gestem, by podeszła.

Tłumaczenie Gwen, dlaczego jej pani nie ma ochoty oglądać Fumiko, nie wchodziło w grę. A prawda była taka, że od wydarzeń w domku w górach Mary Sue nie mogła nawet na nią patrzeć. Poza tym rozsądek nakazywał trzymanie kobiety jak najdalej od siebie. Mary Sue zdawała sobie sprawę, że powierniczka i najbardziej zaufana służąca Felicji stanowi dla niej ogromne zagrożenie. Jeśli ktoś miał ją zdemaskować, to właśnie Fumiko. Była właścicielka baru wiedziała, że odsuwanie kobiety od siebie na dłuższą metę może być niebezpieczne, ale dopóki nie wymyśli, jak pozbyć się jej na zawsze, izolowanie się od niej musi wystarczyć. Odsunęła od siebie niewesołe myśli, ale tylko po to, by zająć się kolejnymi kłopotami. Przez ostatnie dni udawało jej się ukrywać w rezydencji, ogłaszając, że pracuje w zaciszu domowym nad pilnymi sprawami. Dobrze wykorzystała ten czas. Dzięki dostępowi do wszystkich urządzeń i pomieszczeń mogła w końcu dokładnie spenetrować apartament Felicji. Szafy czy urządzenia do dbania o zdrowie i urodę przejrzała pobieżnie i przestała sobie zawracać nimi głowę. Najważniejszy był gabinet. I sprawy państwowe, które mogła w nim poznać. Pierwszy raz weszła do środka nocą, tuż po spaleniu dłoni w kuchni Felicji i błyskawicznej kuracji w prywatnym medlabie. Drzwi ustąpiły od razu, a Mary Sue zgarnęła butelkę wyśmienitego szampana, jakiego nigdy wcześniej nawet nie widziała na oczy, i weszła do środka. Pomieszczenie było niewielkie i przytulne. Wąskie okno, udrapowane zasłonką z prawdziwego lnu, przepuszczało odpowiednią ilość światła z okalających rezydencję latarni. Na biurku nie znalazła żadnych osobistych przedmiotów. Kompletnie anonimowa powierzchnia, z wyjątkiem podświetlonego zielonkawo kwadratowego czytnika. Mary Sue usiadła w fotelu i przez chwilę uspokajała wzburzone myśli. A te nie były wesołe. Miała świadomość, że dzięki nowym liniom papilarnym zyskała dostęp do domowych urządzeń, ale co z interfejsem? Ten, który miała zainstalowany, był standardową wersją wszczepianą obywatelom. Oczywiście Jordan ulepszył jej oprogramowanie, nie tylko SeeIT, ale nie miała pojęcia, co z jej wszczepem zrobiła prototypowa beautube w posiadłości Wordswortha. Westchnęła i upiła łyk szampana z kryształowego kieliszka. Położyła dłoń na zielonym czytniku, a ten momentalnie ożył. Przeskanował jej linie papilarne i cicho piknął. Pośrodku biurka zmaterializował się holomonitor z wyświetlonym komunikatem: *Aktualizacja oprogramowania. Zogniskuj wzrok na ikonie „TAK”, jeśli chcesz rozpocząć.* Mary Sue uznała, że nie ma zbyt wiele do stracenia, a być może wiele do zyskania, więc nie zastanawiając się, zatwierdziła aktualizację. Komunikat

zniknął, a na monitorze wyświetliła się kolejna informacja: *Twój interfejs nie jest kompatybilny z TOW. Dalsza procedura może spowodować częściową utratę danych. Zogniskuj wzrok na ikonie „TAK”, jeśli chcesz kontynuować aktualizację do najnowszej wersji TOW-8.* Tym razem kobieta się zawahała. Nie miała pojęcia, czym jest TOW, a „częściowa utrata danych” zdecydowanie nie nastrojała optymistycznie. Mary Sue sięgnęła po butelkę z szampanem i nalala sobie sporą porcję pianistego napoju. Wypiła kilkoma łykami i odstawiła z trzaskiem opróżniony kieliszek.

Okazało się, że sprawa jest bardziej skomplikowana, niż przypuszczała. Ikonka „TAK” pulsowała ponaglająco. O utratę jakich danych mogło chodzić? W zasadzie, jeśli nie spróbuje, to nie straci żadnych, a jeśli spróbuje, i tak nie będzie pamiętała. Poza tym czy tego typu komunikaty nie są zawsze wyświetlane nieco na wyrost? Dodając sobie otuchy tą myślą, zaakceptowała aktualizację i podświadomie zeszywniała, czekając na jakiś impuls. Nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego. Pojawił się jedynie komunikat, by nie dezaktywowała interfejsu przed końcem instalacji. Zaszło jej w ustach. Nie odważyła się sięgnąć po szampana i trwała w bezruchu. Nowa informacja pojawiła się po kilku minutach. *Status aktualizacji: zakończona. Dla zapewnienia stabilnego działania systemu należy zrestartować interfejs. Zogniskuj spojrzenie na ikonie „TAK”, aby rozpocząć restart.* Mary Sue uczyniła to i poczuła, że traci przytomność.

Ocknęła się niedługo później. Bąbelki nie zdążyły ulecieć z niedopitego szampana. Kobieta czuła narastający z każdą chwilą ból głowy. Nie była pewna, czy powodem był alkohol, czy aktualizacja interfejsu. Ostrożnie skupiła myśli na swoim budzącym się do życia wszczepie i od razu zauważyła, że wiele się zmieniło. Płaski panel główny nabrał trójwymiarowości, a w różnych odległościach od głównego punktu skupienia oczu pojawiło się mnóstwo nowych ikon, zapewne kryjących wiele nieznanych Mary Sue funkcji. Zmiana była porażająca i porównywalna do wyjścia z ciemnego podziemia na nasłonecznioną plażę. Gdyby Mary Sue tego nie doznała, nie byłaby w stanie zrozumieć różnicy, nawet gdyby jej ktoś to dokładnie opowiedział.

– Ładnie się bawią bogate sukinsyny – mruknęła pod nosem i natychmiast obejrzała się za siebie.

Ryzyko, żeby ktoś wszedł do gabinetu i podsłuchiwał, było zerowe, ale i tak skarciła się w duchu za niepotrzebny komentarz. Wstała ostrożnie z fotela, przytrzymując się krawędzi biurka. Nie była pewna, czy aktualizacja nie zaburzyła funkcji ciała. Na szczęście nie. Mary Sue wyprostowała się i powoli poszła do salonu.

Przez kolejne dni wracała do gabinetu i aktywowała urządzenia należące do Felicji. Poznawała jej najszybsze tajemnice i wgryzała się w świat wielkiej polityki. Pilnie przygotowywała się do nieuchronnego wydarzenia, jakim była sesja Rady Dwunastu. Nie mogła w nieskończoność unikać publicznych wystąpień bez wzbudzania podejrzeń. I właśnie dzisiaj nadszedł dzień, którego się obawiała. Podniosła się z kanapy i poszła w stronę łazienki. Nie obejrzała się, czy Gwen podąża za nią. Dziewczyna zawsze za nią truchtała jak dobrze ułożony piesek. Tak było i tym razem.

– Jak układamy włosy, proszę pani? – zapytała, gdy Mary Sue umościła się wygodnie w beautube z funkcją stylizacji.

– Co za idiotyczne pytanie – fuknęła fałszywa Felicja. – Tak jak zwykłam się czesać na ważne spotkania. Chyba nie muszę opowiadać ze szczegółami?

– Nie, oczywiście, że nie, proszę pani – pospieszyła z gorliwym zapewnieniem Gwen.



Mary Sue pogratulowała sobie w duchu pomysłu. Strategia wykorzystywania autorytetu Felicji w dalszym ciągu się sprawdzała. Nie tylko nie wzbudzała podejrzeń służby, lecz wręcz dodawała sobie wiarygodności dzięki arogancji, jakże właściwej osobom pokroju nieboszczki Lawrance. Beautube umyła i wysuszyła jej włosy, a potem ułożyła w naturalne fale spływające po ramionach. Kobieta wstała i przejrzała się w lustrze. Powoli przyzwyczajała się do nowego wyglądu. W każdym razie nie reagowała szokiem za każdym razem, gdy ujrzała swoje odbicie. Mary Sue wysłała służącą po ubranie, oczywiście rozkazując jej podać właściwe do okazji. Gwen przyniosła białą togę. Mary Sue nie miała pojęcia, że członkowie rady noszą na spotkaniach podobne stroje. Po raz kolejny pogratulowała sobie w duchu przezorności. Gdyby to zależało od niej samej, wybrałaby prostą sukienkę lub któryś z uniformów. A to mógłby być błąd brzemienny w skutki. Dopiero wczoraj wieczorem uświadomiła sobie, że po raz pierwszy od nocy zabójstwa Felicji stanie z przewodniczącym twarzą w twarz. Będzie to nieuniknione. Zwracanie jego uwagi takimi niedociągnięciami jak niewłaściwy strój było proszeniem się o kłopoty. Być może wierzył, że Felicja przeżyła, ale wszystko mogło wzbudzić jego wątpliwości.

Pozorny spokój prysnął jak bańka mydlana, gdy stanęła w holu na parterze. Ktoś zadbał o to, by mozaika tym razem podświetlała się na niebiesko i zielono, co miało zapewne symbolizować kolory flagi Republiki Ziemskiej. O ile nienawidziła Rządu Światowego i wszystkiego, co symbolizował, o tyle barwy narodowe były zdecydowanie trafne. Przywodziły na myśl Ziemię widzianą z kosmosu. Nie miała zbyt wiele czasu na podobne przemyślenia. Podeszedł do niej szybkim krokiem młody mężczyzna.

– Pani sekretarz, zanim przejdziemy do budynku rządu, mamy zaplanowane spotkanie z dziennikarzami. Czekają już przy bramie wjazdowej – poinformował ją służbiście. – Zebrał się też całkiem spory tłumek gapiów – dodał po chwili.

Mary Sue nie umknęło lekkie drżenie jego głosu. Najwyraźniej konieczność obcowania z obywatelami i liczenie się z opinią publiczną było czymś nowym dla nadrodowców. Asystent – Mary Sue nie miała wątpliwości, że nadrodowiec pełnił właśnie taką funkcję – skłonił się przed nią lekko i wskazał dłonią szeroko otwarte drzwi. Tuż za nimi czekała już czarna limuzyna. Kobieta była lekko zdezorientowana. Zgodnie z jej stanem wiedzy budynek, do którego zmierzała, znajdował się tuż obok.

– Skoro koniecznie trzeba się spotkać z mediami, to przynajmniej w odpowiedniej oprawie – powiedział asystent, jakby czytał w jej myślach.

– To zrozumiałe – warknęła w odpowiedzi.

Asystent nie odważył się odpowiedzieć. Odczekał, aż Mary Sue ruszy w stronę autolotu, i natychmiast pospieszył za nią. Próbowwała zebrać myśli i gorączkowo ułożyć sobie w głowie choćby jedno sensowne zdanie. O czym miała rozmawiać z dziennikarzami? Czy będą jej zadawać jakieś pytania? Kierowca otworzył przed nią drzwi i zgiął się w ukłon. Kobieta zwróciła uwagę, że lekko lysiał na czubku głowy. Dopadła ją absurdalna myśl, która sprawiła, że ledwo się powstrzymała od histerycznego śmiechu. Felicja Lawrance tak rzadko widywała twarze swoich poddanych, że pewnie rozpoznawała ich po zgiętych karkach. A oni pewnie częściej widywali ją z tyłu podczas całowania w dupę. Mary Sue wsiadła do wozu i odsunęła się jak najdalej od otwartych drzwi. Asystent usiadł naprzeciwko niej. Jeśli zauważył rozbawienie przełożonej, nie dał tego po sobie poznać.

– Za pani pozwoleniem, chciałbym przesłać tekst przemówienia – powiedział przymilnym tonem.

– Oczywiście – odparła i poczuła ogromną ulgę, że nie będzie musiała się wykazywać kreatywnością.

Mężczyzna wyciągnął w jej stronę nadgarstek, a ona zrobiła to samo. Tekst przemówienia był krótki, bardziej właściwie przypominał oświadczenie.

– Czy będą pytania? – zapytała.

– W zasadzie byłoby to mile widziane, ale to już oczywiście pani decyzja.

Było lepiej, niż sądziła. Felicja Lawrance miała realny wpływ na to, co się dzieje, i prawdopodobnie decyzyjny głos w wielu sprawach. Obawiała się czekającego ją zadania, ale w jakiś sposób nowo nabyta wiedza nieco ją pokrzepiła. Samochód przetoczył się ścieżką w stronę wiernej kopii Wersalu, ale zamiast podjechać pod jego wejście, skręcił w stronę bramy wjazdowej. Stało obok niej kilku dziennikarzy. Z drugiej strony kutych prętów falował niewielki tłum demonstrantów. Już na pierwszy rzut oka było widać ich wzburzenie. Mary Sue westchnęła ciężko, ale wysiadła natychmiast, gdy kierowca otworzył przed nią drzwi limuzyny. Dziennikarze próbowali podejść bliżej. Asystent powstrzymał ich gestem ręki.

– Pani sekretarz Felicja Lawrance wyda teraz oświadczenie w imieniu całej Rady Dwunastu – ogłosił.

Mary Sue wyświetliła na interfejsie otrzymany tekst. Postanowiła, że nie zmieni w nim ani jednego słowa, zwłaszcza że nawet właściwie nie wiedziała, na jaki temat będzie mówić.

– Dzień dobry państwu. Rada Dwunastu wyraża głębokie zaniepokojenie ostatnimi wydarzeniami, jednakże, co z całą stanowczością podkreślam, nie ma powodów do niepokoju. Służby Geneo całkowicie panują nad sytuacją i nie ustają w wysiłkach, aby zapewnić bezpieczeństwo wszystkim obywatelom. Dzisiejsza sesja Rady Dwunastu będzie w całości poświęcona właśnie tym zagadnieniom i podpiszemy najnowsze rozporządzenie. Służby otrzymają pakiet uprawnień, dzięki czemu będą mogły jeszcze skuteczniej dbać o obywateli. Proszę pamiętać, że choć swobody obywatelskie są niezbywalnym przywilejem każdego z nas, to obecnie najważniejsze jest, żebyśmy się zjednoczyli dla wspólnego bezpieczeństwa. Dziękuję za uwagę.

Zanim jeszcze skończyła czytać, Mary Sue już wiedziała, że tekst w istocie jest zwyczajną mową-trawą i ani niczego nie wyjaśnia, ani nikogo nie przekona. I miała rację. Tłum za bramą zaczął buczeć i gwizdać.

– Czy są jakieś pytania? – zwróciła się do dziennikarzy.

Nie wiedziała, po co to robiła. Po tak beznadziejnym przemówieniu spodziewała się gradu oskarżycielskich słów i kaśliwych pytań, na które z całą pewnością nie była gotowa. Mimo to skinęła głową przyzwalająco, gdy jeden z dziennikarzy podniósł rękę.

– Henry Bolden, Holo 1. Pani sekretarz, przede wszystkim gratuluję Radzie Dwunastu błyskawicznej reakcji na te z pewnością przejściowe problemy. Zastanawia mnie natomiast, czy starty wahadłowców na Arki będą się odbywały bez zakłóceń.

Mary Sue spojrzała na niego badawczo, szukając ukrytego motywu, ale ewidentnie pytanie było pod publiczność, a sam dziennikarz otrzymał tekst pytania od strony rządowej. Niewykluczone, że od jej własnego asystenta. Właściwie czego innego mogła się spodziewać po reżimowej holowizji? Pytanie było pozornie niezwiązane z tematem przemówienia, ale bardzo sprytnie odwracało uwagę holowidzów. Z jednej strony zahaczało o rzeczy najbardziej elektryzujące naród, a z drugiej sygnalizowało, że dla dziennikarzy sprawa zamieszek

i ograniczenia kolejnych swobód obywatelskich, czy raczej wręczenia służbom kolejnych możliwości bezkarnego strzelania do ludzi, jest nieistotna i niewarta komentarza.

– Z mojej wiedzy wynika, że starty wahadłowców będą się odbywały bez zakłóceń – odparła sucho.

– Kłamiesz! Kłamiesz! Wszyscy kłamiacie! – krzyknął ktoś z buczonego tłumu stojącego za bramą.

Parę osób podchwyciło te słowa i zaczęło je skandować. Mary Sue spojrzała na kobietę, która krzyknęła pierwsza. Stała w pierwszym rzędzie i miała wyświetlony nad lewą pierś jakiś identyfikator.

– Kto to jest? – szepnęła do asystenta. – Wygląda, jakby była z mediów.

– Właśnie sprawdzamy. Z obydwu stron alejki podchodzą szturmowcy, więc musimy się jak najszybciej stąd ewakuować.

– Rozpędzą demonstrantów? – zapytała.

– Raczej zapędzą prosto do więźniarki i odwiozą prosto do Freedom – odparł.

Mary Sue wiedziała, że w żadnym wypadku nie powinna okazywać miłosierdzia ani interweniować. Los tych ludzi był przesądzony. Spojrzała na kobietę z identyfikatorem. Stała bez ruchu i wpatrywała się w przewodniczącą Felicję Lawrance, nawet na chwilę nie odwracając od niej wzroku.

– Wiemy już, kto to? – zapytała asystenta.

– Jakaś dziennikarka z niezależnej holowizji. Powstało ich parę ostatnio.

– Przyprawdźcie ją do mnie – zażądała.

– Teraz? – wyjąkał mężczyzna. – Jeśli otworzymy bramę...

– Oczywiście, że nie teraz! – ofuknęła go Mary Sue, choć właśnie tego typu interwencję miała na myśli.

Nie pomyślała, że rozsierzony tłum mógłby się z łatwością wdrzeć do środka i mocno skomplikować oblęganie oddziału szturmowego. Na szczęście po raz kolejny pomógł jej władczy ton.

– Proszę ją odesłać z transportu do mojego domu. Oddelegujcie do jej pilnowania dwóch najlepszych ludzi.

– Oczywiście, pani Lawrance – odparł asystent. – Właśnie ustalono. Kobieta nazywa się Vika Novakovič i faktycznie jest właścicielką holowizji o nazwie TakeIT.

– Zgrabna nazwa – mruknęła do siebie Mary Sue i poszła w stronę limuzyny.

Nie chciała być świadkiem pacyfikowania demonstracji. Wszystko się w niej burzyło na myśl o tym, czego zaraz doświadczą ci ludzie, zwłaszcza że sama powinna protestować razem z nimi, zamiast mościć się na kremowej skórzanej kanapie luksusowego autolotu. Myśl, że udało jej się wyciągnąć z rzeźni tę jedną dziewczynę, wcale nie krzepiła. Mary Sue nie uczyniła tego z odruchu serca, tylko zelektryzowana wiadomością, że Vika Novakovič tworzy coś opozycyjnego wobec rządu. Być może dzięki niej uda jej się dotrzeć do Jordana i do tej dziewczyny... Alex. Mary Sue ze zdziwieniem odnotowała, że przez chwilę nie mogła sobie przypomnieć jej imienia. Najwyraźniej zbyt wiele miała ostatnio na głowie.



Alex koszmarnie się nudziła. Po nieprzyjemnym incydencie z robotem Geneo, który ostatecznie rozwiął jej wątpliwości dotyczące statusu w tym domu, postanowiła nie prowokować ani maszyn, ani generała O'Briana. Postanowienie było zresztą zupełnie zbędne, bo ani robot wojskowy, ani Jack nie pojawili się od dobrych kilkudziesięciu godzin. Jedynie Ella wpadła na pół godziny i starając się nie patrzeć jej w oczy, obsługiwała beautube pospiesznymi ruchami palców.

– Gdzie się podział generał? – zapytała Alex.

– Musiał pilnie wylecieć na...

Kobieta gwałtownie umilkła i poczerwieniała.

– Na co? Kiedy wróci?

– Powinien być za kilka dni. Nie ma powodów do niepokoju – odparła służbistym tonem Ella. – Z mojej strony to wszystko. Blizny się zagoiły, więc dalsze zabiegi są bezcelowe. Było mi bardzo miło panią poznać.

Lekarka poderwała się gwałtownie.

– Gdzie ja jestem? – zapytała cicho Alex.

– W kwaterze generała O'Briana, przecież już mówiłam – odparła Ella. – Zważywszy na okoliczności, to raczej bezpieczne miejsce.

– Jakie okoliczności? – indagowała Alex.

Kobieta zacisnęła usta w wąską kreskę i nachmurzyła się, jakby żałując, że niepotrzebnie powiedziała zbyt wiele. Wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

Alex leżała przez długi czas na łóżku z rękami podłożonymi pod głowę i oddawała się ponurym przemyśleniom. O jakich okolicznościach mówiła Ella? Czy chodziło jej o to, że Alex jest zbiegiem? Przecież była w rękach Geneo. Co gorszego mogło grozić niewiele znaczącej kobiecie? Alex doprowadzało do szału to, że nie miała pojęcia, co robić. Czuła się bezużyteczna. Kilka razy próbowała obudzić swój interfejs, ale ten nie odpowiadał. Jordan dezaktywował go, żeby nie mogły namierzyć jej służby, ale miała nadzieję, że Ella albo O'Brian przywrócą sprawność systemu. Nic takiego się nie wydarzyło, a ona sama tęskniła za stałym dopływem informacji i za SeeIT. Leżąc w ciemnościach, wyobrażała sobie, że włącza piracki program i nagle znikają wszystkie te białe ściany i drzwi, a ona leży na trawie lub na nadmorskim piasku. Właściwie wolałaby nawet leżeć na stercie kostki brukowej wyrwanej przez buntowników na ulicach Paryża. Wszystko, nawet powrót do koszmaru z Europy 2, byłoby lepsze od tej cholernej bezradności.

Uderzyła dłonią w ścianę. I nagle usiadła na łóżku, porażona prostą myślą. Dlaczego robot zareagował na jej obecność w strefie kuchni tak późno? Jeśli nie wolno tam było wchodzić bez autoryzacji, to powinien zareagować wcześniej. Odciąć jej dostęp jeszcze przed drzwiami. Nie zrobił tego, bo jej nie widział. Nie mógł jej namierzyć właśnie dzięki temu, że interfejs nie wysyłał żadnych impulsów. Zaalarmowało go dopiero to, że weszła w strefę kamer

monitorujących kuchnię i otworzyła drzwi służące do zaopatrzenia. To odkrycie dodało jej otuchy. Bezszelestnie wstała i włożyła buty. Napiała się wody i skorzystała z łazienki. Jeśli jej teoria miała sens, to lepiej być nawodnionym, bo czekała ją długa i wyczerpująca ucieczka.

Do kieszeni włożyła rogaliki. Wcześniej nimi wzgardziła, leżały na talerzu i czerstwiały. Tak jakby ta dziecinna manifestacja mogła zrobić wrażenie na Elli, nieobecny generale i głupich robotach. Alex namacała w ciemnościach krzesło i odwróciła je oparciem w dół. Pracując metodycznie, odkręciła metalową nogę i wsunęła ją w rękaw luźnej bawełnianej bluzy. Ze stołu wzięła szklaną butelkę z wodą i schowała do kieszeni spodni. Tak zaopatrzona wyszła po cichu z pokoju i zakradła się do kamery monitorującej korytarz prowadzący do salonu. Przywierając plecami do ściany, podeszła najbliżej, jak się dało, i zamachnęła się metalowym prętem. Grafenowe fragmenty rozsypały się po podłodze brzęczącą kaskadą. Kobieta zamarła w oczekiwaniu. Nad jej głową ożył sufit i zaczął skanować otoczenie drobnymi zielonymi diodami. Stała bez ruchu. Fosforyzujące czujki otoczyły ją całą gromadą i najwyraźniej skanowały twarz. Alex nie odważyła się nawet mrugnąć powieką. Rój znieruchomiał i po chwili odleciał w głąb korytarza, próbując odnaleźć intruza. Nie zauważył jej. Kobieta odetchnęła z ulgą i podkraśliła się do kolejnej kamery zamontowanej tuż przy wejściu do domu. Wcześniej nie przyglądała się drzwiom wejściowym, traktując je jak oczywisty element użytkowy. To tędy zawsze wracał O'Brian.

Alex uświadomiła sobie, że nigdy nie widziała, by mężczyzna choćby pojawił się w pobliżu wejścia. To była jej projekcja, coś, co wygenerował mózg, a ona przyklasnęła temu i przyjęła za pewnik. Generał nigdy nie otworzył tych drzwi, bo te drzwi nie istniały. Alex zamachnęła się i rozbiła kamerę nad nimi. Rój zielonych czujek natychmiast rzucił się na polowanie, ale na niej nie zrobiło to już najmniejszego wrażenia. Położyła się płasko na marmurowej posadzce i cierpliwie czekała. Nanoroboty obsiadły ją i z cichym bzyczeniem skanowały przestrzeń wokół jej ciała, bezskutecznie wysyłając komendy do jej martwego interfejsu. Nie uzyskawszy odpowiedzi, po prostu odleciały. Alex chwyciła za klamkę, która okazała się hologramem. Identyczną pułapką jak wiele mebli w tym domu. Spojrzała na białe drzwi. Jeśli zostały wykonane z metamateriałów, jak zmyślna komódka świętej pamięci pani O'Brian, to szansa na znalezienie prawdziwej klamki była równa zeru.

Alex uznała, że prędzej dotrze do drzwi kuchennych. Tych głównych nie bronił żaden robot, a przechodziła tędy nieraz. Wystarczyło, że tylko wsunęła nos do kuchni, żeby natychmiast interweniowała maszyna. Rozbijając kolejne kamery, przeszła obok salonu. Wzruszeniem ramion skwitowała obraz Jordana i jego matki, po czym zakradła się do wąskiego korytarza rozwidlającego się na dwa mniejsze. Ten po lewej prowadził do strzeżonej przez robota kuchni. Drugi wiódł do prywatnych pokoi O'Briana. Alex się zawahała. Nigdy nie wierzyła w intuicję, ale postanowiła zaryzykować. Straciła jedyną kamerę, która broniła dostępu do terytorium generała, i weszła do jego prywatnego pokoju. Pokoju, który nie istniał. Zamiast niego wyrosła przed nią metaliczna śluzka z masywnymi grodziami, zabezpieczona czterema kamerami. Z boku widniał panel dotykowy. Alex tak to zaskoczyło, że usiadła na pomalowanej na musztardową żółć stalowej podłodze i przeczesła z roztargnieniem spocone jasne włosy. Nie wiedziała, jak zaatakować jednocześnie wszystkie kamery, nie wspominając już o próbie rozbrojenia panelu dotykowego, który z pewnością reagował wyłącznie na linie papilarne Jacka i Elli. Jakby mało było problemów, za plecami usłyszała skrzypienie. Po chwili przeszło w buczenie, gdy łożysko pędzącego w jej stronę robota wojskowego zaczęło trzeć

o metalowe podłoże. Alex zerwała się na równe nogi i zaczęła się gorączkowo rozglądać po pomieszczeniu. Mogła się schować jedynie za drzwiami. Licząc, że zyska może dwie, trzy sekundy przewagi, przywarła do framugi i wstrzymała oddech. Robot wtoczył się ze złowieszczym skrzypieniem na środek pomieszczenia i wysunął sensory. Przez chwilę badał panel dotykowy i komunikował się z kamerami otaczającymi służy. Potem odwrócił górną część korpusu w stronę Alex i wypuścił rój zielonych czujek. Stłumiła krzyk i rzuciła się w jego stronę. Robot z cichym kliknięciem uzbroił działka, ale zanim zwołnił pociski, dziewczyna podbiegła do niego i rozbiła mu na sensorach butelkę wody. Szkło rozprysnęło się na tysiące kawałków, barwiąc się na zielono od roju nanorobotów. Maszyna należąca do Geneo natychmiast odpaliła pociski, ale chybiła. Odblaski szkła zaburzyły jej koordynaty. Alex wrzasnęła dziko i zaatakowała robota metalowym prętem. Wbiła go w oczy będące kamerami, aż wyszedł na wylot. Nie zdołała go wyjąć. Odskoczyła pod ścianę i dotarła do służy. Rozglądając się gorączkowo, szukała jakiegokolwiek narzędzia, które pomogłoby jej otworzyć przejście, zanim robot się zregeneruje. Bez nadziei na sukces machnęła dłonią nad panelem dotykowym. Nie zeskanował jej linii papilarnych, ale i w żaden sposób nie odrzucił żądania. Jakby nie istniał. Alex spojrziała zdezorientowana i tym razem przyłożyła dłoń. Pod warstwą holo wymacała prawdziwą klamkę. Była zimna i bez protestu dała się nacisnąć. Drzwi otworzyły się bezszelestnie. Za plecami słyszała rżenie podwozia oślepiętego robota. Najwyraźniej się podniósł, ale nie mógł namierzyć celu. Alex zatrzasnęła drzwi i się rozejrzała. Znajdowała się wewnątrz olbrzymiego hangaru. Wszędzie stały dziwne autoloty w kształcie cygar. Panowała cisza i nie było żywej duszy. Naprzeciw niej połyskiwało panoramiczne okno. A za nim rozpościerał się mrok, rozjaśniony widniejącą w oddali błękitną planetą. Alex podeszła bliżej. Była w kosmosie, na oko sądząc, dość daleko od Ziemi.



Allie czuła, że wariuje. Salto nie pokazał się od dobrych kilku dni, ale za to każdej nocy jej sny nawiedzały wstrętne głosy. Pytały, gdzie jest i czy jest jej dobrze. Chciały wiedzieć wszystko o jej przyjaciółkach. Nie dawały spać i choć były zwodniczo słodkie, to dziewczynka wiedziała, że nie są miłe. Siedziała przy długim stole, gdzie mnisi i ich goście spożywali w milczeniu posiłki, i starała się grzecznie polykać grudki tsampy, zwane przez tubylców dagą. Nie lubiła tej dziwnej w smaku mąki jęczmiennej, ale zawsze gdy tylko pomyślała o grymaszeniu, przypominała sobie przedszkole Space.corp. Tam jedzenie zawsze coś znaczyło. Gdy dawano lepsze, wiadomo było, że stanie się coś złego. Jak z tymi hamburgerami w dniu, gdy ich rozdzielono, a Allie udało się przeżyć tylko dzięki Sarze i Maxowi. Dlatego żucie ohydnej dagi było pocieszające. Nie zwiastowało żadnej katastrofy. Przynajmniej do chwili, kiedy nie uśnie. Przez okropne sny codzienne oczekiwanie na pójście do łóżka było dla niej torturą. Choć nie było to łatwe, postanowiła, że opowie o wszystkim Maxowi. Dlaczego właśnie jemu? Dla Allie był ucieleśnieniem obrońcy, a poza tym jako jedyny nie pojawiał się w jej snach, więc przypuszczała, że zdoła opowiedzieć mu o głosach, które każą jej zabijać pozostałych przyjaciół

i Monicę. Podjąwszy tę decyzję, dziewczynka nie mogła się doczekać końca kolacji i ruszyła za Maxem, gdy ten tylko wyszedł na korytarz. Podbiegła, chwyciła go za rękę i dość stanowczo zatrzymała w miejscu.

– Co tam, malutka? – zagaił mężczyzna.

– Max, możemy porozmawiać?

– Oczywiście! Ze mną zawsze możesz porozmawiać. Co to za smutna mina?

– Chodzi o to... – Allie zawahała się i przerwała.

– Może usiądziemy w jakimś cichym kącie i wtedy mi wszystko powiesz. Co ty na to?

Dziewczynka kiwnęła głową i dała się zaprowadzić w boczny korytarz klasztoru. Tuż pod oknem zamontowano niski i szeroki parapet, na którym przysiedli. Allie opowiedziała pilotowi o głosach i okropnych nocnych koszmarach.

– Od dawna to się dzieje? – zapytał z poważną miną.

– Od paru nocy – odparła i odczuła ulgę, że jej tak po prostu uwierzył. – Zawsze mi mówią, że mam kogoś zabić. Wczoraj w nocy kazały mi zdobyć nóż i iść do profesora Howarda. Czy ja jestem zła, Max? – dodała płaczącym tonem.

– Nie jesteś zła. Jesteś bardzo dzielna i bardzo dobrze, że postanowiłaś mi o tym opowiedzieć. Cokolwiek się dzieje, na pewno sobie z tym jakoś poradzimy. Przede wszystkim musimy opowiedzieć o wszystkim Monice i profesorowi.

– Nie! – zaprotestowała gwałtownie.

– Nie chcesz, by wiedzieli o tym, że coś w twojej głowie każe ci ich zabić, ale przecież oni nie będą się na ciebie gniewać. Wręcz przeciwnie, będą chcieli pomóc.

Allie nie wyglądała na do końca przekonaną, ale nie oponowała, gdy mężczyzna wziął ją za rękę i zaprowadził do Moniki. Zgodnie ze słowami pilota mama nie była zła, tylko zatroskana. Przytuliła ją mocno i głaskała po włosach. Również profesor nie wyglądał na zezłoszczonego. Patrzył uważnie na dziewczynkę i intensywnie o czymś myślał. Zaczął przechadzać się wzdłuż długiego regału z książkami i przez pewien czas się nie odzywał.

– Czyli mówisz, że tych głosów jest kilka? – zapytał w końcu.

– Tak. Jakbym miała w głowie obcych panów i obce panie – odpowiedziała Allie.

– Opowiadały coś o sobie? Mówiły, kim są?

Monica spojrzała na profesora z zaskoczeniem. Traktował wyznanie małej ze śmiertelną powagą i nawet przez chwilę nie próbował jej wmawiać, że coś jej się wydawało, a złe sny zdarzają się każdemu. To mogło oznaczać tylko kłopoty. Kobieta poczuła dreszcz na plecach. Ujęła rączkę Allie i ścisnęła ją pocieszająco.

– Nic o sobie nie mówiły. Nie wiem też, skąd przyszły. Pojawiają się nagle i znikają, gdy się obudzę – wyjaśniła dziewczynka.

– A co dokładnie mówią? Jesteś w stanie sobie przypomnieć? – zapytał Howard.

– Mówią okropne rzeczy – szepnęła cicho. – Każą mi zabić Monicę albo pana. Czasem Sarę albo Yoshiego. Pytają, czy mam skąd wziąć nóż albo czy mogę kogoś zepchnąć ze schodów. A czasem tylko szepczą moje imię takim syczącym głosem.

– Allie, czy będziesz się mniej bała, jeśli będziesz spać ze mną? – zapytała Monica. – Zawsze jak przyśni ci się coś złego, obudzisz mnie i dodam ci otuchy. Co ty na to?

– Tak – szepnęła Allie. – Z tobą nie będę się tak bała.

Profesor zerknął znacząco na Maxa, a ten w lot pojął jego intencje.

– Chodź, Allie – zwrócił się do dziecka z uśmiechem. – Pójdziemy się pobawić, co ty na to?

– A Monica? – zaprotestowała.

– Ja tu chwilę jeszcze porozmawiam z profesorem i wkrótce do was dołączę, dobrze? – uspokoila ją matka.

Allie, wyraźnie podniesiona na duchu, bez protestu dała się Maxowi wyprowadzić z biblioteki. Monica odprowadziła ich spojrzeniem i natychmiast odwróciła się do profesora. Czekala na wyjaśnienia. Howard lekko się zmieszal i uznał w duchu, że tak naprawdę zasługuje na coś o wiele gorszego niż zniecierpliwienie, jakie odmalowało się w oczach kobiety. Uczciwie mówiąc, należała mu się solidna, wręcz karczemna awantura, na którą zasłużył kompletnym brakiem empatii i tym, że zamiast przede wszystkim zadbać o bezpieczeństwo dziecka, zachłysnął się wynikami własnych badań i gorączkowym poszukiwaniem fragmentów przeszłości.

– Chyba musimy szczerze porozmawiać – powiedziała Monica.

– Masz rację.

Kobieta z kamienną twarzą wysłuchiwała opowieści profesora o biomodach, Wielkim Resecie, dokumentach znajdujących się u Felicji Lawrance i roli Allie w tym wszystkim. Gdy Howard skończył, przez chwilę panowała kompletna cisza.

– Przecież to dziecko – odezwała się w końcu Monica.

W tym pozornie banalnym stwierdzeniu wybrzmiała cała matczyzna troska. Howard był pewny, że kobieta natychmiast odizoluje małą i nie pozwoli na kolejne testy.

– Monico, bardzo cię przepraszam. Staralem się uchronić Allie, ale najwyraźniej stary dureń nie rozumie potrzeb sześciolatki – powiedział ze skrucą.

– Ma pan pomysł, co to za głosy? – rzuciła kobieta, zbywając przeprosiny.

– Niestety nie. Wiem jedynie, że Allie na pewno nie zmyśla. Była zbyt poruszona i autentycznie wystraszona. Nie są to też zwyczajne koszmary. Oczywiście, sporo przeszła, ale takie uporczywie powtarzające się sny i to dzień po dniu są chyba spowodowane czymś więcej niż traumą – odparł z zadumą.

– Przecież sny to sny. Czym innym mogą być te głosy? Gdyby to był jakiś obłąd, to słyszałyby je też na jawie.

– W żadnym wypadku nie uważam, żeby to było zaburzenie psychiczne – zaprotestował profesor.

– A co?

– Nie wiem, moja droga. Ale jeśli pozwolisz mi dalej pracować z Allie, spróbuję to wyjaśnić.

– Ufam panu, profesorze, ale nie chciałabym, żeby cierpiała – oświadczyła stanowczo Monica.

– Ja też tego nie chcę – powiedział Howard. – Problem polega na tym, że Allie może stanowić zagrożenie dla samej siebie. Ma moc, której nie umie do końca kontrolować, i nie wie tak naprawdę, skąd się ona wzięła. Dlatego jest tak ważne, by dowiedzieć się jak najwięcej o jej tajemniczym umyśle.

– Dobrze, niech pan kontynuuje badania, ale nie pozwolę jej na wycieczkę do domu sekretarza Lawrance. To jest wykluczone! – powiedziała ostrym tonem Monica.



– Nigdy w życiu bym jej na to nie narażał. Moim skromnym zdaniem ta misja jest samobójstwem i nawet nie zamierzam o niej opowiadać nikomu z naszych.

Monica skinęła głową i wyszła.



Sara zobaczyła Maxa bawiącego się z Allie i postanowiła do nich dołączyć. Dzień był pochmurny, ale ciepły. Zanosilo się na deszcz. Dziewczyna uwielbiała tutejszy klimat i przyrodę. Nieodmiennie zdumiewało ją to, że w górach nawet najbrzydszy szarobury dzień był piękniejszy od słońca w mieście. Tam zawsze było przygnębiająco i depresyjnie. Sara nie wróciłaby do miasta za żadne skarby, ale życie w cichym klasztorze też na dłuższą metę jej nie odpowiadało. Do ojca również nie wróci. Zwłaszcza po tym, jak ją tak okrutnie zignorował przy ostatnim, burzliwym spotkaniu. Sara spojrzała na Maxa i jak zwykle poczuła ukłucie w sercu, które ponownie wytłumiła. Dziewczyna nie potrafiła sobie poradzić z własnymi uczuciami. Z jednej strony tęskniła za bliskością z Yoshim, z drugiej od czasu wspólnego lotu wahadłowcem na Arkę coraz częściej przyłapywała się na myślach o Maxie. Przywoływała w pamięci scenę, gdy leżeli obok siebie na fotelu pilota, a ich ciała stykały się pod kocem. Na myśl o tym dziewczyna przystała w pewnej odległości od Maxa i Allie. Nie była już pewna, czy chce do nich dołączyć. Pilot pomachał do niej, a ona odwzajemniła gest, po czym pod wpływem niezrozumiałego impulsu odwróciła się na pięcie. Zderzyła się z kimś i dopiero po chwili zorientowała się, że jest to Yoshi.

– Przepraszam – wymamrotała i pospieszenie ominęła chłopaka.

– Saro, poczekaj – poprosił Yoshi. – Nie możemy w nieskończoność tak się mijać bez słowa. Musimy w końcu porozmawiać!

– O czym chcesz rozmawiać? – rzuciła z gniewem. – O naszym kochanym tatusiu?

– Saro, proszę cię...

– Nie mamy o czym gadać, Yoshi.

– W porządku. Nie gadajmy – odparł zrezygnowanym tonem. – Ale czy musimy się zachowywać, jakbyśmy byli wrogami? Myślisz, że nie widzę, jak pospiesznie jesz i wychodzisz, żeby jak najkrócej przebywać w moim towarzystwie? Mijasz mnie, jakbym był trędowny albo coś ci zrobił!

– Yoshi. Ja naprawdę nie mam ochoty na tę rozmowę – powiedziała twardo. – Może kiedyś, ale na pewno nie teraz. Twoje towarzystwo jest dla mnie torturą, więc zejdź mi z drogi.

– Dlaczego? – spytał cicho.

Sarze nie umknęło, że głos miał zachrypnięty z tłumionych emocji i wyraźnie pobał. Jego słowa brzmiały pojednawczo, ale reakcja wyraźnie zdradzała, jak wiele kosztuje go ta rozmowa.

– Jest mi wstyd, Yoshi. Po prostu. I jakoś to mija.

Odeszła pospiesznie, nie dając mu szansy na odpowiedź. Zresztą co jeszcze można było powiedzieć? Sara faktycznie czuła wstyd, ale nagle sobie uświadomiła, że nie do końca

z powodu związku z bratem. Właściwym powodem było to, że uczepiła się kurczowo straty Yoshiego i zamknęła się w swoim cierpieniu, żeby odciąć się od prawdy, która odbierała jej status pokrzywdzonej przez los ofiary własnego ojca. Dotarło do niej z pełną mocą, że zależy jej na Maxie, a wiadomość o pokrewieństwie z Yoshim w pewnym sensie ułatwiała sprawę. I to właśnie tego tak koszmarnie się wstydziła.

Sala obrad Rady Dwunastu zrobiła na Mary Sue duże wrażenie. Była ogromna, wyłożona marmurem, a jej integralną część stanowił długi stół z wbudowanym blokiem holograficznym. Dookoła rozmieszczono dwanaście czarnych krzeseł z wysokimi oparciami. U szczytu stołu stał przewodniczący Wordsworth. Kobieta poczuła irytację i ukłucie strachu. Widziała go po raz pierwszy od wydarzeń w domu nad jeziorem i choć była pewna jego obecności w tym miejscu, wcale jej to nie przygotowało do spotkania. Szczególnie że działała na oślep. Co powinna teraz zrobić? Podejść do niego? A może zająć miejsce? Tylko które? Nie miała pojęcia, gdzie zwykle siadała Felicia. Właściwie nie wiedziała nawet, czy poszczególne krzesła są na stałe przypisane do konkretnych osób. Jakby tego było mało, nie wiedziała, czyjej obecności się spodziewać. Znała wyłącznie Wordswortha i kojarzyła z wyglądu O'Briana. Twarzy pozostałych dziewięciu członków rady nie widziała nigdy. Tych obrad nie pokazywano w holowizji.

Czując, że jej niezdecydowanie z każdą sekundą staje się coraz bardziej podejrzane, Mary Sue podjęła decyzję, że podejdzie do Eugene'a. Było jej niedobrze na jego widok, ale czuła, że to najlepszy wybór. Nie zdążyła ruszyć z miejsca, gdy poczuła dłoń na ramieniu. Przez chwilę była przekonana, że została zdemaskowana i służba Geneo właśnie dokonuje aresztowania, ale dłoń była zdecydowanie zbyt lekka i po słabym uściśnięciu Mary Sue w ramię natychmiast zniknęła. Kobieta odwróciła się powoli, wkładając w tę czynność maksimum godności, na jaką było ją w tej chwili stać. Naprzeciw niej stała niewysoka i bardzo drobna kobieta. Czarne włosy miała spięte w kok. Kilka niesfornych pasemek wymknęło się z niego. Założyła je za ucho niecierpliwym gestem i uśmiechnęła się szeroko.

– Witaj, Felicjo! – powiedziała przyjaźnie i zaczęła trajkotać, nie czekając na odpowiedź. – Miło cię widzieć, moja kochana. Tacy wszyscy zapracowani, że z najlepszą koleżanką widują się wyłącznie na sesjach rady. W domu też urwanie głowy. Wczoraj przyszła nowa dostawa ludzi. Zwykle Martin sam ich selekcjonuje przy pomocy dostawców, ale rozchorował się biedaczek i musiałam wezwać medlab. I oczywiście ktoś w tym czasie musiał się zająć wyborem najsilniejszych mężczyzn. Powiem ci, moja droga, że okropnie nie lubię tego robić. Zawsze towarzyszą temu dantejskie sceny. Jakieś płacze i histerie. Aż nadzorca musi przywoływać ich do porządku.

Mary Sue poniewczasie zrozumiała, że kobieta opowiada o niewolnikach dostarczonych do jej rezydencji przez handlarzy. Być może nawet tych samych, którzy porwali i sprzedali także ją. Poczuła narastający gniew i rozpaczliwie starała się opanować. Na szczęście rozmówczyni niczego nie zauważyła.

– W każdym razie, moja droga, oczywiście musiałam stanąć na wysokości zadania. Fanny Wise nigdy się nie poddaje! – zakończyła triumfalnym tonem.

– To wspaniale... hm... Fanny – odparła Mary Sue i aż się przeraziła, jak obco brzmiał jej głos.

– Musicie rozmawiać na bardzo interesujące tematy – rozległ się męski głos za plecami Mary Sue.

Nie musiała się nawet odwracać. Tego zwyrodnialca rozpoznałaby wszędzie.

– Witaj, Eugene! – powitała go z entuzjazmem Fanny.

– Witaj, Fanny – odpowiedział Wordsworth, nie zaszczycając jej nawet jednym spojrzeniem. – Felicjo, chciałbym z tobą zamienić parę słów, zanim zaczniemy.

Przewodniczący ujął ją delikatnie za łokieć, a Mary Sue z najwyższym trudem powstrzymała dreszcz obrzydzenia. Udało jej się opanować i pozwoliła się odprowadzić w stronę krzesła stojącego u szczytu stołu.

– Nie podziękujesz mi? – zapytał.

– Za co?

– Że wyrwałem cię z łap tej nudziary Fanny – odparł.

Mary Sue pomyślała, że gdyby nie wiedziała, do czego ten typ jest zdolny, to z punktu by uznała, że jest miłym, ciepłym i szarmanckim mężczyzną.

– Dziękuję – odparła i nic nie mogła poradzić na to, że zabrzmiało to bardzo chłodno.

– Gniewasz się na mnie za tamten weekend?

Nie tego się spodziewała. Uznała, że tamte wydarzenia będą dla niego wstydliwym tabu i nie odważy się ich przywoływać.

– Zginęła kobieta – powiedziała cicho.

– Zwykła niewolnica.

– Mnie też potraktowałeś... nieodpowiednio – odparła z wyrzutem. Słowo „gwałt” nie przeszło jej przez usta, ale domyślała się, że Eugene doskonale wie, co ma na myśli.

– Daj spokój, kotku. Trochę nas poniosło, ale to przecież nie pierwszy raz, prawda?

Mary Sue milczała. Doskonale wiedziała, że dla ludzi zgromadzonych w tym pomieszczeniu życie szarego obywatela było nic niewarte, ale nie miała świadomości, że dla nich wszystkich wyłącznie nadrodowcy są jedynymi inteligentnymi mieszkańcami planety. Tacy jak ona stanowili mienie ruchome. Byli elementami wyposażenia okazałych rezydencji. Tak jakby część ludzi postanowiła, że będzie osobnym i oczywiście nadrzędnym gatunkiem. Poziom odrealnienia elity wprowadził ją w przygnębienie. Obywatele niczego nie osiągną pokojowymi protestami. Dla nadrodowców byli bandą bezpańskich psów szczekających przed bramą posesji. Z nieposłusznymi zwierzętami się nie negocjuje, bo przecież i tak niczego nie rozumieją. Nieposłuszne zwierzęta się odpędza. A jeśli stawiają opór, to się je likwiduje, bo zapewne są wściekle, więc już do niczego nieprzydatne.

– No już, nie dąsaj się, Felicjo. Może jakiś buziak na zgodę?

Spojrzała na niego z niedowierzaniem. Wygiął usta w uśmiechu, ale oczy miały kompletnie zimne. Wpatrywały się w nią badawczo. Mary Sue zrozumiała, że przewodniczący testuje jej reakcje. Sprawdza, czy jest prawdziwą Felicją. Poczowała narastający gniew i spojrzała na niego wyzywająco.

– Odpowiesz za to, co zrobiłeś, Eugene – wyszczała. – Zapłacisz za wszystko! I pamiętaj, że nie znasz dnia ani godziny.

Wordsworth odsunął się od niej i usiadł na krześle. Nie zaszczycił jej więcej nawet przelotnym spojrzeniem. Mary Sue wiedziała, że wygrała tę potyczkę. Uniosła dumnie brodę

i z gracją zajęła miejsce po prawicy przewodniczącego.



Kosmos oszołomił Alex. Niewiele fascynujących rzeczy w życiu widziała. Zrujnowany Paryż nie był miejscem, którym można się było zachwycić, a Obszar Ameryka 5 – choć o niebo bezpieczniejszy od wszystkiego, co widziała w Obszarze Europa 2 – nadal nie był cudownym miejscem do życia, szary, zatłoczony, szczelnie otulony smogiem i zasypany stertami śmieci. Straszyl strefami industrialnymi, gdzie swoje marne życie wiodły miliony robotników stanowiących własność fabryk. Alex doskonale pamiętała serię wykładów z Akademii G na temat zarządzania zasobami ludzkimi.

Prowadzący, niski i lisy profesorek, który podobno wkręcił się do klasy nadrodowców tuż po likwidacji Sorbony, z pasją mówił o tym, że dawne układy bezpowrotnie przeminęły, a ludzie są elementami nadrzędnego planu. Dawne, przestarzałe sformułowania, takie jak demokracja, humanitaryzm czy swobody obywatelskie, a także własność, nie mają w nowym, dotkniętym kataklizmami społeczeństwie najmniejszego znaczenia. Każdy obywatel jest zobowiązany do posłuszeństwa i zachowania dyscypliny. Poprzednie pokolenia rozmięliły swoje życie na drobne, hołdując wolności osobistej, która doprowadziła planetę na skraj upadku. I właśnie dlatego mądrzy, kochający ludzkość nadrodowcy wzięli sprawę w swoje ręce.

Jedną z pierwszych światłych ustaw było prawne przypisanie robotników do fabryk. W zasadzie ten kamień węgielny przyszłych zmian było dość łatwo położyć. Wystarczyło zmodernizować ustawę o prawie własności i kilkoma niewinnymi paragrafami rozszerzyć prawo korporacji do wszelkiego mienia wypracowanego na terenie należących do nich zakładów. I tak dzieci urodzone na terenie zakładów stawały się ich własnością, a matki nie miały nic do powiedzenia. Potem te należące do mienia ruchomego zakładów dzieci też miały dzieci i te również stanowiły własność fabryk. Ludziom oczywiście wmawiano, że to dla ich dobra.

Alex zbyt wiele już widziała, żeby wierzyć w te brednie. Znajomość z Mary Sue skutecznie wyleczyła ją z wiary w system i Rząd Światowy. SeeIT odarł ją ze złudzeń. Zresztą chwile spędzone z generałem też dawały dużo do myślenia. A próba zamordowania jej przez robota Geneo postawiła kropkę nad i.

Błękitna planeta wyglądała imponująco. Alex oderwała się w końcu od okna i rozejrzała uważniej po otoczeniu. Hangar był ogromny, a jej dotychczasowe więzienie widziane z zewnątrz przypominało białą kopułę niewielkich rozmiarów. Mimo to od razu musiało się każdemu rzucać w oczy, gdyż mocno się wyróżniało kolorem na tle surowego w wyglądzie szarego pomieszczenia. Stało w nim mnóstwo obłych autolotów. Nie przypominały żadnego znanego jej z Ziemi modelu. Nawet gdyby któryś był otwarty, i tak nie wiedziałaby, jak go pilotować, a tym bardziej nawigować w bezkresnej przestrzeni kosmicznej. Powrót do atrapy domu też nie wchodził w grę. Agresywny robot mógł się już zregenerować, a poza tym Alex nie będzie w stanie posprzątać bałaganu, jakiego narobiła, niszcząc kamery.

Pozostawała też sprawa czujek. Odleciały, nie wszczynając alarmu, ale przecież mogły wrócić. Wreszcie – na myśl o kolejnych identycznych dniach beczynnego czekania nie wiadomo na co wszystko się w niej buntowało. Stała niezdecydowana, co robić, i z każdą sekundą upewniała się w przekonaniu, że znalazła się w potrzasku.

O dziwo, nie popadła w panikę. To, że nie miała już odwrotu, w pewien sposób podnosiło ją na duchu i popychało do działania. Przy odrobinie szczęścia stacja, Arka czy statek kosmiczny, nieważne, na czym się znajdowała, był na tyle dużym obiektem, że uda jej się gdzieś schować do czasu, aż zdoła obmyślić jakiś plan. Trochę ją dziwił kompletny bezruch w hangarze. Uznała, że pewnie pora jest późna i większość załogi śpi lub przebywa w prywatnych kwaterach. Rozejrzała się ponownie. W kilku miejscach od dużego pomieszczenia odchodziły niewysokie korytarze. Najbliższy znajdował się po prawej stronie od białej kopuły. Alex podeszła do niego szybkim krokiem i ostrożnie zajrzała do środka. Tu też nie było nikogo. Wąskie przejście oświetlone żółtym przytłumionym światłem nie zachęcało, żeby iść dalej, ale spacerowanie po otwartej przestrzeni do korytarzy położonych po drugiej stronie hangaru wydawało się zbyt niebezpieczne.

Nie mając alternatywy, kobieta poszła dalej, przesuwając się ostrożnie przy ścianie. Lustrowała na zmianę sufit w poszukiwaniu kamer i podłogę w nadziei, że odnajdzie wejście do szybu wentylacyjnego lub innego w miarę bezpiecznego schronienia. Korytarz nie posiadał ani jednego, ani drugiego i – jak się po chwili okazało – był łącznikiem prowadzącym do następnego pomieszczenia. Niestety nie wiedziała, czym jest. Oddzielała je solidna biała gródź i Alex od razu wiedziała, że ta była prawdziwa. Podobnie jak czytnik umieszczony na framudze. Nie istniała możliwość sforsowania przejścia. Z lewej strony grodzi znajdowały się wąskie drzwi. Nie zauważyła ich od razu, gdyż były w kolorze metalowej ściany i zlewały się z nią. Tu też zamontowano czytnik linii papilarnych. Alex zrozumiała, że ten korytarz jest dla niej ślepym zaułkiem, i odwróciła się, żeby wrócić do hangaru. Nie zdążyła zrobić nawet jednego kroku, gdy zza pleców usłyszała przytłumiony trzask. Drgnęła przestraszona i spojrzała przez ramię, czując, jak głośno zaczęło jej łomotać serce. Nikt się nie pojawił, ale wąskie drzwi były uchylone zapraszająco. Klnąc własną głupotę, Alex weszła do środka i rozejrzała się ostrożnie. Trafiała do jakiegoś medlabu. Wszystko wyglądało schludnie, sterylnie czysto i jasno. Pod ścianami stały rzędy blatów ze sprzętem laboratoryjnym. Na środku pomieszczenia znajdował się stół zabiegowy wyposażony w pasy do kłepowania pacjentów. Nie to przyciągnęło jednak jej uwagę, tylko przeszklona ściana z prawej strony. Oddzielała laboratorium od dość wąskiego, ale bardzo długiego pokoju. Pod ścianami stały w dwóch rzędach kapsuły podobne do kabin beautube, a w nich bez ruchu leżeli ludzie, doskonale widoczni pod przezroczystymi pokrywkami. Było ich czternaścioro, zarówno kobiety, jak i mężczyźni. Mieli zamknięte oczy, a do skroni przytwierdzono im kwadratowe czujniki. Alex podeszła krok bliżej. Chciała się przyjrzeć pogrążonym we śnie czy też letargu ludziom. Nie zdążyła zrobić nic więcej, gdy usłyszała za plecami szelest. Odwróciła się natychmiast i ustaliła, że dźwięk dobiega z pogrążonego w mroku kąta laboratorium.

– Kto tam jest? – zapytała półgłosem.

Gardło miała ściśnięte strachem. Odchrząknęła i przebiegła spojrzeniem po stołach, szukając jakiegokolwiek broni.

– Cicho, głupia! – rozległ się szept.

– Kim jesteś? Czego chcesz?

– Jestem Ji Woo, ale możesz mówić do mnie Jerry – odpowiedział głos. – A czego chcesz? No oczywiście, żebyś mnie uwolniła.

Alex podeszła bliżej. Oczy osłepione wcześniej białym światłem teraz powoli przyzwyczajały się ponownie do półmroku. W kącie stała klatka z metalowymi prętami. Miała niewielkie drzwiczki, oplecione łańcuchem spiętym archaiczną kłódką z dziurką na klucz. Kobieta widziała taką na żywo po raz pierwszy w życiu. W klatce był mały czarnowłosy chłopiec. Ubrany wyłącznie w majtki i jakąś koszulkę siedział z podwinętymi nogami i opierał się o tylną ścianę maleńkiego więzienia. Nawet gdyby chciał, nie mógłby wstać, bo klatka była za niska. Alex poczuła ukłucie w sercu.

– Kto cię tu zamknął? – zapytała martwym głosem.

– Oni. Wypuścisz mnie?

– Jacy oni? – wyszeptała, ignorując pytanie chłopczyka.

– No ci, którzy uśpili Sandrę, Stefana, Barbarę i innych – odparł zniecierpliwiony.

Kolejne szczegóły wylaniały się z mroku. Alex ze zdumieniem spostrzegła, że dzieciak ma na głowie osobliwy opalizujący kask spięty pod brodą taką samą kłódką jak ta strzegąca wejścia do klatki. Spod dziwnego nakrycia głowy spoglądały na nią czarne skośne oczy. Ji Woo, czy też Jerry, był drobnym, najwyżej kilkuletnim chłopcem o azjatyckich rysach.

– No to wypuścisz mnie czy nie? To przecież ja ci otworzyłem drzwi do laboratorium tego okropnego generała.

– O'Briana?

– Nie wiem, jak się nazywa. Wszyscy mówią o nim po prostu generał.

– Jerry, jak mi otworzyłeś te drzwi? Przecież siedzisz w klatce! – zdziwiła się Alex.

– Znam parę sztuczek, ale działają tylko tu blisko. To przez ten zasrany kask!

– Nie jesteś za mały na przeklinanie?

– Serio? – Spojrzał na nią z politowaniem. – Chcesz rozmawiać o dobrym wychowaniu z gościem zamkniętym w klatce, który nie może chodzić, i to od bardzo dawna? Z chłopcem, którego codziennie wyciągają, przywiązują do tego obrzydliwego stołu i ciągle coś sprawdzają?

Alex poczuła wściekłość. Kim trzeba być, żeby w ten sposób potraktować dziecko? Nawet jeśli pochodził z jakiejś fabryki, to przecież miał uczucia, pragnienia i na pewno nie chciał siedzieć zgarbiony w maleńkiej klatce.

– Odsuń się najdalej jak się da. Spróbuję wylać kratę – powiedziała i podeszła do krzesel.

Sprawdzone metody zazwyczaj okazywały się najlepsze. Wykręciła metalową nogę taboretu i napała prętem na łańcuch oplatający kłódkę. Podważała ją z kilku stron, wieszając się całym ciałem, ale ta nawet nie drgnęła.

– Dlaczego, do jasnej cholery, nie dali normalnego czytnika linii albo biokłódkki na hasło? – wysapała.

– Bobym je wszystkie otworzył, nawet nie ruszając palcem – zachichotał Jerry.

– Jak?

– Po prostu kazałbym im się otworzyć.

Alex przestała się mocować z kłódką i ciężko dysząc, spojrzała na chłopca. W jednej chwili przypomniała sobie o Allie.

– Umiesz zmieniać scenariusze w grach TOW? No wiesz, na testach w przedszkolu, na przykład z wilkami? – zapytała.

- Nie wiem, o co ci chodzi – odparł Jerry. – Możesz to w końcu otworzyć?
- Staram się.
- Tylko coś ci nie wychodzi – powiedział z przekąsem chłopiec.
- Skoro jesteś taki mądry, to wykombinuj łom albo zaczaruj tę cholerną kłódkę.
- Tam w chłodni jest ciekły azot.

Alex nie traciła czasu na rozmowy z dzieciakiem. Wyjęła pojemnik i obficie polała kłódkę parującą cieczą. Metal pokrył się białym nalotem.

– Walnij ją teraz!

Wzięła zamach i rozbiła kłódkę. Gorączkowo odwijiała łańcuch, a chłopiec przebiegał nogami, nie mogąc się doczekać otworzenia klatki.

– Poczekaj chwilę! – krzyknęła. – Oparzysz się.

Jerry zignorował jej ostrzeżenia. Było mu wszystko jedno. Wypełzył z klatki i próbował stanąć. Ugięły się pod nim kolana. Alexandra złapała go, zanim zdążył się potłuc o podłogę, i przygarnęła do siebie. Był drobny i lekki jak piórko.

– Spokojnie, dzieciaku. Jakoś nas stąd wydobędę – oznajmiła Alex.

Jerry w pierwszej chwili napiął mięśnie i próbował się wywinąć z jej ramion, ale po chwili uległ i wtulił się w kobietę.

– Weź klucz – powiedział cicho. – Do mojego kasku. Leży w tej szafce obok drzwi – wyjaśnił.

Alex pospiesznie wyjęła klucz i schowała go do kieszeni. Czuliła ucisk jego kasku na obojczyku, ale wiedziała, że teraz nie ma czasu na oswobodzenie dzieciaka. Przytuliła go mocniej i wybiegła z medlabu.

– Nie wiem, dokąd iść – zdenerwowała się.

– Do domu generała.

– Nie mogę tam wrócić. Rozbiłam wszystkie kamery i chyba zdemolowałam robota Geneo – mruknęła, przystając w progu hangaru.

– Ja wszystko naprawię – odparł sennym głosem. – Tylko musisz mi zdjąć ten kask.

Alex podrzuciła wyżej chłopca. Znow zwiotczał i najwyraźniej popadł w jakiś letarg. Mdlwały jej ramiona, ale zagryzła zęby i szła w stronę białej kopuły. Co mogła innego zrobić? Wkraść się do któregoś z obłych autolotów i zderzyć się z zamkniętymi wrotami hangaru?



Mary Sue z ulgą opuszczała salę posiedzeń rady. Spotkanie nie trwało na szczęście zbyt długo. Najbardziej się bała, że będzie musiała zabrać głos, ale większość czasu zajęło wysłuchiwanie raportów czytanych monotonnym głosem przez Martina Wise'a. Dotyczyły głównie rozlokowania oddziałów Geneo i planowanych działań prewencyjnych przy tłumieniu buntu. Pod koniec rozgorzała dyskusja na temat postępowania z wolnymi mediami.

– To jakiś absurd! – odezwała się koścista kobieta siedząca naprzeciw Wordswortha. – Te media nigdy nie powinny były powstać! Skąd pomysł, żeby oddać narzędzie propagandy



w ręce ciemnego ludu? – zapytała, oskarżycielsko wpatrując się w żonę Martina.

Fanny odebrała to osobiście, więc musiała być pomysłodawczynią stworzenia wolnych mediów.

– Chciałam ci przypomnieć, droga Anno, że ów ciemny lud myśli o dość przyziemnych rzeczach. Na przykład o tym, żeby mieć czym napchać brzuch. Nie sądzę, żeby którykolwiek z nich nawet pomyślał o założeniu jakiegokolwiek holo. Powstało kilka niezależnych stacji, nie przeczę, ale zgodnie z moim stanem wiedzy należą do nadrodowców. Nie sądzę, by chcieli zaszkodzić własnej kaście. A z drugiej strony ociepliło to wizerunek władzy i miało złagodzić nastroje.

– Ale nie złagodziło – odparła Anna. – W związku z tym powinniśmy natychmiast cofnąć pozwolenie na podobną działalność i zlikwidować prywatne stacje holo.

– I tak właśnie zrobimy – powiedział Wordsworth.

– Nadrodowcy to nie pracownicy fabryk. Mogą stawiać opór – wtrącił generał O'Brian siedzący po lewej stronie przewodniczącego.

– Opornych wyślesz na Arki, Jack – odparł Eugene tonem nieznośnym sprzeciwu.

Zapadła cisza. Mary Sue przez chwilę przyglądała się zszokowanym minom członków Rady Dwunastu i z początku nie rozumiała, co takiego powiedział Wordsworth, że oszołomiło zgromadzonych. Dopiero po chwili dotarło do niej, że pewnie nigdy wcześniej opresje i zsyłka nie dotknęły żadnego z nadrodowców. Ci ludzie, w przeciwieństwie do szarych obywateli, doskonale wiedzieli, jakie są skutki lotu na Arkę. A teraz byli świadkami utraty nietykalności własnej kasty. Zapewne każdy z nich gorączkowo tworzył w myślach listę członków rodzin i przyjaciół, którzy właśnie wpadli w tarapaty. Przez salę przebiegł szmer niezadowolenia. Mary Sue zerknęła na Wordswortha. Siedział z nieprzeniknioną miną. Odwróciła spojrzenie i zorientowała się, że większość zgromadzonych wpatruje się teraz w nią.

– Wstrzymuję się od głosu w tej sprawie – powiedziała, wyraźnie akcentując słowa.

Uznała, że nie będzie wchodzić w konflikt z tymi ludźmi, którzy w milczeniu się jej przyglądali z niedowierzaniem. Miała świadomość, że chyba właśnie przełamała jakieś tabu. Czuła, że spodziewali się po niej pełnej akceptacji planu Eugene'a, ale Mary Sue miała to w nosie. Jeśli instynkt jej nie mylił, przewodniczący właśnie ukreślił sobie stryczek, a ona nie zamierzała zawisnąć razem z nim.

– Również wstrzymuję się od głosu – oświadczył Jack O'Brian.

Najwyraźniej także nie miał ochoty na gwałtowne odejście z tego świata. Deklaracja generała uspokoiła Mary Sue. Po raz kolejny nie zawiódł jej instynkt i może uda jej się jeszcze trochę pożyć. Gdy tylko Eugene ogłosił koniec obrad, podniosła się z krzesła i nie oglądając się na nikogo, szybkim krokiem wyszła. Tuż za drzwiami na drewnianej ławce siedział jej asystent.

– Załatwiłeś to, o co prosiłam? – zapytała.

– Oczywiście, pani sekretarz.

Otworzył usta, żeby zdać pełny raport z zatrzymania i przetransportowania Viki Novakovič do jej domu. Powstrzymała go stanowczym gestem dłoni, więc natychmiast zamknął usta, a zamiast tego zaczął idiotycznie mrugać.

– Idziemy! – warknęła i nie czekając na reakcję asystenta, ruszyła w stronę wyjścia.

Nie chciała, żeby którykolwiek z tych obrzydliwych, nadzianych nadrodowców ją dogonił i wciągnął w rozmowę. Gardziła tymi ludźmi. Byli najgorszym złem tego świata i gdyby mogła, pozabijałaby ich gołymi rękami. A zwłaszcza Wordswortha i tego napuszonego generała

Johna O'Briana. Johna? Kobieta zastanowiła się. Czy on nie miał inaczej na imię? Słyszała je tyle razy w holo, a teraz nie mogła sobie przypomnieć. Wyparła to z głowy i ruszyła w stronę limuzyny.

– Pani sekretarz! – wydyszał najwyraźniej biegnący za nią asystent.

– Mów! – odparła.

– Tę kobietę – zawałał się i ściszył głos. – Tę Vikę Novakovič, znaczy się...

– Wiem, o jakiej kobiecie rozmawiamy! – odparła z politowaniem.

– Nie zaprowadziłem jej do willi pani sekretarz, tylko do ogrodu na tyłach. Pomyślałem, że pewnie będzie pani zależało na dyskrecji, a dom to ostatnie miejsce, gdzie o dyskrecji można myśleć. Mam nadzieję, że dobrze zrobiłem – powiedział z lekkim niepokojem.

Mary Sue o domu myślała jak o dyskretnym i bezpiecznym miejscu, ale w jej mieszkanku za pubem nie tłoczyły się przecież hordy służących. Chłopak spisał się wzorowo.

– Dobrze – mruknęła pod nosem, nie okazując najmniejszego entuzjazmu.

To mu jednak najwyraźniej wystarczyło. Rozciągnął usta w uśmiechu i pokraśniał z zadowolenia. Felicja z pewnością nie rozpieszczała go dobrym słowem, skoro niechętnie mruknięcie uznał za pochwałę. Wsiadła do limuzyny i po przejechaniu jakichś stu metrów pospieszyla na spotkanie z nieznaną kobietą.

Vika Novakovič siedziała na ławce koło fontanny. Od strony domu osłaniał ją wysoki jasnozielony żywopłot. Dyskretnie miejsce na nieformalne spotkanie. Chłopak naprawdę to przemyślał. Po obydwu stronach ławki stali uzbrojeni funkcjonariusze Geneo. Ubrani w czarne wzmacniane mundury bojowe zdecydowanie wzbudzali respekt. Mary Sue nienawidziła i bała się Geneo, zarówno tych czarnych, zwiastujących przemoc sukinsynów, jak i urzędasów w zielonych uniformach ze złotymi guzikami. Prawie parsknęła histerycznym śmiechem, gdy wyprężyli się służbiście na jej widok i jednocześnie zasalutowali. Podeszła bliżej i przeniosła spojrzenie na Vikę Novakovič. Widać było, że się obawia o swój los, ale nie sprawiała wrażenia zaszczutej jak Monica, gdy udało się ją uwolnić z bloku położnic zakładu Space.corp. Mary Sue nie musiała nawet dopytywać asystenta. Dziewczyna pochodziła z nadrodowców i z pewnością nie obawiała się o życie. Takie jak ona były przekonane o własnej nietykalności i zapewne nawet do głowy im nie przychodziło, że cokolwiek może im bezpośrednio zagrażać.

– Zostawcie nas! – rozkazała funkcjonariuszom i stojącemu tuż za nią asystentowi Mary Sue.

Odeszli posłusznie i stanęli w pewnej odległości. Doskonale znali się na swojej robocie. Dystans był dokładnie taki, by nie słyszeć rozmowy, ale pozostawać w zasięgu skutecznego strzału. Mary Sue usiadła obok dziewczyny. Przez chwilę obserwowała jej uniesiony dumnie podbródek.

– Nazywam się... – zaczęła Mary Sue, ale nie zdążyła dokończyć.

– ...sekretarz Felicja Lawrance – powiedziała Vika.

– Jesteś właścicielką stacji holo o nazwie TakeIT?

– Tak. I dlatego byłam dzisiaj pod bramą. Ludzie mają prawo wiedzieć...

– ...mają prawo wiedzieć, to prawda – weszła jej w słowo Mary Sue. – Ale sama sobie odpowiedź na pytanie, czy którykolwiek z pracowników fabryki ma choćby szansę obejrzenia twojego programu?

– Przecież wszystko leci na interfejsach. Wystarczy wybrać odpowiedni kanał. – Vika wzruszyła ramionami.

– Naprawdę uważasz, że ich interfejsy mają dostęp do wolnych mediów? Przecież oni są praktycznie niewolnikami.

Vika Novakovič patrzyła na nią zdumionym wzrokiem. Słyszała niejedno o surowej i niemającej skrupułów sekretarż Lawrance, więc opowieści o nic nieznaczących robotnikach z fabryki kompletnie zbiły ją z tropu.

– Pani sekretarż, proszę mi wybaczyć śmiałość – wyjąkała. – Czemu właściwie ma służyć ta rozmowa?

– Próbuję ci uzmysłwić, że choć masz dobre intencje, to zabierasz się do tego z niewłaściwej strony – powiedziała enigmatycznie Mary Sue.

– To co powinnam robić? Ludzie potrzebują informacji!

– Potrzebują. Oczywiście, ale chyba się nie rozumiemy. Kogo masz na myśli, mówiąc o „ludziach”?

– Sąsiadów, współpracowników, tych wszystkich, których codziennie spotykamy...

– Nadrodowców – skwitowała jednym słowem Mary Sue.

Vika wyglądała na lekko zmieszaną. Przeczesała dłonią krótkie rude włosy skręcone w pierścionki loków i spojrzała z uwagą na rozmówczynię.

– Ludzi – powtórzyła z naciskiem.

– Ludźmi są także ci w fabrykach – powiedziała cicho Mary Sue.

– Są jak zwierzęta – szepnęła Vika. – I to jest wina Rządu Światowego. Pani też!

– Nie przeczę – odparła Mary Sue. – Ale rozsądniej byłoby chyba nie mówić tego głośno, prawda?

– Przepraszam – powiedziała Vika i w jej oczach po raz pierwszy od początku rozmowy pojawił się autentyczny strach.

– Nie przepraszaj. Jest coś, o czym muszę z tobą porozmawiać i prosić cię o małą przysługę.

Vika patrzyła ze zdumieniem na sekretarż Lawrance. Z bliska nie wyglądała na tak surową i nieprzejednaną, jak gosiła plotka.

– Oczywiście – odparła. – Co tylko pani zechce.

– Na początek zdradzę ci pewną tajemnicę, a czynię to po to, żebyś zrozumiała moją prośbę i wypełniła ją bez wahania. Dzisiaj na sesji Rady Dwunastu zapadła decyzja, że wszystkie prywatne media zostaną ponownie zakazane, a opornych właścicieli wyślemy na Arki.

– Przecież to sami nadrodowcy! – krzyknęła Vika i zauważyła, że żołnierze Geneo podnieśli wyżej broń. – Nie mogą... nie możecie... – powiedziała znacznie ciszej, po czym zamilkła.

– Otóż możemy, a właściwie oni mogą. I zrobią to. Właściwie dlaczego nazwałaś swoje holo TakeIT? – zapytała Mary Sue.

– No, nie wiem. Chyba wydało mi się to zabawne. Takie nawiązanie do wirusa.

– A ja myślę, że gdzieś podświadomie żał ci ludzi z fabryk – skwitowała łagodnie Mary Sue. – Tak jakbyś chciała powiedzieć, że skoro już zobaczyli niesprawiedliwość, to powinni wziąć sprawy w swoje ręce.

– Może? Nie wiem. Pani sekretarż, właściwie dokąd zmierza ta rozmowa? – zapytała dziewczyną.

Mary Sue milczała przez dłuższą chwilę. Właśnie zamierzała złożyć swój los w ręce nieznamym należącej do nadrodowców.

– Sprawię, że unikniesz aresztowania, a ty w zamian zaniesiesz komuś wiadomość ode mnie. Co ty na to? – zaproponowała.

Wikę to zaskoczyło. Nie wpadłaby na to, że Felicja Lawrance proponuje jej rolę posłańca. Zdawała sobie oczywiście sprawę, że oferta w istocie była zawaolowanym szantażem, ale wbrew sobie poczuła ciekawość. Poza tym fakt, że ma przekazać informację, wiązał się z tym, że ją stąd wypuszczą. Już samo to wystarczyło do podjęcia błyskawicznej decyzji.

– W porządku. Komu i co mam przekazać? – zapytała.

– Znajdź w sieci człowieka o pseudonimie Jordan.

– Jak go mam znaleźć? – zapytała Vika, w ostatniej chwili powstrzymując się od zadania pytania, dlaczego sekretarz nie może sama się z nim skontaktować przez Worldweb.

– Popytaj na grupach hakerskich. Znają go tam na pewno.

– A jeśli nie? – zapytała Vika.

– To spróbuj dyskretnie podpytać o Tashiego Amoto. To pseudonim profesora Johna Howarda.

Mary Sue czuła wyrzuty sumienia, że naraża Jordana i profesora na dekonspirację. Szczególnie chodziło o tego drugiego. Nie znała go wcześniej, nawet nie miała świadomości, że Skorpiony z nim współpracują. Zobaczyła go dopiero w domu Wordswortha i Felicji nad jeziorem. Nie trzeba jednak być geniuszem, żeby się domyślić, jak ważny dla sprawy jest ten starszy mężczyzna. Musiała jednak podać Novakovič tożsamość drugiego człowieka, na wypadek gdyby Jordan jednak skutecznie się zapadł pod ziemię. Przecież go poszukiwano. Nie odważyłaby się w jakikolwiek sposób szukać go na sprzeczanie Felicji. Była przekonana, że Wordsworth szpieguje jej poczynania w sieci ze zdwojoną mocą. Zresztą nawet gdyby się zdecydowała na kontakt, to zanim ktokolwiek by jej uwierzył, u jej rozmówcy Geneo już by wyważało drzwi. Istniała jednak możliwość, że szeregowych nadrodowców, takich jak Vika, nikt intensywnie nie monitoruje.

– Co mam im przekazać? – zapytała dziewczyna, bacznie się w nią wpatrując.

– Powiedz, że Mary Sue jest u Felicji Lawrance. Niech znajdą Hassana Malufa. Niech im opowie o rozmowie w samochodzie przed domem nad jeziorem – powiedziała cicho Mary Sue. – Zapamiętasz?

Vika powtórzyła słowo w słowo, kompletnie nic z tego nie rozumiejąc.

– Zapamiętam. Niczego nie zapomnę – obiecała. – Jak mam panią zawiadomić, gdy uda mi się nawiązać kontakt?

– Nie będziesz mnie o niczym zawiadamiać. Twoim zadaniem jest tylko przekazanie informacji – wyjaśniła rzeczowo Mary Sue.

– Jeśli nie uda mi się nawiązać kontaktu, to pani się o tym nie dowie – pouczyła ją przemądrzałym tonem Vika.

– Och, po prostu dopilnuj, żeby wypełnić misję – odparła Mary Sue, przywołując najzimniejszy uśmiech Felicji, jaki była w stanie sobie przypomnieć.

Dziewczyna momentalnie straciła rezon i nieco się przygarbiła. Bała się cokolwiek odpowiedzieć. W panującej ciszy słychać było jedynie szmer fontanny.

– I jeszcze jedno – odezwała się w końcu Mary Sue. – Postaraj się nie wychylać w najbliższych dniach i natychmiast zakończ działalność TakeIT.

Vice niespodziewanie zrobiło się miło, że najważniejsza kobieta na świecie zapamiętała nazwę jej holo. Zdusiła to uczucie w zarodku. Czyż nie tak rodzi się syndrom sztokholmski?

– Zrób, o co cię proszę, a ja sprawię, że twoje nazwisko nie znajdzie się na liście szczęśliwych pasażerów – dokończyła Mary Sue i wstała.

Skinęła na asystenta. Podszedł natychmiast, a wraz z nim dwaj żołnierze.

– Odprowadźcie dziewczynę do bocznego wyjścia i puśćcie wolno – rozkazała. – A ty – spojrzała na asystenta – chodź ze mną. Mamy jeszcze parę spraw do omówienia.

Z zadowoleniem patrzyła, jak bez słowa wykonują jej polecenia. Pomyślała, że władza absolutna sama w sobie nie jest zła, jeśli służy dobrym celom i jest sprawowana przez dobrych ludzi. Nie przyszło jej jednak do głowy, że ocena wartości celów bywa subiektywna, a dobrzy ludzie nie dla wszystkich są dobrzy. Nikt jej również nie ostrzegł, że władza uzależnia jak narkotyki.

Profesor Howard czuł koszmarnie wyrzuty sumienia w stosunku do Allie. Uważał, że zawiódł zaufanie zarówno dziecka, jak i matki. Odczuwał wstyd i wyjątkowy niesmak po nieprzyjemnej rozmowie z Monicą. By wyrzucić to z głowy choćby na chwilę, sięgnął po nośnik z kolejnym artykułem Jany Novakovič.

*Nowy Jork, 28 grudnia 2028 roku*

*To były wystrzałowe i z pewnością niezapomniane święta. Wystrzałowe dla sześćdziesięciu trzech spacerowiczów zastrzelonych przez terrorystów w pierwszy dzień świąt w Central Parku i niezapomniane dla rodzin ofiar. Napastnicy, oczywiście ubrani na czarno, zamaskowani, ale z opaskami Kościoła Odnowy na ramionach, otoczyli kilka wcześniej wybranych obiektów. Musieli podejść do zadania metodycznie. Wszystkie cele były placami zabaw dla dzieci, a pogoda terrorystom wybitnie sprzyjała. Od samego rana świeciło słońce, śnieg skrzył się pod nogami. Nowojorczycy całymi rodzinami spacerowali po parku, a dzieci biegały pomiędzy drabinkami i huśtawkami. Najwięcej ludzi zginęło na placu zabaw Heckschera. Terrorysty otoczyli kordonem rodziny z dziećmi i zacieśniając krąg, strzelali do nich jak do kaczek. Nielicznych, którzy próbowali uciekać z mniejszymi dziećmi w ramionach, zdejmował snajper stojący na pobliskiej skale. Nieomal tyle samo ofiar było na lodowisku Woolmana. Bezradni ludzie padali na taflę, która niemal w całości zmieniła kolor na czerwony. Przybyli na miejsce opieszali policjanci nie zdążyli oddać pojedynczego strzału, gdy zostali ostrzelani przez terrorystów. Większość od razu rzuciła broń i podniosła ręce. Co ciekawe, część policjantów pośpiesznie założyła opaski, identyczne jak te należące do terrorystów.*

*Droży Czytelnicy, 25 grudnia roku 2028 bezpowrotnie umarł nasz kraj i narodziła się dyktatura. W orędziu noworocznym nasz prezydent, Carl Wilson, zamierza podać się do dymisji, a na czele Rządu Tymczasowego ma stanąć fanatyk Patrick Lawrance. Rozwiązanie Kongresu jest tylko kwestią czasu, zresztą już teraz pewnie połowa kongresmenów i większość reprezentantów należy do Kościoła Odnowy Świata. Boże, chroń Amerykę przed religijnymi szaleńcami.*

*Co napisała dla Państwa, po raz ostatni w wolnym świecie,  
Jana Novakovič*

Profesor westchnął ciężko i zamknął dokument. Zgodnie z jego wiedzą zaledwie kilka tygodni później Jana prawdopodobnie nie żyła. Teoretycznie oficjalne śledztwo toczyło się po kątem zaginięcia, ale szybko je umorzono z braku poszlak. Jeśli w tym samym czasie władzę przejął Kościół Odnowy Świata, to nie trzeba mieć nadzwyczajnej wyobraźni, żeby odgadnąć, co się przydarzyło dziennikarce.

Howard sięgnął dla odmiany po niebieską książeczkę wielebnego i uderzyła go myśl, że już po raz ostatni odnajduje kontekst dzięki Janie i odtąd aż do końca lektury dziennika Lawrence'a będzie truł mózg wyłącznie chorą wizją fanatyka.

5 stycznia 2029, Waszyngton

*Czy odczuwa się szczególne uniesienie, zasiadając za biurkiem w Gabinetcie Ovalnym? Zapewne moim poprzednikom musiało się to bardzo podobać. Dla mnie, wielebnego Patricka Lawrence'a, to brzemię, które przyjąłem z godnością, ale i z głęboką pokorą wobec Boskiego Planu. Ten przebiega bez zakłóceń. Bojownicy Kościoła Odnowy Świata realizują dzieło świętego zniszczenia, a ich szeregi rosną każdego dnia. Wyznawców ciągle przybywa. Udało się rozwiązać Kongres i przejąć większość struktur wojskowych bez jednego wystrzału. Mówią, że rewolucja musi być krwawa – i właściwie tak jest – a to zwyczajcy decydują, kto przeleje krew. Demokracja, ten przestarzały i przynoszący więcej szkód niż pożytku system, właśnie umiera, a wraz z nią jej ostatni zagorzali zwolennicy. Senatorowie, dyrektor FBI i paru innych ograniczonych głupców czeka już na egzekucję w tajnej bazie wojskowej w Kentucky. Jest z nimi Amanda Torres, stojąca dotychczas na czele Departamentu Oświaty. Sama jest sobie winna. Otrzymała ode mnie ofertę kierowania reformą szkolnictwa. Wysłuchała, ale najwyraźniej nie wykazała zrozumienia dla planu stworzenia sieci przedszkoli na wzór naszych, założonych z sukcesem przy Wspólnotach Wiernych, w których wychowuje się dzieci tak, by nie zaszczepiać im starych wzorców i wprowadzić model społeczny pozbawiony rodzinnych więzi. Silne społeczeństwo potrzebuje mocnych ludzi, a więzy rodzinne niepotrzebnie ich osłabiają i obnażają słabe punkty.*

*Dużo pracy przed nami, jednakże z Bożą pomocą osiągniemy sukces. Im prędzej zlikwidujemy dotychczasowe fałszywe religie, które opierają się na wybaczeniu, a co za tym idzie – rozgrzeszaniu ludzi za błędy i złe postęпки, tym prędzej ludzie zrozumieją, że istnieje tylko jedna słuszna droga, którą jest Kościół Odnowy Świata. Akt wymierzania Bożej sprawiedliwości, jaki ostatnio miał miejsce w dniu tak zwanego Bożego Narodzenia w Central Parku, był tylko ostrzeżeniem, by nie czcić fałszywych bożków i nie obchodzić szatańskich świąt. Z podobną stanowczością wymierzmy sprawiedliwość wyznawcom islamu podczas ramadanu. Nie spoczniemy, dopóki nie zatriumfuje jedyny prawdziwy Kościół Odnowy Świata.*

Profesor miał dość tego bełkotu. Yeshi Gyatso mówił, że zapiski są ciekawe, a wielebny był pożytecznym idiotą rewolucji. I w obydwu przypadkach miał rację. Tylko że wiedza, jak to się wszystko skończyło i jak duży wpływ miało na totalitarny świat, w którym Howardowi przyszło żyć, wprawiała w przynębnienie. Zrozumiał, że zajmując się pracą badawczą, w której mała, słodka Allie grała rolę królika doświadczalnego, po prostu usiłował zająć czymś myśli i do czegoś się przydać. Wszystko było lepsze niż rozpamiętywanie bezużytecznego życia w całości spędzonego w totalitarnej, chorej rzeczywistości. Do Howarda dotarło, że nawet jeśli ten świat kiedykolwiek się zmieni na lepsze i zniknie światowy totalitaryzm z Radą Dwunastu na czele, on już tego nie doczeka. Umrze pokonany przez system, do którego umocnienia sam haniebnie się przyłożył swoją pracą badawczą. I jeśli ktokolwiek z potomnych go wspomni, to wyłącznie jako szkodnika. Profesor westchnął ciężko i zaczął powoli iść w stronę wyjścia

z biblioteki. W przedśionku natknął się na Yeshiego Gyatso. Mnich klęczał przed małym posągami Buddy i podpalał wonne kadzidelka.

– Zanim Karma Wangyal został mnichem, a później przełożonym klasztoru, mieszkał w Katmandu i był pospolicim przestępcą – odezwał się bibliotekarz, nie odwracając się w stronę profesora. – Jednak kiedy w bójce ulicznej zabił człowieka, zrozumiał, że teraz już na zawsze będzie mordercą. Nie spał i nie jadł przez tydzień, za to próbował medytować. Po tygodniu pojął, że jeśli nie chce odejść ze świata jako ten, który zamordował człowieka, musi zrobić coś, co sprawi, że inni będą woleli mówić o nim jako o tym, który dokonał czegoś dobrego, i może w ten sposób zmaże choć trochę swojej winy, która zżerała mu po kawałku umysł. Postanowił więc ruszyć w świat i pomagać każdemu, komu pomóc zdoła. Po wielu miesiącach chodzenia od wioski do wioski, gdzie pracował przy żniwach jęczmienia, budowaniu domów i opiece nad zwierzętami, Karma Wangyal uznał, że nawet lawina małych dobrych uczynków nigdy nie zasypie tego jednego naprawdę bardzo złego. Nie wiedząc, co robić, szedł dalej przed siebie i miał nadzieję spotkać kogoś, komu będzie mógł podarować bezcennie dobry uczynek. Nie wiedział, co by to mogło być, aż do dnia, kiedy przechodząc obok wezbranego po wiosennych roztopach strumienia, usłyszał krzyk. Pobiegł w jego kierunku i wkrótce ujrzał niedużego staruszka miotanego przez wodę na wszystkie strony. Podszedł bliżej z zamiarem wskoczenia do rzeki, ale starzec krzyknął, żeby tego nie robił, bo szkoda młodego życia za jego stare. Karma Wangyal poczuł, że właśnie ma szansę zrobić swój dobry uczynek. Jeśli odda życie za tonącego starca, to już nikt nigdy o nim nie powie, że jest człowiekiem, który odebrał życie drugiemu, tylko kimś, kto je podarował. W ułamku sekundy, zanim skoczył do wzburzonej wody, Karma Wangyal zrozumiał, że życia nie można mieć. Można je oddać albo odebrać, ale zawsze będzie to życie pożyczone od upływającego niczym rzeka czasu. Nie namyślając się dłużej, rzucił się w odmęty. Udało mu się dogonić starca. Wypchnął go na brzeg, a później pochłonęła go ciemność. Obudził się, gdy zrobiło się już zupełnie ciemno, i zrozumiał, że ciągle żyje, jest mu ciepło i leży na wygodnym materacu, przykryty grubym kocem. Siedział przy nim staruszek, którego wcześniej uratował. Opowiedział o wieśniakach z pobliskiej wioski. To oni wyłowili Karmę z rzeki, ratując mu życie, więc mógł je znów na trochę wypożyczyć od upływającego czasu. Załadowali go nieprzytomnego na wóz i przywieźli do klasztoru, w którym staruszek był przełożonym. Karma Wangyal został tu do końca życia, a gdy zmarł, mówiono o nim: to był ten mnich, który uratował życie człowieka.

Bibliotekarz skończył opowieść i podniósł się z klęczek. Stał przed Howardem i poważnie na niego patrzył.

– Chcę przez to powiedzieć, John, że nie możesz się poddać. Jeszcze nie dokonałeś rzeczy, które będą kiedyś wspominać.

Profesor skinął głową i wrócił do biblioteki. Postanowił, że musi się dowiedzieć wszystkiego o Wielkim Resecie, odnaleźć ojca Allie i opracować plan wydobycia dokumentów z domu Felicji Lawrance. Nie zamierzał prosić o pomoc żadnego z przyjaciół. Nie chciał ich narażać na niebezpieczeństwo. Zrobi to po swojemu, nawet jeśli miałby to być ostatni uczynek w jego pożyczonym od upływającego czasu życiu. Jedyne, czego potrzebował, to dostęp do Worldwebu. Był pewien, że Yeshi Gyatso zrozumie jego plan i pozwoli skorzystać z łączącego wychodzącego.





Przewodniczący Wordsworth siedział na kanapie w salonie swojej reprezentacyjnej miejskiej rezydencji. Bywał tu tylko wtedy, gdy musiał, bo miasto doprowadzało go do szału. Od ostatniego pobytu zmieniło się tylko to, że teraz zza okna dobiegały gwizdy i okrzyki kolejnej manifestacji, jaka musiała się odbywać akurat pod jego domem. Z irytacją zamknął okno tarasowe i wrócił na poprzednie miejsce. Naprzeciwko niego na bliźniaczej kanapie siedział Jack O'Brian i niespiesznie popijał whisky. Był ostatnim kompanem, jakiego mógł sobie życzyć Wordsworth, ale musiał się rozmówić z tym zdradzieckim dupkiem, i to na możliwie neutralnym gruncie, ale jednak bez świadków i ewentualnych podsłuchów. Miejska rezydencja spełniała wszystkie te warunki.

– Nie pojmuję, Jack, jak możesz mieszkać w tym cholernym mieście – powiedział Wordsworth.

– Kwestia przyzwyczajenia, Eugene – odparł O'Brian. – Poza tym jestem w samym centrum wydarzeń.

Wordsworth nie skomentował. Doskonale wiedział, że w ten niezbyt subtelny sposób Jack próbuje mu przekazać, co myśli o ludziach ukrywających się na prowincji. Nie wiedział, że tam, z dala od wścibskich oczu, można się cieszyć swobodą i prawdziwie pierwotną władzą i nie martwić tym całym szambem, jakie wylało się w miastach. Że można w każdej chwili bezpośrednio decydować o życiu i śmierci. Przypomniał sobie wczorajsze siostry. Właściwie nie były podobne, ale obie wzruszająco młode. Gdy kończył z pierwszą, ta druga tak podniecająco błagała o życie dla tamtej i siebie, że nawet teraz poczuł ciarki na plecach. A potem ucichła i bezgłośnie patrząc na swoją uduszoną siostrę, poddała się bez żadnej walki i czekała na nieuchronny koniec. To było bardzo interesujące doświadczenie, a nie doznałby go, mieszkając w tej rezydencji. Jego służba na wsi to byli przede wszystkim niewolnicy, ale i personel zatrudniony za przyzwoite pieniądze. Teoretycznie wolny. Tylko że o ile na pustkowiu ci ludzie nie wychylali nosów poza rezydencję, o tyle w mieście mieliby pewną swobodę wychodzenia na ulice i rozsiewania plotek o życiu swojego pana.

– Co kto lubi, stary – skwitował. – Co sądzisz o dzisiejszym zachowaniu Felicji na obradach?

O'Brian zastanawiał się nad odpowiedzią chwilę za długo. Dokładnie tyle, by przewodniczący się domyślił, że jego stary druh zaraz powie nie to, co mu chodzi po głowie, tylko to, co jego zdaniem Eugene chciałby usłyszeć.

– Moim zdaniem zachowywała się normalnie. Może była trochę bardziej milcząca niż zwykle, a to u niej oznacza, że intensywnie myśli nad czymś ważnym.

– Nie wydała ci się dziwna? Jakaś inna? – indagował Wordsworth.

– Pokłóciliście się? – roześmiał się rubasznie Jack. – Nie wierzę, że nie wiesz, jak uspokoić kobietę!

– Umieć lepiej, niż myślisz – warknął Eugene, a wyobraźnia ponownie podsunęła mu obraz martwych sióstr. – Zresztą ty chyba też nie masz z tym problemu, Jack. Kim była ta zjawiskowa blondynka, którą ostatnio gościłeś w swoim domu?

– Nie wiem, o kim mówisz.

– A mnie się wydaje, że doskonale wiesz. Siedziała w twoim fotelu, trzymając w dłoni kieliszek z winem. I to zaledwie dwa dni temu.

– A miałaś to okazję zaobserwować, gdy przypadkiem wywołałeś alarmowe połączenie wizualne – odparł O'Brian, bardzo mocno akcentując słowo „przypadkiem”.

Wordsworthowi nie umknął sarkazm, ale nie zrobił na nim wrażenia. Oddał się wizji, w której zachodzi Jacka od tyłu i zarzuca mu na szyję garotę tnącą, starożytny przyrząd do zabijania przez duszenie z jednoczesnym poderżnięciem gardła.

– Pora się już pożegnać, Jack – powiedział z roztargnieniem. – Niezwłocznie muszę wracać do siebie. Właśnie dostałem wiadomość, że wydarzyło się tam coś istotnego.

Eugene wstał i niepomny faktu, że właściwie jest gospodarzem domu i powinien odczekać, aż gość się pożegna, po prostu wyszedł. W jednej chwili zapomniał o rozmowie, jaką chciał przeprowadzić z Jackiem na temat zniknięcia biomodów i niesubordynacji Sekcji 2. Postanowił odwiedzić Felicję, by ostatecznie się upewnić, że zabił sobowtóra. To jednakże też musiało poczekać. Coś pchało go do domu. Ale nie na rancho, tylko do starej rezydencji, gdzie spędził wiele lat i gdzie dorastała Sara. Nie był tam od bardzo dawna i zajęty ważniejszymi rzeczami zapomniał, że czekają na niego pewne sprawy wymagające uporządkowania.

Jack O'Brian niespiesznie dopił whisky i wstał z kanapy grawitacyjnej. Nie bez ulgi. Problemów z grawitacją miał ostatnio sporo. Teraz też zmierzał prosto do bazy lotniczej Geneo, by niezwłocznie odlecieć na Arkę 173, której oficjalnie nie było w dokumentacji, gdyż kończyła się ona na numerze 149. Właśnie w związku z zamieszkami oraz niestabilną sytuacją Rządu Światowego przerwano budowę jubileuszowej sto pięćdziesiątej. Arka 173 była prywatnym projektem generała. Jego pozycja głównodowodzącego Geneo dawała pewne pole manewru. Budowa prywatnej stacji kosmicznej tuż pod nosem głupich cywilów i coraz bardziej drażniących go polityków z Rady Dwunastu była dziecinnie prosta. Wystarczyło wykorzystać potencjał baz militarnych, zastraszyć paru podwładnych, a opornych usunąć. Środki defraudował przez wiele lat, ale w granicach rozsądku. Wiedział, że nadmierna pazerność może go zgubić, więc nie pędził z realizacją projektu. Za to przez wszystkie te lata dopracował go w najdrobniejszych szczegółach i to przy pomocy bardzo zdolnych ludzi, wyrwanych z przyzakładowych przedszkoli, Akademii G i niższych struktur Geneo.

Jack O'Brian nie odczuwał specjalnej różnicy pomiędzy nadrodowcami a klasami niższymi. Dla niego ważne były umiejętności. Faworyzował wyłącznie tych, którzy mogli coś dla niego zrobić, i bynajmniej nie otaczał ich ojcowską opieką. Nie liczył się człowiek, tylko potencjał, jaki mógł wnieść w ulubiony projekt generała. A gdy potencjał się wyczerpywał, to Arka 173 dysponowała własną ubojnią i zakładem przetwórci protein, do którego trafiali wyeksploatowani pracownicy. Wokół projektu miała panować cisza. Żadnych plotek i wycieków danych.

O'Briana ogromnie cieszył konflikt pomiędzy Felicją i Eugene'em. Byli dowodem na coraz większe odrealnienie władz. Członkowie elity politycznej dzierżyli urzędy odziedziczone po rodzicach i w swej naiwności wierzyli, że świat, w którym się urodzili, jest jedynym, jaki kiedykolwiek będzie istniał. Nie zadawali sobie trudu sięgania do historii. Ich snów nie

zakłócały koszmary o upadku systemu. Nie mieli pojęcia o Wielkim Resecie i nie potrafili pojąć nawet tak prostej rzeczy, że odcięcie od żarcia i picia zetrze ich opór na proch w ciągu trzech dni. Nigdy nie słyszeli o żołnierskiej dyscyplinie i prawdopodobnie najmniejsze problemy z aprowizacją obnażą ich bezradność. A to było generałowi na rękę. O niczym nie marzył tak mocno jak o obaleniu Rządu Światowego, którego był członkiem.

Uważał, że sam powinien stanąć na czele władz, wspomagany przez juntę Geneo. Psychiczenie chory Wordsworth, szukający potwierdzenia swojej władzy w gwałceniu i mordowaniu nieletnich dziewcząt, oraz fałszywa Felicja byli ludźmi, których powinno się natychmiast odsunąć od władzy. Podobnie jak anemicznego Martina Wise'a, jego małżonkę i pozostałych otępiałych przedstawicieli rządu.

Jack O'Brian miał szpiegów wszędzie. Doskonale wiedział, że obecna Felicja jest uzurpatorką, ale po głębokim namyśle uznał, że właściwie ten stan rzeczy doskonale łączy się z jego planami. I jeśli uda mu się utrzymać Wordswortha w przekonaniu, że kobieta jest prawdziwa, to chaos w najwyższych kręgach władzy wybuchnie dopiero wtedy, gdy Jack sięgnie po władzę absolutną na Ziemi przy pomocy oddanych funkcjonariuszy z tajnej komórki o nazwie Sekcja 2. I oczywiście przy niechętnej współpracy biomodów uprowadzonych na Arkę 173. W ich zadziwiających umysłach był klucz do przechwycenia wszystkich Ark.

Połączone w jedną, oderwaną od ziemskiej władzy całość stworzą imperium O'Briana i wypowiedzą wojnę planecie osłabionej walkami o sprawiedliwość społeczną. Generał uśmiechnął się do swoich myśli i opuścił pospiesznie okazały pałac Wordswortha. Wojskowy autolot z czarnym napisem GENE0 na boku poderwał się do lotu, gdy tylko O'Brian wsiadł do środka. Generała czekał krótki lot do bazy, a potem nieco dłuższy, bo ośmiogodzinny przelot na Arkę.

Jego pojazd nie potrzebował kosmodromu Freedom i platform wyciągających z mozołem wahadłowce na orbitę. To był przestarzały system, który Jack nieustająco chwalił na sesjach Rady Dwunastu i płomiennie podkreślał zalety scentralizowanej władzy. A na boku robił swoje. Zbroił Arki, by podbić Ziemię. Pojazd kosmiczny nowej generacji przemknął nad stolicą Ameryki 5. Nie zauważyły go radary, bo nie miały wgranej odpowiedniej dla metamateriałów technologii namierzania. Jack rozparł się wygodnie w fotelu pasażera i w myślach odliczał minuty do spotkania z Alexandrą.



Alex opadła z sił. Rozejrzała się po hangarze i kolejny raz zdziwiła się, że nie ma w nim żywego ducha. Chłopaczek spał przytulony do jej ramienia. Ukucnęła i posadziła go tuż przed drzwiami do kopuły generała. Dzieciak przez chwilę walczył z opadającymi powiekami. Serce ją bolało na widok jego siniaków i smutnej twarzy, ale wiedziała, że sama sobie nie poradzi. Wyciągnęła z kieszeni spodni metalowy klucz i odchyliła do tyłu głowę Jerry'ego. Posłusznie podniósł do góry brodę i zamarł w bezruchu. Alex otworzyła kask i ostrożnie zdjęła go z głowy chłopca. Otworzył oczy i blado się do niej uśmiechnął.

– Jerry, słuchaj, wiem, że jesteś zmęczony, ale tuż za tymi drzwiami prawdopodobnie stoi robot i z całą pewnością nie ma dobrych zamiarów. Gdy tylko wejdziemy, zaczniesz do nas strzelać. Jeśli masz jakiś pomysł, jak go ominąć, to lepiej mi powiedz, bo czasu mamy niewiele – ponagliła go.

– Robot nic nam nie zrobi. Zresztą roje czujników też nie. Lepiej się weź do sprzątaniaszkła z porozbijanych kamer. Generał będzie tu za osiem godzin i nie może się domyślić, co się stało.

Alex zastanawiała się w duchu, skąd dzieciak wie, że rozbiła kamery, jak unieszkodliwił maszyny, a nade wszystko skąd ma informację, kiedy O'Brian wróci do bazy.

– Umie odczytać wszystkie informacje ukryte w urządzeniach, które mnie otaczają – wyjaśnił Jerry, a Alex aż się wzdrygnęła na myśl, że dzieciak umie czytać w jej myślach. – Roboty zobaczyłem dzięki kamerom nad wejściem, a z centralnej bazy danych domu dostałem raport o niedziałających urządzeniach. Następnym razem, gdy zechcesz demolować sprzęt u generała, upewnij się, że zniszczyłeś naprawdę wszystko, żeby nie zostawiać dowodów. Oczywiście pozostałym kamerom usunąłem pamięć. Sceny z demolki były już na głównym serwerze, ale na twoje szczęście jeszcze nikt ich nie wyświetlił, więc nie zostało po nich śladu – dodał z zaferowaniem.

Alex powstrzymała się od pytania, w jaki sposób dowiedział się o rychłym powrocie Jacka. Zrozumiała, że ten dzieciak jest podobny do Allie i prawdopodobnie dokonywał niesamowitych rzeczy, nie mając interfejsu.

– Jerry, ufam ci – powiedziała uroczyście. – Wchodzimy?

Mały pokraśniał z dumy i skinął przytakująco głową. Alex podniosła go z ziemi. Jego nogi wciąż odmawiały posłuszeństwa. Po raz kolejny pomyślała, że chętnie zabiłaby tego, kto więził chłopca w klatce, i uświadomiła sobie, że tym kimś jest pośrednio generał. Niewykluczone, że jej życzenie wkrótce się spełni. Postanowiła zrobić wszystko, żeby Jerry nie wrócił do klatki. Nie wiedziała jeszcze, co konkretnie, ale jeśli będzie trzeba, wybrnie z tego nawet po trupie O'Briana.

– Nie musimy być cicho – ogłosił dzieciak. – Wyłączyłem wszystkie alarmy i podsłuch.

– Zuch chłopak! – pochwaliła go Alex i otworzyła drzwi do domu pod kopułą.

Robot stał dokładnie w tym samym miejscu, w którym go zostawiła. Pręt, wcześniej wbity w korpus maszyny, leżał na podłodze. Alex widziała doskonale, że proces regeneracji był na ukończeniu. A jednak robot się nie ruszał i w żaden sposób nie reagował na ich obecność. Alex ominęła go pospiesznie i lawirując pomiędzy potłuczonymi fragmentami obudowy, poszła w głąb domu.

– Zaniosę cię do mojego pokoju i położę spać, dobrze? – zapytała chłopca. – A sama posprzątam i potem przyjdę do ciebie. Mamy osiem godzin, więc trochę snu nam się przyda. O'Brian nigdy nie wchodzi do mojego pokoju, ale jest jeszcze doktor Ella...

– Doktor Ella? – wyszeptał Jerry. – Ona tu przychodzi?

– Tak, codziennie.

Dzieciak przywarł do niej mocniej i zaczął się trząść. Alex nie musiała o nic pytać. To Ella była jego dręczycielką z medlabu.

– Nie znajdzie cię. Nie pozwolę na to – powiedziała z mocą. – Jeśli będzie trzeba, to ją zamknę w klatce.

Jerry nie odpowiedział, ale nieco się rozluźnił. Wkrótce weszli do pokoju Alex. Chłopak zjadł czerstwy rogalik, jakby był najwspanialszą potrawą na świecie. Alex westchnęła ciężko.

– Rzadko dają mi jeść – wymamrotał z pełną buzią. – Doktor Ella powiedziała, że to ma coś wspólnego z ośrodkiem sytości. Nie wiem, o co chodzi, ale podobno jeśli jestem głodny, to mózg lepiej pracuje.

Alex zmełła przekleństwo w ustach i postanowiła, że w razie konieczności nad trupem doktor Elli też nie będzie rozpaczka. Poglaskała małego po zmierzwionych czarnych włosach i uśmiechnęła się do niego z trudem.

– Napij się jeszcze i idź spać.

Niewiele wiedziała o dzieciach, ale nie przypuszczała, żeby w obecnej chwili był sens martwić się o to, czy wyszorował ząbki i czy ma piżamkę. Mały położył głowę na poduszce i ufnie zamknął oczy. Po sekundzie spał.



Vika Novakovič oddalała się pospiesznie od bramy rezydencji sekretarz Lawrance. Obracała w myślach wiadomość, którą tamta poleciła jej przekazać tajemniczemu Jordanowi. Podejrzała, że Mary Sue jest jakąś zakładniczką Felicji i za jej wydanie Jordan będzie musiał jakoś zapłacić. Jaką rolę odgrywał w tym Hassan Maluf? I z kim rozmawiał w domu nad jeziorem? Czuła, że nie powinna się tym zbyt mocno interesować, ale jej reporterska dusza nie dawała za wygraną. Stawiając równe, szybkie kroki po chodniku z wyrwanymi krawężnikami, pospiesznie przeszukiwała zasoby interfejsu w poszukiwaniu Hassana Malufa. Znalazła kilka odnośników, a wszystkie miały kod geograficzny „Afryka 3”. Co łączyło Felicję Lawrance z facetem z okolic Kairu? Wyświetlone treści nie wniosły niczego do tych rozważań i każdy dotyczył innej osoby. Widocznie personalia „Hassan Maluf” były dość częste w Obszarze Afryka 3. Zresztą nawet gdyby dotyczyły jednej osoby i tak niewiele by to zmieniło. Kilka logów do przymusowych gier abonamentowych i wzmianka o mandacie od policji obyczajowej. Tego typu przewinienia podawano do wiadomości publicznej na stronach wydziału Obyczajówki. Przeważnie dotyczyły nadrodowców i miały na celu zawstyżenie osoby popełniającej wykroczenie. W praktyce były symboliczną karą wymierzaną zamiast grzywny lub więzienia za przestępstwa drogowe wobec niższych kategorii obywateli. Łącznie z wypadkami ze skutkiem śmiertelnym z winy nadrodowca. Czy to właśnie o tego Hassana chodziło? Jeśli tak, to był nadrodowcem, jak ona i Felicja.

Pozostawała jeszcze sprawa Mary Sue, być może przetrzymywanej przez sekretarz Lawrance. Nie znała jej nazwiska, więc wyszukiwanie nie przyniosło żadnych rezultatów. Na próbę skojarzyła jej imię z personaliami Hassana. Zero wyników. Wszystko w tej sprawie było podejrzane i Vika miała świadomość, że drążąc temat, prosi się o kłopoty. Jak miała dyskretnie przekazać wiadomość, jeśli łąca były cały czas monitorowane przez Geneo i Obyczajówkę? I jak znaleźć adresata, nie dysponując właściwie żadną wiedzą?

Vika ominęła na wpół spaloną barykadę zbudowaną z parkowych ławek i przyspieszyła kroku. Jeśli istniał na tym świecie ktokolwiek, kto wysłuchałby w skupieniu jej problemów i pomógł je rozwiązać, to tylko ojciec. Oczywiście pod warunkiem, że matka wyszła z domu na ploty do sąsiadek. Podjęła decyzję i odczuła pewną ulgę. Napięcie jej nie opuszczało, ale wyznaczyła sobie cel i choć wiedziała, że ojciec nie jest człowiekiem ustosunkowanym, to na pewno sporo wie. Poza tym był jej tatusiem, bohaterem i nie wyobrażała sobie, żeby zostawił ją na lodzie. Vika pomyślała o dzieciakach z fabryki i dotarło do niej, że one takiego wsparcia nigdy nie miały i mieć nie będą.

Przeskoczyła kałużę. Nie umiała sformułować tej myśli do końca, ale wraz z kałużą przeskoczyła też pewne uprzedzenia. Ludzie z fabryk mieli takie same uczucia, jak ona. I nie odpuści stacji TakeIT. To był kawałek jej duszy. Być może nie do końca rozumiała wcześniej, co powinna z tym robić, ale teraz zobaczyła to z całą ostrością. Przystanęła na chodniku i odwróciła się w stronę ogromnej rezydencji Felicji Lawrance. Górowała nad okolicą i wysyłała jednoznaczny sygnał dominacji nad pomniejszymi nadrodowcami, takimi jak Vika. Skoro na niej robiło to wrażenie, to co ta demonstracja siły mogła oznaczać dla robotników?

Dziewczyna ruszyła pieszo w stronę osiedla nadrodowców, które było jej światem. Pozbawiona aplikacji Wersal i wzbogacona o aplikację SeeIT widziała świat taki, jakim był. Propaganda może sobie mówić co chce, ale Vika miała tryb realu i jej oczy nie ulegały rządowym fałszom. SeeIT działał bez zarzutu. W chwilach gdy obraz nagle się zamazywał, wystarczyło zamrunąć i momentalnie pojawiała się prawdziwa scena. Szła poboczem drogi, którą zwykle pokonywała autolotem. Wokół wałało się mnóstwo śmieci.

Vika zadała sobie pytanie, czy śmieci były tu zawsze, czy są pozostałością po demonstracjach antyrządowych organizowanych przez plebs. W tej chwili było jej to właściwie obojętne. Ze zdumieniem odkryła, że jest głodna, a w zasięgu wzroku nie było dystrybutorów przekąsek, które widziało się na każdym rogu ulicy, pod warunkiem że miało się wszczepiony system TOW. Spojrzała w dal. Osiedle, już nie tak rześkie oświetlone jak kiedyś, widniało w oddali. Vika oszacowała, że ma przed sobą co najmniej godzinę marszu. Uznała, że dobrze jej to zrobi na uspokojenie emocji.

Autolot podchodził do lądowania. Wordsworth oglądał przez okno powiększający się z każdą chwilą dom. Gościł tu po raz pierwszy od dwóch lat, czyli od czasu, gdy Sara uciekła. Dziwnie było tu wracać, zwłaszcza że nigdy nie powiedział, iż odchodzi, niczego nie wyjaśnił i nie zamknął ważnych spraw. Mógł się założyć, że jego bielizna osobista nadal leży w szufladach, a pościel w prywatnym apartamencie jest regularnie wymieniana na świeżą.

Przywilejem władcy świata – bo tak lubił o sobie myśleć przewodniczący – było posiadanie rozlicznych nieruchomości utrzymywanych przez oddaną służbę. Nie musiał się nawet zastanawiać nad nadzorowaniem i finansowaniem tego wszystkiego, gdyż robiła to aplikacja w porozumieniu z systemami zarządzania konkretnymi domami. W skrócie działało to tak, że dom jako jednostka podlegał systemowi, który zbierał zapotrzebowanie na żywność czy środki higieny, a aplikacja zawiadywała zamówieniami i wysyłkami.

Autolot wyładował. Nikt nie wyszedł Eugene'owi na powitanie, co specjalnie go nie dziwiło. Trudno czekać po dwóch latach. Dopóki była tu Sara, traktował to miejsce jak dom i czuł wewnętrzny przymus, żeby się pojawiać. Rancho z kolejnymi scenariuszami epok, łącznie z niedawnym Wersalem, było wówczas jedynie miejscem ucieczki. Wspominając dom, miał na myśli ten dzielony z Sarą i jej matką, Eleonorą. Po ucieczce dziewczyny pękły ostatnie więzy, skończyły się skrupuły i Eugene odszedł. Eleonora nie interesowała go już od dawna. Utrzymywali iluzję tylko dla dobra dziecka. To było w czasach, kiedy Wordswortha obchodzily jeszcze uczucia drugiego człowieka.

Podszedł do drewnianych dwuskrzydłowych drzwi wejściowych i ze zdziwieniem zauważył, że są uchylone. Skinął ręką na kierowcę stojącego obok autolotu. Ten natychmiast podbiegł i wyjął z kabury pistolet. Wszedł pierwszy, przez chwilę lustrował wnętrze.

– Czysto – zameldował cicho.

Przewodniczący zajrzał do środka. Hol był całkowicie zdemolowany. Obrazy w pozłacanych ramach ktoś pociął tak, że pasy płótna smętnie zwisały, a większość lamp rozbito w drobny mak. Na podłodze wałały się sterty śmieci. Nie spodziewał się znaleźć nikogo. Od razu było widać, że budynek jest od dłuższego czasu opuszczony. Pospiesznie sprawdził w interfejsie, kiedy ostatnio dom składał zamówienie na jakiegokolwiek produkty. Rok temu. Rozzłościł się w duchu, że nie kontrolował takich rzeczy na bieżąco, i od razu sam się usprawiedliwił, że był zajęty ważniejszymi sprawami. Podświadomość szepnęła, że morderstwo młodych dziewczyn może człowieka mocno absorbować, ale Wordsworth ją zignorował.

– Szefie! – zawołał kierowca z głębi domu. – Może pan tutaj przyjść?

Wordsworth poszedł za głosem i wkrótce stanął w zdemolowanym salonie. Panował tu jeszcze większy bałagan niż w holu. Przewrócone, potłuczone lampy, pocięte kanapy i stopy

podartych książek. Książek unikatowych, papierowych i przez to bezcennych.

Wordsworth spojrział na kierowcę, który wskazywał palcem na stół, jedyny niezniszczony mebel. Na blacie leżała kartka z odręcznym pismem. Podczas gdy cały świat nie miał materiałów piśmienniczych, w domach przewodniczącego nigdy ich nie brakowało. Podobnie jak książek. Na ironię zakrawał fakt, że człowiek tworzący prawo sam je regularnie łamał i nie widział w tym śladu hipokryzji.

Sięgnął po kartkę. Notatka nie była długa:

„Eugene, jeśli to czytasz, to jestem daleko stąd. Żałuję każdej chwili spędzonej z Tobą w tym koszmarnym domu i bądź pewny, że nigdy tu nie wrócę. Eleonora”.

Przewodniczący zgniół kartkę i wsunął ją do kieszeni spodni.

– Poinformuj Geno – polecił kierowcy. – Niech sprzątną ten bajzel i zabezpieczą dom. Potem mają mi wysłać szczegółowy raport i niezwłocznie rozpocząć poszukiwania Eleonory Witecki. Nie interesuje mnie jak, ale mają ją wydstać choćby spod ziemi.

Nie czekając na reakcję kierowcy, wyszedł na zewnątrz. Nie miał ochoty oglądać niczego więcej i niczego nie pragnął zatrzymać na pamiątkę. Nie żywił żadnych sentymentów do tego miejsca. Kupił tę posiadłość krótko po tym, jak stracił Machiko i Yoshiego. Nie był do końca pewien, po co mu to było potrzebne, chyba próbował jakoś ukoić ból.

Dwupiętrową willę kazał umeblować z przepychem i wszelkimi możliwymi wygodami. Z ogromnym zaangażowaniem nadzorował urządzenie pokoju dziecięcego. To mu przynosiło ulgę. Wybierał regały i łóżeczko z myślą o swoim synu, ale nigdy się o niego nie upomniał. Uwierzył, albo raczej bardzo chciał wierzyć Felicji, że dzieciakowi będzie bez niego lepiej. Wordsworth wiedział, że to nieprawda, jednak nie postawił się kochance.

Zaraz po zakończeniu prac przewodniczący wpadł w kolejny ciąg alkoholowy, snuł się po pustych pokojach i szlochał, wspominając Machiko. Czarę goryczy przelała wizyta w dziecięcym pokoju. Nie zastanowił się, zadziałał pod wpływem impulsu, a nikt nie próbował go odwieść od decyzji podjętej w pijackim widzie. Nikt by się nie odważył. Tak samo nie oponował nikt z personelu medycznego oddziału położnic przy fabryce Space.corp, gdy Wordsworth ot tak przybył na wizytację w środku nocy i otwarcie pociągał whisky z butelki.

– Proszę mi pokazać wszystkie urodzone w ostatnich dniach dzieci – zażądał.

– Oczywiście, panie przewodniczący – powiedziała drobna złotowłosa lekarka, tłumiąc ziewnięcie i patrząc zielonymi, chyba nieco przestraszonymi oczami. – Proszę za mną.

Eugene nigdy wcześniej nie był w takim miejscu. Szpitalne łóżka ciągnęły się rzędami i były od siebie oddzielone wyłącznie zniszczonymi i niezbyt czystymi zasłonkami. Lekarka podchodziła do kolejnych łóżek i uśmiechała się do położnic. Najwyraźniej lubiła swoją pracę. Patrzył na nią z coraz większym uznaniem i z przyjemnością taksował szczupłą figurę.

– To Anita – powiedziała lekarka, przedstawiając mu kolejną położnicę. – Urodziła wczoraj synka. Ma na imię Jason.

Wordsworth przywitał się zdawkowo z matką i spojrział przelotnie na niemowlę. Nie wzbudziła w nim entuzjazmu i bez pożegnania odszedł na bok. Omiótł spojrzeniem salę. Z każdej strony wyzierało kompletne ubóstwo i brak sensownego wyposażenia. Mimo to lekarka wyglądała na autentycznie zadowoloną z życia i entuzjastycznie nastawioną do swojej pracy. Eugene mimowolnie jej pozazdrościł. On miał wszystko, rządził światem, a nic go nie cieszyło. Kobieta przeszła do kolejnego łóżka i uśmiechnęła się do pacjentki.



– To jest Elizabeth i jej maleńka córeczka Sara. Przyszła na świat dwanaście godzin temu – wyjaśniła Wordsworthowi.

Przewodniczący nie zaszczycił spojrzeniem matki, za to skoncentrował się na maleńkiej dziewczynce. Miała brązowe włoski i patrzyła gdzieś przed siebie wielkimi, jeszcze granatowymi oczami. Nie płakała, nie wierciła się i bezwiednie się uśmiechała. Była najładniejszą małą dziewczynką, jaką kiedykolwiek widział, i postanowił, że ją bierze. Kobieta w ogóle go nie interesowała. Miała przetłuszczone włosy i cienie pod oczami. I prawdopodobnie była obolała po porodzie. Może skróci jej bezsensowny żywot i każe jej dać bilet na Arkę?

– Proszę przygotować dziecko do podróży – rozkazał. – Wkrótce zjawi się ktoś z Geneo.

– O czym pan mówi? – zdenerwowała się lekarka. – Przecież Elizabeth nie może w tej chwili...

– Nikt nie mówi o Elizabeth – odparł zimno Eugene. – Tylko dziecko.

– Przecież ona potrzebuje opieki! Jest taka maleńka. Bez pierwszej opiekunki będzie wciąż płakała.

– To proszę zrobić tak, żeby nie płakała.

– A co z pierwszą opiekunką? Ma oddać dziecko i już? Przecież przepisy jasno mówią, że...

– Ja ustanawiam przepisy, droga pani! – wycedził Wordsworth, wpatrując się w dziewczynę.

Gniew jej służył. Oczy miały błyskawice, policzki poróżwiały, a zgrabne piersi zafalowały. Przewodniczący pociągnął z butelki i odstawił ją z trzaskiem na stojący obok mały stolik.

– W zasadzie zmieniłem zdanie – powiedział z rozbawieniem. – Zabieram dziecko i ciebie. Ktoś musi się nim zaopiekować i je nakarmić, prawda?

Eugene pstryknął palcami i od drzwi oderwało się nagle dwoje agentów Geneo. Podeszli do Elizabeth i bezceremonialnie odebrali jej zawiniątko z noworodkiem. Kobieta zaczęła łkać i błagać, a później przeraźliwie płakać.

– Nie możecie! – wrzasnęła lekarka. – Wy podłe skur...

– No, dokończ, panienko – wyszczał Wordsworth, chwytając ją mocno za rękę. – Chyba chciałaś coś powiedzieć, prawda?

Dziewczyna szarpnęła się gwałtownie, ale nie zdołała się oswobodzić. Mimo to patrzyła mężczyźnie wyzywająco w oczy.

– To dziecko jest własnością zakładu Space.corp – powiedziała, starając się powstrzymać emocje. – A ja jestem pracownikiem i należę do nadrodowców.

– A ja jestem Eugene Wordsworth i jestem przewodniczącym Rządu Światowego – odparł Eugene i czknął od nadmiaru whisky.

– I co z tego? – warknęła.

Uderzył ją w twarz. Lekko. Nie miał zamiaru psuć nowego towaru.

– Zabierzcie ją do rezydencji – rozkazał ludziom z Geneo.

Funkcjonariuszka przejęła niemowlę od postawnego kolegi w czarnym kombinezonie, a ten podszedł do lekarki i chwyciwszy ją wpół, bezceremonialnie wyniósł z sali.

Następnego dnia przewodniczący obudził się w ogromnym łóżu w swoim nowym domu. Męczył go kac, ale ciekawość wygrała z bólem głowy. Wstał powoli i zarzucił szlafrok.

Poszedł do pokoju dziecięcego. Mała Sara spała i najwyraźniej była zadowolona z życia. Uśmiechała się i głaskała się po buzi zaciśniętymi w piąstki maleńkimi dłońmi. W kącie, przytulona do stosu pluszowych zabawek, spała lekarka. Niewielka strużka krwi zastygła na jej górnej wardze. Eugene'owi zrobiło się głupio. Zawsze uważał się za dżentelmena i bicie kobiet w jego ocenie było naganne. Musiał za dużo wypić. Podszedł do niej i delikatnie potrząsnął ją za ramię. Ocknęła się natychmiast i gdy tylko go rozpoznała, w panice zaczęła pełznąć w głąb stosu zabawek.

– Hej, przepraszam! – powiedział z irytacją przewodniczący. – Nie chciałem cię urazić.

Kobieta wciskała się w kąt pokoju, a zielone oczy patrzyły z przerażeniem. Eugene spojrzął na jej nogi. Były trochę posiniaczone, a wyżej zaczynał się podarty lekarski fartuch. Nie miała majtek, co było widać, chociaż próbowała niezdarnie się zastonić. Musiał ją zgwałcić w nocy. Podrapał się po głowie i zrobiło mu się autentycznie głupio. Nie tak wyobrażał sobie życie w tym domu. Mimo wszystko miał świadomość swojego statusu i jeśli dziewczyna nie okaże się głupia, szybko zaakceptuje fakt, że właśnie otrzymała rolę najważniejszej partnerki na świecie. W swej dobroduszości Eugene postanowił, że przedstawi ją społeczeństwu jako panią Wordsworth. Uradowany najnowszym pomysłem podszedł do kulającej się w kącie kobiety. Spojrzął na nią z ukosa. Teraz miała twarz pozbawioną wyrazu i nieobecne spojrzenie.

– Jak właściwie masz na imię? – zapytał uprzejmie.

Nie poruszyła się, nie spojrzała w jego stronę. Wydawało się, że nie usłyszała pytania. Uderzył ją lekko w twarz. Skuliła się i zaczęła płakać.

– No więc? – ponaglił ją.

– Eleonora Witecki.

– Grzeczna dziewczynka – pochwalił ją Eugene, głaszcząc po głowie. – A teraz doprowadź się do porządku i zajmij się naszą córką.

Kobieta zaniósła się płaczem i skuliła się tak bardzo, że przewodniczący odniósł wrażenie, iż próbuje zniknąć.

– Teraz powinnaś powiedzieć, że właśnie idziesz zająć się naszym dzieckiem, i uściskać mnie mocno – powiedział powoli, starannie akcentując sylaby.

– Dziękuję, Eugene – wychrypiała. – Jeśli pozwolisz, to teraz chciałabym się zająć naszą córką.

– Oczywiście, kochanie – odparł aksamitnym głosem. – Wydaje mi się, że malutka zaraz się obudzi.

Wordsworth miał wrażenie, że to wszystko wydarzyło się niedawno, a przecież minęło osiemnaście lat. Z czego szesnaście Eleonora mieszkała z nim w tym domu. Co przez ten czas myślała? Czy pogodziła się ze swoim losem? Przy nim była zawsze cicha i we wszystkim mu przytakiwała. W zasadzie nigdy nie zwracała sobie nią głowy i rzadko odwiedzała ją w sypialni. Gdy już przychodził, przyjmowała go bez słowa sprzeciwu i raczej obojętnie. Zdarzało jej się westchnąć, ale zawsze po tym zagryzała wargi i odwracała twarz na bok. Jej oczy, tak błyszczące w dniu, gdy poznali się na oddziale położniczym, później już zawsze były pozbawione wyrazu.

Po każdej nocy spędzonej z Eleonorą pił przez kolejne dni, pewnie po to, by zagłuszyć wyrzuty sumienia. I dlatego w końcu w ogóle przestał ją odwiedzać. Myślał, że ten układ ją zadowoli, ale ona zaczęła się stroić i przesadnie o siebie dbać. Zawsze zajmowała się Sarą z dużym oddaniem, a teraz jakby przestała ją zauważać. Gdyby Wordsworth głębiej się nad tym

zastanowił, być może doszedłby do wniosku, że kobieta czuła się zagrożona. Nigdy się nie pociła o życie u jego boku i prawdopodobnie go nie lubiła, ale wizja opuszczenia rezydencji i pójścia w nieznaną była pewnie tak przerażająca, że Eleonora próbowała różnymi sposobami odzyskać względy Wordswortha. Sarę odsuwała od siebie na wszelki wypadek, żeby dziewczyna nie cierpiała, gdy będzie musiała zostawić ją samą.

Przewodniczącego nigdy takie refleksje nie naszły, a nawet gdyby, pewnie niewiele by go to obeszło. Sary tak naprawdę też nigdy nie pokochał. Poczował się jedynie do obowiązku zapewnienia jej wszystkiego, co dziecku jest potrzebne do życia. Wziął ją na wychowanie, więc robił, co należało. Wściekł się po ucieczce dziewczyny i próbował ją odnaleźć, ale nigdy nie tęsknił.

Wordsworth westchnął i po raz ostatni zlustrował fasadę domu. Wiedział, że już nigdy tu nie wróci. Wsiadł do autolotu, zły na siebie, że ulega niepotrzebnym sentymentom. Miał zamiar udać się do Felicji, ale gdy przyszedł kierowca, pod wpływem impulsu zmienił zdanie i kazał mu lecieć na farmę. Musiał odpocząć i się zrelaksować. Przypomniał sobie, że dzisiaj mają się zjawić pośrednicy z nowym towarem. Liczył na ładne, młode dziewczyny. Im młodsze, tym lepiej. Autolot wzbił się ponad dach domu. Wordsworth przez chwilę obserwował okno pokoju Sary, ale prędko odwrócił wzrok i zamknął oczy. Roztrząsanie dawnych spraw nie miało sensu.



Profesor Howard, podniesiony na duchu przez bibliotekarza, rzucił się w wir śledztwa z jeszcze większą pasją. Ciągłe czekał na sposobność porozmawiania z Yeshim Gyatso na temat dostępu do łącza wychodzącego, ale jakoś się nie składało. Nie chcąc tracić czasu, przedzierał się przez dokumenty z lat trzydziestych minionego stulecia. Próbował zrozumieć, jak doszło do wojny, o której przez całe życie nie słyszał nawet jednego słowa, i jak potoczyły się losy Lawrance'a. Próbował umiejscowić w czasie Wielki Reset i zidentyfikować osoby za niego odpowiedzialne. Z poprzednich rozdziałów błękitnej książeczki wielebnego zapamiętał fragment, w którym obłąkany kaznodzieja przechwalał się władzą nad milionami młodych ludzi. Miało to mieć związek z grami w sieci. Profesor nigdy w nic nie grał – zwyczajnie go to nie interesowało. Mimo wszystko uznał, że to bardzo ważne, więc poprosił o pomoc Jordana, Yoshiego i Maxa. Pokróćce zreferował im sprawę wielebnego Patricka i z zadowoleniem odnotował, że psychicznie chory kaznodzieja wzbudza w nich niesmak.

– Jak brzmiało dokładnie to zdanie z grami? – zapytał Jordan.

– Poczekaj, zaraz znajdę – odparł Howard i wstał, by przeszukać regał z nośnikami.

– Nie trzeba, panie profesorze. Już zmapowałem zasoby i zaraz wyszukam treści – odparł chłopak.

Howard usiadł. Powiódł wzrokiem po młodych mężczyznach i uznał, że był cholernie głupi. Co on sobie myślał? Chyba kompletnie się zestarzał. Skąd przekonanie, że wie więcej od innych? Skąd pomysł, że pokona system sam? Dotychczas pracował z Allie, pertraktował

z Monicą, a nie pomyślał o tym, żeby poprosić o wsparcie tych chłopców, którzy po pierwsze, mieli dobre zamiary i chcieli za wszelką cenę chronić dziewczynkę, jej matkę i napiętnowaną przez własnego ojca Sarę, a po drugie, wiedzieli o świecie wirtualnym więcej od niego.

– Mam! – powiedział Jordan. – *Bo przez ostatnie lata próbowali wyjaśniać światu, że sieć psuje dzieciaki. Oczywiście, że tak. Tylko nie docenili gier, które Kościół Odnowy wypuszcza za darmo. I kreuje te młode umysły. Jest ich miliard, zakochanych w postaciach z gier, i gdy przyjdzie pora, te postacie przemówią do nich. A oni przystaną do nas jak armia uzależnionych zombi. O te słowa panu chodziło, profesorze?*

– Dokładnie o te – odparł Howard.

– Grywałem w różne scenariusze, ale zawsze wystrzegałem się tych płatnych, więc dużo nie zwojowałem – powiedział Max.

– Ja swego czasu kupowałem gry i nawet w pewnych miejscach Worldwebu jestem legendą – przyznał niechętnie Yoshi.

– Sądzę, że większość gier, w które grywaliście, napisałem ja – odparł Jordan.

– Jordan, masz pomysł, co oznaczają słowa wielebnego? – wtrącił Howard.

– Ależ oczywiście – potwierdził chłopak. – Podejrzewam, że podsunięto młodemu gry działające na podświadomość i z każdym wbijanym levellem darmowej rozgrywki coś im modyfikowało mózgi.

– Co sądzicie o teorii, że w ten sposób próbowano stworzyć interfejsy? – szepnął profesor porażony tą wizją.

Nikt nie zdążył odpowiedzieć, bo w drzwiach stanęła zdyszana Sara, trzymając Allie za rękę.

– Monica zaczęła rodzić!



Monica czuła paraliżujący ból. Gdy rodziła Allie, wszystko odbyło się w pełnym znieczuleniu. Właściwie niczego nie pamiętała. Ocknęła się z narkozy i zobaczyła umyte, pogodne niemowlę. Teraz była pozostawiona sama sobie. Trudno oczekiwać, żeby w klasztorze mieszkała jakaś położna, a w promieniu wielu kilometrów nie było żadnego szpitala. Zresztą i tak nie byłaby w nim bezpieczna. Wystarczyłby prosty skan oka i na czytniku pojawiłby się czerwony napis „poszukiwana”. A bez rejestracji nikt by jej do szpitala nie przyjął.

Mnisi zawiadomili akuszerkę z pobliskiej wioski, ale Monica szczerze wątpiła, żeby kobieta zdążyła na czas. Byli przy niej Sara i profesor. Bardzo chcieli pomóc, tyle że nie wiedzieli, co powinni robić. Profesor głaskał ją po dłoni, a Sarze tak bardzo trzęsły się ręce, że co chwilę coś upuszczała. Max i Yoshi nawet się nie zbliżyli do pokoju rodzącej, tłumacząc się, że ktoś przecież musi zaopiekować się Allie. Monice było to na rękę. Obecność tych młodych mężczyzn byłaby kłopotliwa. Podobnie miała się rzecz z Jordanem. Za nic nie chciałaby, żeby oglądał ją w takiej chwili. On jednak nie odszedł. Czekał w sąsiednim pokoju i z napięciem wpatrywał się w zamknięte drzwi. Monicę ogarnął strach. A jeśli dziecku coś się stanie? Czując,

że zaczyna panikować, przywołała Sarę, która właśnie po raz nie wiadomo który rozkładała i składała ręczniki.

– Idź do mnichów – poprosiła. – Dowiedz się, kiedy przyjdzie akuszerka.

Sara posłusznie wybiegła z pokoju. Monica pomyślała, że teraz nie musi się martwić o to, że dziewczyna coś sobie zrobi albo zemdleje. Kolejny skurcz był jeszcze silniejszy i dłuższy. Wydawało się, że trwa całą wieczność.

– Odwagi, Monico – szepnął profesor, ale w istocie rzeczy to sobie próbował dodać animuszu.

Nie wiedziała, jak wiele czasu upłynęło, gdy Sara wróciła, i to w towarzystwie Hassana, który zwykle trzymał się na uboczu.

– Monico! Przyprowadziłam go, bo usłyszała, że pytam mnicha o akuszerkę, i powiedział, że wie, co robić, bo już przyjmował poród – ogłosiła radośnie Sara.

– To prawda? – wystękała Monica, bacznie patrząc w ciemne oczy mężczyzny.

Skinął głową i przyklęknął przy niej.

– Mogę? – zapytał, wskazując jej brzuch, i położył na nim dłoń. – Nie bój się. Dasz sobie świetnie radę, a ja ci pomogę – rzekł kojącem tonem.

Sara odetchnęła z ulgą i wróciła do rozkładania i składania ręczników. Najbardziej na świecie chciałyby ukradkiem wymknąć się do sąsiedniego pokoju, ale kobieca solidarność wygrała z lękiem przed tym, w czym miała zaraz asystować. Potem wypadki potoczyły się tak szybko, że nawet nie zdążyła się przestraszyć.

– Daj te ręczniki, Saro! – polecił Hassan. – I usiądź tu.

Monica z całej siły ścisnęła ją za nadgarstek, aż Sara się skrzywiła. Spojrzała nad głową rodzącej na profesora. Był blady, ale trzymał się dzielnie.

– Przyj, Monico! – powiedział Hassan zachrypniętym z emocji głosem.

Sara postanowiła w duchu, że nigdy nie będzie mieć dziecka. Zmieniła jednak zdanie, gdy tylko Hassan ujął w swoje duże dłonie małą istotkę i uśmiechnął się do niej.

– Monico, masz pięknego syna, gratuluję! – ogłosił radośnie.

Zawiniątko z dzieckiem wkrótce wylądowało w ramionach matki, która wpatrywała się z zachwytem w jego brudną buzię.

– Zobacz, Saro, jaki śliczny – powiedziała.

Dziewczyna przyjrzała się dziecku. Było zupełnie niepodobne do Allie, ale za to bardzo podobne do Moniki. Miało bardzo jasną skórę i gdyby Sara miała się zakładać, to powinny mu wyrosnąć rude włoski. Na razie jednak na główce miało tylko kilka mokrych kosmyków w trudnym do ustalenia kolorze.

Do pokoju zajrzał Jordan.

– Można? – zapytał nieśmiało.

– Chodź – zaprosiła go Monica.

Chłopak podszedł. Obrzucił noworodka spojrzeniem, ale po krótkiej chwili skoncentrował się na kobiecie. Uśmiechnęli się do siebie. Sara zawsze wiedziała, że tych dwoje łączy silna więź, ale nigdy wcześniej nie było to tak widoczne jak w tym momencie.



– Jerry, Jerry! Obudź się – wyszeptała Alex, potrząsając chłopca delikatnie za ramię.

Przespał sześć godzin, ale najwyraźniej nadal się nie zregenerował, bo otwierał oczy z dużym trudem, a potem ponownie je zamykał.

– Jerry, zaraz może przylecieć O'Brian. Ella też może przyjść. Już jest rano, a ona wpada o różnych godzinach.

Słyszac znieawidzone imię, chłopiec gwałtownie otworzył oczy i usiadł na łóżku.

– Jak twoje nogi? Bola? – zapytała Alex.

– Chyba nie bola, ale nie wiem, czy będę umiał chodzić...

– Tym się nie przejmuj. Jeśli będzie trzeba, będę cię nosić – odparła. – Jerry, co my zrobimy? Ja nie mam żadnego sensownego planu. Jesteśmy na stacji kosmicznej pełnej wrogów, pozbawieni możliwości ucieczki. Mało tego! Nawet gdybyśmy uciekli na Ziemię, to i tam nie mamy dokąd pójść. Ja nawet nie mam aktywnego interfejsu...

– Musimy odebrać generałowi kod dostępu do jego statku. Ma go w głowie i nie przekazuje nigdzie do sieci. Żeby go odczytać, musimy go dotknąć. A potem uciekniemy jego pojazdem – odparł pogodnie chłopiec.

Alex niespecjalnie wierzyła w możliwość ucieczki, ale to, co powiedział Jerry, było i tak o niebo lepsze od kompletnego braku planu i pustki, jaką miała w głowie.

– Dobrze. Czyli musimy go jakoś obezwładnić, tak? – zapytała.

– Jeśli nie nabierze podejrzeń i nie zawoła oddziału Geneo, powinno się udać.

Chciała mu zadać mnóstwo pytań, choćby o ludzi śpiących w laboratorium, a także tych dotyczących jego samego. Była ciekawa, kim był i skąd pochodził. I przede wszystkim skąd się wziął jego dziwny dar, który zapewne miała też mała Allie. To wszystko musiało jednak poczekać. Teraz trzeba było opracować plan ucieczki. Alex ze zdumieniem odkryła, że pomimo dość słabych ku temu przesłanek rodziła się w niej nieśmiała nadzieja, że jakoś wybrną z tej kabały. Dom był wysprzątnany, robot wepchnięty do najdalszego kąta sterylnej kuchni, a Jerry ukryty w jej pokoju. Przy odrobinie szczęścia Ella nie odkryje jego ucieczki jeszcze przez parę godzin.

– Jeśli przyjdzie tu doktor Ella, musisz coś zrobić – powiedziała spokojnie i ścisnęła go uspokajająco za ramię, gdy drgnął. – Spokojnie! Twoją rolą jest tylko schować się pod łóżko i w żadnym wypadku nie krzyknąć. Możesz mi to obiecać?

– Chyba mogę – odparł z ociąganiem. – Nie zrobisz jej krzywdy?

– Postaram się nie zrobić. Ogluszę ją i zwiążę.

– Szkoda – mruknął pod nosem.

Jeśli jeszcze przed chwilą Alex miała jakieś skrupuły wobec tej kobiety, to właśnie bezpowrotnie się ulotniły. Postanowiła, że ogłuszy ją tylko w takim stopniu, w jakim okaże się to konieczne, ale nie odmówi sobie przyjemności wymierzenia jej solidnego kopniaka w tyłek. Nie musiała długo czekać na wypełnienie obietnicy, bo rozległo się pukanie do drzwi. Zwykle

Ella wchodziła tuż po tym, nie czekając na zaproszenie, ale tym razem napotkała przeszkodę. Alex już wcześniej zabarykadowała wejście stołem.

– Szybko! – szepnęła do chłopca i wzięła go na ręce, po czym bezceremonialnie wepchnęła go pod łóżko. – Chwileczkę! – krzyknęła w stronę drzwi, które właśnie otwierały się z niemilym zgrzytem.

Ella stanęła w progu i mrugając ze zdziwienia, lustrowała przemeblowany pokój i potarganą, najwyraźniej wzburzoną Alex.

– Co tu się stało? – zapytała.

– Nic takiego. Miałam małą awarię... Tak się cieszę, że już przyszedłeś! – lgała Alex. – Możesz podejść? Tu jest coś strasznego! – Wskazała na kąt pokoju i zadrżała w udawanym obrzydzeniu.

Ella podeszła i nachyliła się.

– Hej, tu nic nie ma!

Alex uderzyła ją z całej siły krzesłem. Chyba dobrze trafiła, bo kobieta osunęła się na ziemię nawet bez jęknięcia. Związała ją podartym na pasy prześcieradłem, a usta zakneblowała własną używaną skarpetką. Niby nic takiego, ale odczuła ogromną satysfakcję.

– Za Jerry'ego, podła suko! – wysyczała w stronę nieprzytomnej kobiety.

Skrepowaną Ellę z niemałym trudem wciągnęła na łóżko i dokładnie okryła kołdrą. Kilka razy upewniła się, czy ma dopływ powietrza. Mogła jej nienawidzić, ale mimo wszystko nie zamierzała z jej powodu zostawać morderczynią. Dla spokoju własnego sumienia. Wiedziała, że to głupie, a okazywanie miłosierdzia na wojnie może się na niej zemścić, ale inaczej nie umiała.

– Wychodzimy – powiedziała do dzieciaka i pomogła mu się wydostać spod łóżka.

Ciągle był ubrany jedynie w podkoszulek i majtki. Otaksowała go spojrzeniem i zaczęła wyjmować własne ubrania. Wszystko było za duże, ale lepsze to niż nic.

– Pójdziemy do łazienki, bo chyba potrzebujesz. Tylko szybko – poleciła gorączkowo.

Złapała naręczce ubrań i podniosła chłopca. Ponownie zarzucił jej ręce na szyję i przytulił się z dużą ufnością. Alex z ciężkim sercem pojęła, że jest za niego odpowiedzialna, a ich losy związały się na dobre i złe.

– Nic więcej nie wymyślę – powiedziała, przyglądając mu się z uśmiechem.

Siedział na zamkniętej klapie sedesu ubrany w sięgającą mu do kolan bluzę, a na stopach miał skarpetki podciągnięte aż za łydki. Butami nie zawracała sobie głowy. Mały w dalszym ciągu miał zwiotczałe mięśnie nóg i nie mógł samodzielnie ustać nawet sekundy. Jeśli uda im się stąd wydostać, będzie musiała załatwić mu jakąś rehabilitację albo sama zająć się ćwiczeniami.

– Jest dobrze! – odparł Jerry z entuzjazmem. – Przynajmniej mi ciepło.

– Dobra, plan jest taki: schowam cię w jednej z wolnych sypialni, a sama poczekam na O'Briana w salonie. Robot nie przyniesie kolacji, więc spróbuję coś znaleźć. Wiem, gdzie jest wino, a to go najbardziej będzie interesowało. Zajmę go rozmową, a potem ogłuszę tak jak Ellę. Potem przyjdę po ciebie.

– Nie możesz mnie zostawić – zaprotestował.

– Nie bój się, przecież przyjdę po ciebie najszybciej, jak się da – powiedziała uspokajająco.

– Nie boję się. Chodzi o to, że jeśli mam wyciągnąć z niego kod, to musi być przytomny. Inaczej się nie uda. Musisz go złapać, ale nie może spać.

– Dobrze, chodźmy więc do salonu. Tam opracuję jakiś lepszy plan. Poglądasz sobie holowizję, a ja w tym czasie wszystko przygotowuję.

– A co to holowizja?

Alex się zdziwiła. Nigdy nie wpadłaby na to, że jest na świecie choć jeden człowiek, który nie wie, czym jest holowizja. Skąd ten dzieciak pochodził?

– Spodoba ci się, zobaczysz – obiecała i wyszła z pokoju. – Możesz zrobić tak, żeby nikt nie mógł otworzyć tych drzwi? Lepiej, żeby Elli zbyt wcześniej ktoś nie znalazł.

– Zrobione.

Salon był wysprzątny i nic nie powinno wzbudzać podejrzeń. Alex posadziła chłopca na kanapie i włączyła mu kanał z kreskówkami. Nie знаła ich. Pochodziły chyba z dawnej epoki. W jej przedszkolu puszczano propagandowe bajki o złej mamie i okrutnym ojcu, a tu po pokoju skakał trójwymiarowy śmieszny kaczor z żółtym dziobem i niebieską marynarską czapeczką. Alex była przekonana, że nigdy wcześniej go nie widziała. Jerry zanosił się śmiechem. Tak właśnie powinno wyglądać szczęśliwe dziecko. Bez zastanowienia pogłaskała go po głowie. Uskoczył w bok, wyraźnie przestraszony. Widocznie dawno nie zaznał pieczyoty, być może nigdy, za to nieraz zetknął się z biciem. Alex odsunęła się powoli i posłała mu uspokajający uśmiech. Poszła do kuchni. Tym razem nic jej nie przeszkodziło w przeszukaniu wnętrza. Tak jak przypuszczała, drzwi kuchenne wiodły do drugiej grodzi. Podejrzała ją przez szparę w żaluzjach. Była ciekawa, dokąd prowadzi, ale nie odważyła się sprawdzić. Skomplikowanie planu, który i tak miał mnóstwo słabych punktów, nie miało żadnego sensu. Alex zajrzała do lodówki. Ku swojemu zdziwieniu znalazła tam półkę pełną leków niewiadomego przeznaczenia i nieco świeżych warzyw.

Kobieta wyciągnęła produkty na blat roboczy i przygotowała dwie porcje sałatki z wędzonym łososiem. Znalazła buteleczkę mleka i wsunęła ją do kieszeni. Poszła z talerzami do salonu, postawiła je na stole. Z barku wyjęła kieliszki, a z chłodziarki, dyskretnie schowanej za drewnianymi drzwiczkami, butelkę wytrawnego białego wina. Uznała, że generał będzie zadowolony z takiego połączenia.

– Masz, Jerry – zwróciła się do małego i wręczyła mu odkręconą buteleczkę mleka. – Tylko nie oblej siebie ani kanapy.

Spojrzał ze zdziwieniem, nienawykły do wysłuchiwania podobnych moralów, a potem posłusznie zaczął pić. Alex zauważyła z zadowoleniem, że bardzo mu smakowało. Był przeraźliwie chudy i jeśli przeżyją ucieczkę, trzeba go będzie porządnie odkarmić.

– Za dwadzieścia minut wyląduje generał – powiedział Jerry, ocierając rękawem usta.

Alex nie miała powodu, by mu nie wierzyć. Wzięła go na ręce i posadziła na podłodze za fotelem. Mebel stał w najdalszym kącie pomieszczenia i jeszcze nigdy nie widziała, żeby O'Brian na nim usiadł czy choćby do niego podszedł. Wolał inny, stojący naprzeciw obrazu Jordana i jego matki.

– Bądź cicho. Żeby nie wiem co się działo, nie próbuj się stąd ruszyć, dopóki ci nie pozwolę, słyszysz?

Chłopiec skinął poważnie głową i przywarł do ściany. Z korytarza niesło się echo szybkich kroków. Generał wszedł do salonu i wyciągnął w stronę Alex ramiona na powitanie.



– Witaj, moja droga! Wybacz mi nieobecność, ale byłem zajęty sprawami państwowymi, które jak zwykle nie cierpią zwłoki – wyjaśnił rubasznie.

– Jak miło cię widzieć, Jack – powiedziała zalotnie Alex. – Napijesz się wina?

– Z miłą chęcią! – odparł. – Jak minął ci dzień?

Alex policzyła w myślach do dziesięciu, żeby się uspokoić. Czy ten idiota naprawdę myślał, że nie rozróżniała dni? Nie było go co najmniej trzy.

– Wspaniale – potwierdziła z entuzjazmem. – Ten dom jest naprawdę uroczy. Nie mogę się doczekać, kiedy pokażesz mi ogród!

– No tak. Pokażę oczywiście – potwierdził gorliwie i urwał, najwyraźniej gorączkowo myśląc. – Ale w tej chwili trwa tam kompletna przebudowa. Nic ciekawego. Błoto i hałas, moja miła.

– Dziękuję, że tak się troszczysz o moje wygodę, Jack. Jesteś najwspanialszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek poznałam.

Przez chwilę myślała, że przeszarżowała i generał przejrzy jej szyte grubymi nićmi komplementy. Jednak nie. Rozpromienił się i opróżnił jednym haustem kieliszek. Najwyraźniej bardzo mu to schlebiało. Alex starała się nie cieszyć. To, że był podatny na idiotyczne pochwały, nie wynikało z faktu, że był głupi, tylko raczej z przekonania, że to ona jest głupią kobietką. Najgorsze, co mogła zrobić, to zlekceważyć O'Briana, który z pewnością niejedno w życiu widział i od tyłu dziesiątków lat unosił się na powierzchni bagna zwanego polityką, że niedocenienie jego potencjału mogłoby się skończyć tragicznie.

– Zjemy coś? – zaproponowała.

– Bardzo chętnie – odparł. – Tyle godzin lotu i nic sensownego w barku nie było...

– A skąd leciałeś? – zapytała niewinnie.

– Och, z Ziemi... znaczy z obszaru, w którym byłem, jest strasznie daleko. Parę godzin podróży.

Alex nie skomentowała. Uniosła do góry kieliszek i zachęciła generała do toastu.

– Wypijmy za nas i ten piękny dom, w którym dzięki tobie znalazłam bezpieczną przystań – powiedziała. – Jack, będę ci wdzięczna za ratunek do końca mojego życia.

O'Brian wyglądał na mile polectanego, ale starał się nie okazywać zadowolenia. Ze skromną miną wbił oczy w sałatkę, ale nie zjadł nawet kęsa. Zamiast tego wychylił kolejną porcję wina. W butelce było już widać dno, mimo że Alex wciąż miała pełny kieliszek i ani razu nie dołała sobie nawet kropelki. O'Brian miał niezłe tempo. W mniej niż dwadzieścia minut opróżnił praktycznie całą butelkę.

– Może napijemy się dla odmiany czerwonego? – zapytała Alex, mocząc dla pozorów usta w kieliszku.

– Możemy! – rozochocił się Jack. – Ale musisz mi obiecać, że przestaniesz się ociągać i opróżnisz w końcu swój kieliszek.

– Z rozkoszą, mój drogi – odparła i wlała w siebie całą zawartość.

Pomyślała, że jeśli liczy na jej słabą głowę, to mocno się zdziwi. W nielegalnym barze Mary Sue nabrała niezłej wprawy. Byłe wino jej nie zaszkodzi, skoro potrafiła wypić flaszkę podrabianej whisky i wrócić prostym krokiem do domu. O'Brian wyjął drugą butelkę i wprawnie ją otworzył.

– Co mówi doktor Ella na temat stanu twojego zdrowia? – zagaił.

Ella z pewnością już sama złożyła mu raport, mimo to Alex doceniła, że próbował chociaż podtrzymać iluzję tajemnicy lekarskiej.

– Och, w zasadzie już wszystko ze mną w porządku – odparła swobodnie. – I bardzo jestem za to wdzięczna i tobie, i pani doktor.

– Rozumiem, że będziesz chciała nas wkrótce opuścić i dołączyć do swoich przyjaciół? – zapytał generał.

Miło się uśmiechał i nawet w oczach nie sposób się było doszukać fałszu. Gdyby Alex nie wiedziała, że jest daleko poza orbitą ziemską, pewnie by uwierzyła, że generał za chwilę wstanie i wezwie dla niej taksówkę, żeby mogła pojechać na przykład do baru Mary Sue. Facet potrafił łączyć jak z nut, a grę aktorską miał opanowaną do perfekcji.

– Myślę, że to byłby niezły pomysł – odparła. – Nie chcę nadużywać twojej gościnności.

– Och, to żaden problem – zapewnił gorliwie i wypił duszkiem kolejny kieliszek wina. – Jesteś tu zawsze mile widzianym gościem.

– Dziękuję, Jack – wyszeptwała zmysłowo i zaplotła pasmo włosów na dłoni.

Generał nalał sobie wina i wpatrywał się w Alex bez słowa. Zadbała, by ramiączko koszulki zsunęło się jej z ramienia i z zadowoleniem śledziła wzrok O'Briana pełzający po jej ciele. W normalnym układzie strzeliłaby go chętnie w twarz albo wyszła, ale tym razem każde cielece spojrzenie było tchnieniem nadziei na realizację planu.

– Napijesz się jeszcze? – zamruczała gardłowo.

Alex uśmiechnęła się promiennie i poprosiła o dolewkę. Generał wlał jej do kieliszka resztę wina z butelki i odstawił pustą na środek stołu.

– Chyba zabrakło nam płynu! – zachichotał.

– Ja jeszcze z chęcią się napiję, Jack! – zapewniła go Alex, jednocześnie wsuwając do rękawa kuchenny nóż, dotychczas tkwiący w kieszeni spodni.

O'Brian podniósł się niezgrabnie z krzesła i przykucnął przy barku. Alex doskonale wiedziała ze swojego miejsca jego obnażony kark. Spojrzała w stronę fotela, za którym siedział Jerry. Zgodnie z obietnicą nie wydał żadnego dźwięku, ale wystawił rękę i wysunął palec wskazujący w stronę generała. Alex doskonale wiedziała, że moment jest idealny, ale wszystko się w niej burzyło. Całe życie starała się o sobie myśleć, że jest pokojowo nastawioną do życia, łagodną osobą. W jej pojmowaniu świata nie mieściło się krzywdzenie kogokolwiek. Nawet jeśli solidnie sobie na to zasłużył. Przymknęła oczy i podjęła decyzję. Podkraśniała się do O'Briana bezszelestnie i przytknęła mu nóż do szyi. Zareagował lekkim drgnieniem, ale nie odważył się szarpać. Alex złapała go za kołnierz, nie odsuwając ostrza od tętnicy, i nakazała, żeby stanął prosto. Nie oponował, ale przesuwiał oczami po suficie. Najwyraźniej miał nadzieję, że kamery się aktywują i wezwą posiłki. Nic takiego nie nastąpiło. Kamery, częściowo rozbite przez Alex i kompletnie sparaliżowane przez Jerry'ego, nie wykazywały żadnej aktywności.

– Siadaj w fotelu – poleciła mu Alex i popchnęła mężczyznę. – Jerry! Jest twój! – krzyknęła.

Chłopiec wysunął głowę zza oparcia fotela i wspiął się z trudem na podłokietnik. Trochę się przestraszył rozjuszzonej Alex z nożem w dłoni, ale postanowił być dzielny. Położył dłonie na skroniach O'Briana i zamknął oczy.

– Mam kod – obwieścił i zsunął się za siedzenie.

– Jerry, chodź tu do mnie! – poleciła mu Alex.

Chłopak posłuchał i podpełzł do niej. Nie odsuwając noża od szyi O'Briana i nie spuszcżając go z oka, przechyliła się lekko i pomogła Jerry'emu wejść sobie na barana.

– Weź jego broń – wyszeptał dzieciak.

Alex obmacała kieszenie Jacka i znalazła niewielki pistolet. Nie zrobił na niej większego wrażenia. Wyglądał jak dziecięca zabawka.

– To znacznie lepsze niż nóż – powiedział Jerry.

Była skłonna przyznać mu rację. O'Brian z lufą wbity w potylicę stał się niezwykle pomocny. Bez dyskusji wstał z fotela i więcej nie wykonał najmniejszego ruchu. Alex poczekała, aż Jerry przywrze do jej pleców, i popchnęła mężczyznę przed sobą.

– Nie próbuj żadnych numerów – zagroziła. – Albo załatwię cię jak Ellę i innych w medlabie.

Generał pozostał obojętny. Jerry wyszeptał coś do ucha Alex.

– Załatwiłam twoje biomody, O'Brian – ogłosiła po chwili, nie mając pojęcia, co oznacza ten termin. Jednak Jerry najwyraźniej wiedział, jak dopiec jeńcowi.

O'Brian szarpnął się nagle, ale zimna lufa wetknięta do ucha momentalnie przywołała go do porządku. Wyszedł korytarzem w stronę fałszywej śluzi i do hangaru. Alex wiedziała, że szczęście musi się kiedyś skończyć. I właśnie się skończyło. Bezludne dotychczas pomieszczenie było pełne funkcjonariuszy Geneo oraz pracowników ubranych w beżowe uniformy. Do wnętrza hangaru raz za razem wpływały kolejne jednostki, w większości podobne do cygar małe autoloty, ale było też kilka większych jednostek pełnych towarów, a nawet wyglądający jak przenośna dyskoteka, błyskający diodami i piękny niczym orzeł statek z bocznym napisem „Atlanta”. Alex nie miała pojęcia, co kombinuje O'Brian, ale najwyraźniej zaprosił sobie holofilmowców i aktorów z wytwórni filmowej. Czy nie świadczyło to o pewnej nonszalancji i próbie stworzenia własnego imperium, gdzie nie będzie brakować ani chleba, ani igrzysk?

– Idź w stronę swojego autolotu – rozkazała.

Generał zrobił kilka kroków, ale funkcjonariusze Geneo zastąpili im drogę i zasalutowali. Przez kilka sekund czekali na jakieś wyjaśnienia, a potem dostrzegli pistolet wbity w podstawę czaszki generała. Jak na komendę podnieśli broń i wycelowali.

– Opuśćcie, idioci! – warknął O'Brian. – I zjeźdźcie z drogi!

Odsunęli się posłusznie, a generał poszedł dalej. Nietypowe widowisko przykuwało uwagę coraz większej liczby pracowników doku i hangaru. Nawet holofilmowcy, właśnie wysiadający z „Atlanty”, przystanęli i obserwowali O'Briana.

– Nic ci to nie da, Alexandro! – powiedział cicho. – Gdy tylko odleciecie, zestrzelimy was.

– Dłatego polecisz z nami! – odparła ze złością.

– Pojazd ma tylko dwa miejsca – wyjaśnił nie bez satysfakcji. – Zawsze możesz zostawić chłopaka.

– Zamknij się! – wysyczała i zaczęła gorączkowo myśleć. – Weźmiemy większy statek.

– Nie weźmiecie. Nie mam kodów i bądź pewna, że procedury bezpieczeństwa nie pozwolą mi na pozyskanie ich od żadnego z funkcjonariuszy. Wiem, bo sam ustalałem zasady.

– Skoro chcesz się brzydko bawić, to wiedz, że Jerry jest w stałym kontakcie z Jordanem – zablefowała. – Twój syn usłyszał wszystko, co powiedziałaś. Jeśli nas zestrzelisz, w zasadzie możesz uznać, że na zawsze straciłeś syna.

– Nie odważysz się...

Alex była pewna, że trafiła w czuły punkt, a przyszłość zaczęła się rysować w nieco jaśniejszych barwach. O'Brian dał się doprowadzić do pojazdu bez dalszych protestów.

– Jerry! – Alex ponagliła chłopaka.

– Już otwarte. Jest gotowy do startu.

Alex odwróciła generała przodem do funkcjonariuszy. Jerry zsunął się do środka autolotu prosto na miejsce pasażera.

– Zapnij pasy – poleciła mu i pociągnęła O'Briana na drugą stronę pojazdu. – Pamiętaj, co ci powiedziałam! Masz do wyboru wypuszczenie jednej, nic nieznaczącej kobiety z małym, niezbyt sprawnym chłopakiem albo utratę własnego syna. Oboje dobrze wiemy, że Jordan ma serce po właściwej stronie.

– On nie jest zwykły. To biomod – odparł O'Brian.

W pierwszej chwili pomyślała, że mówi o Jordanie. Jemu jednak chodziło o Jerry'ego. Jeśli uda im się stąd wydostać, chłopak będzie musiał jej sporo wyjaśnić. Choćby to, kim są biomodzi i jak duże mogą stanowić zagrożenie. Miała zamiar porwać jednego, ale czternastu zostawało w rękach Geneo.

– Jakoś go odżałujesz, Jack – odparła lekceważąco. – Uściskałabym cię na pożegnanie, ale jak wiesz, mam zajęte ręce. Zatem żegnaj.

– Raczej do zobaczenia – zadrwił. – Miło było cię poznać. I uratować.

– Cała przyjemność po mojej stronie, Jack – roześmiała się cicho.

Odepchnęła go i wycelowała w jego stronę pistolet. Stał z uniesionymi rękami. Alex nie była pewna, czy bardziej w geście poddania, czy miał to być znak, by żołnierze nie strzelali. Nie zajmowała się tym dłużej. Wsiadła do pojazdu, cały czas trzymając generała na muszce.

– Jerry, jeśli wiesz, jak to uruchomić, zrób to natychmiast i spadamy! – poleciła chłopakowi.

– Wszystko gotowe – zameldował. – Niczego nie dotykaj.

Alex myślała, że pojazd potoczy się w stronę doku, ale ten zerwał się z miejsca do góry i szybko nabierając prędkości, leciał w stronę śluzy. Kabina zamknęła się, gdy tylko wystartowali.

– Jeśli ten złom ma jakieś pole siłowe, to lepiej je włącz – powiedziała nerwowo.

– Już włączyłem, ale jeśli będą nas chcieli zestrzelić, pewnie im się uda – odparł Jerry.

– Myślę, że nie będą chcieli.

Ale wcale nie była tego pewna. Z dużą prędkością zbliżali się do grodzi. Alex zacisnęła powieki, przekonana, że roztrzaskają się o zamkniętą śluzę. Ta jednak zaczęła się niemilosiernie powoli otwierać. O'Brian postanowił ich wypuścić. Nie widziała, czy to bardziej zasługa jej wymyślonego naprędce szantażu, czy demonstracja siły. Gdyby chciał ją zabić, zrobiłby to już dawno temu, zamiast częstować ją winem i pierwszorzędnymi stekami. Co, jeśli wypuścił ją specjalnie, żeby doprowadziła go do syna? Może nie ma pojęcia, gdzie jest i co robi Jordan? Zakonotowała w głowie, że gdy tylko uda im się opuścić stację w jednym kawałku, musi zapytać Jerry'ego, czy w pojeździe jest jakiś system namierzania i czy można go odłączyć bez ryzyka zagubienia się w przestrzeni kosmicznej. Te problemy zeszyły na razie na dalszy plan. Za grodzią znajdował się szeroki kanał, prowadzący do kolejnej. Wbrew obawom Alex otworzyła się odpowiednio wcześniej, by wypuścić ich w przestrzeń kosmiczną.

– Jerry! Udało się! – zaśmiała się i poklepała chłopaka po ramieniu.

Pojazd momentalnie się zachwiał i zaczął gwałtownie skręcać w lewo.

– Na twoim miejscu raczej bym tego nie robił – powiedział cicho.

– Wybacz!

Alex wreszcie dokładniej mu się przyjrzała. Siedział w fotelu pasażera wtulony w niego jak mała szmaciana lalka. Miał dłonie zaciśnięte w pięstki i zamknięte oczy. Na czole chłopca perlili się pot. Kobieta momentalnie spoważniała. Dotarło do niej, jak wiele wysiłku mały musi wkładać w pilotowanie pojazdu. Siedziała bez słowa przez dłuższą chwilę, obserwując na zmianę Jerry'ego i widok za oknem. Lecieli równym kursem w stronę Ziemi. Alex się odwróciła. Połyskująca metalicznie, sferyczna Arka z każdą chwilą się zmniejszała i najwyraźniej nikt nie zamierzał za nimi posłać pocisków. Chłopiec też trochę się rozluźnił. Otworzył oczy i uśmiechnął się do niej.

– Właściwie to dokąd lecimy? – zapytał.

– Nie mam zielonego pojęcia – odparła z rozbijającą szczerością. – Pewnie tam, gdzie nas nie aresztują. Tylko czy są jeszcze takie miejsca?

– Nie wiem – odparł.

– Powinniśmy odszukać moich towarzyszy. Albo twoich bliskich. Opowiesz mi coś o sobie? Z jakiego obszaru jesteś?

Jerry zasznurował usta i zaplótł ręce. Wyraźnie nie miał ochoty rozmawiać na swój temat.

– Czegoś się boisz? – zapytała cicho.

Nie odpowiedział.

Vika mogła przed sobą i całym światem udawać, że jest inaczej, ale widok rodzinnego domu działał kojąco. Nawet jeśli wewnątrz krzątała się zazwyczaj jej matka, osoba, która jak nikt inny na świecie potrafiła ją doprowadzić do szału w jednej chwili. Nie zgadzały się praktycznie w niczym i dziewczynę nieraz zastanawiało, jak mogą się tak bardzo od siebie różnić. Było to tym bardziej dziwne, że przez całe dzieciństwo Viki matka próbowała z niej zrobić taką samą nudną mieszczkę, jaką sama była. Może właśnie z przekory Vika nigdy jej do końca nie uległa, a wewnątrz niej narastał bunt.

Gdy tylko dorosła na tyle, żeby podjąć pracę i opuścić rodzinne gniazdo, uczyniła to bez wahania i nigdy nie żałowała. Co nie znaczy, że nie wracała do niego z przyjemnością i ogromnym sentymentem. Tym razem była podwójnie zadowolona. Po pierwsze, udało jej się wyrwać z łap Felicji Lawrance, a po drugie, matki nie było w domu. Vika mogłaby zostać uwięziona nawet na Arce, a i tak Janet nie zapomniałaby o świętym wieczorku pań z towarzystwa. Raz nawet zmusiła Vikę, by z nią poszła, ale dziewczyna siedziała nadąsana w kącie i całą sobą manifestowała, że wolałaby urodzić się i harować w fabryce, niż rozmawiać z mieszkankami osiedla o bardzo ważnych bieżących sprawach, takich jak kot sikający na wycieraczkę pani Prudencji Oxford. Matka wygarnęła jej już w domu, że zachowała się skandalicznie, przyniosła jej wstyd i nie powinna liczyć na to, że jakakolwiek dama z towarzystwa kiedykolwiek zaprosi ją na kolejny wieczorek. Wyszła ostentacyjnie z salonu, a Vika zachichotała i uśmiechnęła się do ojca leżącego na kanapie przed holo. Wyszczerył zęby i wyciągnął w jej stronę dłoń. Vika przybiła piątkę, a potem pognąła na piętro do swojego pokoju.

I tak właściwie było zawsze. Matka próbowała ją do czegoś zmusić, ona stawiała okoniem, a ojciec dopiero po całej awanturze dyskretnie okazywał, że stoi po jej stronie. W zasadzie nie miała mu tego za złe. Życie z matką musiało na nim wymusić określone zachowania i wytworzyć pancerz ochronny. Po latach Vika zrozumiała, że mogła pogrywać z rodzicielką jak chciała, bo nie ryzykowała, że ta się od niej odwróci. Nie ma przecież silniejszej więzi niż ta łącząca matkę z dzieckiem. Ojciec takiego komfortu nie miał. Mógł albo zaakceptować sytuację z całym dobrodziejstwem inwentarza, albo iść z Janet na wojnę. W najlepszym układzie zakończyłoby się to rozwodem. A tego ojciec nie chciał. Za bardzo sobie cenił codzienną rutynę powrotów do domu i układania się na kanapie w otoczeniu idiotycznych koronkowych poduszek, które jego żona tak uwielbiała. Poza tym, choć Vice nie mieściło się to zupełnie w głowie, ojciec chyba naprawdę kochał matkę.

– Tato, jesteś? – zapytała od progu.

Prawie się rozpląkała z ulgi, gdy zobaczyła go leżącego na kanapie, jak zwykle w otoczeniu kretyńskich poduszek.

– Jestem, córuś, chodź! Nadają właśnie ten reality show *Arka 01*. Niby powtórka, ale i tak dobrze się ogląda. Suzana chyba w końcu wybierze dzisiaj domek. Pewnie ten na plaży, mówię ci!

– Cześć, tato – uśmiechnęła się i spojrzała w holo. – O! To ten odcinek, w którym na Arkę przyleci Arty! A za dwa odcinki wezmą ślub na jachcie i popłyną w rejs po Morzu Arkadiańskim! – dodała z rozrzewnieniem.

– Ciekawa rzecz, co? Nie masz czasem wrażenia, że imię Arty'ego specjalnie dopasowali do Arki i Morza Arkadiańskiego?

Vika spojrzała na niego. Bardzo często nie wiedziała, czy żartuje, czy mówi poważnie. Gdy była dzieckiem, wszystkie programy i reality show z Ark traktowała jako prawdę objawioną. Jak było z ojcem? Nigdy z nim o tym nie rozmawiała. Zawsze żartowali, a ojciec sprawiał wrażenie człowieka kompletnie oddzielającego rzeczywistość pracy w fabryce Space.corp od starego serialu *Arka 01*. Nigdy nie mówił, że fabuła jest bzdurna, a Arki to propaganda. Nawet jeśli coś wiedział, nigdy nie dał tego po sobie poznać.

Vika zastanawiała się, czy podobnie miały się sprawy w innych rodzinach nadrodowców. Co właściwie wiedział ojciec? Może matka też wiedziała? Czy cała popkultura, w której wyrosła, była jednym wielkim kłamstwem podtrzymywanym przez najbliższe jej osoby? Te holozdjęcia z balonikami w kształcie Arki, seriale, bajki i piosenki o dzielnych ludziach, a także płatki śniadaniowe w kształcie wahadłowców były wyłącznie propagandą? Jak daleko sięgało to kłamstwo? I wreszcie: czy SeeIT obnażał całą prawdę, a może specjalnie ją demonizował? Vika czuła, że coś jest na rzeczy, ale przecież filmik z nagraniem, jak roboty mordują ludzi na Arce 28, też mógł zostać zmontowany.

Wiele by dała za możliwość porozmawiania z twórcą SeeIT, tajemniczym człowiekiem nazywającym się Mark Quince. Próbowała znaleźć go w sieci, lecz oczywiście pozostawał nieuchwytny. To przypomniało jej o zadaniu, jakie zleciła jej Felicja Lawrance. „Powiedz, że Mary Sue jest u Felicji Lawrance. Niech znajdą Hassana Malufa. Niech im opowie o rozmowie w samochodzie przed domem nad jeziorem”. Vika co do słowa zapamiętała wiadomość, jaką miała przekazać. Bardziej intrygowało ją, jak znaleźć Jordana albo Tashiego Amoto alias profesora Johna Howarda. To ostatnie nazwisko obilo jej się o uszy, ale dla pewności sprawdziła, co to za jeden. Profesorek, który tworzył podwaliny programu „Ewakuacja”. Sporo wiadomości na jego temat znajdowało się w archiwach portali informacyjnych, ale były bardzo ogólnikowe.

Tashi Amoto stanowił z kolei pewną zagadkę. Na pierwszy rzut oka miał normalny życiorys, płacił podatki, regularnie przysyłał próbki do analizy i wypełniał zalecenia Centralnego Medlabu. Zastanawiająca była kilkuletnia luka, kiedy Tashi Amoto najwyraźniej nie był aktywny na jakimkolwiek polu, nie badał się, nie używał kredytów i praktycznie nie istniał. To było dziwne. Sprawa nie była najświeższa i wydarzyła się wiele lat temu, ale coś tu się zdecydowanie nie zgadzało. Zestawiła dane o Tashim Amoto z artykułami o Howardzie i elementy układanki od razu wskoczyły na swoje miejsce. Amoto wracał do życia dokładnie w tym samym czasie, gdy zginął Howard. To nie mógł być przypadek, a więc Felicja Lawrance była w posiadaniu prawdziwych informacji. Howard nie zginął, tylko ukrywał się pod pożyczonym nazwiskiem. Co stało się z prawdziwym Amoto? I skąd akurat wybór tożsamości zwykłego obywatela? Przecież to z automatu oznaczało dużo gorszy status społeczny i niską stopę życiową. Kto mógłby się na coś takiego zdecydować?

– Tato, czy znałeś człowieka o nazwisku John Howard? – zapytała tknięta nagłym przecuciem.

– Masz na myśli tego profesora od katastrof? – odparł po chwili namysłu.

– Właśnie tego.

– Wiem, co robił, zanim zaginał, ale nigdy go nie poznałem. Za to mój ojciec poznał go osobiście, wiesz?

– Nigdy mi o tym nie mówiłeś! – powiedziała zelektryzowana. – Gdzie go poznał?

– Ojciec był wtedy asystentem w programie „Ewakuacja”. Raz poproszono go do głównego biura, gdzie normalnie nie miał dostępu. Tam właśnie spotkał Howarda. Profesor poprosił go o pomoc w pewnej dyskretnej sprawie.

– Wiesz jakiej?

– Chciał, żeby mu pomógł nauczyć się obsługi TOW. Howardowi dopiero go zainstalowali i nie miał pojęcia, jak to ugryźć. Ty masz go od dziecka, więc dla ciebie korzystanie z niego jest nieomal odruchowe jak oddychanie. Ale komuś, kto nigdy wcześniej go nie używał, z pewnością nie jest łatwo. Podobno Howard wykazał spory entuzjazm i uczył się szybko.

– Nie miał wcześniej TOW? – zdziwiła się – Jak to możliwe?

– Po prostu. – Ojciec wzruszył ramionami. – Nie był nadrodowcem.

To była dla Viki nowość. Nie sądziła, że jest możliwe, by człowiek spoza kasty mógł wspiąć się tak wysoko po szczeblach kariery zawodowej. Ale z drugiej strony Howard był prawdopodobnie bardzo stary. Jeśli w ogóle jeszcze żył.

– Kiedyś było trochę inaczej – odezwał się ojciec, jakby czytał w jej myślach. – Nie tylko nadrodowcy mogli robić kariery naukowe. Istniały niezależne uniwersytety, choć z każdym rokiem coraz bardziej upolitycznione, nawet do Akademii Nadrodowców brali całkiem sporo dzieciaków zwyczajnych obywateli. A w czasach twej prababci Jany każdy mógł się uczyć, gdzie chciał, i rząd się do tego nie wtrącał – wyjaśnił ojciec, a w jego głosie dało się wyczuć nutkę żalu za starymi zwyczajami.

Vika się zamyśliła. W co Felicja Lawrance próbowała ją wrobić? Czy chciała zastawić pułapkę na Howarda? Jeśli tak, to co mogło spowodować, że polowała na niego przez tyle lat? Howard był w projekcie „Ewakuacja”. O Arkach pewnie wiedział wszystko. Czy to możliwe, że to on był przeciekiem informacji na ich temat? Pożegnała się pospiesznie z ojcem i poszła do swojego domu. Zamierzała poszukać Tashiego Amoto i potrzebowała do tego spokoju. Zdała sobie sprawę, że tajemniczy Jordan był kompletnie nieuchwytny. Nie zostawił najmniejszego śladu istnienia w sieci. Jedynym punktem zaczepienia była fałszywa tożsamość Howarda. Vika czuła, że stoi u progu niezwykle ważnego dziennikarskiego śledztwa. Oczywiście chciała wypełnić zlecenie sekretarz Lawrance, ale przecież nie musiała na tym poprzestawać. Holowizji nie miała zamiaru zamykać. Jeśli będzie musiała zejść do podziemia, zrobi to. Uznała, że prawda jest najważniejsza.





Jerry wyglądał na bardzo zmęczonego, ale trzymał się dzielnie. Alex przypuszczała, że zawiadywanie statkiem i utrzymywanie umysłu w stanie pełnego skupienia przez tyle godzin ogromnie go wyczerpywało. Przez dobre pół godziny lecieli w milczeniu, koncentrując się wyłącznie na tym, by znaleźć się jak najdalej od stacji O'Briana. Pora była najwyższa, żeby podjąć jakieś decyzje. Alex odruchowo chciała lecieć do Obszaru Ameryka 5, ale po chwili zrozumiała, że to jest kompletnie bez sensu. Do mieszkania nie mogła wrócić. Właściwie to już nawet pewnie nie było jej lokum, tylko innego szeregowego pracownika Geneo. Mary Sue i reszty Skorpionów też już pewnie w obszarze nie było. Skoro Alex wylądowała w rękach O'Briana, to znaczy, że ich kryjówkę odkryto, a oni sami albo zostali złapani, albo musieli uciekać. Jeśli zdołali się wydostać, z pewnością byli już bardzo daleko. Podejrzewała, że nawet gdyby poprosiła o to Jerry'ego, chłopak nie byłby w stanie ich namierzyć. Gdy się ucieka, wówczas dezaktywuje się interfejsy, o czym wiedziała z własnego doświadczenia. Jordan z pewnością o to zadbał. Alex nie miała pojęcia, jak ma się odnieść do faktu, że chłopak jest synem O'Briana. Czy zbuntował się przeciw ojcu i systemowi, który tamten reprezentuje, czy wręcz przeciwnie, jest szpiegiem na jego usługach? To wszystko było bardzo zagmatwane i jeszcze mocniej pogłębiało frustrację kobiety.

– Ostatnio mieszkałem w Obszarze Europa 7 – wyznał niespodziewanie Jerry.

Alex spojrzała na niego ze zdumieniem. Nie odzywała się w nadziei, że chłopiec powie coś więcej, a jednocześnie próbowała sobie w całości odtworzyć mapę Obszarów Europy. Ona sama pochodziła z Dwójki, Jedyńka zajmowała niezalane tereny Półwyspu Iberyjskiego, a Trójka podtopione wybrzeże Morza Północnego i pogrążone w chaosie lokalnych rozgrywek plemiennych Wyspy Brytyjskie. Dalej była niewielka Europa 4 skupiająca kilka miast w obrębie Alp, właściwie jedyny w miarę cywilizowany obszar na kontynencie. Następnie rozciągała się Europa 5, obecnie niemal wyludniona ze strachu przed eksplozją superwulkanu znalezionej pod jeziorem Laacher. Znaczna część ludności sama uciekła, a resztę wysiedlono na Arki. Ten kompletnie zdziczały obszar oddzielał od siebie dwie strefy względnej cywilizacji – zachodnią i wschodnią. Przez Obszar Europa 5 nie odbywał się żaden ruch, nie było dróg i chyba nikt przy zdrowych zmysłach się tam nie zapuszczał. Niżej na mapie była Szóstka, obejmująca Półwysep Apeniński i sąsiednie Bałkany. Zwłaszcza te drugie nie ucierpiały zbyt mocno podczas tsunami powstałego po erupcji wulkanu Cumbre Vieja na Wyspach Kanaryjskich. Alex nie miała pojęcia, na jakim poziomie pozostawała tamtejsza cywilizacja, ale przypuszczała, że na wyższym niż w jej macierzystej Dwójce. Zlokalizowała w głowie Obszar Europa 7. Rozciągał się ponad Bałkanami przez całą Kotlinę Panońską, potem wyżej przez Karpaty i Wyżyny Polskie aż po wschodnią część Niżu Środkowoeuropejskiego do Morza Bałtyckiego. Obszar był przyczółkiem cywilizacji po drugiej stronie dzikiej Piątki i jednocześnie ostatnim bastionem przed prawie bezludnymi terenami leżącego dalej na wschód Obszaru Europa 11. Z tego, co pamiętała Alex, to Europa 7 stanowiła ostatni wysunięty na północ bastion cywilizacji. Drogi do niej prowadziły wyłącznie przez Półwysep Apeniński. Były też jedynym szlakiem do portów w basenie Morza Bałtyckiego. Nie wiedziała, w której części Siódemki mieszkał Jerry, ale z pewnością nie było to spokojne miejsce.

– Mieszkałem w instytucie – powiedział Jerry.

– W jakim instytucie? – zapytała zdumiona.

– Dla biomodów. Byli tam dorośli i dzieci takie jak ja. Chodziliśmy do szkoły i było bardzo fajnie.

Alex powstrzymała się od pytań o to, kim są biomodzi i czego uczą się w szkole podobne do niego dzieci. Ważniejsze było ustalenie dalszego ciągu historii, którą chłopiec właśnie miał zamiar jej opowiedzieć.

– Jak się nazywał ten instytut? – zapytała ostrożnie.

– Taka głupia, obca nazwa. Instytut Orbis Perditus – odparł i machnął ręką, dając jej do zrozumienia, że to nieważne.

– I co się stało?

– Pewnego dnia wpadli ci ludzie z Geneo i porwali nas. Wsadzili na statek i wywieźli na Arkę 173.

– To instytut nie należał do Geneo? – spytała Alex z niedowierzaniem.

– Nie, oczywiście, że nie!

Alex się zdziwiła. Wydawało jej się, że wszystko na świecie było w rękach Geneo. Czy Jerry właśnie próbował jej powiedzieć, że gdzieś istniały miejsca, nad którymi Rząd Światowy nie miał całkowitej kontroli?

– Poczekaj, Jerry, powiedziałeś, że uprowadzili was na Arkę 173? Przecież jest sto pięćdziesiąt Ark. Właściwie sto czterdzieści dziewięć, bo ostatniej jeszcze nie skończyli budować.

– To prywatny projekt O'Briana. Przeczytałem o niej wszystko – pochwalił się chłopak. Alex wierzyła mu bez zastrzeżeń. – Powstawała przez wiele lat, nie wie o niej nikt inny, tylko generał.

– Nikt z rządu nie wie o Arce 173? – upewniła się.

– Nikt. Na niej jest wszystko. Ten domek pod kopułą i hangar to tylko małeńki kawałek. Tam są domy, łąki, pola. To jest taka malutka Ziemia ze wszystkim, co chce się mieć – tłumaczył z zapalem.

– I jeszcze ten transport holofilmowców – mruknęła Alex.

– On robi coś niedobrego – powiedział Jerry.

– Och, to na pewno – zaśmiała się ponuro. – Rozumiem, że te wszystkie pliki dotyczące Arki 173 masz ze sobą?

– Mam – potwierdził. – I dużo innych rzeczy. Właściwie wszystko, co udało mi się tam znaleźć.

– Zuch chłopak – pochwaliła go szczerze. – Powiedz, czy w tym instytucie, z którego cię porwali, byli dobrzy ludzie?

Nie wiedziała, jak to ująć inaczej, żeby dziecko zrozumiało. Jerry był nad wyraz rozwinięty, ale mimo wszystko pozostawał dzieckiem. Podejrzewała, że jego pojmanie dobra i zła może się różnić od obecnej sytuacji na świecie. Starła się zrozumieć jak najwięcej, bo planeta w przedniej szybie z minuty na minutę stawała się coraz większa. Niby kolebka, ale dla Alex błękitna poświata oznaczała obecnie, że ucieka im dramatycznie czas. Wkrótce wessie ich ziemską grawitacja, a wtedy pewnie będzie za późno na decyzje.

– Dobrzy. Próbowali nas bronić – odparł Jerry i zamknął oczy.

– Hej! Nie śpij! – krzyknęła Alex. – Jerry!

– Nie śpię – wymamrotał i ponownie popadł w letarg.

Autolot leciał na łeb na szyję w stronę planety. Właśnie minął orbitę, o czym poinformowała nawigacja, podświetlając na czerwono większość instrumentów pokładowych.

– Obudź się! Wiesz, jak trafić do tego instytutu? Hej! – Teraz potrząsała go za ramię.

Otworzył oczy z wysiłkiem.

– Wiem. Tak mi się wydaje. To w Puszczy Kabackiej obok zburzonego miasta Warszawa – powiedział.

Alex słyszała o Warszawie, ale nigdy w niej nie była. Cały Obszar Europa 7 znała wyłącznie z opowieści. Jej znajomość Europy ograniczała się do na wpół zburzonego Paryża. Potem została przeniesiona do Ameryki 5. Jednak nawet dla takiego laika jak ona było jasne, że tereny, o których mówił chłopiec, nie należały do bezpiecznych. Może jednak tam będzie łatwiej się ukryć, a ludzie z instytutu zajmą się Jerrym?

– Lećmy tam – zdecydowała.

– Wprowadziłem dane naprowadzające, ale gdy wejdziemy w stratosferę, będziesz musiała przejąć stery. Ten pojazd nie potrafi sam wylądować – wyszeptał z wysiłkiem Jerry.

– Nie przejmuj się. Dam radę – dodała mu otuchy, choć z trudem panowała nad drżeniem głosu.

Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale zobaczyła, że chłopak śpi. Ujęła ster w dłonie i gorączkowo rozglądała się po przyrządach. Ziemia przesłoniła już cały horyzont.

– To nie będzie miękkie lądowanie – mruknęła do siebie, odczytując kolejne komunikaty na monitorze.

Przez szybę kokpitu widziała Wyspy Brytyjskie i Morze Północne, w którym odbijały się chmury. Nawet z tej wysokości widać było białe grzywy sztormowych fal. Na monitorze pojawiło się ostrzeżenie o silnym wietrze bocznym. Na razie pojazd korygował kurs automatycznie, ale na panelu wyświetlił się nagle komunikat o przejściu w tryb ręcznego sterowania, który miał się rozpocząć za piętnaście minut. Jerry nadal spał, najwyraźniej nieświadomy tego, że Alex zaczyna wpadać w panikę. Pod spodem przesunęły się tereny Trójki z zalaną Hagą. Autolot wpadł w silny poryw wiatru i zadrżał niepokojąco. Zerknęła na monitor i poczuła dławiący strach. Licznik przeliczył czas i wyświetlił komunikat, że za trzy sekundy pojazd odcina autopilota. Nie zdążyła oswoić się z tą myślą, gdy z głośników rozległ się wysoki dźwięk alarmu, a kobiecy głos powtarzał raz za razem ostrzeżenie o zderzeniu się z ziemią. Hałas obudził Jerry'ego.

– Co się dzieje? – zapytał nieprzytomnym głosem.

– Obawiam się, że czeka nas awaryjne lądowanie. Trzymaj się, bo pewnie mocno szarpnie!

Usiłując wyrównać lot, podniosła ster, ale było już za późno. Podbrzusze pojazdu otarło się o korony drzew, a on jakimś cudem przesunął się nad nimi i pod dość łagodnym kątem zderzył się z ziemią na rozległej leśnej polanie. Sunął po niej bezwładnie siłą rozpędu, lecz Alex już tego nie widziała. W momencie kolizji uderzyła głową o wolant i straciła przytomność.

Mary Sue siedziała w gabinecie i intensywnie myślała. Raz za razem odtwarzała w głowie rozmowę z Viką Novakovič i nie potrafiła się zdecydować, czy dobrze zrobiła, przekazując jej wiadomość. Bardzo ją korciło, by skontaktować się z Jordanem, ale wiedziała, że to zły pomysł. Wordsworth pewnie tylko czekał na taki ruch. I gdy tylko nabierze podejrzeń, postara się o próbki DNA, które z miejsca obnażą jej mistyfikację. Wielokrotnie analizowała wszystkie opcje, ale żaden z pomysłów nie był bezpieczny i nie dawał nawet cienia gwarancji, że uda jej się skontaktować z którymkolwiek z towarzyszy. Nie miała zielonego pojęcia, gdzie jest Alex, ale ostatnim razem, gdy się widziały, jej interfejs był odcięty i zablokowany przez Jordana, więc próba kontaktu, oprócz ogromnego ryzyka, nic by pewnie nie przyniosła. Kusilo ją, żeby sprawdzić, co u Sary i Yoshiego. Wiedziała jednak, że obydwoje są dziećmi Wordswortha i wolała nie narażać ani ich, ani siebie. Myślała też o tym, by wyciągnąć jakieś informacje z O'Briana, lecz i to wydało się nazbyt ryzykowne. Nie miała pojęcia, jak wiele general wie o wydarzeniach w domu nad jeziorem, a poza tym sprawiał wrażenie człowieka, który nie przepada za Felicją Lawrance. Nie miała żadnej pewności, że udzieliłby jej jakichkolwiek informacji, a jeśli nawet, czy okazałyby się zbliżone do prawdy. Gdy po raz kolejny wykreślała na liście nazwiska ludzi, z którymi nie mogła się skontaktować, pomyślała o Hassanie. Uciekł z domu nad jeziorem razem z Yoshim, Jordanem i resztą, ale czy się z nimi trzymał? Tak czy inaczej, był jedyną osobą na świecie, która mogła potwierdzić jej tożsamość. Teraz, siedząc w gabinecie, Mary Sue uznała, że znalezienie posłańca, czyli Viki, było najrozsądniejszym rozwiązaniem, a przekazana wiadomość, jeśli tylko dojdzie do właściwych uszu, powinna zostać właściwie zinterpretowana. Wiedziała, że postawiła na jedną kartę, ale czuła, że wybrała słusznie. Wróciła myślami do posiedzenia rady. Tym razem kompletna niewiedza jej się opiekła, ale następnym może się nie udać i obnaży swoją całkowitą niekompetencję.

Bez entuzjazmu uruchomiła bazę danych Felicji i zaczęła metodycznie wyświetlać kolejne dokumenty. Miała nadzieję, że w ten sposób uda jej się dowiedzieć możliwie dużo o życiu i tajemnicach kobiety, a także poznać zasady działania wielkiej polityki. Śmiertelnie ją to nużyło, ale trzeba było to zrobić. Ziewając okrutnie, zamknęła właśnie kolejny suchy raport z posiedzenia rady, gdy rzucił jej się w oczy interesujący folder. Migotał niczym zawieszony w przestrzeni rubin i był opatrzony nazwą „backup”. Niewiele myśląc, otworzyła go i natychmiast zrozumiała, że właśnie popełniła gigantyczny błąd. Interfejs jakby poddał się woli ukrytego w rubinowym folderze programu i unieruchomił Mary Sue. Mogła mrugać, otwierać i zamykać usta, ale cała reszta jej ciała przestała jej słuchać. Siedziała jak sparaliżowana i czekała na dalszy rozwój wydarzeń. Przez chwilę nie działo się nic. Panowała kompletna cisza. A potem interfejs kobiety zaatakowała czerwona struna. Wbiła się w jej oprogramowanie, kompletnie nie zwracając uwagi na zapórę antywirusową, która w systemie

TOW miała dużą skuteczność, a u osób z najwyższych kręgów władzy była nieomal nie do sforsowania. Mary Sue nie była w stanie wydać z siebie nawet jęku, gdy zrozumiała, co przez własną głupotę właśnie zrobiła. Nie sądziła, żeby mógł jej pomóc ktokolwiek oprócz Jordana. Teraz stawką w dziennikarskim śledztwie Wiki Novaković była także ona. I miała głębokie przekonanie, że to gra na czas. Transfer danych się zakończył, Mary Sue odzyskała czucie w rękach i nogach. A interfejs nieubłaganie atakowała kopia zapasowa jaźni prawdziwej Felicji Lawrence. Jeśli Jordan czegoś z tym nie robi, to osobowość pani sekretarz wkrótce opanuje jej umysł i ciało. Mary Sue była pewna, że tego wirusa nie da się tak łatwo wyleczyć.



Jordan wertował kolejne dokumenty, ale co chwilę łapał się na tym, że nie rozumie, co czyta. Jego myśli cały czas bieły do Moniki i niemowlęcia. Był człowiekiem wykształconym, doskonale wiedział, skąd się biorą dzieci, ale w przypadku Moniki ten podział jednego ciała na dwie osoby był fascynujący. Dziecko stanowiło jej miniaturową kopię. A ona, choć tak wiele wycierpiała, uśmiechała się pogodnie i do synka, i do niego.

– Znalazłeś coś? – zapytał Yoshi.

– Jeszcze nic – odpowiedział z roztargnieniem.

– Ja też nic, jeśli cię to interesuje – odezwał się z drugiego kąta biblioteki Max.

– Nic o grach czy nic o Wielkim Resecie, nasz asie przestworzy? – zapytał zaczepnie Yoshi.

– Ani o jednym, ani o drugim – odparł spokojnie pilot, po raz kolejny obiecując sobie w duchu, że nie da się sprowokować.

– Zaczyna mnie to doprowadzać do szału – rozsierdził się Jordan. – Jak mam się dowiedzieć czegokolwiek o grach w sieci bez dostępu do niej? Pisałem wiele z nich, to prawda, ale nie da się wypracować nowych informacji bez dostępu do jakichkolwiek informacji!

– I tu właśnie leży problem – wtrącił bibliotekarz, manewrując przy drzwiach z tacą zastawioną dzbankami z herbatą.

– Jaki problem, czcigodny Yeshi Gyatso? – zapytał grzecznie Jordan.

– Próbujecie odnaleźć przeszłość, szukając w przyszłości. To się nigdy nie uda. Wszystkie tropy są właśnie tam i łącze do niczego wam się nie przyda.

– Ale te gry... – jęknął Jordan.

– To były zupełnie inne gry niż te, o których teraz myślisz. Proste, dwuwymiarowe, pozbawione czucia, zapachów i wersji holo. Nie było nawet kupowanych za kredyty e-toksyn, które wmawiają graczowi, że to się dzieje naprawdę.

– Prymitywne jak Tetris? – zapytał Jordan.

– Nie aż tak. Ale nie grało się na poziomie sensorycznym, tylko w 2D z dźwiękiem. To były jedyne funkcje.

– Jak to mogło fascynować i uzależniać? – zapytał ze zdziwieniem Yoshi.

– Każda epoka ma swoje stymulanty – odparł bibliotekarz. – Ludzi, którzy wynaleźli medlaby, pewnie też ekscytował ich wynalazek.

– A to kiedyś nie było medlabów? – zdziwił się Jordan. – To jak ludzie się rekonstruowali?

Yeshi Gyatso roześmiał się w odpowiedzi i postawił przed nim dzbanek z herbatą.

– Chłopaki, chyba znalazłem coś ciekawego! – powiedział Max, wskazując holodokument jaśniejący nad stołem.

– Jeśli znów gołe cycki w 2D, to wybaczone, ale nie jesteśmy zainteresowani – odparł Yoshi.

– Nie, serio. To jest chyba to, czego szukaliśmy! – ekscytował się pilot. – Ma interesujący opis: „Gabinet Owalny, 2039, monitoring z dnia 10 maja”.

– To dziwne – powiedział bibliotekarz. – Nie przypuszczałem, że tego typu materiały miały szansę wydostać się z Białego Domu.

– Skąd? – zdziwił się Jordan.

– Siedziba prezydentów. Myśleliśmy, że została zburzona podczas wojny, ale najwyraźniej tak się nie stało. Czy to znaczy, że Wielkiego Resetu też nie było? – zdziwił się Howard, który chwilę wcześniej wszedł do pomieszczenia i oparty o framugę przysłuchiwał się rozmowie.

– Możesz mieć rację – zwrócił się do niego Yeshi Gyatso.

– Myślę, że Wielki Reset był – wtrącił się Max. – Czy naprawdę nikt nie chce obejrzeć tego filmu 2D?

Wszyscy podeszli. Nawet Yoshi, choć mamrotał pod nosem coś o pornolach z poprzedniej epoki, na które można było tylko popatrzeć, więc jaki sens to w ogóle oglądać, wstał i z pewnym ociąganiem stanął za stanowiskiem Maxa.

– Ostrzegam, że jakość jest nie najlepsza – powiedział Max i włączył nagranie.

*Waszyngton, 10 maja 2039*

*Wielebny Lawrance siedział za biurkiem i monotonnym głosem dyktował sekretarce zalecenia dla agencji do spraw Worldwebu Kościoła Odnowy Świata. Słowa padały jedno za drugim i zanim dobrze rozbrzmiały, kobieta już je wzięła w gorliwym stukocie klawiatury. Spojrzał na nią wyraźnie zirytowany, ale dyktował dalej:*

*– Należy natychmiast podjąć działania mające na celu wyeliminowanie mowy nienawiści z przestrzeni publicznej. Każdy atak, każdy wyraz niezadowolenia z Kościoła i instytucji państwowych powinien się spotkać z natychmiastowym i stanowczym działaniem służb. Ponadto należy potroić liczbę agentów w sieci i poprzez nakłanianie do zwierzeń w komentarzach wykrywać nieprawomyślnych, nieustannie kontrolować i cenzurować treści na stronach, a także likwidować komunikatory umożliwiające prywatne rozmowy. Winnych w trybie przyspieszonym skazywać na najwyższy wymiar kary.*

*W kadr weszła młoda dziewczyna. Szczupła blondynka ubrana w skromną granatową sukienkę.*

*– Uważasz, że to ci w czymkolwiek pomoże, dziadku? – zapytała.*

*– Ile razy mam mówić, żebyś mnie tak nie nazywała? – odparł ze złością Patrick Lawrance.*

*– Nie ugasisz tego ognia. Sieci nie da się tak po prostu kontrolować! – oświadczyła, ignorując jego wcześniejsze słowa.*

– Felicjo, czy tobie się zdaje, że pozwolę, żeby taka smarkuła mnie pouczała?! – wrzasnął.

– Tak, bo jeśli nie zapomnialeś, to sam, łamiąc absolutnie wszystkie przepisy i obalając konstytucję, mianowałeś mnie w wieku piętnastu lat swoim zastępcą, dziadku! – Roześmiała się złośliwie.

– I w każdej chwili mogę cię odwołać! – zagroził wielebny.

– Nie może pan – odparł męski głos zza kadru. – Po pierwsze, Felicja już ma bardzo duże poparcie Rządu Tymczasowego, a po drugie, tylko my wiemy, jak utrzymać władzę. W pana rękach wszystko się wali jak domek z karc.

Wielebny poczerwieniał z oburzenia, ale nie odpowiedział chłopakowi. Zamiast tego spojrzął na sekretarkę.

– Proszę wyjść, pani Parker – warknął.

Kobieta wstała bez słowa, wygładziła nerwowym ruchem fałdy spódnicy i opuściła gabinet.

– Jeśli myślicie, że możecie sobie ze mną pogrywać – powiedział wielebny, gdy tylko rozległ się trzask zamykanych drzwi – to jesteście w grubym błędzie.

– Otóż mylił się, dziadku. – Felicja się roześmiała, odrzucając głowę do tyłu. – Jesteśmy tutaj, by ci przekazać, że rząd nalega, abyś ustąpił ze stanowiska.

– Czyś ty kompletnie na głowę upadła, dziewczyno?! – wrzasnął wielebny. – Wyhodowałem gada na własnej piersi!

– Nie na piersi, tylko w tym chorym przedszkolu – przypomniała mu Felicja. – Zresztą nie przyszliśmy tu z Eugene'em po to, by omawiać linię wychowawczą twojego Kościoła. I żeby bez sensu nie przedłużać, od razu ci powiem, że albo sam zrezygnujesz i odejdziesz, albo cię do tego zmusimy. Może też ci się przytrafić jakiś przykry wypadek, a tego przecież nie chcemy. Dlatego grzecznie podpiszesz ten papier, w którym zrzekasz się władzy i przekazujesz ją Eugene'owi.

– Eugene'owi? – Wielebny wytrzeszczył ze zdumienia oczy i aż się zatrzęsł z oburzenia.

– A tak, Eugene'owi – odparła beztrząsco. – Nawet w tym chcę ci zrobić na złość, drogi dziadku czy też tatusiu – zakończyła lodowatym tonem, patrząc mu prosto w oczy.

Patrick Lawrance wyraźnie się speszył. Gdy w zasięg kamery wszedł chłopak, wielebny natychmiast spojrzął na niego. Widać było, że z wyraźną ulgą odwrócił oczy od dziewczyny.

– Możesz o tym zapomnieć, gówniarzu! – wycedził z furią. – Co wy w ogóle wiecie o rządzeniu?

– Och, tylko tyle, że twój projekt z armią zombi nigdy nie wypalił i żaden z graczy z pewnością nie da się wystać do walki jak bezwolny manekin. Myślałeś, że nikt się o tym nie dowie? Że trzymasz wszystkich w szachu? Nikt o ciebie nie zapyta i nikt za tobą nie zapłaci. Ale może pocieszysz cię wiadomością, że część tych ludzi uzyskała pewne szczególne umiejętności, a sam projekt pomoże udoskonalić interfejsy, które z sukcesem wszczepiamy?

Wielebny wyglądał na zszokowanego.

– Poza tym, drogi dziadku, sam doskonale zdajesz sobie sprawę, że twój upadek jest kwestią czasu – wtrąciła lodowatym tonem Felicja. – Nie zażegnasz pożaru w sieci. Prędkiej czy później i tak by przyszli po ciebie, więc w sumie oddajemy ci przysługę.

– Po was też przyjdą – warknął Patrick Lawrance. – Tylko wam się wydaje, że pozjadaliście wszystkie rozumy!

– Chyba jednak nie – odezwał się spokojnie Eugene. – Trzeba iść z duchem czasu, wielebny. I właśnie to robimy. Worldweb zostanie w całości wykasowany, a nową wersją sieci od początku będziemy rządzić właśnie my.

– *Tego się nie da zrobić!* – *oburzył się wielebny.*  
– *Da się i to zrobimy* – *oświadczyła Felicja.* – *A teraz, drogi dziadku, podpisujesz czy nie?*  
– *Nie!* – *warknął Patrick Lawrance i zaplótł ręce na wysokości piersi.*  
– *No cóż, niczego to wprawdzie nie zmienia, ale szkoda. Żegnaj!* – *powiedziała Felicja i wraz z towarzyszem wyszła z pokoju.*  
*Wielebny uderzył pięścią w biurko.*  
– *Suka. Jak jej matka* – *wyszczał pod nosem i zaczął z furią stukać w klawiaturę.*

Profesor Howard westchnął i odchrząknął.

– No to trochę nam się wyjaśniło. Wiele bym oddał, żeby się dowiedzieć, jak to nagranie tu trafiło i kto je przysłał. Ale i bez tego jest bardzo cenne...

– Proszę poczekać, panie profesorze, to jeszcze nie wszystko – zaprotestował Max. – Przyspieszę nagranie o dziesięć minut. W tym czasie wielebny nie ruszył się z za biurka i w milczeniu pisał. Nic to do naszej wiedzy nie wnosi. Najlepsze jest na samym końcu. Patrzcie.

Przez pół minuty obserwowali, jak Patrick Lawrance pracuje w skupieniu, a potem rozległ się huk i pojawiły się płomienie. Obraz się zatrząsł i nagranie nagle się urwało.

– To ostatecznie rozwiązuje zagadkę, kiedy przestał istnieć Biały Dom – powiedział Yeshi Gyatso.

– Dziesięć lat później, niż sądziliśmy – odparł w zamyśleniu profesor. – Ogromnie frustrujące jest to, że tak mało wiemy o czasach, w których już żyłem, a Yeshi Gyatso właśnie przychodził na świat. Jak to możliwe, że nikt ze starszych nam tej wiedzy nie przekazał? Rozumiem, że Wielki Reset, a wcześniej delegalizacja papieru na pewno nie ułatwiły sprawy, ale przecież zwykle rozmowy pozwoliłyby ocalić pamięć przodków.

– Też tak to widziałem. Ale pomyśl, John – wszedł mu w słowo bibliotekarz – czy sam często snujesz opowieści ze swojego dzieciństwa i młodości? Nie. Za mówienie pewnych rzeczy można było i nadal można mieć kłopoty. Poza tym dzieci się przecież szybko oddziela od pierwszych opiekunów. Stają się sobie obcy. O czym mogliby rozmawiać podczas rzadkich spotkań? O historii Wielkiego Resetu niegdyś być może zasłyszanej od babci? Założę się, że nawet w domach nadrodowców nie wywlekało się takich spraw i dla dobra kasty rządzącej usuwało w zapomnienie.

– To prawda – poparł go Jordan. – U nas w domu nigdy się nie mówiło o przeszłości, a myślę, że mój ojciec musiał wiedzieć wiele. Jest młodszy od Wordswortha i sekretarz Lawrance, ale na pewno musiał od nich niejedno słyszeć.

– O tym właśnie mówię – rzekł Yeshi Gyatso. – Starsze pokolenie ze strachu lub z wygodny milczało, a źródła wiedzy przepadły. Nie wiemy, kto stał za ideą Wielkiego Resetu, bo chyba dla wszystkich jest jasne, że musiał stać za tym ktoś więcej niż para wyrachowanych i gotowych na wszystko nastolatków. Nawet jeśli działali napędzani chęcią zemsty za związek kazirodczy wielebny z własną córką, którego owocem była Felicja, to nadal uważam, że poważnym procesem musiał zawiadywać człowiek lub grupa ludzi zdolnych zaplanować taki zamach w najdrobniejszych szczegółach. Musieli też posiadać potężny sprzęt sieciowy i niemłą wiedzę.

– Nadal w głowie mi się nie mieści, że ludzkość o tym wszystkim zapomniła – szepnął Howard. – Przecież część książek ocala. Ja sam kilka kupiłem.



– Część pamięci ocalała, John. Ale tylko ta sprzed palenia papieru. Tych długich dziesięć lat do Wielkiego Resetu przepadło wraz ze starym Worldwebem. Luka zawierała najważniejsze informacje. Bez tej wiedzy społeczeństwo nie do końca zdaje sobie sprawę, co straciło i jak straszne towarzyszyły temu wydarzenia – powiedział z zadumą bibliotekarz.

– Gdyby udało się odzyskać zasoby starej sieci, byłoby to nawet lepsze od wypuszczenia SeeIT – rozmarzył się Jordan.

– Ciężko by było odzyskać coś tak potężnego – ostudził jego zapał profesor. – Nie istnieje miejsce tak pojemne, żeby wykonać kopię zapasową. Poza tym wątpię, by taka powstała.

– I tu się mylisz – powiedział spokojnie Yeshi Gyatso. – Nie wierzę w to, że dane bezpowrotnie przepadły.

– Nie sądzę, żebyś miał rację, ale nawet jeśli, to przecież próba ich namierzenia byłaby równie trudna jak znalezienie igły w stogu siana – zaprotestował Howard.

Profesor wnikliwie badał twarz bibliotekarza i nagle go olśniło. On doskonale wiedział, kto ukrywa kopię Worldwebu. Nie miał tylko pewności gdzie. Zniknęli biomodzi z organizacji Orbis Preditus i nie było wsparcia dla takiej akcji. Rozpaczliwie potrzebowali biomoda, jakiegokolwiek, który by pomógł wykonać misję. To dlatego cwany Yeshi Gyatso dawkował mu informacje i podkreślał emocje jak na dobrym holofilmie. I gorliwie pomagał w testach z Allie. Chciał wykrzesać jak największy potencjał z małej, zanim wyśle ją na rzeź. Od początku to planował i pociągał za wszystkie sznurki. I działał na zlecenie organizacji.

A on, stary idiota, we wszystko uwierzył. Pranie mózgu bibliotekarz przeprowadził podrećnikowo. Najpierw rzucił ochłapy informacji, potem podetknął chwytające za serce felietony Jany Novakovič, a później niebieską książeczkę wielebneho. Teraz Max, niby przypadkiem, znalazł nagranie z Gabinetu Owalnego. Dlaczego akurat Max? Gdy profesorowi spadły zasłony z oczu, umiał odpowiedzieć na to pytanie. Max był urodzonym liderem i reszta młodych mężczyzn po cichu go podziwiała. Jego entuzjazm dla sprawy miał porwać wszystkich.

Ale stary profesor też głupi nie był. Zanim Yeshi Gyatso rozpoczął płomienną przemowę, Howard odchrząknął i spojrzał na niego twardo.

– Nie poślesz na rzeź do domu Felicji Lawrance ani Allie, ani nikogo innego z moich przyjaciół – powiedział głośno i powoli.

Bibliotekarz wyglądał na wstrząśniętego i chyba po raz pierwszy, odkąd Howard go poznał, najwyraźniej zaniemówił.

– I jeszcze jedno – dodał profesor. – Podrzucenie Allie fałszywego tropu do Thomasa, którego nigdy tu nie gościliście, jest zwyczajnym świństwem. Jak złowienie niewinnej ryby na haczyk.

Howard z dużą satysfakcją odnotował, że to zrobiło na bibliotekarzu piorunujące wrażenie. W życiu nie widział, żeby jakikolwiek mnich poczerwieniał na twarzy i pozwolił, by rządziły nim emocje. Yoshi, Jordan i Max obserwowali dwóch starców w milczeniu, nie do końca wiedząc, co właściwie zaszło.

– Rozumiem twoje stanowisko i niechętnie przyznaję, że cię nie doceniłem – odparł bibliotekarz. – Być może szczerą rozmową na samym początku bardziej by cię przekonała do naszej sprawy.

– Być może – potwierdził Howard.

– Niemniej jednak, zanim pożegnacie nasz klasztor w gniewie, chciałbym ci pokazać coś jeszcze. W tym celu musimy uruchomić łącze wychodzące. Niesie to ze sobą poważne zagrożenie bezpieczeństwa, ale są sprawy znacznie od niego ważniejsze.

Teraz nawet Jordan, Yoshi i Max wychycili groźbę kryjącą się pod powierzchwnią spokojnych i uprzejmych słów mnicha. Ich przekaz był niezwykle prosty i dobitny. Jeśli nie będą współpracować, stracą bezpieczną przystań. Monica z dziećmi również. Kto wie, może będą też chcieli siłą zatrzymać Allie. Howard zachował spokój. Nie odważył się też porozumieć wzrokiem z żadnym z przyjaciół. Nie chciał nikogo prowokować ani się dekoncentrować.

– Dobrze więc, chętnie to obejrzę, ale już sam – powiedział. – Chłopcy pewnie mają inne obowiązki. Trzeba sprawdzić, co u Moniki, Sary i dzieci.

– Jest z nimi Hassan – wyrwało się Yoshiemu, ale Howard zgromił go wzrokiem, więc zamilkł.

Max lekko skinął głową, potwierdzając, że zrozumiał. Szybko opuścił pomieszczenie, chcąc jak najszybciej otoczyć ochroną współtowarzyszki. Jordan i Yoshi bez słowa protestu wyszli za nim.

– Cóż więc chcesz mi pokazać, przyjacielu? – Profesor zwrócił się ze sztuczną wesołością do bibliotekarza.

– Pozwól za mną. Łącze przychodzące jest ukryte. Przepisy bezpieczeństwa.

Profesor dobrze wiedział, że mnich nie ma na myśli reguł klasztornych, tylko wytyczne organizacji Orbis Perditus. Niemniej Yeshi Gyatso rozbudził jego ciekawość, więc chętnie za nim poszedł. Pomieszczenie wyglądało jak szklany kokon, w którego wnętrzu stały niewielki portal i wyświetlacz holo.

– Nie mówiłem tego wcześniej, ale z tego pomieszczenia jest również możliwość wysłania wiadomości – powiedział mnich. – Użyj go mądrze.

Howard nie skomentował enigmatycznych słów, tylko wszedł do środka. Zanim dobrze usiadł, poczuł znajome wibrowanie w interfejsie. Prawie zapomniał, jakie to uczucie. Właściwie kiedyś nie zwracał na nie uwagi, a teraz, jak człowiek uzależniony, napawał się widokiem znajomych stron i zakładek z holo. Przesiał wiadomości, odrzucając wszystkie z instytutu zdrowia, wyrażające zaniepokojenie brakiem próbek moczu, które powinien co rano transferować do analizy. W efekcie niewiele tego zostało. Parę ofert zakupu biletów na Arkę, i tyle. Już miał opuszczać pocztę, gdy rzuciło mu się w oczy, że folder wiadomości na portalu czatów natywnych mruga na czerwono. Zdziwił się, bo od czasu, gdy niechcący wpadł tam na Yoshiego, właściwie nikt się tą drogą z nim nie kontaktował. Zwyciężyła ciekawość i Howard wyświetlił wiadomość.

*Szanowny Panie Profesorze!*

*Nie zna mnie Pan, ale ja najwyraźniej trochę o Panu wiem, skoro piszę do Toshiego Amato. Od razu wyjaśniam, że nie mam złych zamiarów. Za to mam wiadomość, którą sekretarz Felicja Lawrance kazała mi dostarczyć panu lub osobie o pseudonimie Jordan (niestety nie znalazłam go nigdzie w sieci). Brzmi ona:*

*Mary Sue jest u Felicji Lawrance. Niech znajdq Hassana Malufa. Niech im opowie o rozmowie w samochodzie przed domem nad jeziorem.*

*Dokładnie to kazala mi przekazać pani sekretarz i użyla do tego szantazu. Szukałam Hassana Malufa, jednak bezskutecznie. Dla mnie ta wiadomość jest niezbyt czytelna, ale liczę, że Pan umie właściwie ją zinterpretować. Proszę mi wierzyć, że nie mam złych intencji i nie pozostaję w żadnej relacji z panią sekretarz. Wręcz przeciwnie. Oferuję Panu swoją pomoc w odbiciu tajemniczej Mary Sue, jeśli to właśnie sugeruje przekazana informacja.*

*Pozdrawiam  
Vika Novakovič*

Howard przeczytał wiadomość trzy razy i czuł, że serce zaczyna mu mocniej bić. Co Mary Sue mogła robić u Felicji? Co ma do tego Hassan? Trzeba jak najszybciej z nim porozmawiać. Profesor czuł, że umyka mu coś bardzo ważnego. Wyskoczył ze szklanej kopuły jak oparzony.

– Nie będziemy teraz rozmawiać, ale jeśli chcesz mojej współpracy, będziesz mnie tu jeszcze musiał wpuścić. A za czytanie cudzej poczty powinieneś zapalić Buddzie co najmniej dziesięć kadzidełek, mój przyjacielu – powiedział i pospiesznie wyszedł.

Bibliotekarz wyszczerzył zęby w uśmiechu i gdyby tylko John się odwrócił i to zobaczył, z pewnością by uznał, że to pierwsza autentyczna reakcja mnicha, jaką widział, odkąd zaczął bywać w bibliotece.

Alex powoli odzyskiwała przytomność. Z trudem otworzyła oczy i jęknęła, gdy zaatakowało ją jaskrawe światło. Głowa pękała jej z bólu. Ostrożnie przejechała językiem po zębach, sprawdzając, czy wszystkie są na miejscu. Twarz chyba też była w porządku z wyjątkiem guza nad nasadą nosa, który wkrótce pewnie się rozleje w fioletowe sińce pod oczami. Alex nagle przypomniała sobie o Jerry. Rozejrzała się po pojeździe, który wyglądał całkiem dobrze, zważywszy na fakt, że niedawno zderzył się z ziemią. Chłopca nigdzie nie było. Alex wydostała się niezdarnie z fotela i wyszła na zewnątrz.

– Jerry! – zawołała niezbyt głośno, bacznie się rozglądając po nieznanym terenie.

Jak okiem sięgnąć, wokół był wyłącznie las. Mieli ogromny fart, że rozbili się właśnie na tej polanie.

Chłopak siedział nieopodal i z oczami wbitymi w ziemię czemuś się przyglądał z wielkim zainteresowaniem. Gdy zobaczył Alex, uśmiechnął się i pomachał ręką, po czym wrócił do obserwacji.

– Co tam masz? – zapytała, podchodząc bliżej.

– Nie wiem – odparł. – Coś bardzo dziwnego, zobacz sama.

Alex kucnęła. Na ziemi, na wpół zasypiana piaskiem, leżała miniaturowa zabawka z długimi skrzydłami. W większości wypłowiała, ale gdzieniegdzie było jeszcze widać kawałki białej farby, a na lewym boku, tuż nad rzędem małych okrągłych okienek zachowały się litery „Luft”.

– Śmieszny ten autolot – powiedział Jerry, z zachwytem wpatrując się w znalezisko.

– To się nazywa samolot. Kiedyś takie latały. Gdy byłam małą dziewczynką, to jeszcze czasem widywałam takie na niebie nad moim miastem.

– Mogę go zatrzymać? – zapytał chłopiec.

– Weź – uśmiechnęła się Alex. – Myślę, że ten, kto go tu zgubił, raczej po niego nie wróci.

– Dlaczego?

Alex się zmieszła. Jak miała mu opowiedzieć, że znajdują się w Piątce, najbardziej nieucywilizowanym obszarze na całym kontynencie i z pewnością nie ma tu oprócz nich żywego ducha? Poza tym zabawka wyglądała na bardzo starą, więc jej właściciel najpewniej po prostu nie żył.

– Myślę, że jest już dorosłym człowiekiem i nie bawi się takimi samolocikami – odparła zamiast tego i żartobliwie poczochnęła mu włosy.

W tej samej chwili uderzyła ją inna myśl i przyjrzała się chłopcu wnikliwie.

– Jerry, a jak się tu znalazłeś? Możesz znów chodzić?

– Trochę – przyznał. – Ale udało mi się zrobić tylko kilka kroków. Tak bardzo chciałem zobaczyć, co tu leży, że się przeczołgałem – dodał z lekkim zażenowaniem.

– Wspaniale! To znaczy, że wkrótce wyzdrowiejesz! – ucieszyła się Alex, pomijając dyplomatycznym milczeniem zieloną smugę, jaką trawa zostawiła na przodzie jego ubrania.

Kobieta wstała i rozejrzała się po polanie. Intrygowało ją, dlaczego wszędzie dookoła rósł las, a polana, oprócz zaledwie kilku niewysokich krzaków, była praktycznie niezadrzewiona. Raczej nikt tu nie mieszkał, niczego nie karczował, a natura pozostawiona sama sobie zazwyczaj błyskawicznie obejmuje w posiadanie każdy skrawek ziemi. Wokół miejsca, w którym stała, ujrzała dość regularne koliste wybrzuszenie. W całości pokrywał je mech, ale udało jej się nogą odsłonić kawałek. Pod spodem odkryła wykonaną z plastiku czerwoną powierzchnię. Wewnątrz kręgu w kilku miejscach, także w tym, gdzie Jerry znalazł samolocik, spod mchu przebijał piasek.

– To musiało być jakieś miejsce do zabawy dla dzieci – powiedziała do chłopaka i odeszła kilka kroków. Ponownie rozgrzebała nogą mech i zobaczyła pod spodem sztuczne tworzywo.

Jeśli była nim wyłożona cała polana, to by wyjaśniało, dlaczego las jeszcze nie zdołał jej pochłonąć. Alex obeszła ostrożnie plac, starając się nie podchodzić zbyt blisko do linii lasu. Nie miała pojęcia, jakie zwierzęta mogą zamieszkiwać okolicę, ale z pewnością nie będą przyjaźnie nastawione do człowieka. Zanim powróciła do Jerry'ego, znalazła sporo kolorowych plastikowych elementów, częściowo okrytych mchem, a nawet wysoką, żółtą konstrukcję, będącą kiedyś z pewnością stelażem dla huśtawek, które pamiętała z sali zabaw przykładowego przedszkola w Paryżu. To ostatecznie rozwiązywało przeznaczenie polany. Była rozległym placem zabaw na świeżym powietrzu, wyłożonym ochronną matą. To odkrycie dodało jej otuchy. Ludzkie siedziby, choćby opuszczone, musiały być niedaleko. Nie buduje się placu zabaw dla dzieci w środku lasu. Musieli znajdować się na terenie dawnego miasta lub w jego pobliżu. A to już była jakaś informacja.

– Trzeba sprawdzić, w jakim stanie jest pojazd – powiedziała, gdy wróciła z obchodu. – Wątpię, żeby nadawał się do jazdy, ale weźmiemy z niego wszystko, co może nam się przydać – wyjaśniła i pomogła chłopcu wdrapać się na swoje plecy.

Maszyna miała całkowicie zniszczony przód i wyglądała jak sterta powyginanego tworzywa. Tak naprawdę wyłącznie przestrzeń pasażerska, dzięki zapewniającym bezpieczeństwo wzmocnieniom, wyglądała na nienaruszoną.

– Wygląda na to, że całkowicie wysiadło zasilanie – powiedziała Alex, próbując ożywić panel sterowania. – Jesteś w stanie coś tu naprawić? – zapytała bez przekonania, wiedząc, jaką otrzyma odpowiedź.

Rzeczywistość okazała się jeszcze gorsza.

– Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać – odparł cicho. – Ja niczego tutaj nie czuję. Nie ma żadnej sieci ani urządzeń, do których mógłbym wejść. Ani jednego, i to pewnie w promieniu wielu kilometrów. Tak, jakbym przestał widzieć – poskarżył się.

– Czyli pomocy też nie wezwiemy?

– Jeśli nie dostanę się gdzieś do sieci, to z pewnością nie – potwierdził.

– No to leżymy na całej linii – powiedziała, zanim pomyślała. – Znaczy, spokojnie, coś wykombinujemy – dodała pospiesznie, patrząc na przerażoną minę dziecka. – Nie martw się, Jerry, wszystko będzie dobrze.

– Gdzie my jesteśmy? Daleko mamy do Europy 7?

– Myślę, że daleko. Ale jak daleko, tego ci nie powiem, dopóki nie ustalimy, gdzie się dokładnie rozbiliśmy.

Alex zanurkowała w kabinie pasażerskiej. Niewiele rzeczy nadawało się tutaj do wykorzystania, z wyjątkiem pistoletu, który wcześniej rzuciła na podłogę, pod nogi Jerry'ego. Liczyła, że znajdzie jakiś materiał, cokolwiek, co mogłoby posłużyć do okrycia się. Niestety nic takiego nie było. Cała kabina pasażerska, łącznie z fotelami, została wykonana z lekkich i wytrzymałych włókien. Nic, co można było odedrzeć i jakkolwiek wykorzystać. Wprawdzie w tej części planety trwała wiosna, ale noce pewnie były jeszcze bardzo chłodne. Jeśli chcieli przeżyć, musieli odnaleźć jakąś ludzką siedzibę. Ścisnęła w dłoni rękojeść pistoletu i wsunęła go za pasek białego kombinezonu. Miała świadomość, że jest dzięki niemu doskonale widoczna. Spojrzała na chłopca. Po wytarzaniu się w mchu jego jasna odzież nabrała ziemistozielonego koloru.

– Jerry, wytarżaj się jeszcze raz, a potem odwróć się na plecy i zrób parę orzełków – poleciła, po czym nie czekając na reakcję zdumionego chłopaka, położyła się na mchu i zaczęła wcierać brud w kombinezon.

Chłopiec poszedł w jej ślady, a potem ruszyli. Alex wyjęła pistolet i ostrożnie stawiając kroki, starała się wypatrywać potencjalnych zagrożeń. Spojrzała na pozycję słońca i intuicyjnie skierowała się na wschód. Jeszcze dobrze nie doszli do linii lasu, kiedy Alex zauważyła dwie spore kolonie szarych królików. Kompletnie nie zwróciły na nich uwagi.

– Przynajmniej o jedzenie nie będziemy musieli się martwić – mruknęła pod nosem.

Las wyglądał na rozległy i nieprzystępny, więc mocno się zdziwili, gdy dosłownie po kilkunastu krokach przeszli na drugą stronę i stanęli na popękany asfalcie ulicy. Gdzieś tam z dziur w nawierzchni wyrastały krzaki, a pobliskie domy były całkowicie wypalone od środka. Zostały dwu-, trzypiętrowe skorupy z dziurami okien, oplecione wszechobecną roślinnością. Z całą pewnością nikt w nich nie mieszkał, ale też nie było sensu szukać tu czegośkolwiek. Nie można było liczyć na żadną żywność, koce czy choćby cieplejsze ubrania albo nóż.

Alex wątpiła, żeby po pożodze, która strawiła całe budynki, cokolwiek ocalało. Trzeba było iść dalej i szukać czegoś, co oparło się pożarowi. Przeszli uliczką na wschód, omijając rosnące na środku drogi drzewa i krzewy. Po kilku minutach ostrożnego skradania się dotarli do skrzyżowania z jakąś większą drogą. Dwa pasma asfaltu oddzielał od siebie rząd potężnych, starych drzew i spokojnie płynąca, nieduża rzeczka. Okoliczne zabudowania również były wypalone. Alex żałowała, że nie ma żadnego naczynia, mimo to z ulgą zeszała nad wodę po niegdyś pewnie uregulowanym brzegu. Napili się obydwójce i przeszli na drugą stronę betonowym mostem. Był w bardzo dobrym stanie, zaledwie w kilku miejscach wykruszony i z całkiem skorodowanymi barierkami. Tuż za nim rozpościerała się kolejna uliczka odchodząca od głównej. Pierwsze dwa budynki były wypalone, ale tuż za nimi zamajaczył w oddali wysoki brązowy budynek z jasnymi płaszczyznami balkonów. Miał z dziesięć pięter i z tej odległości wyglądał na nienaruszony. Na rogu ulicy zachował się słup z tabliczką. Nazwa była mało czytelna, ale Alex w końcu udało się ją odcyfrować. Napis głosił: „Ludwig-Beck Straße, Düsseldorf”. Kobieta jęknęła w duchu. Od celu, jakim był Obszar Europa 7, dzielił ich szmat drogi.



John Howard zmierzał w stronę pokoju Moniki i Sary najszybciej, jak tylko umiał, więc wszedł mocno zasapany. Tak jak się spodziewał, zastał wszystkich przyjaciół. Nie umknęło mu, że Sara siedziała tak blisko Maxa i tak daleko od Yoshiego, jak tylko to było możliwe. Hassan i Jordan siedzieli po turecku przy materacu Moniki, z kolei Allie leżała na brzuchu z podpartą brodą i przyglądała się maleństwu. Profesorowi przebiegło przez myśl, że dziecku chyba wciąż nie nadano imienia, ale natychmiast wyrzucił to z głowy. Mieli znacznie poważniejsze problemy.

– Dobrze, że jesteście wszyscy, zwłaszcza ty, Hassanie – powiedział Howard, patrząc na zdumionego mężczyznę.

Opowiedział im wszystko, czego dowiedział się od mnicha na temat hipotetycznej kopii zasobów starej sieci, i o mailu od Viki Novakovič.

– Hassanie, mam nadzieję, że nam powiesz, o co w tym wszystkim chodzi i skąd, do ciężkiej cholery, Felicja Lawrance w ogóle wie o twoim istnieniu, by nie wspomnieć, że wie, z kim i o czym rozmawiałeś nad jeziorem? – zapytał Howard.

– To ona – szepnęła do siebie Hassan wyraźnie uradowany. – To niebywałe, ale udało jej się przeżyć.

Hassan opowiedział im ze szczegółami całą zawiłą historię od chwili, gdy obydwoje z Mary Sue zostali sprzedani do domu Wordswortha. Nikt mu nie przerywał, jedynie co jakiś czas komuś wyrывał się cichy jęk, gdy mówił o rzeczach tak strasznych, jak to, że przewodniczący zmusił go do zabicia brata albo kazał przerobić Mary Sue w wierną kopię Felicji Lawrance. Gdy skończył mówić, Monica miała łzy w oczach, a mała Allie patrzyła przestraszona. Howard miał wyrzuty sumienia, że mała musiała to wszystko usłyszeć, ale przy tej rozmowie powinni być wszyscy, a dziewczynka nawet na chwilę nie powinna pozostawać bez opieki. Nie było do końca jasne, jakie intencje mają mnisi, ale z pewnością doskonale zdawali sobie sprawę z nadzwyczajnych umiejętności Allie. Kto wie, do czego chcieliby ich użyć?

– Czyli wychodzi na to, że Felicja Lawrance nie przetrzymuje Mary Sue, tylko nią jest? – powiedziała zdumiona Sara. – To przecież jakiś obłąd!

– Moim zdaniem to jedyna możliwa interpretacja tej wiadomości – skwitował to Hassan.

– Skoro to była ona, dlaczego nic nie powiedziała? Wtedy, w domu nad jeziorem? – zapytał Yoshi.

– Tego się raczej nie dowiemy, dopóki jej nie odbijemy – powiedział rzeczowo Max.

– Wbrew pozorom pytanie Yoshiego jest niezwykle przenikliwe, mój przyjacielu – zwrócił się do Maxa profesor. – Być może się bała, że nie uwierzymy.

– To jest możliwe – zgodził się Max. – Tylko że gdyby się tego bała, tym bardziej nie przysłałaby nam teraz takiej wiadomości, i to przez kompletnie obcą osobę.

– Jest w tym wiele racji – odparł profesor. – Tym bardziej trzeba założyć, że obecnie zagraża jej coś, o czym wtedy nie miała pojęcia. I ten, nazwijmy to, desperacki krok też z czegoś musi wynikać.

– Mary Sue nie należy do strachliwych kobiet – powiedział Max, przywołując w pamięci, jak niejednokrotnie wyciągała za kołnier i osobiście wyrzucała za drzwi pijaków awanturujących się w jej barze.

– Może chciała dla nas szpiegować z najwyższych kręgów władzy? – zadumała się Sara. – To by miało sens.

– Bardzo duży – potwierdził profesor.

– Może być też prostsze wytłumaczenie – wtrącił Jordan. – Nie udało jej się zabić Wordswortha i została, żeby to zrobić w odwecie za wszystko, czego od niego doznała.

Po jego słowach zapadła cisza. Jordan rozejrzał się po zgromadzonych i zrobiło mu się głupio.

– Przepraszam cię, Saro, i ciebie, Yoshi. Przecież to wasz ojciec – powiedział skruszony.

– Nic nie szkodzi – odparła dziewczyna.

– Mam w dupie tego sukinsyna! – warknął w tej samej chwili Yoshi.

Słyszac brzydkie słowa, Allie cicho parsknęła śmiechem, co paradoksalnie nieco rozluźniło atmosferę.

– Ja sądzę, że kierowało nią wszystko po trochu – powiedziała w zamyśleniu Monica.

– Poza tym wtedy działo się dużo rzeczy naraz – dodał Jordan. – Być może nie zdążyła racjonalnie przemyśleć, co powinna zrobić. Dla mnie najważniejsze jest pytanie, co z tym robimy i jaki mamy plan.

– Nie ulega wątpliwości, że musimy ją odbić. – Profesor powiedział na głos to, o czym myśleli wszyscy. – Jeśli się postaramy, możemy upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu.

– Ma pan na myśli kopię starej sieci? – zapytał Jordan.

– Tak – potwierdził Howard. – Nie do końca jestem przekonany, że ona istnieje, ale kto wiedział o tym lepiej niż sekretarz Lawrance?

– Tylko że Mary Sue to nie Felicja Lawrance – wtrąciła trzeźwo Sara.

– Nie, ale jeśli się pod nią podszywa, ma dostęp do ogromnej ilości danych, jakich zwykły śmiertelnik nigdy w życiu nie zobaczy na oczy – odparł profesor. – I, w przeciwieństwie do prawdziwej pani sekretarz, chętnie się nimi podzieli.

– Musimy też nawiązać kontakt z tą Wiką Novaković – powiedział Jordan.

– Po co? – zdziwił się Max.

– Choćby po to, żeby nam powiedziała, gdzie szukać Mary Sue. Wiadomość, że przebywa u Felicji Lawrance, jest trochę mało precyzyjna, bo Felicja Lawrance może być wszędzie, prawda? – powiedziała Sara.

– Prawda – potwierdził Max i zrobiło mu się trochę głupio, że nie pomyślał o czymś tak banalnym.

– To tylko część powodów – powiedział profesor. – Myślę, że bez tej dziewczyny nie zdołamy dotrzeć do Mary Sue ani przekazać jej wiadomości. Jeśli intencje tej Viki są szczerze, to pomoże nam też w bardziej trywialnych sprawach, jak znalezienie jakiegoś schronienia, w którym będziemy mogli dopracować plan.

– W porządku – zgodził się Jordan. – Ale jak tylko dostanę się do sieci, sprawdzę tę dziewczynę bardzo dokładnie i jeśli znajdę najmniejszą niespójność w jej profilu, to



posłuchacie mnie i nie skontaktujemy się z nią, zgoda?

Wszyscy przytaknęli.

– I ostatnia kwestia, ale w sumie najważniejsza – powiedział Max. – Musimy ustalić, kto jędzie, a kto zostaje. Ja się zgłaszam na ochotnika.

– Nie możemy jechać całą grupą, to jest oczywiste. Ktoś musi zostać na straży Moniki i jej syna. To chyba jasne dla wszystkich – ogłosił profesor.

Wszyscy od razu zauważyli, że Howard nie wymienił Allie. Patrzyli teraz to na profesora, to na dziewczynkę. Monica zasznurowała usta, wyraźnie zirytowana, ale nie powiedziała ani słowa. Walczyły w niej dwa sprzeczne uczucia: troska o córkę i strach o Mary Sue, której przecież w pewnym sensie zawdzięczała życie i to, że jej syn mógł przyjść na świat. Nie umiała sensownie wyrazić tego, co czuje, więc postanowiła milczeć. Oczywiście, zdawała sobie sprawę, że bez Allie cała wyprawa mogła się okazać misją samobójczą, ale to nadal nie znaczyło, że zdecyduje się ją puścić. Zamierzała porozmawiać z profesorem na osobności i dopiero wtedy odnieść się do tej kwestii.

– Ja muszę jechać – powiedział Jordan.

Nikt tego nie zakwestionował. Charakter wyprawy zdecydowanie wymagał, by wziął w nim udział zdolny haker i jednocześnie nadrodowiec znający realia stolicy.

– Jeśli pojedzie Allie, to ja też – oznajmiła Sara. – Musi mieć opiekunkę, to chyba oczywiste.

– Tak, Saro, choć z wielu powodów, a jednym z nich jest twój ojciec, wolałbym, żebyś tu została – powiedział profesor. – Dwóch mężczyzn musi zostać z Monicą – dodał stanowczo.

– Ja zostanę – zgłosił się Hassan. – W walce na wiele się nie przydam, ale zaopiekować się dzieckiem i jego matką już zdecydowanie mogę.

– Dziękuję, Hassanie – odparł profesor. – Liczyłem, że podejmiesz taką decyzję.

– Ja też jadę – powiedział twardo Yoshi. – Niech Max zostanie! – dodał złośliwie.

– Chyba sam rozumiesz, że z nas wszystkich ty naraziłbyś się na największe niebezpieczeństwo – odpowiedział neutralnym tonem pilot. – Wordsworth prawdopodobnie od miesięcy przeczesuje całą planetę, żeby cię odnaleźć. W domu nad jeziorem chyba dał wyraźny dowód, że mu na tobie zależy.

– To żaden argument. A jeśli tak, Sara też nie powinna jechać! – wybuchnął Yoshi.

– Wybacz, Saro, że to powiem, ale twój ojciec nie wyglądał na uszczęśliwionego, że cię widzi. Prawdę mówiąc, nie wiem nawet, czy w ogóle cię zobaczył – powiedział Howard, a potem spojrzął na Yoshiego. – Natomiast był niezwykle poruszony twoim widokiem, więc choć to nie w porządku, to uważam, że tylko ty jesteś dla Wordswortha cenny. Twoje holo wisi pewnie wszędzie.

– Jordan mógłby mi dodać, tak jak Sarze, aplikację ukrywającą prawdziwą twarz – nie poddawał się chłopak.

– Mógłbym, ale to raczej prymitywne narzędzie, dobre do kołowania miejskiego monitoringu. Bardziej zaawansowanych wykrywaczy twarzy nie oszuka. A nie masz chyba wątpliwości, że do poszukiwań Wordsworth wytoczył wszystkie działa – wyjaśnił Jordan.

Yoshi czuł, że tę bitwę przegrał. Poczzerwieniał na twarzy i ostentacyjnie wyszedł z pokoju. Wybiegł na klasztorne podwórze, zalane wesołym wiosennym słońcem. Kopnął nieduży kamień i poszedł przed siebie. Sam nie wiedział, co go najbardziej denerwuje – czy to, że Sara ma go w nosie i wpatruje się w Maxa jak w obraz, czy to, że wszyscy najwyraźniej

zapomnieli, kto był przywódcą Skorpionów i nie nazywali go już Blackiem. A może najbardziej bolesna była świadomość, że właśnie na to zasługiwał, bo w chwilach zagrożenia to Max wiedział, co robić, a profesor znajdował odpowiedzi na najtrudniejsze pytania. Jordan z kolei był świetnym hakerem. Nawet mała Allie bardziej się nadawała do tej misji niż on, więc postanowili go zostawić, żeby pilnował kobiety i niemowlaka. Yoshi nie był pewien, czy bardziej nienawidzi ich, czy siebie za to, że był nic niewartym synem najgorszego dyktatora, jakiego nosiła Ziemia.



Ludwig-Beck Straże była niedługa uliczką, zapewne niezwykle uroczą w czasach swojej świetności. Wtedy też pewnie tonąła w zieleni, o którą ktoś dbał. Teraz roślinność wymknęła się całkowicie spod kontroli. Długi, niewysoki budynek po prawej stronie był tak gęsto opleciony winoroślą i innymi pnączami, że prawie nie było go widać. Od parteru aż po czwarte piętro oblepiony ptasimi gniazdami przywodził na myśl wyspę lęgową z wysokim klifem. Wszędzie uwijało się ptactwo, robiąc przy tym niemiłosierny hałas. Alex poczuła, że Jerry mocniej przywiera do jej pleców.

– Nie bój się, głuptasie, przecież to tylko ptaki – uspokoiła go cicho.

Nieopodal pasły się króliki. W pewnej chwili jakiś sporych rozmiarów ptak, którego gatunku nie znała, podleciał nad stado, a to rozpierzchno się w popłochu. Ptak uchwycił szponami futrzaka i odleciał wraz z nim w stronę gniazd na bloku. Alex już nie była taka pewna, czy ptaszyska są całkowicie niegroźne. Na pewno wyglądały okazale. Trudno się dziwić, skoro żywiły się wszechobecnymi królikami. Na wszelki wypadek kobieta wyjęła pistolet i przeszła po cichu na drugą stronę ulicy. Chodnik z dużych betonowych płyt praktycznie się tu urywał. Gdzieśgdzie wałały się potrzaskane betonowe kawałki, ale reszta zniknęła dawno temu. Wcześniej chodnik, wprawdzie mocno nierówny, z płytami powypychanymi korzeniami drzew, biegł przez całą drogę od parku.

Nie zastanawiając się nad tym dłużej, Alex poszła w stronę bloku z jasnymi balkonami. Był długi, miał nieregularny kształt i różną wysokość w kilku miejscach. Sam początek, najniższy, też był całkowicie pokryty roślinnością, dlatego tej części wcześniej nie zauważyła. Obiecująco wyglądała dalsza, najwyższa część budynku. Alex poszła w jej stronę, trzymając broń w pogotowiu. Skradała się krok za krokiem, omijając nierówności popękane go asfaltu. Przeszła obok kilku całkowicie spalonych autolotów. Nie padły ofiarą potężnej pożogi, jak domy na sąsiedniej ulicy. Ktoś musiał je podpalić dawno temu. Doszła na wysokość fasady najwyższej części bloku, od której oddzielał ją teraz wąski pas zieleni. Nie odważyła się przejść wprost do budynku. Postanowiła, że go okrąży i z daleka oszacuje, czy jest bezpiecznie. Poszła dalej i ze zdumieniem odkryła, że za wysoką częścią znajduje się jeszcze jedna, znacznie niższa i kompletnie niezarośnięta. Nie to ją jednak wprawiło w osłupienie. Wokół wejścia ktoś przyszyrzył trawniki, a do klatki schodowej prowadził schludny chodnik z dużych płyt. Przed wejściem stał leciwy mężczyzna i zamiatał chodnik starą miotłą wykonaną z jakichś gałązek.

Alex nigdy w życiu nie widziała takiej na oczy. Mężczyzna spojrział na nią ze zdumieniem, a potem miotła wypadła mu z rąk i upadła z trzaskiem na ziemię, płosząc stado pasących się nieopodal królików.

– Nie bój się! – powiedziała spokojnym tonem Alex i przesadnie powolnym ruchem schowała pistolet za pas. – Nie chcemy ci zrobić krzywdy. Chcemy tylko gdzieś odpocząć i coś zjeść.

Mężczyzna nie odezwał się ani nie ruszył się z miejsca. Alex uznała to za dobry znak. Mógł przecież ją zaatakować albo wręcz przeciwnie – rzucić się do ucieczki.

– Jestem z dzieckiem! – wyjaśniła i lekko się okręciła, żeby starzec mógł dokładnie obejrzeć przyklejonego do jej pleców Jerry'ego. – Nic ci nie zrobimy.

Mężczyzna pokiwał głową i przywołał ją machnięciem dłoni. Alex ruszyła ostrożnie w jego stronę, a on, nie oglądając się na nią, wszedł do wnętrza budynku. Była zdumiona. Wszędzie lśniło czystością. Kamienną podłogę świeżo umyto, a drzwi do mieszkania po lewej stronie były nieodrapane i pokryte jakąś drewnopodobną okładziną. Mężczyzna otworzył drzwi i wpuścił ich do środka. Alex weszła pierwsza, ale poczuła się nieswojo, nie mając go w zasięgu wzroku, więc zrobiła dosłownie krok i odwróciła się do gospodarza, stając w małym korytarzyku.

– Wchodzi, śmiało – powiedział niewyraźnie mężczyzna.

Alex nie była pewna, czy odwykł od mówienia, czy może zwyczajnie słabo znał język wspólny.

– Dziękuję – odparła i weszła do niedużego pokoju, który jak zauważyła, był jedyną izbą tego małego mieszkanka.

Było przytulnie. Pokój miał staroświecki wystrój. Pod jedną ścianą stała wersalka, a po drugiej stronie meblścianka, jakich nie widuje się nawet w najstarszych holo. Musiała liczyć grubo ponad sto lat i pewnie pamiętała czasy przed powstaniem Rządu Światowego.

– Usiądź – poprosił ją gospodarz, wskazując kanapę.

Posadziła chłopca i sama usiadła obok niego. Dopiero teraz poczuła, jak bardzo bolą ją plecy.

– Nie chodzi? – zapytał mężczyzna.

– Trochę zapomniał. Nauczy się – wyjaśniła.

– Jesteście głodni?

– Bardzo – przyznała Alex.

Mężczyzna poszedł w kąt pokoju, gdzie mieściła się miniaturowa kuchnia, której Alex wcześniej nie zauważyła. Wyjął z szafki talerz pełen kawałków mięsa i postawił na niskim stoliku obok wersalki.

– Jedzcie. Zimne, ale pożywne – wyjaśnił. – Nie będę palił ognia, żeby podgrzać, jak surowe nie jest. To królik – dodał, choć Alex nawet do głowy nie przyszło, żeby pytać o pochodzenie mięsa.

Zjadłaby nawet szczura. Było jej wszystko jedno. Jerry też najwyraźniej nie miał takich rozterek. Gdy podsunęła mu talerz, chwycił kilka kawałków i łapczywie napchał usta. Alex poszła za jego przykładem i przez chwilę w pokoju panowała cisza, przerywana mlaskaniem. Mężczyzna podniósł się ze stolka, na którym siedział, obserwując gości, i poczłapał do kuchenki. Tym razem wrócił z dzbankiem wody i dwoma kolorowymi kubkami w grochy.

– To ulubiona zastawa mojej żony – powiedział.

– Bardzo ładna – uśmiechnęła się Alex. – Jest tutaj? Pana żona?  
– Nie żyje – odparł i momentalnie posmutniał.  
– Bardzo mi przykro – wyszeptała Alex.  
– Dziękuję za posiłek. Pan jest bardzo dobry – wtrącił się Jerry, a mężczyzna uśmiechnął się do niego ciepło.  
– Jedz na zdrowie, chłopcze, żebyś miał siłę chodzić – odparł.  
– Jestem Alex, a chłopiec ma na imię Jerry – przedstawiła się.  
– A ja Hans. Co cię tu sprowadza, Alex?  
– Nasz autolot rozbił się tu niedaleko, w parku – wyjaśniła. – Lecieliśmy do Siódemki, ale mieliśmy niespodziewaną awarię.  
– Pewnie w Zooparku. To przekłete miejsce. Dobrze, żeście się stamtąd wynieśli.  
W jego głosie było coś takiego, że Alex nie odważyła się zapytać o szczegóły.  
– Jestem ci bardzo wdzięczna za pomoc, Hans – powiedziała. – Gdyby nie ty, musiałabym się schronić na noc w jakimś pustostanie.  
– I pewnie nie dożyłabyś poranka – odparł. – W dzień łążą tu tylko króliki i drą się ptaki. Są denerwujące, ale do człowieka nie podejda. Po co? Mają wokół tyle królików, że nie będą ryzykować starcia ze znacznie większym przeciwnikiem. Ale w nocy wychodzą groźniejsze bestie.  
– Jakie? – zapytała spokojnie, choć serce zaczęło jej kołatać ze strachu na myśl, że przeszła cały ten dystans nieświadoma czyhających zagrożeń.  
– Czasem przemykają w ciągu dnia i widzę je z daleka. To zdziczałe psy, choć pewnie bliżej im już do wilków. W ciągu dnia chowają się po ruderach. Bardziej im pasuje nocny tryb życia. Po zmroku lepiej im w drogę nie wchodzić, zwłaszcza że stada liczą dziesiątki, jeśli nie setki osobników. Nie mają tu naturalnych wrogów, żarcia pod dostatkiem, więc rozmnażają się na potęgę. Czasem jakieś stado mnie tu wyczuje, ale dobrze się barykaduję i nie mają szansy wleźć.  
Hans podszedł do dużego tarasowego okna i odsłonił staromodne zasłony. Za nimi zobaczyła stopy płyt chodnikowych. Były ułożone do samego sufitu naprzemiennie, tworząc ażurową barykadę. Bardzo skuteczną, a przy okazji wpuszczającą światło i świeże powietrze. Alex momentalnie zrozumiała, gdzie podziały się płyty z chodnika w ulicze.  
– Mam tak obłożone wszystkie okna na parterze w całym pionie. Dlatego tylko ta część budynku jest bezpieczna – powiedział. – Ale dla pewności i tak śpię na ostatnim piętrze. Tutaj mam tylko kuchenkę i podręczny magazynek, żeby nie latać cały dzień po schodach. Za stary na to jestem. Gdy zacznie się ściemniać, pójdziemy na szóste piętro. Tam jest najbezpieczniej.  
– Powiedz, czy ktoś oprócz ciebie mieszka w okolicy? – zapytała Alex.  
– Nie sądzę. Tutaj, w tym bloku, jestem sam. Nie zapuszczam się daleko, bo nie ma po co, ale wydaje mi się, że nikogo nie ma. Po wojnie spłonęła połowa miasta, gdy spadły bomby zapalające. Część ludzi została, chcieli odbudować domy z ruin, ale im nie pozwolono. Wojsko wypędziło ich stąd, a wszystko wokół zaczęło niszczyć. Potem był Wielki Reset i cały kraj pogrążył się w chaosie.  
– A co to takiego Wielki Reset? – zdziwiła się Alex.  
– To nie uczą was tego w szkołach? – roześmiał się Hans. – No pewnie, że was nie uczą. Historię piszą zwyczajcy, prawda? To przecież nie będą was uczyć o własnej hańbie. Miałem może wtedy z dziesięć lat. Normalność znam tylko z opowieści matki, bo urodziłem się niecały

rok po wojnie, czyli w dwa tysiące trzydziestym. O spaleniu dzielnicy też wiem od niej. Nigdy nie chodziłem do szkoły, bo już żadne nie istniały. W naszym bloku mieszkało sporo emerytowanych nauczycieli i oni organizowali zajęcia dla dzieci. Nie było nas wiele. Oprócz mnie jeszcze sześcioro, w tym moja kochana Sigrid. Choć większość dzielnicy ewakuowano, to nam pozwolono zostać. Nie mieli pretekstu, bo blok stał nienaruszony, a rządzący mieli ważniejsze sprawy niż zajmowanie się garstką mieszkańców bloku przy małej ulicy. I tak wiodłem szczęśliwe dzieciństwo w tym mieszkanku dzielonym z matką.

Hans westchnął, zamyślił się na chwilę, a potem podjął:

– Ojca nigdy nie poznałem, matka nie chciała nic mówić, ale sąsiadki różne rzeczy między sobą szeptaly i stąd wiem, że musiał ją zgwałcić jakiś dzielny wojak. Całe garnizony ponoć stacjonowały w tych budynkach, które się potem popaliły wokół Zooparku. Przechodziła tamtędy. Chciała pójść ze sklepu do domu i odetchnąć świeżym powietrzem. Tam ją dorwali w kilku. Ale nie o tym chciałem mówić. Pytałaś o Wielki Reset. Jak wspominałem, tu, u nas w bloku, wszystko było. Nawet prąd, woda i połączenie z siecią. Starą siecią, którą oglądało się na monitorach i można w niej było robić, co się chce. Sporo z dziećmiakami graliśmy w gry po lekcjach, na zmianę w różnych mieszkaniach. I pewnego dnia wszystko szlag trafił. Zniknął sygnał, wyłączyli prąd, a z kranów przestała lecieć woda. Z dnia na dzień wyjechali prawie wszyscy. Zostałem ja z mamą i Sigrid z rodzicami. Wielki Reset pozbawił nas wszystkich wygód. Wodę czerpaliśmy ze studni, którą ojciec Sigrid wykopał za domem. Systematycznie czyściliśmy wszystkie bloki ze wszystkiego, co się nadawało do jedzenia, a potem nauczyliśmy się polować na króliki. Ja i Sigrid postanowiliśmy założyć rodzinę, ale jej rodzice nagle stwierdzili, że mają dość i wynoszą się z bloku. Wtedy już było ciężko się wydostać, bo byliśmy sami na rozległym, wysiedlonym pustkowiu. Mimo to wyjechali, ale Sigrid uciekła im na pierwszym postoju i pieszo wróciła. O jej rodzicach już nigdy nie słyszeliśmy.

Westchnął ciężko, zapatrzył się na Jerry'ego, któremu zamykały się oczy, potem spojrzął w twarz Alex.

– Moja żona płakała wiele dni i nocy, nie wiedząc, co się z nimi stało. Tak dożyliśmy lat pięćdziesiątych. Nasz syn rósł, zdrowo się rozwijał, a moja matka zmarła po krótkiej chorobie. I tak zostaliśmy we troje. Kiedyś pojawił się mały oddział Geneo. Młody porucznik, miły bardzo, opowiedział nam o tym, że świat pustoszą kataklizmy i że na terenie naszego obszaru jest superwulkan, który wkrótce wybuchnie, więc musimy się wynieść. Odpowiedziałem mu, że skoro ma eksplodować, to nigdzie nie będzie bezpiecznie, a ja wolę być w domu z bliskimi, jak się to stanie. Przyznał mi rację i zostawił nas w spokoju. Spędził u nas kilka dni i w tym czasie opowiedział mi o nowej rzeczywistości z Rządem Światowym, siecią dostarczaną do wszczepianych interfejsów i wszechobecną holowizją, którą obowiązkowo trzeba mieć w mieszkaniu. Pomyślałem, że to nie jest dobre miejsce dla mojego syna, a porucznik, rozweselony naszym samogonem, powiedział szczerze, że i tak by go nam zabrali, bo teraz dzieci wychowuje się w placówkach. Tak jest lepiej dla wszystkich, powiedział, ale sam na specjalnie przekonanego nie wyglądał. Wtedy postanowiłem, że moja noga nigdy nie postanie w tym nowym świecie. Sigrid przyznała mi rację i tu spędziliśmy całe życie...

Starzec urwał, jakby pochłonęły go wizje dawnych, szczęśliwych chwil.

Alex nawet nie drgnęła, żeby nie spłoszyć swojego rozmówcy. Zerknęła kątem oka na Jerry'ego. Spał zwinęty w kłębek.

– Ech, rozgadałem się niepotrzebnie – westchnął stary. – To dlatego, że jesteś pierwszym człowiekiem, którego widzę, odkąd Sigrid odeszła.

Nie odważyła się zadać pytania, co się stało z jego synem.

– Dziękuję za tę opowieść – powiedziała poważnie. – Myślę, że to nie była łatwa decyzja, by tu pozostać, ale ja się wychowałam w tamtym świecie. Nie jest zbyt przyjazny. Dlatego myślę, że postąpiłeś słusznie.

– Jutro też będzie czas na rozmowy. A teraz muszę pozamykać drzwi i idziemy na górę.

– Chcesz, żebym ci w czymś pomogła? – zapytała Alex.

– Jeśli chcesz, możesz pospuszczać ze mną żaluzje. Stary jestem, coraz mniej mam sił – poskarżył się. – Chłopak może tu chwilę zostać. Nic mu nie grozi.

Alex wyszła za Hansem na klatkę schodową. Stary zaryglował drzwi wejściowe i z pomocą kobiety opuścił ręcznie masywną metalową roletę. Przytwierdził ją łańcuchami do metalowych oczek wkutych w kamienną podłogę, a potem poczłapał w głąb korytarza. Alex poszła za nim. Mężczyzna sprawdził wszystkie okna. Były zabite deskami.

– Jak mówiłem, na zewnątrz są jeszcze barykady z płyt chodnikowych. Przed każdym z okien – poinformował z dumą. – No dobrze. Wszystko jest w porządku. Możemy iść na górę.

Wrócili po chłopca. Alex, nie bez wysiłku, wzięła go na ręce i poszła za gospodarzem. Ciężko dysząc, wspięła się na ostatnie piętro i pomyślała, że zaraz wyzionie ducha. Hans przystawał kilka razy, oddychał ciężko, świszczalo mu w płucach, ale w jego wieku i tak powinno imponować, że pokonuje tę drogę każdego dnia. Wieloletni trening z pewnością dobrze wpłynął na kondycję, lecz Alex, choć pełna podziwu, przypuszczała, że już niedługo starzec będzie musiał zrezygnować z wędrówek na najwyższą kondygnację.

Gospodarz otworzył drzwi i oczom kobiety ukazał się przestronny apartament.

– Połóż chłopaczka na kanapie i okryj kocem – polecił gospodarz. – I chodź ze mną. Pokażę ci coś niesamowitego.

Alex ułożyła Jerry'ego i troskliwie otuliła. Odgarnęła mu czarne kosmyki z twarzy. Wyglądał tak ufnie i niewinnie, że patrząc w jego drobną twarz, można było zapomnieć o całym brudzie otaczającego świata.

– Chodź! – ponaglił ją Hans i wskazał drzwi tarasowe.

Podeszła do niego. Taras nie zrobił na niej specjalnego wrażenia, ot dwa stare leżaki i niewielki stolik z doniczką pełną kwitnących pelargonii, ale nie o to chodziło mężczyźnie. Wskazał drabinę przytwierdzoną do fasady bloku, po czym wspiał się po niej zwinnie. Alex wdrapała się za nim i ujrzała najpiękniejszy ogród warzywny, jaki kiedykolwiek widziała. Wychowana w miastach widywała warzywa wyłącznie w holo. A tu rosły w równych rzędach. Nacie marchwi chwiały się w lekkim wieczornym wietrze, a zioła pachniały zniewalająco. Zachwyciła się i nie mogła oderwać od roślin spojrzenia.

– Uprawiam na dachu, żeby króliki nie zżarły. Chodź i lepiej popatrz na to – powiedział Hans, podchodząc do barierki.

Alex dołączyła do niego. Właśnie zaczynał się zachód słońca. Ptaki ucichły. Ogromna słoneczna tarcza opuszczała się majestatycznie pomiędzy zarośnięte budynki. Z dachu było doskonale widać całą okolicę. Widok przywodził na myśl pierwotną puszcze, której człowiek nawet nie powinien oglądać, by nie bezcześcić jej nieskalanego piękna. Alex nie miała pojęcia, jak blisko jej przemyśleniom było do pragnień Wordswortha, by wyludnić planetę i mieć ją na wyłączność właśnie taką dziewiczą i niedostępną.

– Przepięknie – szepnęła.

A potem spojrzała w dół na szeroki cień kładący się po całej Ludwig-Beck StraÙe. Cień się poruszył. A Alex zamruwała oczami i dostrzegła, że uliczką przewala się ogromna wataha dzikich psów. Gdy początek grupy znikał już na terenie byłych ogródków działkowych, to był nawet jeszcze nie minął strumienia, z którego wcześniej piła wodę wraz z Jerryem. Hans się mylił. Wataha nie składała się z dziesiątek czy setek, tylko z tysięcy. Jeśli takich stad było w tym obszarze więcej, to utknęła tu na dobre.



Gdy decyzje już zapadły, przygotowania do wyjazdu rozpoczęły się błyskawicznie, ku nieklamanej radości mnichów. Profesor nie był ich w stanie potępić. Oszukali ich, to prawda. Wmówili Allie, że tutaj powinna szukać tropów Thomasa. Cynicznie nałgali Johnowi, że ojciec Allie był przetrzymywanym zdrajcą tylko po to, żeby z większym zaangażowaniem i pewnym poczuciem winy za czyny Thomasa wysłuchał lekcji o biomodach, instytucie ważnych ludzi, którzy zwiali Wordsworthowi i reszcie jego koleśków z rządu. Ale mimo wszystko ugościli ich, przysparnęli i nakarmili. Pozwolili zaszczonej Monice w spokoju urodzić dziecko. I na pewno chcieli dobrze dla świata, choć może w pokrętny sposób do tego dążyli. Dlatego Howard, choć był zły, zwłaszcza na bibliotekarza, nie okazywał niezadowolenia. Po cichu kielkowała w nim nadzieja, że ta cała awantura zakończy się czymś dobrym.

Poprzednio zainfekowali świat SeeIT i sprawili, że ludzie przejrżeli na oczy. Jeżeli powiedzie się kolejna misja, to pokolenie ślepców odzyska tożsamość i pamięć przodków. Jeśli to nie poderwie ich do walki z totalitarnym rządem, to znaczy, że dla ludzkości nie ma już żadnej nadziei. Howard starał się być optymistą i wierzyć w dobro, ale to nie było takie proste. Jak można wymagać solidarności i zjednoczenia się przeciwko złu od miliardów, skoro nawet w tej niewielkiej grupce przyjaciół istniały niemożliwe do zasypania podziały? Profesor specjalnie zmanipulował grupę tak, żeby Yoshi nie jechał z nimi. Chłopak go niepokoił. Oczywiście rozumiał jego młodzieńcze rozterki i typową dla wieku nadwrażliwość, ale i tak uważał, że jest słabym ogniwem. Miał prawo się złościć – los odebrał mu dziewczynę oraz przywództwo i obdarował najgorszym możliwym ojcem. Ale podchodził do życia egoistycznie i należała mu się lekcja. To Sara miała większe prawo do dramatyzowania. Straciła dom, ojciec miał ją gdzieś, matka pewnie też, dowiedziała się, że sypia z bratem, który okazał się niedojrzałym gówniarzem. A jednak jakoś się trzymała.

Profesor pakował do plecaka swój skromny dobytek i po raz kolejny utwierdził się w przekonaniu, że dobrze robi, rozdzielając tych dwoje. Może to unormuje jakoś ich relacje w przyszłości. Jeśli mamy jakąś przyszłość – podszepnęła złośliwa jaźń.

– Panie profesorze, graty spakowane? Bobym już zabrał – powiedział wesoło Max, wsuwając głowę przez drzwi.

– Już, już. Możesz zabrać. Dziękuję – sapnął John, podając bagaż pilotowi.

– Znów te książki? – uśmiechnął się Max. – Chętnie bym je kiedyś przeczytał. O czym są?

– Gdy znajdziemy w końcu cichą przystań, pożyczę ci wszystkie. O czym są? Każda o czymś innym, a wszystkie zostały spisane w świecie, którego nie znamy. Czy to nie fascynujące? W jednej z nich jest na przykład szczegółowy opis hot doga.

– Czego? – zdziwił się Max.

– Wydawałoby się, że to coś paskudnego, a to zwykła kiełbaska w bułce. Kiedyś jadł to cały świat, ale potem kazali nam żreć papki proteinowe...

– Ja miałem w kosmodromie znakomite jedzenie. Krewetki, owoce... Ale o hot dogach nigdy nie słyszałem.

– No widzisz – westchnął profesor. – Jeśli utraciliśmy bezpowrotnie takie rzeczy jak kiełbaski w bułce i ich nie pamiętamy, to jak ogarnąć umysłem to wszystko, co nam po prostu umknęło?

– Nie mam pojęcia – odparł pilot i bezwiednie wrócił myślami do chwil, w których obserwował zagładę ludzi na terminalu Arki 28.

– SeeIT zrobił doskonałą robotę, ale serce świata bije w starej sieci. Jeśli uda nam się ją odzyskać, to myślę, że może kiedyś życie wróci na stare tory, a ty będziesz chodził bez lęku po ulicach wokół kosmodromu Freedom, który zamkną w cholere, i kupował te hot dogi od uśmiechniętych ulicznych sprzedawców.

– I bez tego pojąłem, że ta misja jest bardzo ważna. Ale mam pewną wątpliwość. Czy koniecznie musimy brać Sarę i Allie?

Profesorowi nie umknęło, że w pierwszej kolejności pilot wymienił Sarę.

– Obawiam się, że tak. Allie jest nam równie niezbędna jak wtedy, gdy uciekaliśmy z miasta. Niedawno prosiłem cię, żebyś otoczył to dziecko szczególną troską.

– I tak właśnie uczyniłem, choć do dzisiaj nie rozumiem tego wykładu o energii w mózgu Allie. Dla mnie to jest zwyczajna, kochana dziewczuszka.

– I bardzo dobrze. Miłość i zaufanie kanalizują tę energię. Ale to nie zmienia faktu, że Allie może być niebezpieczna. I obawiam się, że takich biomodów jak ona jest więcej i prawdopodobnie są pod kontrolą rządu.

Max nie skomentował słów Howarda. Chwycił jego bagaż i wyszedł z pokoju. Dla niego najważniejsze było bezpieczeństwo małej. I jeśli profesor, do którego w gruncie rzeczy żywił spory szacunek, narazi ją na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo, gorzko tego pożałuje. Jedynymi osobami, wobec których odczuwał lojalność, były właśnie mała Allie i Sara. Dla nich bez wahania zawrze nawet pakt z diabłem. Zawsze stanie po ich stronie, nawet jeśli będzie musiał zaszkodzić reszcie grupy.



Vika właśnie skończyła wrzucać do sieci materiał z kolejnych zamieszek. Tym razem ludzie protestowali przed kosmodromem Freedom. Dość niefortunnie dla siebie, bo służby przystąpiły



do rozpedzenia demonstrantów ze zdwojoną energią i pod pretekstem obrony strategicznego obiektu. Vika pojechała tam, żeby nagrać materiał na miejscu, i miała sporo szczęścia, że nikt jej nie stratował, gdy tłum w zderzeniu z brutalnym Geneo rzucił się na oślep do ucieczki. Udało jej się nakręcić relację i uchwycić kilka scen napaści funkcjonariuszy na bezbronnym ludzi. Z pełną premedytacją umieściła je w swoim holo. Jej stacja cieszyła się coraz większą popularnością. Nie wiedziała, czy to z powodu bezkompromisowych programów informacyjnych, czy z powodu nazwy TakeIT, zdecydowanie kojarzącej się z SeeIT, ale wiedziała jedno – Felicja Lawrance jej nie zastraszy. Vika zdawała sobie sprawę, że zejście do podziemia jest kwestią czasu, bo im większą zdobywała popularność, tym bardziej wystawiała się na niebezpieczeństwo. Poza tym sekretarz Lawrance wystarczająco jasno ją ostrzegła, co planuje rada wobec właścicieli prywatnych stacji. Eksperyment z częściową wolnością słowa najwyraźniej zbyt mocno obnażał ciemne strony reżimu.

Vika otrzymała wiadomość i natychmiast ją otworzyła. Serce zaczęło jej głośno łomotać, gdy zaczęła czytać.

*Droga Viko!*

*Bardzo dziękuję za wiadomość, którą od Ciebie otrzymałem. Odpowiadam z dużym opóźnieniem, za co przepraszam. Dłuższy czas przebywałem w miejscu, gdzie występują problemy z dostępem do Worldwebu. Tak, wiem, że brzmi to nieco dziwnie, ale rzeczywiście tak było. Informacja, którą mi przekazałaś, okazała się bardzo czytelna. Choć nie od razu. Rzeczywiście wymagała rozmowy z naszym przyjacielem znad jeziora. Od razu uspokajam, z nim wszystko w porządku. Kolega, z którym nie mogłaś się skontaktować, również ma się świetnie. Dziękuję też za ofertę pomocy, z której bardzo chcielibyśmy skorzystać, jeśli nadal jest aktualna. Jak się zapewne domyślasz, chcemy podjąć próbę spotkania się z naszą przyjaciółką i rozumiem, że jesteś w stanie nam to ułatwić, choćby wskazując adres, pod jakim aktualnie przebywa. Nie wiemy również, jakie obecnie panują nastroje w obszarze, i prawdę mówiąc, nie mamy pomysłu, gdzie moglibyśmy się zatrzymać bez nadmiernego rzucania się w oczy. Jeśli odpiszesz, tym razem nie będę tak długo zwlekał z odpowiedzią. Obiecuję.*

*Tashi*

*PS Czy jesteś może spokrewniona z dziennikarką z poprzedniego stulecia Janą Novakovič?*

Vika, dla pewności, że nic jej nie umknęło, przeczytała wiadomość jeszcze dwukrotnie. Profesor Howard przekazał jej wszystko, co chciała wiedzieć, ale nie zdradził ani jednego nazwiska. Żałowała, że ona, pisząc do niego wcześniej, nie mogła tak sformułować przekazu. Ale bez nazwisk i twardych faktów zapewne by ją zignorował. A teraz chciał się spotkać i potrzebował jej pomocy w odbiciu Mary Sue z rąk Felicji Lawrance. I potrzebował schronienia. Właściwie osób miało być więcej. Vika zastanawiała się, kogo jeszcze może się spodziewać, i dopiero wtedy się zorientowała, że właściwie już podjęła decyzję. Pomoże Howardowi i jego ludziom i pozwoli im się zatrzymać w swoim domu. Z pozoru było to szaleństwem, żeby zainstalować obcych, zapewne wyjętych spod prawa ludzi w środku osiedla nadrodowców, ale ostatnio panował taki chaos, że nie powinno to nastreczyć większych

problemów. Nie takie rzeczy można załatwić. Jakoś ich przemyci do środka. A pod latarnią będzie najciemniej. Usiadła i natychmiast ułożyła odpowiedź.

*Drogi Tashi!*

*Dziękuję za wiadomość. Oczywiście podtrzymuję ofertę pomocy. Muszę wiedzieć, ile osób mam ugościć i kiedy się Was spodziewać.*

*Pozdrawiam  
Vika*

*PS Jana była moją prababką ze strony ojca.*

Dziewczyna wstała i rzuciła się w wir przygotowań. Sprawdziła zapasy żywności i uznała, że musi koniecznie je uzupełnić. Najlepszym sposobem były odwiedziny u matki – zwykle wpychała jej na siłę tony pudełek z jedzeniem. W domu, który nie wyglądał tak okazale, jak jej się wydawało przed SeeIT, miejsc do spania było mimo wszystko pod dostatkiem. Z pościelą gorzej, ale na pewno znajdą się jakieś koce. Zresztą to było najmniejszym problemem. Najważniejszą sprawą będzie wjazd na teren osiedla i opracowanie dobrego planu odbicia zakładniczek.

Generał Jack O'Brian był zniecierpliwiony. Od ucieczki Alex z małym biomodem minęło kilka dni, a nie udało się zlokalizować ani ich, ani pojazdu, choć autolot miał system namierzania wysokiej klasy. Generał podejrzewał, że cwany gówniarz majstrował przy ustawieniach. Ze zdumieniem odkrył, że bardziej niż stratę dzieciaka, które było istotne dla projektu, odczuwa nieobecność Alex. Lubił jej towarzystwo i, co tu dużo mówić, podobała mu się jako kobieta. Od czasu śmierci Katrin, matki Marka, który od małego dziecka upierał się, żeby nazywać go Jordanem, nie miał właściwie żadnej kobiety. To znaczy oczywiście miał dziwki i przelotne romansiki z gorliwymi i młodziutkimi pracownicami Geneo, ale nie czuł się z nikim związany. Aż do teraz.

Alex była piękna, a także inteligentna. Jack zdawał sobie sprawę, że jego zauroczenie wiąże się z tym, iż widział się w roli rycerza ratującego księżniczkę. I właściwie tak było. Mężczyzna westchnął i obiecał sobie w duchu, że jeśli dziewczyna przeżyje wojnę, jaką zamierzał zgotować ludziom tam, na dole, z chęcią zaprosi ją do swojego łóżka i życia. Przecież nie będzie po wsze czasy pielęgnowała urazy za zamknięcie jej na Arce 173.

Z tą myślą generał oderwał spojrzenie od Błękitnej Planety jaśniejącej za panoramicznym oknem i poszedł korytarzem w stronę medlabu doktor Elli. Drzwi były otwarte, kobieta siedziała wpatrzona w kolorowe holowykresy zawieszona na wysokości jej oczu. O'Brian nic z nich nie rozumiał, ale specjalnie się tym nie przejmował. Pojmowanie podobnie skomplikowanych spraw należało do obowiązków jego ludzi. Oddanych tak jak Ella, która odwróciła się na obrotowym fotelu i posłała mu promienny uśmiech.

– Generale! Dobrze, że pan jest!

– Witam, pani doktor – odparł z lekką nonszalancją. – Jak mija dzień? – zapytał, wskazując brodą na czternastu biomodów śpiących w pomieszczeniu za szybą.

– Same dobre wiadomości, generale! – zaśmiała się radośnie Ella.

– Mów więc! – powiedział niecierpliwie Jack i błyskawicznie się zreflektował. – Wybacz mi niecierpliwosć, moja droga, po prostu tak długo czekam na pomyślne wieści.

– To całkowicie zrozumiałe! – Zachichotała jak pensjonarka, a O'Brian zdusił w sobie chęć przewrócenia oczami. – Paradoksalnie nieobecność małego uciekiniera posunęła nasze badania o lata świetlne. Nie wiem i nie umiem wytłumaczyć jego wpływu na resztę biomodów, ale dopóki tu był, a przecież zadbałam o wyizolowanie jego fal mózgowych za pomocą nieprzewodzącego kasku, w jakiś sposób rozstrajał pozostałych. Cokolwiek bym robiła i jakiegokolwiek substancje bym im podawała, nie byli w stanie się zsynchronizować. A teraz, ot tak, zmienili się w jedną potężną maszynę – oświadczyła z dumą.

– Ciekawe – odparł generał, niewiele z tego rozumiejąc. – Na kiedy będą gotowi?

– Do wysłania impulsu?

– Owszem, po to ich tu trzymamy – rzucił z lekką irytacją.

– Jeśli utrzymają ten poziom synchronizacji i będą dobrze reagowali na chemię, to myślę, że w ciągu kilku dni skumulują odpowiednią energię – pospieszyła z odpowiedzią Ella.

– Dobrze, bardzo dobrze – pochwalił ją O'Brian i podszedł do szyby.

Czternaścioro ludzi leżało bez ruchu. Byli w różnym wieku i różnych ras, i pewnie w innych okolicznościach generał nie zwróciłby na nich uwagi. Rzecz w tym, że wytropiła ich Sekcja 2 na terenach tak odległych od siedzib rządowych, że Jack mógł ich bez żadnych reperkusji porwać i osadzić w swojej prywatnej Arce. Projekt był tak tajny, że aby nie wzbudzać ciekawości w podległych mu siłach Geneo na Ziemi, przetransferował piętnastkę przez Freedom na Arkę 6 i dopiero stamtąd porwał ich na 173. Przewodniczący nie miał zielonego pojęcia, że generał posiada własny transport i może przetrzucać ładunki między Arkami. Drogi Eugene Wordsworth był totalnym, krótkowzrocznym idiotą, którego nos nie sięgał dalej niż stolica Ameryki 5 wraz ze swoją prywatną, śmierdzącą farmą okresowo zamienianą na kopie różnych kompleksów architektonicznych. Gdyby ten stary głupiec nie miał Felicji, która z niezrozumiałych przyczyn przez całe życie go chroniła, to nie zostałby nawet cieciami w fabryce Space.corp.

Tym bardziej Jack nie potrafił zrozumieć, dlaczego ten idiota ją zamordował i pozwolił zagnieździć się na jej miejscu podejrzanej uzurpatorce. Z punktu widzenia generała było to bardzo szczęśliwe zrządzenie losu. Trzymał teraz praktycznie wszystkie sznurki i mógł za nie dowolnie pociągać. Gdyby jeszcze tylko jego syn w końcu się odezwał...

Mark milczał od miesięcy i choć O'Brian doskonale wiedział, w co chłopak się wpakował i jak konsekwentnej konspiracji to wymaga, mimo wszystko za nim po ludzku tęsknił. Niejednokrotnie próbował nawiązać kontakt, ale bez sukcesu. Miał tylko nadzieję, że syn ma się dobrze i odezwie się w stosownym czasie.

– Bardzo mnie cieszą te wiadomości, pani doktor – pochwalił podwładną.

– Dziękuję, generale! – odparła służalczo i służbiście zarazem.

– Jeszcze jedno. – Zatrzymał się w progu. – Czy obecnie jest większa szansa, żeby biomodzi namierzili tę małą Allie Mc Anderson?

– Myślę, że jeśli tylko dziewczynka wejdzie w ich zasięg, uczynią to bez najmniejszych przeszkód – zameldowała. – Czy mam to traktować jako priorytet? – zapytała z niepokojem.

– Nie, zdecydowanie nie – odparł. – Ale jeśli zdołacie ją namierzyć, natychmiast chćę o tym wiedzieć.

– Oczywiście, generale!

O'Brian wyszedł z medlabu i podszedł do grodzi oddzielającej przestrzeń hangaru od reszty Arki. Teraz trochę żałował, że trzymał Alex w domu pod kopułą i nie pokazał jej tych wszystkich cudownych rzeczy, które jego prywatne królestwo miało do zaoferowania. Ella upierała się jednak, że ze względów bezpieczeństwa lepiej dziewczynę przetrzymywać jak najdalej od reszty ludzi. Nie bez znaczenia była też pewnie odległość od medlabu. Pani doktor było po prostu wygodnie mieć Alex pod ręką. Do tej pory dom służył generałowi wyłącznie do celów konspiracyjnych i nie był zamieszkanym. Powstał z myślą o holokonferencjach z udziałem Rady Dwunastu lub samego Eugene'a i stanowił wierną kopię domu O'Briana na Ziemi. Współpracownicy nie mogli wiedzieć, gdzie generał tak naprawdę przebywa.

Jednak prawdziwą Arkę stanowiło to wszystko, co znajdowało się za grodzią. Jack przyłożył rękę do czytnika i drzwi rozsunęły się bezszelestnie. Za nimi nie było już

przyltaczającej stali, tylko lśniące bielą i zielenią pomieszczenia wspólne z wszelkimi wygodami, o jakich trudno by nawet marzyć na Ziemi. Były baseny, restauracje, kluby i centrum holowizyjne, do którego sprowadził najlepszych aktorów i reżyserów z Atlanty. Tę część kompleksu nazwano Gniazdem.

Generał szedł pewnym krokiem środkiem deptaka ozdobionego potężnymi fikusami, rosnącymi w dużych drewnianych donicach. Gdzieniegdzie stały ławeczki, a wokół nich poustawiano kwietniki z bujną różnokolorową roślinnością. Całość Gniazda przypominała konstrukcją luksusowe czteropiętrowe centrum handlowe. Z tą różnicą, że tutaj nie istniała waluta. Wszystko można było po prostu mieć. Idylliczne miejsce dla wyselekcjonowanych ludzi. W pewnym sensie Arka 173 była odzwierciedleniem reklam holo na Ziemi. Jedyną nieoszukaną, prawdziwie rajską przystanią. Sto czterdzieści dziewięć ark, na które bilety otrzymywali ogłupieni obywatele, wyglądało jak stalowe więzienia o zaostrzonym rygorze i w istocie nimi były. A Jack zrealizował dla siebie marzenie obywateli, choć z pewnością nie z myślą o nich.

– Panie generale! – Podbiegł do niego zasapany chłopak ubrany w mundur stewarda. – Proszą pana do centrali. Podobno coś się do nas zbliża.

– Dziękuję, chłopcze – odparł generał i ruszył w głąb atrium.

Wszedł do jednej z wind i w niespełna kilkanaście sekund dotarł na miejsce. Otworzył przezroczyste drzwi i skierował się wprost do sferycznej holomapy pokazującej z dużą dokładnością okoliczne obiekty. Pracujący w dyspozytorni ludzie czekali w milczeniu, aż O'Brian odezwie się pierwszy. Ten przez chwilę wpatrywał się w obraz, a potem przeniósł spojrzenie na ogromne, panoramiczne okno, przez chwilę studiował rozległą przestrzeń. Z tej części Arki nie roztaczał się widok na Ziemię. Jack zaplanował rozkład pomieszczeń w taki sposób, by to ludziom w dokach i hangarze widok Błękitnej Planety przypominał o stałej czujności i świadomości, skąd mogą nadejść ewentualne zagrożenia. Z tych samych powodów beztroska społeczność Arki 173 miała zagwarantowany widok na bezkresny wszechświat. Nie było sensu niepokoić ich widokiem planety i niepotrzebnie ryzykować, że widok globu wywoła nostalgię.

– Nie widzę żadnego obiektu – warknął O'Brian. – Czy to są jakieś żarty?

Naprzód wystąpił jego zastępca, niedawno zwerbowany pilot z kosmodromu Freedom. W dłoniach trzymał talerz z wielkim tortem czekoladowym i nieśmiało się uśmiechał.

– Panie generale, wszystkiego najlepszego w dniu urodzin! – powiedział, podsuwając zwierzchnikowi pod nos mnóstwo zapalonych świeczek.

– Wyjątkowo nie wlepię panu nagany za użycie otwartego ognia w pomieszczeniu o znaczeniu strategicznym – burknął O'Brian, ale w jego głosie słychać było wzruszenie.

– Osiemdziesiąt lat! Kto by pomyślał! – roześmiała się jedna z szeregowych pracownic sekcji monitoringu. – Pan generał nawet na czterdzieści nie wygląda!

Jack obdarzył ją uśmiechem i zarazem taksującym spojrzeniem. Była ładną, zgrabną brunetką w trudnym do określenia wieku. Nie pamiętał jej nazwiska ani trybu rekrutacji, ale był pewien, że wkrótce wyszepcze mu te wszystkie dane do ucha. Miał sentyment do Alex, ale trzeba być realistą i brać, co daje życie. Gdyby oglądał się na przeszłość i miał idiotyczne skrupuły, siedziałby teraz w Obszarze Ameryka 5 naprzeciwko oryginału obrazu swojej tragicznie zmarłej żony i spoglądał nerwowo w okna, czy wzburzone masy już zobaczyły jego dom dzięki SeeIT i czy idą po niego z kostkami brukowymi.

Jack O'Brian zbyt mocno kochał życie, oczywiście wyłącznie własne, by nadstawić karku za żalostną politykę tego idioty Eugene'a. Wordsworth był od niego o jedenaście lat starszy. Kto by pomyślał, że już tyle czasu zleciało? Poznał jego i Felicję, gdy wizytowali Akademię Nadrodowców w dniu, w którym on sam z wyróżnieniem ukończył szkołę. Eugene natychmiast zaproponował mu posadę, a Felicja nie oponowała. Nie mieli wówczas oficjalnych stanowisk, w ich imieniu rządził marionetkowy rząd. Sprytnie trzymali się w cieniu i kierowali wszystkim z tylnego siedzenia. Byli zbyt młodzi, żeby zostać twarzami Republiki Ziemskiej. Później Felicja wywindowała Eugene'a na stanowisko przewodniczącego. Generał nie wiedział, dlaczego tak postąpiła. Może po prostu go kochała i chciała dodać pikanterii ich romansowi? Nie od dziś wiadomo, że kobiety pociąga w mężczyznach właśnie władza.

O'Brian sformułował w głowie tę myśl, patrząc jednocześnie na brunetkę. Rozlewała do kieliszków wyśmienitego szampana, kręcąc zalotnie tyłeczkiem. Co jakiś czas filuternie na niego spoglądała. Upił lyk trunku i ponownie zatopił się we wspomnieniach.

Felicja była wprawdzie wredną suką, ale mało kto dorównywał jej rozumem. Wiedziała, że gdy Eugene otrzyma wymarzoną godność przewodniczącego, zlecą się do niego najpiękniejsze kobiety, zdeterminowane, aby zawładnąć duszą najważniejszego człowieka na Ziemi. I tak się właśnie stało. Dopóki jednak niepodzielnie rządziła duszą przewodniczącego, kompletnie jej to nie ruszało. Jednego Felicja nie przewidziała. Pojawiła się Machiko. Jack nie miał pojęcia, jakie naprawdę żywiła uczucia do Wordswortha, ale było jasne, że Eugene wpadł po uszy i całkowicie zignorował Felicję. Zrobił najgłupszą rzecz na świecie – zranił jedyną kobietę, która kochała go bezwarunkowo przez całe życie, chroniła i posadziła na świeczniku. I tym samym stworzył sobie śmiertelnego wroga. Lecz nawet nie to było jego największym błędem. Znacznie gorszy popełnił, w ogóle tego nie zauważając.

– Zdrowie pana generała! – krzyknął jego zastępca, a za nim do toastu przyłączyli się wszyscy.

– Dziękuję wam, moi drodzy – odparł Jack, poczuwając się do obowiązku wygłoszenia mowy. – Rzeczywiście, dzisiaj mija mi osiemdziesiąt lat, ale jeszcze nigdy wcześniej nie byłem tak dumny ze swojego dzieła. Dzieła życia. Nasz nowy dom budowałem przez długie trzy dekady i tylko determinacji, sprytowi oraz oddanemu personelowi zawdzięczamy to, że w końcu się udało. Dziękuję wam też za to, iż uwierzyliście w nowe, lepsze życie i zrozumieliście, że egzystencja pod przywództwem Wordswortha na Ziemi to droga donikąd, a program „Ewakuacja” jest największym kłamstwem w dziejach świata.

Po centrali poniósł się pomruk akceptacji. Ludzie słuchali dowódcy w skupieniu i kiwali głowami. Pochylił w ich stronę kieliszek z szampanem.

– Oczywiście wiele czasu musi upłynąć, zanim ludzie na dole zrozumieją, że Rząd Światowy prowadzi ich do zagłady, a na pewno do śmierci głodowej. Jesteście tu ze mną, bo dostrzeżliście potworne zło, jakie niósł ten chory system. I obiecuję wam, że dzień, w którym odzyskamy planetę, jest bliski! A tymczasem cieszcie się godnym życiem tu, na górze.

Gromkie brawa i głośnie wiwaty trwały dobre kilka minut. O'Brian przeprosił zgromadzonych i opuścił dyspozytornię. Poszedł w stronę prywatnego wyjścia z Gniazda. Niewiele osób miało prawo się tędy przemieszczać, i nie bez przyczyny. Wprost z korytarza wychodziło się na sporych rozmiarów platformę, górującą nad rozległymi farmami hydroponicznymi. W dole rozciągały się uprawy wodne wszystkich warzyw i owoców, jakie wcześniej stworzyła Ziemia. O'Brian z dużą pieczołowitością kolekcjonował wszelkie gatunki.

Głównie chciał zapewnić sobie i ludziom dostęp do różnorodnego, świeżego jedzenia, a poza tym wolał mieć pod ręką DNA wszystkiego co się da, na wypadek gdyby planeta jednak nie zdołała przetrwać ataku, który zamierzał jej zafundować.

Zszedł pomiędzy sekcje hodowlane i zamyślony powędrował dalej. Na samym końcu majaczyły niewielkie drzwi, dość dyskretnie schowane za bananowcem. Jack podszedł do nich. Tu nie wystarczyło zwykajne sprawdzenie linii papilarnych i siatkówki oka. Już miał podać kroplę śliny do weryfikacji, gdy usłyszał za plecami szelest. Odwrócił się. Miał nadzieję, że zobaczy długonogą brunetkę, ale naprzeciwko niego stał jego zastępca.

– Panie generale, proszę mi wybaczyć niedyskrecję – wyjąkał podwładny. – Tak nagle pan wyszedł. Myślałem, że coś się stało i wolałem się upewnić, czy wszystko jest w porządku.

O'Brian przyjrzał mu się uważnie. Miał wprawę w ocenianiu ludzkich intencji i wiedział, że im bardziej ktoś chciał sprawić wrażenie niewinnego, tym więcej miał do ukrycia. Zawstydzone spojrzenie pilota sugerowało, że raczej nie miał ukrytych motywów.

– Wszystko jest w całkowitym porządku, panie Gonzales. Dziękuję za troskę – odparł generał. – Jeśli nie ma pan nic lepszego do roboty, zapraszam na szklaneczkę pierwszorzędnej whisky.

Jack zaprosił pilota pod wpływem impulsu, ale nie żałował. Jako jego bezpośredni zastępca i tak prędzej czy później poznałyby sekretne zakątki Arki.

– Z przyjemnością, generale!

O'Brian z zadowoleniem odnotował, że w głosie Gonzalesa nie dało się wyczuć służalczości ani lizusostwa.

– No to zapraszam – powiedział i aktywował drzwi wejściowe.

Generał przeszedł pierwszy, a pilot za nim.

– Nie wiem, co powiedzieć, panie generale – wyjąkał Gonzales, przystając tuż za progiem.

– Wiem – zaśmiał się Jack. – Każdy tak reaguje, gdy to zobaczy.

– To jest po prostu niesamowite – szepnęła oficer. – Jak udało się stworzyć coś tak fantastycznego?

– Najlepsi architekci i budowniczowie konstruowali Arkę według mojego pomysłu przez prawie trzydzieści lat. I trzeba im przyznać, że przyłożyli się do pracy. – O'Brian uśmiechnął się z dumą.

Gonzales nadal stał oniemiały na czymś w rodzaju trawiastej antresoli. U jego stóp rozpościerał się las z wysokimi na piętnaście metrów sosnami i świerkami. W odległości pięćdziesięciu, może stu metrów od niego majaczyła między drzewami polana z jakimiś zabudowaniami. Pilot spojrzał w górę. Znaczna część sufitu zawieszono bardzo wysoko nad nimi była przezroczysta. Sprawiało to wrażenie, jakby prywatny las generała łączył się z kosmosem. Rozmach przedsięwzięcia dosłownie powalał na kolana.

– Za domem jest jeszcze strumień, a całą strefę zamieszkują prawdziwe zwierzęta – pochwalił się O'Brian. – Zapraszam cię do mojego ulubionego miejsca we wszechświecie.

Generał zszedł po stopniach, również wyściełanych trawą, i ruszył ścieżką pomiędzy drzewami. Pilot podążał za nim i wkrótce ujrzał stojący na polanie dom z drewnianych bali. Zapach igliwia w zamkniętej przestrzeni był jeszcze bardziej zniewalający niż w prawdziwym ziemskim lesie.

– Lepiej się schowajmy do środka i wypijmy drinka, bo z tego, co pamiętam, ogrodnik zaplanował na wczesny wieczór rześistą ulewę! – O’Brian się roześmiał i gestem zaprosił gościa do wnętrza przestronnej chaty.

Później, gdy siedzieli przed ogniem wesoło trzaskającym na kominku, a pilot głowił się, w jaki sposób zaprojektowano system odprowadzania dymu, generał dołał im obydwu po sporej porcji whisky i pociągnął solidnie ze szklanki.

– Przypomnij mi, pilocie Gonzales, jak ty właściwie masz na imię? – zapytał.

– Pedro, generale – odparł. – Pedro Gonzales, były pierwszy oficer wahadłowców w kosmodromie Freedom – uściślił pilot, wpatrując się w generała z widocznym oddaniem i uwielbieniem.

– Tak więc, drogi Pedro, jesteś zadowolony z pobytu na naszej Arce?

– Oczywiście! – Gonzales przytaknął gorliwie. – To najlepsze, co mogło mi się w życiu przydarzyć, i gorąco panu dziękuję za tę szansę, generale!

O’Brian wiedział, że pilot nie kłamie. Choć zobaczyli się po raz pierwszy właśnie na Arce 173, gdy Gonzales przyleciał wraz z inną grupą wyselekcjonowanych dyskretnie ludzi, to generał śledził jego losy już od pewnego czasu. A konkretnie od dnia, kiedy Gonzales towarzyszył Sarze i kapitanowi Maxowi White’owi w pamiętnym locie na Arkę 28. To wtedy Sara i Max White nagrali selekcję ludzi w dokach Arki, a potem wraz z jego rodzonym synem, znanym jako haker Jordan, rozpowszechnili materiał w sieci razem z wirusem SeeIT.

Tamtego dnia Sara i Max uprowadzili z transportu małą biomodkę Allie. O’Brian wiedział to wszystko od samego Gonzalesa, choć Pedro nie miał najmniejszego pojęcia, kto zlecił jego przesłuchanie i tortury. Na pewno był odważny i bardzo wytrzymały. Śledczy musieli użyć potężnej dawki neurotoksyn, żeby pilot w końcu zaczął mówić. W pierwszym odruchu O’Brian chciał go wysłać do fabryki pokarmów proteinowych, żeby załatwić jego zniknięcie dyskretnie i bez ryzyka, że przechwyci go Felicja. Jak się później okazało, obawa była nieuzasadniona, bo w tym czasie Wordsworth zdążył ją zamordować. O’Brian o tym wówczas nawet nie wiedział, lecz i tak wymyślił inną przyszłość dla Gonzalesa. Pozwolił mu wierzyć, że osobiście odpowiada za uratowanie go z transportu śmierci.

Generałowi podobały się jego odwaga i siła, a wzbudzając w chłopaku wiarę, że uratował mu życie, zyskiwał ślepo oddanego sojusznika. Odpowiednia motywacja pozwalała sterować ludźmi lepiej niż prymitywny szantaż. Tej lekcji generał nauczył się na własnym synu. Udawał, że toleruje jego wybryki, bo odczuwa wyrzuty sumienia. Syn oskarżał go o śmierć Katrin i uważał, że ojciec, przytłoczony poczuciem winy, daje mu ogromną swobodę. Generał oczywiście pozwalał mu w to wierzyć, a prawda była taka, że każdy chaos na Ziemi, szczególnie tak spektakularny jak zamieszki wywołane przez SeeIT, przybliżał go do upragnionego przejęcia władzy. Dlatego nie wykorzystał informacji uzyskanych od Gonzalesa, by ścigać Sarę i Maxa. Dlatego pozwalał Jordanowi na jego krecią robotę w sieci i dlatego nie zakwestionował głośno tożsamości fałszywej Felicji. Dużo bardziej przyda mu się żywa i naiwna, a kto wie, może uda mu się z niej zrobić swoją marionetkę.

O’Brian jeszcze nie zdecydował, co z nią zrobi, ale w tej chwili jej śmierć byłaby bezsensownym trwonieniem kapitału. Wyeliminować ją zawsze zdąży. Jedyne, co było mu wybitnie nie na rękę, to mała biomodka Allie pałająca się po świecie bez jego kurateli. W tym jednym syn pokrzyżował mu plany i O’Brian, nie zważając na jego protesty, w końcu mu ją



odbierze. Każdy nieautoryzowany biomod pozostający poza jego zasięgiem jest potencjalnym zagrożeniem dla jego zamiarów.

Dzieciak z klatki najpewniej zginął, więc kiedy wreszcie sprowadzą na Arkę małą Mc Anderson, nikt nie będzie mógł przeszkodzić generałowi w realizacji planu. O'Brian spojrzął na Gonzalesa. Siedział z rozanielonym wyrazem twarzy i wpatrywał się w trzaskający ogień.

– Mam nadzieję, że whisky ci smakuje, mój przyjacielu? – zagadnął go przyjaźnie Jack.

– Jest wyborna, generale – odparł z entuzjazmem. – A dom bajeczny! Nie mogę się wprost nadziwić, jak udało się dokonać czegoś tak spektakularnego!

– O, to tylko fragment potencjału tej Arki – powiedział generał. – Mam tu o wiele więcej pięknych rzeczy, które posłużą wszystkim mieszkańcom, gdy tylko uporamy się z najważniejszym zadaniem.

Gonzalesowi zaświeciły się oczy. O'Brian uniósł w jego stronę szklankę w niemym toaście. Tak się zdobywa lojalnych podwładnych.



Alex otworzyła oczy i przez chwilę nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Uczucie podenerwowania nie ustąpiło, nawet gdy sobie w końcu uświadomiła, że usnęła na kanapie w apartamencie na szóstym piętrze bloku znajdującego się w Obszarze Europa 5.

– Jerry?! – krzyknęła, siadając na posłaniu. – Jerry? Gdzie jesteś?

Nikt nie odpowiedział. Zerknęła przez drzwi tarasowe. Słońce stało już wysoko, musiało dochodzić południe. Poderwała się na równe nogi, odruchowo sprawdziła, czy broń jest w kieszeni, i wyrzwała na taras. Chłopca tu nie było. Wiedzioną irracjonalnym lękiem wyjrzała przez barierkę. Nie zauważyła niczego oprócz królików i uwijających się z wrzaskiem ptaków. Obeszła apartament liczący, oprócz salonu, jeszcze trzy pokoje, zrujnowaną kuchnię ze skorupami talerzy walającymi się po ziemi i nieużywaną od dawna łazienkę.

Alex zbiegła po schodach na parter. Zdyszana stanęła na dole schodów i zamarła. Chłopiec, zaopatrzony w dwie bardzo staroświeckie kule, chodził po kamiennej posadzce od okien zabitych deskami do drzwi wyjściowych. Podciągnięta roleta wpuszczała światło słoneczne, które zalewało blaskiem cały korytarz. Hans stał z boku i bił brawo, a Jerry na widok kobiety rozpromienił się w uśmiechu.

– Brawo! Wspaniale! Zuch chłopak! – dopingował go Hans.

– Alex! Zobacz! Znowu umiem chodzić! – ekscytował się mały. – Jeszcze trochę i zacznę biegać, zobaczysz!

– Na pewno! I będziesz najszybszy ze wszystkich! – potwierdziła i ukradkiem otarła łzę.

– Wygram każdy wyścig!

Alex ze zdumieniem obserwowała jego dziecięcy entuzjazm. Jeszcze wczoraj niosła na plecach pozbawionego złudzeń i wypranego z emocji smutnego chłopca, a wystarczyło, że zapomniał o klatce, swoich dręczycielach i nieprzeciętnych możliwościach własnego mózgu, by pojawiło się przed nią beztroskie i zadowolone dziecko. Po raz kolejny pomyślała, że Hans

postąpił bardzo mądrze, zostając w tym zapomnianym przez cywilizowany świat zakątku. Jerry nie miał tutaj żadnych bodźców z sieci, bo ta zwyczajnie tu nie dochodziła. Nie musiał się martwić o świat ani dźwigać na kilkuletnich barkach odpowiedzialności za wszystko, co go otacza.

– Poszedłem rano do domu starców na końcu ulicy i przyniosłem stamtąd kule. Musiałem je nieco skrócić, ale teraz pasują idealnie – powiedział Hans.

– Dziękuję! – odparła ze wzruszeniem Alex. – To najwspanialszy prezent, jaki mogłeś mi подарować. Trochę ćwiczeń i znów będzie normalnie się poruszał.

– Chodź, napijemy się kawy z żółędzi. Nad Kittelbach rośnie sporo dębów. Kittelbach to ta niewielka rzeczka, którą musieliście mijać po drodze – wyjaśnił.

Wyszła za nim przed blok. W wymurowanym na trawniku palenisku trzaskały wesoło polana. Nad nimi w blaszanym kociołku bulgotał napar z żółędzi. Pachniał niezbyt zachęcająco, ale jej wystarczyło, że był gorący i mógł trochę uspokoić burczący żołądek.

– Pij, póki gorący – pouczył ją stary. – Na zimno smakuje znacznie gorzej.

Poszła za jego radą i gdy pohamowała pierwszy odruch wymiotny, kawa okazała się strawna. Zresztą Hans zaprosił ją zaraz do małego mieszkanka i tam postawił przed nią talerz. Zamrugła z niedowierzaniem.

– To jest najwspanialsze śniadanie, jakie kiedykolwiek widziałam! – powiedziała z entuzjazmem.

– Właściwie to już obiad – parsknął śmiechem mężczyzna. – My z Jerryem już dawno zjedliśmy. Bardzo mu smakowało. Zobaczysz, jeszcze parę dni i odkarmimy go porządnie. Odzyska siły i będzie biegał jak młody pies.

Alex z zachwytem wpatrywała się w sałatę, rzodkiewki i małe ogórki. Obok leżała kromka czarnego chleba, jakiego dotąd nigdy nie widziała. Ukruszyła kawałek i powąchała z lubością, a potem pospieszenie wepchnęła kęs do ust. Jedzenie smakowało nadzwyczajnie. U generała próbowała już świeżych warzyw, ale tamte nie miały należytego smaku. Te, wyhodowane przez Hansa na dachu wieżowca, pachniały ziemią, słońcem i smakowały czymś autentycznym, czego nie umiała do końca określić.

Pocierała w palcach liście sałaty i naciskała pomidorki, aż sok popłynął jej po palcach. Zlizala go i wróciła do jedzenia warzyw. Nie dostała widelca, ale zupełnie jej to nie przeszkadzało. Dokończyła jedzenie, wytarła skórka chleba talerz i wypita resztę naparu z żółędzi.

– Trochę żyta uprawiam za parkingiem. Na szczęście króliki w nim nie gustują. A piec chlebowy wybudowałem na tarasie mieszkania pani Heck. Nie umiem wypiekać zbyt dobrze, więc wygląda ten chleb tak sobie – wymamrotał przeproszającym tonem Hans.

– To najlepszy posiłek, jaki w życiu jadłam! Chleb jest wspaniały! Dziękuję! – powiedziała. – Czy Jerry zjadł te warzywa? – zapytała i w duchu się zdziwiła, że cokolwiek by robiła i mówiła, to właśnie dzieciak zawsze wepchnie się na pierwsze miejsce w jej myślach.

– Zjadł to mało powiedziane! – roześmiał się Hans. – Pochłonął całą miskę fasoli, więc wybac, że dla ciebie nic nie zostało. Chłopak ma apetyt za dwóch, a rosnącemu organizmowi fasola akurat bardzo się przyda.

– Więzili go w klatce i rzadko dawali jeść – wyrwało się Alex.

– Dlaczego?

– Nie wiem – zełgała, plując sobie w brodę, że w ogóle rozpoczęła ten wątek.

Powinna być ostrożniejsza. Hans sprawiał wrażenie porządnego człowieka i wydawało się, że nie ma złych zamiarów, ale to nie znaczy, że musi mu opowiadać o Arce 173, O'Brianie i nadzwyczajnych zdolnościach chłopca, których tu na szczęście nie ma możliwości ujawnić. Im mniej o nich wie, tym lepiej dla wszystkich. Dla Hansa też. Gdyby Geneo wpadło do niego już po tym, kiedy z małym odejdą, starzec nawet pod wpływem neurotoksyn nie powie niczego, co mogłoby go obciążać.

– Wiesz, że możecie tu obydwójce zostać i nie bać się nigdy więcej? – powiedział cicho Hans.

– Och, żeby to było takie proste – odparła, smutno się uśmiechając. – Musimy iść do Siódemki.

– Po co?

– Chcemy tam znaleźć rodziców chłopca – skłamała.

– Europa 7 to dziki obszar – powiedział Hans.

– Bardziej dziki niż ten? Hans, widziałam wczoraj tę watahę psów. Myślisz, że gdzieś jest bardziej niebezpiecznie?

– Tego nie mówię – wycofał się starzec. – Ale tutaj nie jest tak źle. Stada chodzą wyłącznie nocą i mają pod dostatkiem królików.

– Jak długo? – zapytała Alex. – Spójrzmy prawdzie w oczy. Ptaki żywią się królikami, ty żywisz się królikami i wataha też. Załóżmy, że populacja królików się zmniejszy. Ty jakoś sobie na początku poradzisz, bo masz warzywa na dachu. Ale przecież nie zimą. Ptaki, jeśli zabraknie im królików, będą musiały się zadowolić innym jedzeniem. Może twoimi kolorowymi warzywami, do których mają ledwie kilka sekund lotu? Co zrobią psy, gdy skończą się króliki? Na początek będą polować na ptaki. A gdy te się skończą, wedrą się tutaj i zjedzą cię. Jeśli oszaleją z głodu, to tej wścieklej masy nie zatrzymają zabite okna ani betonowe zagrody.

– Co by im przyszło z jednego starca na całe stado? – bąknął cicho.

– Nie sądzę, żeby to rozpatrywały w tych kategoriach – odparła zimno. – Będą jak szarańcza. Zjedzą cię, a potem odejdą dalej, szukając pożywienia. Jeśli znajdą cokolwiek po drodze, będą się dalej rozmnażać i rosnąć w siłę. Jeśli nie, zaczną zjadać młode i siebie nawzajem. Nie mają sumienia, jak ty czy ja.

– Żyję tu już tyle lat i nic takiego się nie wydarzyło – sapnął stary.

– Ale przez te lata pojawiło się ich więcej?

Hans z niechęcią skinął głową.

– Więc rozumiesz, że nie możemy tu zostać! Ty też, Hans!

– To jest mój dom. Nigdy stąd nie odejdę.

– Jak sobie życzysz – odparła Alex. – Ale my musimy iść dalej i szukać ratunku.

– Po co? Przecież tutaj niczego wam nie zabraknie. Podziel się z wami wszystkim.

– Bez urazy, ale przed chłopcem jest być może długie życie, a tu czeka go może pięć lat. A może i mniej. Tobie wystarczy, bo swoje już przeżyłeś. Ale jemu?

– I tak nie zdołacie nigdzie dojść. Ten obszar jest jak nieskończona dżungla. Stąd nie ma ucieczki.

– Zaryzykujemy w swoim czasie, a teraz powiedz mi, co mogę zrobić, żeby odpracować to wspaniałe śniadanie. Jestem silna i na pewno do czegoś ci się przydam – powiedziała Alex, odnotowując w pamięci, że wszystkie przyszłe plany powinna zachowywać dla siebie.

Do pokoju wszedł Jerry, opierając się na kulach. Twarz promieniała mu szczęściem.

– Alex! Czy Hans dał ci do zjedzenia te małe różowe kuleczki? Najpierw szczypały mnie w język, ale potem bardzo mi posmakowały! – ogłosił entuzjastycznie.

– To rzodkiewki, Jerry – roześmiała się Alex. – I tak, Hans był tak miły, że dał mi ich spróbować.

– Hans jest najlepszy na świecie, wiesz?

– Wiem – odparła. – Hans jest wspaniały.

Starzec uśmiechnął się szeroko i wstał z fotela.

– Jeśli mi pomożecie, to kolacja będzie jeszcze wspanialsza – oznajmił i nie oglądając się więcej na nich, wyszedł z mieszkania.

Jerry odwrócił się na kulach i miał zamiar pokuśtykać za starcem.

– Poczekaj – szepnęła Alex. – Chcę cię o coś zapytać.

Chłopak zatrzymał się i natychmiast wrócił do opiekunki.

– Co się stało?

– Jerry, ja wiem, że to głupio zabrzmiało, ale czy nie wyczuwasz tutaj niczego groźnego? – zapytała.

Chłopiec zmarszczył brwi i głęboko się zamyślił. Po chwili jego twarz się wypogodziła.

– Nie, wszystko jest super – odpowiedział.

– Czy wyczuwasz tutaj jakiegokolwiek urządzenie? – indagowała. – Jest tu gdzieś sieć?

– Nie, Alex. Tu nie ma żadnej sieci.

– A gdybyśmy mieli stąd odejść, to w którą stronę? Wyczuwasz cokolwiek? Jakieś wibracje?

– Tu nie ma niczego takiego – odparł dość stanowczo. – I bardzo dobrze. W końcu nic mnie nie ściga!

Alex nie odważyła się powiedzieć niczego więcej. Nie chciała go zrazić do siebie i uznała, że nie ma sensu przedstawiać mu swoich wątpliwości związanych z Hansem. Im więcej nieprzychylnych rzeczy powie na jego temat, tym bardziej Jerry pokocha go ze zwykłej przekory.

– Masz rację, kochanie – powiedziała z uśmiechem. – Znajdźmy Hansa i zapytajmy, w czym możemy mu pomóc!

Profesor Howard ciężko westchnął i zapatrzył się przez okno autolotu na oddalający się coraz bardziej masyw Himalajów. Z jednej strony czuł pewne podniecenie przed podróżą, ale też w klasztorze było mu zwyczajnie dobrze. Wiek robił swoje, więc nic dziwnego, że przede wszystkim marzył o spokoju i wygodzie. W chwili gdy Vika Novakovič odpisała na wiadomość, stało się jasne, że wyjeżdżają natychmiast. Pożegnanie było krótkie. Monica nie umiała powstrzymać łez, tuląc Allie, a Yoshi ostentacyjnie nie przyszedł. Hassan pożegnał profesora krótkim uściskiem dłoni i obietnicą, że będzie strzegł Moniki z dzieckiem dzień i noc. Mnisi podarowali im autolot, argumentując, że podróżując limuzyną Wordswortha, zaalarmowaliby pół świata i postawili na nogi całe Geneo.

Natychmiast po przekroczeniu kopuły ochronnej klasztoru interfejs profesora ożył z pełną mocą. Po tak długiej przerwie uczucie było osobliwe i niezbyt miłe. Rozejrzał się po towarzyszach podróży. Pojazdem kierował Max. Siedział w milczeniu, skoncentrowany na prowadzeniu. Starał się utrzymywać niezbyt wysoki pułap, o co poprosiła go Allie.

– Im wyżej będziesz leciał, tym więcej strun będzie próbowało nas dopaść jednocześnie. Nie uda się ukryć nas przed wszystkimi. Jeśli będziesz leciał nisko, będę miała czas, żeby zajmować się nimi po kolei – odparła z niezachwianą pewnością.

Dziewczynka siedziała pomiędzy profesorem i Sarą. Była bardzo skoncentrowana, a z wysiłku na jej czole perlil się pot. Howard zaklął w myślach. Co to za cholerny świat, w którym małe dzieci walczą z totalitaryzmem, zamiast chodzić do szkoły i bawić się na placach zabaw! Albo są trzymane jak bydło w podziemnych zakładach przyfabrycznych, chyba dla żartu nazywanymi przedszkolami! Allie w jakiś sposób była reprezentantką tych wszystkich dzieci. Czy zdawała sobie z tego sprawę? Była nad wiek rozwinięta, to prawda, ale mimo wszystko profesor wątpił, żeby mogła dochodzić do takich konstatacji. Może za parę lat, jeśli wyjdzie z tego cało, zrozumie swoją symboliczną rolę w ich małym buncie.

Spojrzał na Sarę. Wpatrywała się z niepokojem w Allie. Trzeba było dziewczynie przyznać, że odnosiła się do małej bardzo ciepło i na pewno otoczy ją troskliwą opieką. W przednim fotelu pasażera siedział Jordan. Sprawiał wrażenie spokojnego, ale Howard nigdy do końca nie wiedział, co temu chłopakowi chodzi po głowie.

– Mniej więcej za dwie godziny dotrzemy do celu – poinformował Max. – Na razie chyba nas nie namierzili. Bez Allie nie mielibyśmy najmniejszych szans.

– Dlatego, choć mam potworne wyrzuty sumienia, że narażamy ją na to wszystko, wiem doskonale, że to po prostu konieczne – szepnęła Sara, nie odrywając wzroku od twarzy małej.

Nawet jeśli dziewczynka słyszała, że o niej mówią, nie dała nic po sobie poznać. Nadal miała zamknięte oczy, a teraz dodatkowo przyspieszony oddech. To były jedyne objawy walki,

jaką Allie toczyła wewnątrz siebie. Poczwała napór impulsów, gdy tylko opuścili bezpieczną strefę. Na początku były to zwykle pluskwy namierzające, które oszukiwała bez najmniejszego problemu. Nawet gdy zaczęły się zlatywać w większych rojach, wciąż dawała sobie z nimi radę. Problem pojawił się, gdy przebyli górzysty teren i wlecieli nad gęściej zaludnione obszary. Tu urządzenia namierzające rozszalały się z pełną mocą. Dziewczynka zrozumiała, że nie było cienia przesady w tym, co mówili mnisi, i że szukał ich dosłownie cały świat. Z tym dała sobie radę, choć musiała bardzo mocno się skupić. Najgorsze przyszło później, gdy w głowie usłyszała dziwny szum.

Z początku nie wiedziała, co to jest. W miarę jak narastał, zrozumiała, że nadchodzą krzyki. Te same, które budziły ją w nocy i kazały robić różne złe rzeczy. Pierwszy raz pojawiły się na jawie, i już samo to było przerażające. Allie o mały włos nie straciła kontroli nad urządzeniami nasłuchowymi z Obszaru Europa 2. Zaciśnęła dłonie w pięści i starając się zignorować głosy, odparła atak radarów. Po chwili wydostali się nad wody Oceanu Atlantyckiego i napór nieco zelżał. Allie miała czas, żeby wsłuchać się w głosy. Do tej pory docierał do niej narastający dźwięk, ale teraz zaczęła rozróżniać pojedyncze słowa.

*Jest... Czuję ją... To ona?... Blisko...*

Głosy były różne i brzmiały tak, jakby rozmawiały między sobą właśnie o niej. Allie rozumiała, że jest ich dużo i potrafią, tak jak ona, poruszać się po strunach. W polu siłowym chroniącym klasztor docierały do niej tylko we śnie, bo miały utrudniony dostęp, ale tutaj Allie nie chroniło nic. Czwała, że zaczyna się bać i że zaraz straci możliwość obrony przed urządzeniami namierzającymi. W tej samej chwili poczuła dłoń Sary na zaciśniętej w pięść dłoni. Dodało jej to otuchy. Nie pozwoli, żeby jej przyjaciółom stała się krzywda! Poczwała przypływ nowych sił i zaczęła budować blokadę przeciwko tym innym.

– Martwię się o nią – szepnęła Sara prawie bezgłośnie do profesora.

– Ja też – odparł cicho. – Nie wiem, jaką walkę obecnie toczy w swojej głowie, ale musi być bardzo zacięta. Pamiętasz? Gdy lecieliśmy w stronę klasztoru, utrzymywała nas poza zasięgiem urządzeń namierzających i jednocześnie z nami rozmawiała. Tu musi chodzić o coś więcej.

– Nie zapominajcie, że Wordsworth kazał jej szukać na wszystkie możliwe sposoby – powiedział Jordan. – Allie na pewno ma z tym mnóstwo roboty. Nie zazdroszczę jej, ale pomóc w żaden sposób nie potrafię.

Jordan zamilkł i zapatrzył się w przednią szybę. Nie wiedział, jak Max to robi, że zachowuje stałą koncentrację. Odzywały się pewnie lata wprawy w zawodzie pilota. Jemu samemu bezkres wody wydał się tak nużący, że ogarnęła go senność. Walczył z opadającymi powiekami i kiwającą się na boki głową, gdy nagle poczuł, że nadeszła nowa wiadomość z aliasu, którego używała wyłącznie jedna osoba na świecie. Ojciec Jordan poczuł, jak senność momentalnie go opuszcza. Otworzył pocztę.

*Synu!*

*Od dawna nie miałem od Ciebie żadnych wieści, ale wierzę, że u Ciebie wszystko w porządku. Podejrzewam, że jesteś zajęty własnymi sprawami i zapewne się ukrywasz. Tak bym zrobił na Twoim miejscu, gdybym rozpełtał chaos z tym całym SeeIT. Zawsze wiedziałem, że masz po matce naturę buntownika, ale przyznam, że czegoś takiego się nie spodziewałem. Nie o tym jednak chciałem pisać.*

*Synu, musimy się spotkać. Mam Ci do powiedzenia coś niezmiernie ważnego i myślę, że może to mieć ogromny wpływ na Twoje bezpieczeństwo. A także na los Allie Mc Anderson, która, jak wierzę, przebywa z Tobą. Odezwiij się bezzwłocznie.*

Ojciec

*PS Ufam, że interesuje Cię również los tej dziewczyny, Alex, którą zostawiłeś pod moją opieką.*

Jordan westchnął. Ojciec nigdy się nie zmieni. Nawet na chwilę nie potrafił po prostu być ojcem. Zawsze chciał coś ugrać i nigdy nie miał czystych intencji. Gdyby rzeczywiście chciał go uspokoić i zapewnić, że z Alex wszystko w porządku, po prostu powinien to napisać. Ale nie. Jemu chodziło tylko o to, żeby rzucić przynętę. Zmusić syna, żeby się do niego odezwał. Grał ludźmi jak pionkami na szachownicy i w większości wypadków nie byli dla niego nic warci. I skąd nagle ta troska o Allie? Czy generał wiedział, że jest biomodką? Jordan usłyszał to słowo od profesora zaledwie kilka dni temu i zdziwił się, gdy ten mu powiedział, że takich jak Allie jest na świecie więcej.

Ojciec miał dostęp do wszystkich informacji, ale co konkretnie wiedział o małej? Gdy siedziała zamknięta w przykładowym przedszkolu, a potem została wysłana na Arkę, jakoś go to specjalnie nie obchodziło. I o jakim niebezpieczeństwie mówił? Jeśli nie pisze wprost, to znaczy, że sam owo niebezpieczeństwo stworzył i nie chce się dekonspirować w korespondencji, żeby nie narazić na szwank jakichś swoich podstępnych planów. Jedynym jasnym punktem wiadomości było to, że ojciec dbał o jego bezpieczeństwo. Lub chciał, żeby Jordan tak myślał.

Zepchnął myśli o ojcu na dalszy plan. Miał ważniejsze sprawy na głowie.

– Niedługo będziemy podchodzić do lądowania – oznajmił pogodnym tonem Max. – Gdy tylko minie nabrzeże obszaru, będziemy poruszać się wyłącznie po ziemi. Allie musi odpocząć. Poza tym za bardzo rzucalibyśmy się w oczy.

– Jak ty to robisz, stary, że jesteś taki opanowany? – zapytał Jordan.

– Lata wprawy – odparł Max. – Praca w transporcie to nie bułka z masłem – zaśmiał się. – No dobra, schodzimy. Nie powinno trząść, ale uważajcie na Allie.

Jordan wykręcił głowę i spojrzał na dziewczynkę. Była taka malutka w czarnym dresie, że nieomal ginęła pomiędzy Sarą i profesorem. Pod powiekami poruszały się szybko jej gałki oczne. Było widać, że jest na krawędzi wyczerpania. Nawet nie zareagowała, gdy koła pojazdu cicho stuknęły o pełną dziur nawierzchnię drogi prowadzącej w stronę wschodnich rogatek. Tuż za nimi umówili się z Wiką Novakovič. Jeśli miało im się udać, to Allie musi się zdobyć na jeszcze jeden mały wysiłek i dezaktywować szlaban. Udowodniła już, podczas ich ucieczki z miasta, że potrafi to zrobić. Wszyscy mieli nadzieję, że tym razem znów się uda.

– Zaraz będziemy na miejscu – poinformował Max.

Sara delikatnie pogłaskała Allie po buzi.

– Obudź się, kochanie – powiedziała pieszczotliwie. – Wiem, że jesteś zmęczona, ale musimy jakoś przejechać przez rogatki.

Dziewczynka lekko drgnęła, ale nie otworzyła oczu. Oddech ponownie jej przyspieszył, a dłonie zatrzepotały.

– Nie budź jej! – ostrzegł Sarę profesor. – Nie jestem do końca pewny, ale ona walczy z czymś o wiele groźniejszym niż rogatki miejskie. Jeśli ją zdekoncentrujesz, może się to

skończyć źle dla niej i dla nas wszystkich. Biedny mały ptaszek.

Max zatrzymał pojazd za wybujałymi krzakami akacji i wygasił światła. Odwrócił się do Allie.

– Profesorze! – powiedział z ledwie tajoną złością. – Jeśli temu dziecku stanie się jakaś krzywda, to ja za siebie nie ręczę!

Howard nie odpowiedział. Nie chciał prowokować pilota, poza tym tak samo martwił się o dziewczynkę.

– Jak wjedziemy do miasta? – zapytał trzeźwo Jordan.

– Mam wrażenie, że chyba zrobiliśmy się zbyt wygodniccy – powiedziała rzeczowo Sara. – Jak radziliśmy sobie w życiu, zanim poznaliśmy Allie? Nie uważacie, że trochę za dużo ciężaru nałożyliśmy na jej sześćoletnie barki? Jesteśmy dorośli, więc znajdziemy rozwiązanie. A o dziecko trzeba przede wszystkim zadbać!

Howard powstrzymał się od komentarza, ale w duchu przyznał, że instynkt po raz kolejny go nie zawiodł. Nalegał na to, żeby Sara pojechała na wyprawę, i okazało się, że miał rację. Dziewczyna miała ikrę, serce we właściwym miejscu i ewidentny wpływ na tych młodych mężczyzn. Spojrzeli po sobie zawstydzeni i jak na komendę wysiedli z autolotu. Przez szyby pojazdu profesor widział, jak obydwaj zniknęli w zaroślach po lewej stronie od szlabanu. Odwrócił wzrok i spojrzał na Allie. Sara głaskała ją delikatnie po czarnych warkoczyczkach.

– Dziękuję ci, moja droga, za tę rozsądną reakcję – powiedział.

– Bo mnie wkurzyli! Jak dorosłe chłopcy mogą liczyć tylko na małe dziecko? Rozumu nie mają? Ja wiem, Allie jest niezwykła, ale dla niej to najwyraźniej za dużo! Jeśli dobrze rozumiem plan, to najważniejsze zadanie ma wykonać w domu Felicji Lawrance. Skoro tak, to po co zawracają jej głowę takimi bzdurami?

– Masz rację – odparł profesor. – Poza tym ona robi coś bardzo poważnego i mam nadzieję, że nic złego się z nią nie dzieje.

– Co to może być? – zapytała Sara.

– Nie wiem.

Allie wszystko słyszała, ale docierało to do niej jakby zza wodnej kurtyny. Wiedziała, że przyjaciele są wokół niej, i dodawało jej to sił, ale głosy nacierały coraz mocniej, a ona potrzebowała coraz więcej siły, żeby im się przeciwstawić. Teraz nie rozróżniała już żadnych słów, panował tylko jeden okropny zgiełk. Poczula, że się zbliżają niczym wataha wilków na testach w przedszkolu Space.corp. Nie miała tyle mocy, żeby się przed nimi wszystkimi naraz bronić. Wszystkie struny wokół niej żarzyły się niepokojącym czerwonym blaskiem.

– Słuchajcie – powiedział Jordan, wsuwając głowę do wnętrza autolotu. – Jakies sześćset metrów stąd kończy się betonowe ogrodzenie i zaczyna siatka. – Max twierdzi, że płot nie jest podłączony do prądu ani jakoś specjalnie monitorowany.

– No pewnie, że nie jest – parsknął nerwowym śmiechem Howard. – Eugene i Rada Dwunastu najwyraźniej tkwią w przeświadczeniu, że ludzie boją się nawet pomyśleć o ucieczce z obszaru. Ot, arogancja władzy totalitarnej!

– Dobra, nie czas na wykłady, profesorze! – zgasił go Max, odsuwając tylne drzwi pojazdu. – Niech pan wysiądzie, a ja wezmę Allie.

– Tylko bardzo delikatnie – ostrzegła go Sara, a Howardowi nie umknęło, że pogłaskała go przy tym przelotnie po dłoni.



– Nie martw się – uspokoił ją Max i podniósł małą, jakby była bezcennym kryształowym bibelotem.

Allie poczuła krzepiący dotyk Maxa i przez jej umysł przewinęły się obrazki ze wszystkich szczęśliwych chwil, które spędziła w jego mieszkaniu. Przywołała z pamięci jego śmiech, gdy udało jej się zaczarować jego kuchenną maszynę i zmusić do wydania wszystkich dań, jakie mogła wydrukować. Trochę wtedy oszukiwała, ale Max nie wydawał się zły. Czy gdyby teraz też trochę oszukiwała głosu w głowie, to Max by się tylko roześmiał?

– Profesorze, niech pan uważa, bo tu jest bardzo nierówno – przestrzegł Jordan.

– Dam sobie radę, chłopcze – sapnął Howard i uznał, że starość jest okropna przede wszystkim z tego powodu, że młodzi traktują człowieka jak rachityczną roślinkę.

Przekradli się wszyscy do siatki. Jordan odgiął ją i trzymał w zaciśniętych dłoniach.

– Sara idzie pierwsza – powiedział Max.

Nie dyskutowała. Położyła się płasko na ziemi i przeczołgała na drugą stronę.

– Wyciągnij ręce! – poprosił Max i ostrożnie przekazał jej Allie. – Teraz pan, profesorze! Howard przeczołgał się dość sprawnie, ignorując strzykanie w biodrze.

– Dobra, Max! Przechodź! – powiedział Jordan i odgiął siatkę mocniej, żeby barczysty pilot mógł się przedostać na teren obszaru.

Max przekradł się zwinnie i złapał puszczoną przez Jordana siatkę. Wygiął ją w drugą stronę i chłopak po chwili dołączył do reszty grupy.

– To chyba nie wymagało interwencji Allie, prawda? – skomentowała złośliwie Sara.

Nikt jej nie odpowiedział.

– Daj mi ją – powiedział miękko Max i przejął dziewczynkę.

– Musimy się kierować na północ, ale ja bym dla pewności przeszedł jeszcze kawałek tymi zaroślami – wtrącił się Jordan.

– Tak zróbmy – zdecydował profesor.

Allie toczyła bezpardonową walkę z innymi biomodami. Tak, teraz już wiedziała, kim są, ale i tak wyobraźnia podsuwała jej wizję wściekłych wilków. Jak mogła sama przeciwstawić się watasze liczącej czternaście dorosłych osobników? Wtedy, na testach, złamała reguły. Po prostu zrobiła coś, na co system jej pozwolił, a czego nie przewidzieli tamci dorośli. Może tutaj też się uda?

– Już niedaleko! – powiedziała Sara. – Jeśli dobrze kojarzę, Vika powinna na nas czekać za tym wzgórzem.

– Jeśli będzie czekać – ostudził jej zapał Jordan, starając się omijać kępy pokrzyw.

– Będzie! – odparł z mocą Howard, próbując nie zwracać uwagi na swój urywany oddech. – Jeśli niedaleko pada jabłko od jabłoni, to dzisiaj spotkamy się z pierwszą niezależną dziennikarką, jaka pojawiła się na tym padole od prawie stu lat.

– Oby! – mruknęła pod nosem Sara.

Noc całkowicie okryła obszar. Na niebie wisiał księżyc. Nawet bez teleskopu doskonale było widać punkciki najbliższych Ark. Układały się w roje podobne do czujek monitoringu. Dalszych nie było widać gołym okiem, ale wszyscy mieli bolesną świadomość ich istnienia. Za zaroślami pojawiły się światła.

– Vika? Vika Novaković? – zapytała Sara.

– Kto pyta? – odparł rzeczowo kobiecie głos.

– Tashi Amoto z przyjaciółmi – wyrwał się przed szereg profesor. – Wielbiciel twojej prababci Jany.

– Chodźcie szybko! – ponagliła ich Vika. – Za godzinę drony rozpoczną patrolę.

Allie myślała gorączkowo. Przypominała sobie dawne czasy w przedszkolu, potem lot na Arkę. I nagle zrozumiała. Jest miejsce, przez które struny wychodzą poza Ziemię, niczym pepowina łącząca Arki z macierzystym globem. Włamała się do kosmodromu Freedom i zaatakowała wszystkie łącza. Wilki wycofały się, skomląc cicho. Dla Allie najważniejsze było, że w końcu przestały huczeć w jej zmęczonej głowie. Zagoniła je do Arki, o której istnieniu wcześniej nie miała pojęcia. Z westchnieniem zachwytu pobrała wszystkie dane na jej temat i wróciła. Biomodzi pobiegli za nią, ale w połowie struny łączącej Arki z kosmodromem wyświetliła im bajkę o głupim kaczorze. Nie wiedziała, skąd ją zna, ale właśnie to podszeptała jej umysł. I najwyraźniej zadziało, bo nie umieli przejść zapory. Pewnie na krótko, lecz najważniejsze, że będzie miała chwilę spokoju.

– Chyba jej przeszło – powiedział Max, patrząc na śpiącą dziewczynkę.

– To znaczy? – zapytał Howard.

– Już nie jest spięta. Cokolwiek to było, prawdopodobnie uratowała nam życie – powiedział Jordan.

– Nie przeceniacie tego dziecka? – zapytała Vika, prowadząc autolot po ulicach znienawidzonego przez nich wszystkich miasta.

– Nie! – odparli chórem.



Alex pielęła zagon marchwi na dachu wieżowca. Pachniało wiosną, a słońce miło przygrzewało. Robota była żmudna, lecz konieczna. Dopiero teraz, gdy zaangażowała się w pracę w gospodarstwie Hansa, zrozumiała, jak wiele wysiłku trzeba włożyć w produkowanie żywności i zaspokojenie podstawowych potrzeb. To była niekończąca się praca od rana do zmierzchu. Życie bez jakichkolwiek udogodnień nie było dla miękkich ludzi, o czym zdążyła już się przekonać. Zerknęła na Jerry'ego. Chłopiec siedział na odwróconej do góry dnem drewnianej skrzynce i w skupieniu wsiewał nasionka ziół do niewielkich doniczek. Hans sadił przeróżne zioła. Opowiadał, że zbiera plony kilka razy w roku i suszy na zimę. Alex policzyła w myślach, że do zimy zostało jeszcze mniej więcej pół roku i z reguły nie bywa w tych okolicach bardzo ciężka, ale z całą pewnością nie zamierzała tutaj zostawać tak długo, żeby się o tym przekonać. Bez przerwy myślała o wyjeździe i układała w głowie sensowny plan działania. Wiedziała, że największe szanse ma teraz lub latem. Dopóki przyroda obfitowała w pożywienie, nie byli aż tak smakowitymi kąskami dla drapieżników. Poza tym nie zmarzną w nocy, choć i tak będą musieli szukać schronień. Alex zastanawiała się, czy watahy dzikich psów grasowały wyłącznie w opuszczonych miastach. Trzeba dyskretnie podpytać Hansa, czy wie coś na ten temat. Pewnie niewiele, bo nie wystawiał nosa poza swój ukochany blok i małą

uliczkę. Uznała, że mimo wszystko to może być dobry trop i gdyby udało im się wędrować z dala od dużych miast, unikną niebezpieczeństwa.

– Skończyłem! – zawołał Jerry, odstawiając ostatnią doniczkę na niską półkę.

– Brawo! Dzielny chłopiec! – pochwaliła go.

– Czy mogę teraz iść do Hansa? – zapytał.

Nie lubiła spuszczać go z oczu, ale przecież nie mogła kurczowo trzymać chłopca przy sobie. Poza tym, choć była wdzięczna Hansowi za udzieloną gościnę, mężczyzna wzbudzał w niej irracjonalny niepokój. Nie wiedziała, co mu siedzi w głowie, i wołała nie puszczać z nim nigdzie Jerry'ego. Tyle że ten się do tego palił. Polubił mężczyznę i najchętniej spędzałby z nim cały czas. Niechętnie skinęła głową.

– Idź! Tylko nie przeszkadzaj Hansowi. On bardzo ciężko pracuje – przypomniała.

– A my to nie? – oburzył się. – Harujemy jak mrówki!

Uwielbiał to powiedzenie, odkąd Hans pokazał mu ogromne mrowisko znalezione na tyłach rozsypującego się garażu. Stary opowiedział mu wszystko, co sam wiedział o życiu tych pracowitych owadów, a Jerry chłonał każde słowo.

– Tak, my też – potwierdziła ugodowo. – Idź, a ja dokończę tu robotę i zejść na dół, żeby przyszykować obiad.

Alex przeniosła się na zagon z burakami liściowymi. Irytujące małe chwasty pchały się do słońca spod każdej sadzonki. Wyrывała je metodycznie, jeden po drugim i choć wydawałoby się, że powinno to trwać wieki, jakoś jednak udawało się w końcu dotrzeć do końca grządki. Z planem ucieczki zrobi podobnie. Nie będzie się spieszyć, za to dokładnie usuwać najdrobniejsze przeciwności i choć w tej chwili wyjazd z Düsseldorfu wydawał się prawie niemożliwy, przecież w końcu nadejdzie dzień, w którym im się uda.

Westchnęła ciężko i podniosła się z obolałych kolan. Przeszła na grządkę z sałatami. Było ich kilka odmian, a każda wspaniale się udawała na króliczym oborniku. Hans pouczył ją, by nie zrywała główek, które jeszcze będą rosły, a jedynie obrywała po kilka liści z dołu. Tak też zrobiła i natychmiast wsadziła do ust jeden z nich. Był chrupiący i soczysty. Hans dobrze zrobił, zakładając plantację na dachu. Na dole króliki pożarłyby wszystko. Tylko on jeden wiedział, ile pracy musiało go kosztować wniesienie całej tej ziemi na szóste piętro. Alex zesłała po schodach, po drodze przystając na chwilę, by poobserwować Hansa rąbiącego polana i Jerry'ego, który zbierał drewno i układał w równe sągi. Z przyzwyczajenia zlustrowała okolicę, czy nigdzie nie czai się czarna wataha. Na szczęście było bezpiecznie, ale myśl o tym, że w końcu i tak zaleje ich nieprzebrana masa drapieżników, towarzyszyła jej całymi dniami. Przygasło palenisko umiejscowione przed wejściem do klatki, więc podrzuciła kilka szczap i poszła do kuchni. Po drodze zerknęła na półkę z papierowymi książkami. Dlaczego nie zwróciła na nie wcześniej uwagi? Podeszła, otworzyła szklane drzwiczki i odruchowo powąchała zleżale tomy. Pachniały minionymi czasami, kurzem i czymś dziwnym, czego nigdy wcześniej nie odczuwała. Czy właśnie taki zapach wydzielali papier? Przekrzywiła głowę i zaczęła czytać tytuły. Po chwili odsunęła się od półki skonfundowana. Nic z tego, co stało w biblioteczkach, nie zostało napisane w języku wspólnym. Fantazyjne litery niczego jej nie mówiły. Już miała zamknąć drzwiczki, gdy rzucił jej się w oczy cienki tom z kolorowym grzbietem. Rozpoznała słowo „karte”. Wyciągnęła książkę i otworzyła na losowo wybranej stronie wypełnionej w całości kolorowym obrazkiem. Przewertowała zawartość i ze

zdumieniem odkryła, że właściwie wszystkie strony tej dziwnej papierowej książki składają się wyłącznie z grafik.

Już miała zamykać tom, gdy rzuciła jej się w oczy nazwa „Düsseldorf”. Przyjrzała się bliżej. Na środku strony widniała niebieska nitka opisana słowem Kittelbach. Alex przypomniała sobie, że Hans wspominał o niej, gdy opowiadał o żołędziach. Odsunęła papier od oczu i spróbowała zogniskować spojrzenie jak w stronach sieci. Nic się nie zmieniło. Rysunek wyglądał dokładnie tak samo. Przypomniała sobie szkolenie w Akademii G, które dotyczyło zagrożeń czyhających na mieszkańców zrujnowanego Paryża. Wykładowca wyświetlał na przestarzałym, płaskim ekranie dwuwymiarowe rzuty ulic.

Teraz podeszła do okna tarasowego, gdzie było lepsze światło. Trzymała w rękę prymitywny rodzaj mapy i coraz bardziej ekscytowała się znaleziskiem. Oglądała miasto takie, jakim było przed zniszczeniem. Zresztą to akurat nie miało znaczenia, bo układ ulic się zmienił. Alex pomyślała, że nabierze wprawy w odczytywaniu mapy i nie powinna mieć większych problemów, by za jej pomocą wydostać się z miasta. Usłyszała odgłos kroków i pospiesznie schowała atlas pod bluzę. Na szczęście nie był gruby i nie odznaczał się pod odzieżą.

– Jerry chyba zgłodził – powiedział z uśmiechem Hans, wchodząc do pokoju. – Pracował bardzo dzielnie!

– Widziałam! – powiedziała Alex, patrząc na chłopca, który z dumną miną szedł za Hansem. – Obydwasz zasłużyliście na wspaiały obiad.

Postawiła na stole warzywa i pieczone w całości nad ogniem króliki. Do nafaszerowania tuszek użyła ziół, więc pachniały naprawdę nieźle.

– Jerry, odłóż ten samolot! – poleciła, wskazując miniaturową zabawkę znaną na opuszczonym placu zabaw. – Umyłeś ręce? Nie? No to na co czekasz? Woda jest w misce w kuchni.

Bez szemrania wstał z krzesła. Hans wziął zabawkę. Jemu Alex nie mogła kazać się umyć, więc udała, że nie zauważa obwódek brudu za jego paznokciami.

– Widziałem już takie samoloty – powiedział Hans. – Tu, na naszym lotnisku.

– Jest tu gdzieś niedaleko lotnisko? – zapytała, z trudem tłumiąc emocje.

– Było. Czy jest teraz, nie wiem – odparł. – Ostatni samolot odleciał stąd pewnie wiele lat temu. To musiało być zaraz po tym, jak ewakuowali miasto – dodał po namyśle.

– A to było duże lotnisko? – indagowała Alex, siłąc się na obojętny ton.

– Pewnie spore. Nie wiem. Nigdy na nim nie byłem – zniecierpliwził się Hans. – Jerry, chodź już, bo mięso całkiem wystygnie.

– Idę, wujku! – odrzyknął chłopak.

Wujku? Alex nie skomentowała, ale była zdziwiona. Od kiedy Jerry tak nazywa Hansa? Więż, która się między nimi wytworzyła, stawała się coraz bardziej niebezpieczna dla jej planów. I dla samego chłopca również. Na Ludwig-Beck StraÙe nie było dla niego żadnej przyszłości.



Autolot sunął drogą dla nadrodowców. Nie było tłoku. O tej godzinie większość ludzi bawiła się w klubach dla uprzywilejowanych albo siedziała z rodzinami wewnątrz strzeżonych osiedli. Robotnicy w fabrykach spali znużeni całodzienną pracą, a reszta mieszkańców miasta ukrywała się przed patrolami dronów, które powinny wylecieć dosłownie za kilkanaście minut. W kabinie panowała kompletna cisza. Vika dyskretnie zerknęła w lusterko wsteczne na swoich pasażerów. Spali. Starszy mężczyzna trzymał w objęciach tę czarnoskórą dziewczynkę, która mocno się do niego tuliła. Obok siedziała młoda dziewczyna. Była bardzo ładna, brązowe włosy opadały jej kaskadą na twarz. Za nią, w niewygodnej pozycji, siedział muskularny blondyn. Usnął z twarzą przytuloną do zimnej szyby. Tak jakby za wszelką cenę próbował odsunąć się od dziewczyny. A w fotelu pasażera siedział obok niej rudy Jordan. Vika spoglądała na niego z ukosa. Nie zwracał na nią uwagi i nie rejestrował drogi, którą pokonywali. Zatopiony we własnym interfejsie trwał wyprostowany i miał charakterystycznie rozchylone, niewidzące oczy. Nie wiedziała, co ci ludzie przeszli, ale na pewno sporo. Autolot zjechał z głównej trasy i wtoczył się na drogę dojazdową do osiedla. O dziwo, panował spokój, a w budce strażników stał tylko jeden młody chłopak. Szlaban był opuszczony. Vika spojrzała na współpasażerów i postanowiła, że sama załatwi sprawę. Zaparkowała pojazd na poboczu w pewnej odległości od szlabanu i wyszła. Otworzyła bagażnik i wyjęła sześciopak piwa, który dostała od ojca z komentarzem, że to już ostatnie zapasy i chyba naprawdę idzie wojna.

– Cześć, Steven! – krzyknęła z daleka i podniosła do góry sześciopak.

– Vika! – ucieszył się chłopak i natychmiast wyszedł przed budkę. – Nie rozmawialiśmy od balu w szkole!

– To prawda! Ale tak się cieszę, że w końcu udało nam się spotkać! – odparła z udawanym entuzjazmem. – Myślę, że musimy się napić za to spotkanie! – dodała, śmiejąc się gardłowo.

– No pewnie! Chodź! – ucieszył się Steven i zaprosił ją gestem dłoni do środka.

Vika weszła i serdecznie uśmiechnęła się do kolegi ze szkoły. Był miłym człowiekiem i miała trochę wyrzutów sumienia, że może na niego ściągnąć kłopoty, ale szybko się rozgrzeszyła, że przecież nic złego nie powinno się stać. Wypije piwo ze szkolnym kolegą, a ten otworzy jej potem szlaban, nie zaglądając do autolotu.

– Skąd masz piwo? – zapytał Steven. – Chciałem kupić, ale w żadnym sklepie już nie ma. W ogóle coraz gorzej się robi. Wszystko przez ten pieprzony SeeIT!

– Jeszcze mi kilka zostało. – Uśmiechnęła się i pominęła dyplomatycznym milczeniem resztę wypowiedzi.

– Świat stanął na głowie – powiedział z zadumą Steven, pociągając spory łyk z puszki. – Nie ma już żadnej sprawiedliwości, ludzie w fabrykach próbują się buntować, a miejskie szczyry zarządzają jakieś awantury na ulicach.

Vika pomyślała, że akurat sprawiedliwość w zasadzie ma szansę w końcu się pojawić, ale zachowała tę opinię dla siebie. Wymieniła ze Stevenem kilka zdawkowych zdań i pilnowała, żeby otwierał kolejne piwa. Sama upiła zaledwie łyk i tylko trzymała puszkę w dłoni.

– Muszę lecieć, Steven – powiedziała w końcu. – Fajnie było pogadać.

– Zaglądaj częściej! Nudzę się tu jak mops.

– Oczywiście! – odparła, wiedząc, że z pewnością nigdy już czegoś takiego nie uczyni. – Otworzysz mi szlaban?

– Myślisz, że ja otwieram szlaban? – parsknął śmiechem. – Tym zarządza automat. Skanuje pojazd i przepuszcza. My tu jesteśmy tylko od sprawdzania bagażników, czy nie zaplątał się w nim żaden szczur z miasta, ale chyba ty nikogo takiego tam nie masz?

– Nie – zaśmiała się z przymusem. – Nikogo takiego tam nie mam.

– No to ruszaj!

– Jasne! Dzięki! Cześć! – odparła i poszła w stronę autolotu, gorączkowo myśląc, co zrobić.

Wsiadła za kierownicę z mocnym postanowieniem, że po prostu zawróci i spróbuje jakoś inaczej przemycić swoich gości.

– Jedź na szlaban, otworzy się!

Vika odwróciła się gwałtownie. Allie wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczami.

– Przeskanuje pojazd i zobaczy, że mam nieautoryzowanych pasażerów – zaprotestowała.

– Nie zobaczy – powiedziała stanowczo dziewczynka. – Powiem mu, żeby nie widział.

– Ja bym jej posłuchał – mruknął cicho Jordan, który najwyraźniej wylogował się z sieci i spoglądał przytomnym wzrokiem na Vikę. – Nieraz udowodniła, że umie robić rzeczy z pozoru niemożliwe.

– Na przykład przejąć sterowanie wahadłowcem – odezwał się Max.

– Albo zainfekować SeeIT cały świat – dodała pogodnie Sara.

Vika zaniemówiła. W pierwszej chwili uznała, że ci ludzie uciekli z medlabu dla zaburzonych psychicznie. Jednak nie wyglądali na takich.

– Jedź. Nic złego się nie stanie – powtórzyła cierpliwie Allie.

Pojazd ruszył. Steven pomachał do niej z budki, a ona zamrugnęła do niego światłami reflektorów. Jechała w stronę szlabanu z duszą na ramieniu, ale ten po prostu się podniósł. Vika odetchnęła z ulgą i walcząc ze sobą, by nie przyspieszyć, wjechała na teren osiedla.

– Nie wiem, jak to zrobiłaś, dziewczynko, ale jesteś moją bohaterką – powiedziała. – Jedźmy do domu. Moja mama ugotowała wiele pyszności, więc jeśli jesteście głodni, zapraszam na kolację.

Pod dom podjechali z wyłączonymi światłami. Na takich osiedlach ludzie mieli w zwyczaju podglądać sąsiadów, jakby nie dość fascynowało ich własne życie. Vika ostrożnie wjechała do garażu i odetchnęła z ulgą, gdy zamknęły się za nimi drzwi. Wsiadła z autolotu i poczuła, że drżą jej nogi i szczeka zębami.

– Przywykniesz – uśmiechnęła się do niej Sara. – Chodź, pokażesz nam dom. Masz herbatę? Chętnie ci zaparzę na rozgrzewkę. To tylko lekki szok, zaraz przejdzie.

Sara wzięła Vikę pod ramię i poprowadziła do jej własnego domu. Allie podreptała za nimi, trzymając Maxa za rękę.

– Profesorze! – powiedział cicho Jordan. – Możemy chwilę porozmawiać?

– Co jest? – zapytał Howard, przystając obok autolotu.

– Coś się szykuje. Coś bardzo dużego. I obawiam się, że stoi za tym mój ojciec – odparł chłopak.

Przeczytał Howardowi wiadomość, którą otrzymał, a potem krótko mu streścił, co działo się na świecie przez ostatnie miesiące.

– Rząd jest słabszy niż kiedykolwiek, a Wordsworth prawdopodobnie nie będzie w stanie zapobiec jego upadkowi – powiedział poważnie profesor. – Jeśli do tego dołożymy

naszą wiedzę, że prawdziwa Felicja Lawrance nie żyje, to twój ojciec ma niepowtarzalną okazję, żeby sięgnąć po wyłączną władzę, zwłaszcza że stoi za nim murem całe Geneo. Oczywiście zakładając, że właśnie o to mu chodzi.

– To jest sensowna teoria, profesorze – zgodził się Jordan. – Tym bardziej uważam, że odnalezienie kopii sieci sprzed Wielkiego Resetu może mieć fundamentalne znaczenie.

– Dlaczego?

– Proszę się zastanowić. – Jordan mówił szybko i wyraźnie był podniecony. – Jeśli SeeIT wprowadził taki chaos, że rząd się chwieje, to przywrócenie pamięci zbiorowej posunie bunt dalej. Nie wiem, co knuje ojciec, ale może to pokrzyżuje jego plany?

– To ma sens – mruknął Howard. – Krew poleje się tak czy inaczej, ale może nie poleje się na marne.

– O czym pan mówi? – przestraszył się chłopak.

– Pomyśl! Co spektakularnego może szykować twój ojciec? Pikiętę pod siedzibą rządu? Oczywiście, że szykuje wojnę. I dlatego chce się z tobą spotkać albo wysłać po ciebie ludzi, co wyjdzie na jedno. Chce cię stąd wyciągnąć pod byle pretekstem.

– Tym bardziej nie pójde – odparł hardo Jordan. – Może dzięki temu nie będzie atakował towarzyszących mi ludzi. Być może się przestraszy, że przy okazji zabije także mnie.

– To bardzo szlachetne z twojej strony, ale szczerze wątpię, żeby tak było. Jeśli będzie trzeba, poświęci cię, choć nie bez żalu – powiedział Howard. – Bardzo przykro mi to mówić, ale tak by prawdopodobnie było.

– To co mam robić?

– Zastanowimy się nad tym – odparł profesor. – Ale nie odrzucałbym całkowicie pomysłu spotkania z ojcem. Może będąc przy nim, przydasz się sprawie bardziej niż tutaj...

Generał O'Brian był wściekły. Chodził w kółko po medlabie.

– Jak mogło do tego dojść? – zapytał po raz kolejny. – Przecież to niemożliwe! – krzyczał.

Miał czerwoną twarz i głośno oddychał rozszereżonymi nozdrzami. Raz za razem podchodził do szyby dzielącej pomieszczenie od biomodów.

– Ośmiu nie doznało żadnego uszczerbku, a katatonii pozostałych jest z pewnością chwilowa – perswadowała łagodnie Ella. – Wkrótce wrócą do formy. Potrzeba im jedynie odrobiny czasu.

– Nie mamy czasu! – ryknął Jack. – Wszystko jest przygotowane w najdrobniejszych szczegółach. Nie możemy sobie pozwolić na błędy. Po co wysyłałaś wszystkich za tym dzieciakiem?

– Generale, pan sam mówił, żeby koniecznie ją odnaleźć – powiedziała z zakłopotaniem Ella.

– Ale nie kosztem misji! – odparł. – Nie w pierwszej kolejności! No dobra, co takiego ma w sobie ta mała, że potrafi pokonać i nieszkodliwić tylu dorosłych osobników?

– Wydaje mi się, generale, że Allie to kolejny etap ewolucji. Tak jak Jerry – powiedziała cicho lekarka.

– Jaki Jerry?

– Chłopiec, którego uprowadziła ta kobieta. – Ella zamilkła na chwilę, szukając odpowiednio dyplomatycznych słów. – Ta, której udzielił pan schronienia w domu pod kopułą.

– Wiem, kogo goszczę i gdzie! – warknął. – Dlaczego nie wspomniałaś, że chłopak jest więcej wart od całej reszty?

– Ależ stwierdzałam to wielokrotnie – oburzyła się Ella. – Nie czytał pan raportów? Przecież nie bez powodu trzymałam chłopaka zamkniętego w zwykłej klatce i z kaskiem nieprzewodzącym na głowie. Przewyższał umiejętnościami pozostałą czternastkę dorosłych i bojkotował program. Nie dało się go ujarzmić ani uspokoić neurotoksynami.

– Chcesz więc powiedzieć, że dwoje najsilniejszych przypadło i nie wiemy, gdzie są, a każde z nich w pojedynkę potrafi rozwalić w drzazgi naszą Arkę i wszystkich biomodów? – wycedził O'Brian.

Ella nie odpowiedziała. Wołała nie irytować bardziej generała. Ją też to wszystko wytrąciło z równowagi. Od wczoraj próbowała zrozumieć, co się właściwie wydarzyło. Siedziała przy biurku i przeglądała raporty osobowe biomodów. Porównywała je z tym, co wiedziała na temat Jerry'ego. Ucieczkę chłopca traktowała jako osobistą porażkę.

Próbowała przeanalizować, gdzie popełniła błąd, gdy usłyszała dziwne jęki dobiegające z sąsiedniego pomieszczenia. Zerwała się na równe nogi i podeszła do szyby oddzielającej ją od biomodów. Natasza, leżąca najbliżej kobieta, wiła się i głośno oddychała, co jakiś czas jęcząc coś



niezrozumiale. Powieki nadal miała zamknięte, ale poruszała bardzo szybko gałkami ocznymi. Z kącika ust wyciekała ślina. Wyglądało to tak, jakby biomodka bardzo chciała się obudzić z koszmaru. Ella zerknęła na pozostałych. Do Natasy dołączali kolejni i wkrótce wszyscy mieli podobne objawy. Nie miała pojęcia, co się wydarzyło, ale z pewnością wiązało się to z komputerem, do którego byli podpięci. Lekarka odcięła połączenie zbiorczym przyciskiem i uwolniła porcje środków uspokajających z kroplówek. U ośmiorga podziało to natychmiast, ale pozostali jeszcze przez dobre kilka minut skręcali się na posłaniach. Gdy się w końcu uspokoili, Ella pobiegła do laboratorium i zaczęła śledzić wykresy ich fal mózgowych. Były niepokojące. Wydała komputerowi polecenie zobrazowania myśli biomodów. Urządzenie, choć niezwykle nowatorskie, miało swoje ograniczenia. Obraz był czarno-biały i nieostry. Do tego komputer miał ustawioną opcję automatycznego uzupełniania obrazu. A że działał binarnie, dochodziło do różnych zabawnych sytuacji. Pewnego razu, gdy jedna z biomodek śniła o romantycznej kolacji w jakimś lokalu, komputer domyślnie skojarzył czynność jedzenia z procesem jego przygotowania i zastawił stół stosami garnków tak, że nie było widać partnera, z którym kobieta spędzała miłe chwile. Innym razem jeden z mężczyzn śnił o grze wojennej. Komputer nie przeprowadził analizy podwójnego znaczenia słów i biomod wprawdzie rzucał w przeciwników granatami, ale nie śmiercionośną bronią, tylko owocami. Teraz Ella, przecierając oczy ze zdumienia, ujrzała, że po serii koszmarnych zwidów, będących zapewne powodem dziwnego zachowania, biomodzi siedzieli przed holo. Ósemka z nich miała wyłączone odbiorniki i byli to ci, którzy uspokoili się jako pierwsi. Pozostali oglądali zapętloną bajkę o jakimś kaczorze i nie reagowali na żadne bodźce. Ella uznała, że projekcja musi być błędem komputera i więcej się tym nie zajmowała. Zastanowiło ją coś innego. Nie był to przypadek, że wszyscy śnili to samo. Allie świadomie sabotowała jej program i najwyraźniej całkiem nieźle radziła sobie z czternastoma przeciwnikami. Ella nie miała odwagi powiedzieć generałowi, że w zasadzie są bezbronni, jeśli dziewczynka postanowi przypuścić kolejny atak. Biomodzi byli bezpieczni tylko do chwili, w której znów podłączy ich do głównego komputera Arki 173. Natomiast bez wpięcia ich do sieci nie sposób przeprowadzić operacji wojskowej zaplanowanej przez generała. Ten jednak wszystkiego domyślił się sam. I był tak wściekły, jak nigdy dotąd. Opuścił medlab i szybkim krokiem poszedł do domu pod kopułą. Zamierzał rozmówić się z synem i znaleźć sposób, żeby ten wydał mu biomodkę.



Alex wykradła jedną z łojowych lampek Hansa i ukryta w zrujnowanej łazience apartamentu na szóstym piętrze z zapalem studiowała atlas. Zawierał kilkadziesiąt map w różnej skali. Już po pobieżnym przejrzaniu zawartości zorientowała się, że pierwsza część map dotyczy całości Obszaru Europa 5, a następna zawiera plany miast. Atlas pochodził z 2027 roku, ale przecież obszary miejskie w swoim urbanistycznym zarysie nie mogły się bardzo zmienić od tego czasu, oczywiście oprócz tego, że były całkowicie wymarłe. Nikt niczego nie dobudował, nie wyburzył, by zrobić miejsce na inne projekty architektoniczne, i z pewnością nie przeniósł lotniska. Alex

uczepiła się idei przedostania się właśnie tam w nadziei, że może napotkają jakikolwiek sygnał, który pozwoli Jerry'emu wejść do sieci i wysłać SOS do Jordana. Była tak zdesperowana, że poważnie rozważała próby pertraktacji z generałem O'Brianem. Wiedziała, że ryzykuje wiele, łącznie z powrotem chłopca do klatki, ale przynajmniej będzie żywy, a ona obmyśli nowy sposób ucieczki.

Mapy Obszaru Europa 5 całkowicie pozbawiły ją złudzeń, że zdoła się przedrzeć w którąkolwiek stronę przez zdziczałą, bezludną ziemię. Jedynym sensownym pomysłem było obmyślenie sposobu dostania się na lotnisko. Na podstawie mapy oszacowała, że od celu dzieli ją około piętnastu kilometrów. Trasa, którą można pokonać w ciągu dnia, nawet z dzieckiem. Plusem tego rozwiązania było to, że w razie porażki mogła w miarę bezpiecznie wrócić do Hansa. A od wyprawy w głąb obszaru nie było odwrotu. Największym problemem było przekonanie do tego pomysłu Jerry'ego. Alex nie miała pojęcia, jak to zrobić.

Mijały kolejne dni, robiło się coraz cieplej. Chłopiec zaczął już normalnie chodzić. Przywiązał się do Hansa i choć to ją traktował jak opiekunkę, to ze starym chciał spędzać jak najwięcej czasu. Żeby nie tracić z dzieckiem kontaktu, włączała się jak tylko mogła w ich wspólne zajęcia. Hans nie miał nic przeciwko temu. Musiał widocznie uznać, że pogodziła się z losem i porzuciła myśl o odejściu. Towarzystwo do tego stopnia cieszyło starego, że odsłaniał przed nią wszystkie swoje sposoby na przetrwanie.

Poprzedniego dnia obudził ją bardzo wcześnie, potrząsając delikatnie za ramię. Ocknęła się natychmiast i usiadła na starej kanapie.

– Właśnie wzeszło słońce – powiedział cicho, nie chcąc budzić chłopca. – Idziesz ze mną na wykopaliska? – zapytał.

– Na jakie wykopaliska? – odparła zdezorientowana.

– Minęło wiele lat, lecz okoliczne budynki ciągle kryją ciekawe rzeczy. Czasem trzeba kopać w popiele, ale trafiają się drobne metalowe przedmioty. Przy odrobinie szczęścia znajdują różne rzeczy wokół budynków.

– Tak jak Jerry znalazł samolocik w starej piaskownicy? – spytała Alex.

– Tak, do Zooparku nigdy nie chodzę, więc pewnie kryje sporo rzeczy. Pójdziemy w stronę dawnego sklepu. Został splądrowany do cna lata temu, ale wtedy wyniesiono żywność. My jej nie potrzebujemy, bo mamy własną. Nam chodzi o przedmioty, które dla szabrowników z lat powojennych nie stanowiły żadnej wartości. Kto wie? Może znajdziemy jakieś naczynia albo puste butelki?

Alex zorientowała się, że Hans nie był w splądrowanym sklepie od lat.

– Daleko idziemy? – zapytała.

– Do strumienia i dalej prosto – objaśnił. – Miniemy z lewej strony Zoopark, ale nie skręcimy do niego, tylko przedrzemy się do kolejnego skrzyżowania, a potem skręcimy w prawo. Mamy jakieś dziesięć minut marszu, jeśli nie napotkamy żadnych przeszkód.

Alex bez komentarza wzięła szpadel z przytroczonym do niego grubym sznurem, zarzuciła na plecy i podniosła stare, plastikowe wiadro. Było lekkie i nienaruszone zębem czasu. Nieco się zdziwiła, że Hans jest w posiadaniu plastikowych przedmiotów zakazanych pewnie jeszcze przed jego urodzeniem. Widać w Obszarze Europa 5 panowały inne zwyczaje. Ona sama pamiętała, że gdy była dzieckiem, to w Paryżu plastiku nie było już nigdzie. W Akademii G usłyszała historię o tym, jak pod koniec lat dwudziestych zdelegalizowano ten szkodliwy dla środowiska surowiec. Zabroniono jego wytwarzania, co spotkało się

z ogromnym protestem właściwie wszystkich producentów, ale rząd się nie ugiął, tylko znacjonalizował upadające zakłady, przekierowując ich moce przerobowe na przemysł zbrojeniowy.

Oczywiście pozbycie się plastiku niczego nie zmieniło i miało wymiar czysto propagandowy.

Alex co jakiś czas nerwowo sprawdzała, czy pistolet nadal spoczywa bezpiecznie w prawej kieszeni spodni. Zerknęła z ukosa na blok. Nie uśmiechało jej się pozostawiać Jerry'ego bez opieki, ale Hans dokładnie zaryglował drzwi prowadzące do budynku, a klucz schował do kieszeni na piersi. Słońce właśnie wstawało zza ptasiego bloku. Pierwsze promienie już zaglądały do gniazd na najwyższym piętrze, a pisklęta w gniazdach budziły się z hałaśliwym rwetesem. Zanim doszli do rzeczki, hałas stał się nieomal ogłuszający. Hans przyspieszył kroku.

– Już dawno aż tak się nie darły – mruknął pod nosem. Alex ledwie rozróżniała słowa. – Najważniejsze, że gdy skończą porę łęgową, jest znacznie ciszej. Choć faktycznie z roku na rok hałas robi się coraz większy.

Alex zachowała dla siebie myśl, że właśnie tak objawia się ekspansywność gatunku na danym terenie. I że zwierzęta rozzuchwalały się jeszcze bardziej.

– Lepiej ruszajmy – odparła i zrównała krok z Hansem.

Szli przez kilka minut w milczeniu, bacznie obserwując otwory okienne mijanych wypalonych kamienic. Panował bezruch, a ptasi hałas z każdym krokiem cichł.

– Tu kiedyś mieszkał szef opozycji – powiedział Hans, wskazując podbródkiem zrujnowaną willę. – A tam, obok, parę innych szych – dodał. – Wszyscy spłonęli. W zasadzie to przez nich unicestwili całą dzielnicę.

– Co to była za opozycja? – zapytała Alex.

– Zanim powstał Rząd Światowy, który zrobił Wielki Reset, mieliśmy przecież Rząd Tymczasowy. Tych paru cwaniaków z Ameryki. A najlepsze jest to, że tak naprawdę rządziła taka młoda dziewczuszka i młody chłopak, który potem został przewodniczącym Rządu Światowego. Nie pamiętam, jak się nazywał, wybacz, stary już jestem i pamięć nie ta.

– Eugene Wordsworth? – Alex bardziej stwierdziła, niż zapytała.

– No tak! Właśnie on – ucieszył się starzec.

– Miałeś mówić o opozycji – odpowiedziała.

– No tak! U nas nie każdy się zgadzał na ten cały rząd, a już na pewno nie na to, żeby rządzili nami z Obszarów Ameryk. Bundestag się podzielił i ci, którzy popierali projekt Republiki Ziemskiej, byli górą. Grunt, że tych pozostałych polityków, co się nie zgadzali na nowe władze, zamknięto w domowym areszcie – wyjaśnił. – I to właśnie tu, w tych willach. Dlatego najwięcej bomb zapalających spadło tutaj. Musieli pewnie wykończyć wszystkich ważnych przeciwników.

– Od tego zaczęła się tamta wojna? – zapytała zaintrygowana. – Od podziału władz na sprzyjające Republice Ziemskiej i odrzucające połączenie planety w jedną całość?

Hans przystanął i spojrział na nią bacznie. Najwyraźniej szukał w jej oczach kpiny albo choćby ironicznego uśmiechu. Niczego podobnego nie odnalazł.

– Tak – odparł spokojnie. – Praktycznie w każdym obszarze doszło do rozpadu władz na dwie frakcje, z których jedna popierała ideę Republiki Ziemskiej i Rząd Światowy, a druga

stanowczo się temu sprzeciwiała. W krótkim czasie większość Europy pochłonęła wojenna pożoga. O tym też nie ucą w szkołach?

– Nie – szepnęła, nieomal zawstydzona. – Chodźmy dalej. Chcę jak najszybciej wrócić do Jerry'ego.

– Już niedaleko – pocieszył ją i podjął marsz w dół ulicy. – Będziemy na miejscu dosłownie za chwilę. Pamiętam, że tuż przed skrzyżowaniem była wysoka betonowa barykada, ale powinniśmy dać radę prześlizgnąć się prawą stroną, obok narożnej kamienicy.

Alex wzmogła czujność i wyjęła pistolet. Podkraśla się do wysokiej na trzy metry barykady z betonowych płyt, wdrapała się na nią, po czym ostrożnie wyjrzała na chodnik i jezdnię. Jedno i drugie przedstawiało sobą kuriozalny widok. Oczywiście nie było żywej duszy, nawet żaden ptak nie pojawił się w zasięgu wzroku. Środkiem szerokiej i na pewno niegdyś ruchliwej arterii biegły zardzewiałe i miejscami powyginane, odstające na boki szyny. A całą ich długość, aż po horyzont, zapełniały nieruchome tramwaje. Szara farba oblażyła z nich płatami, a większość staroświeckich szklanych okien była wybita. Gdzieniedzie pod torów albo wręcz ze środka kabin pasażerskich rwały się ku słońcu pędy roślin. Alex patrzyła z niedowierzaniem. Scena robiła piorunujące wrażenie. O ile spalone ruiny nie przywodziły skojarzeń z koszmarem, jaki zafundowano temu miastu, o tyle porzucone, rdzewiejące tramwaje, witryny nieistniejących już sklepów częściowo przysypane zwałami popiołu pozwalały dość wyraźnie odtworzyć przebieg zdarzeń.

– Chodźmy – powiedział cicho Hans i ruszył zdewastowanym chodnikiem.

Sklep spożywczy był w opłakanym stanie. Dwie kasy leżały przewrócone pod ścianą, a puste, dekady temu splądrowane regały całkowicie pokrywała rdza. Jak okiem sięgnąć nie było tu niczego, co mogłoby im się do czegośkolwiek przydać. Hans wszedł do środka, Alex za nim. Po zalanej słońcem ulicy poczuła się nieswojo w otaczającym ich półmroku. Wszystkie zakamarki były zupełnie niewidoczne.

– Jakoś tu dziwnie, Hans – powiedziała cicho Alex. – I nie wydaje mi się, żebyśmy cokolwiek znaleźli.

– Gdzieś tutaj, jeśli dobrze pamiętam, jest przejście na zaplecze. Sprawdźmy je – odparł. Alex kątem oka zauważyła ruch za regałem.

– Hans, lepiej stąd wyjdźmy – ponagliła go nieswoim głosem, cofając się dwa kroki.

Z cienia wyrwało się coś niewielkiego. Odruchowo strzeliła, a odgłos odbił się echem od ścian. Ptak. O dziwo, trafiła za pierwszym razem. Podeszła bliżej i trąciła go czubkiem buta.

– Tu nie wolno hałasować! – rozsierdził się Hans i zrobił dwa kroki w jej stronę, gwałtownie gestykulując.

Alex zauważyła szczelinę tuż pod jego stopami.

– Stój! – krzyknęła, ale było już za późno.

Hans wszedł z impetem na niepewny fragment podłogi, a ta zarwała się pod nim z suchym trzaskiem. Warstwa kurzu i popiołu uniosła się do góry, na dłuższą chwilę mocno ograniczając widoczność.

– Hans! Hans! – zawołała Alex. – Słyszysz mnie? Odezwij się!

Ostrożnie, ważąc każdy krok, podeszła bliżej, żeby zajrzeć w głąb szczeliny. Kłęb kurzu wciąż unosił się nad podłogą. Nasłuchiwała, ale z dołu nie dobiegał żaden dźwięk. Zakłęta pod nosem. Nie miała latarki ani nawet świeczki. Myślała gorączkowo, co zrobić, gdy z dołu dobiegł przytłumiony jęk.

– Żyjesz? Wszystko w porządku? Możesz się ruszać? – pytała, szybko ściągając z pleców szpadel. Przytroczony do niego sznur mierzył zaledwie jakiś metr, ale miała nadzieję, że piwnica nie jest bardzo głęboka.

– Alex! – dobiegł ją cichy głos.

– Jestem! Zaraz cię wyciągnę.

– To na nic – jęknął. – Ja już stąd nie wyjdę.

– Nie gadaj głupot – ofuknęła go. – Jeśli nie możesz się ruszać i coś sobie zrobiłeś, to ja schodzę po ciebie.

– Nie – szepnął słabo. – Zamknij się i posłuchaj.

Usłuchała. W dźwięczącej ciszy rozległ się cichy pomruk. Dziwnie rezonował. Jakby dobiegał z wielu różnych źródeł dostrojonych na tę samą nutę.

– Gniazdo watahy – wyszeptala niewyraźnie zdrętwiałymi ze strachu ustami.

– Podchodzą – powiedział spokojnie Hans. – Wycofaj się powoli, a potem biegnij jak najszybciej do domu.

– Nie zostawię cię – odparła z rozpaczą.

– Zostawisz. Ratuj siebie i dzieciaka! Nie wchodź do sąsiednich klatek, bo tam jest niebezpiecznie! Zabarykaduj się z Jerry'm na ostatnim piętrze! Ruszaj!

– Nie! – jęknęła, czując lzy napływające do oczu.

– Już! – wrzasnęła.

Warczenie się nasiliło. Najbardziej niecierpliwie psy zaczynały poszczekiwać. Alex poderwała się na równe nogi i uciekła ze sklepu najszybciej jak umiała. Biegła w dół ulicy, potykając się o nierówności chodnika i wystające korzenie. Dwa razy upuściła broń, ale natychmiast ją podnosiła. Dopadła do skrzyżowania, co chwilę oglądając się za siebie. Na razie nic jej nie ścigało. Pokonała odległość do Ludwig-Beck Straße w rekordowo krótkim czasie, nie zwracając uwagi na własny świszczący z wysiłku oddech.

Nie mogła uwierzyć w to, co się stało, i nawet nie umiała zapłakać za Hansem. Była wycieńczona. Minęła strumień, nie schodząc nad wodę, choć pragnienie dokuczało jej coraz bardziej. Nie zaryzykowała postoju. Bała się o Jerry'ego. A do tego wyobraźnia wariowała i z każdym krokiem potęgował się lęk, że za chwilę dogoni ją czarna wataha. Dobiegła do bloku i przypadła do klamki drzwi wejściowych. Były zamknięte na glucho. Alex przypomniała sobie, że klucz przepadł wraz z Hansem. Gorączkowo rozglądała się w poszukiwaniu czegoś ciężkiego, czym rozbije zbrojoną szybę, i po chwili pojęła, że to na nic.

W drzwiach od wewnętrznej strony była dodatkowo zamocowana krata. Już samo to, nawet z podniesionymi do góry metalowymi roletami, sprawiło, że Alex stanęła i zaczęła kłąć pod nosem z bezsilności. Zlustrowała wzrokiem zabarykadowany balkon parterowego mieszkania, w którym zazwyczaj jedli posiłki z Hansem. Hans! Alex momentalnie ścisnęło się serce, a lzy napłynęły do oczu. Odetchnęła głęboko, żeby się opanować. Lewą stronę pionu porastała dzika winorośl. U podstawy łodygi były zdrewniałe i grube jak męskie przedramię. Nie zastanawiając się dłużej, kobieta zaczęła się wspinać na pierwsze piętro. Było to łatwiejsze, niż zakładała, i po chwili wdrapała się na balkon. Okna, całkowicie pokryte brudem, nie pozwalały na choćby pobieżne zlustrowanie wnętrza. Tak jak się spodziewała, drzwi balkonowe były zamknięte. Podniosła całkowicie zardzewiałe krzeselko balkonowe. Siedzisko odpadło i potoczyło się po popękanych zielonych płytkach, ale stelaż nadal się trzymał. Wzięła zamach i rozbiła szybę. Posypała się kaskadą błyszczących okruchów. Alex weszła do środka,

ostrożnie stawiając kroki. Nigdy nie zaglądała do mieszkań na piętrach. Jej życie w tym budynku koncentrowało się na parterze i na ostatniej kondygnacji. Pokój był niewielki i pokryty grubą warstwą kurzu. Naprzeciwko staromodnej meblościanki stały niska ława i dwa fotele. Na ścianie za nimi wisiały wyblakłe i z pewnością tandetne reprodukcje obrazów. Spojrzała na podłogę. To, co początkowo wzięła za zrolowany koc, było ludzkim szkieletem, przysypanym warstwą kurzu, który wzbił się, gdy zza rozbitego okna wpadł do wnętrza lekki podmuch. Szkielet był stary. Leżał zwrócony twarzą do ziemi. Lewe ramię prawie całkowicie odpadło od korpusu. W potylicy tkwiło ostrze średniej wielkości siekiery. Kimkolwiek był ten człowiek, z pewnością pożegnał się z życiem w dość gwałtownych okolicznościach.

Alex przestała nad szkieletem i dusząc się od kurzu, podeszła szybko do drzwi wejściowych. Miała szczęście. Wprawdzie były zamknięte, ale na zasuwę, którą bez problemu dało się otworzyć od wewnątrz. Wybiegła na korytarz. W jej głowie zaczęły się łączyć fakty. Nacisnęła na próbę klamki kilkorga kolejnych mijanych drzwi. Wszystkie były zamknięte. Intuicja podpowiedziała jej, że to, co się za nimi znajduje, mogłoby bardzo wiele zmienić w jej postrzeganiu świata. Zawahała się. Jerry był bezpieczny, a budynek zamknięty. Nic się nie stanie, jeśli nie pobiegnie prosto do niego.

Zamiast tego zeszła na parter i wyjęła z niewielkiej szafki w przedpokoju kilka kompletów kluczy. Widziała je już wcześniej, ale nie zaprzętała sobie nimi głowy. Każdy komplet miał przytroczoną tabliczkę z numerem. Alex weszła po schodach i otwierała kolejne mieszkania na czterech piętrach. Większość była pusta. Ale w ośmiu znalazła kolejne szkielety ludzi, którzy z pewnością zginęli gwałtowną śmiercią. Ludzie, o których opowiadał Hans, nigdy stąd nie odeszli. Nie pozwolił im na to.

Alex i Jerry'emu też by pewnie nie pozwolił.



– Wypij – poleciła Sara, wręczając Vice kubek z gorącą herbatą.

Dziewczynie wróciły już kolory na twarz i wyraźnie odzyskiwała panowanie nad sobą. Przyjęła kubek i ogrzewała o niego zimne dłonie. Uśmiechnęła się i Sara pomyślała, że Vika jest piękna w wyjątkowy i nienachalny sposób. Wokół jej głowy sterczały na wszystkie strony krótkie rude loki, które dodawały jej wdzięku i eksponowały smukłą szyję. Vika siedziała na stolku barowym i patrzyła na Sarę uwijającą się po jej własnej kuchni. Po chwili przyszedł Max i bez szemrania włączył się w przygotowanie posiłku. Wcześniej położył Allie na kanapie i okrył kocem.

– Dziękuję za herbatę – powiedziała Vika. – I przepraszam, jeśli się trochę rozkleiłam.

– Tylko roboty nie mają uczuć – odparł Max, niewprawnie krojąc chleb. – I tylko głupcy nie czują strachu.

– Wy się nie baliście.

– Bo znamy możliwości Allie – wyjaśniła Sara. – I tym bardziej podziwiamy twoją odwagę. Zaoferowałaś pomoc obcym ludziom, a na dokładkę nie zawahałaś się nas ratować

przy budce strażnika. Nawet z narażeniem życia.

– I poświęciłaś dla nas piwo – dodał ze sztuczną powagą Max. – A swoją drogą, nie zostało ci jeszcze jakieś?

Vika mimowolnie się uśmiechnęła. Max zarażał optymizmem, a do tego był bardzo przystojnym i charyzmatycznym mężczyzną. W takim mogłaby się zakochać, ale ślepa nie była. Każdym gestem i spojrzeniem zdradzał zainteresowanie Sarą. Vika była byстрыm obserwatorem i wyczuwała, że tych dwoje nie było parą, istniała między nimi jakaś bariera, ale i trudne do przeoczenia pożądanie.

– Piwo jest w lodówce – powiedziała. – Często się na zdrowie.

Max wyraźnie się ucieszył i zanurkował w czeluść chłodziarki.

– Ktoś jeszcze chce? – zapytał.

– A co masz? – zainteresował się Jordan, który właśnie wszedł do pomieszczenia wraz z profesorem Howardem.

– Ja w zasadzie nie mam niczego – odparł Max. – Z wyjątkiem listu gończego wystawionego przez Rząd Światowy.

– Nic oryginalnego – parsknęła śmiechem Sara. – Nie chwal się, bo wszyscy mamy to samo.

Vika spojrzała z uwagą na Sarę. Już wcześniej wydawało jej się, że skądś ją zna.

– Czy to nie ty jesteś tą dziewczyną, której kiedyś szukało całe Geneo? Dałabym głowę, że to twoje holo wyświetlali absolutnie wszędzie.

Sara spojrzała na nią uważnie, a potem porozumiała się wzrokiem z profesorem. Ten podszedł i usiadł na stołku barowym, tuż obok Viki.

– Otworzyłaś przed nami swój dom, wyciągnęłaś do nas rękę, więc byłoby świństwem, gdybyśmy ci nie opowiedzieli, kim jesteśmy i skąd pochodzimy – powiedział ciepło i poklepał dziewczynę po dłoni.

A potem opowiedział jej całą niezwykłą historię. W kuchni panowała cisza aż do chwili, gdy profesor skończył mówić.

– Nie wiem, co powiedzieć – wyjąkała Vika.

Patrzyła po kolei na wszystkich, a nawet rzuciła okiem na twardo śpiącą Allie. Spojrzała na Sarę. Nie mieściło jej się w głowie, że jest córką przewodniczącego Wordswortha. Mogła wyobrazić sobie Maxa jako pilota wahadłowca, ale sceny, w której razem z Sarą nagrali pogrom na Arce 28, już nie. O profesorze wiedziała sporo już wcześniej, więc specjalnie jej nie zaskoczył. Dziwić mogło tylko, że przystał do grupy takich oryginałów. Opowieść o Allie i jej matce sprawiła, że z miejsca pokochała to biedne dziecko. Ale i tak największe wrażenie zrobił na niej Jordan.

– Naprawdę to ty napisałaś SeeIT? – zapytała prawie bez tchu.

– Tak – odparł po prostu. – I jeśli już gramy w otwarte karty, to muszę wyznaczyć, że jestem synem generała O'Briana.

Vika upiła łyk zimnej już herbaty i zamrugwała. Właśnie trafił jej się temat tysiąclecia, a ona nie mogła go w żaden sposób wykorzystać.

– Twoje holo, TakeIT, to nawiązanie do mojego programu? – zapytał Jordan.

Vika oblała się rumieńcem. Milczała. Jordan był ojcem sukcesu SeeIT, więc ugryzła się w język. Miała zamiar powiedzieć, że jest matką tej stacji i że wykupione pasmo pozwala jej

dotrzeć praktycznie do każdego domu. To zabrzmiałoby idiotycznie, więc Vika na wszelki wypadek pokiwała tylko głową i odwróciła wzrok.

– Myślę, że na dzisiaj już dość rewelacji – uciął stanowczo Howard. – Jutro też jest dzień.

– Rzeczywiście – zreflektowała się Vika i w głębi duszy zawyla nad tym, jak beznadziejną jest gospodynią. – Nawet nie podałam przystawek mojej mamy – jęknęła.

– Zjedliśmy, co trzeba – odparł pogodnie Max, wciskając Sarze do ręki cyminową buleczkę. – Nie przejmuj się.

– Jesteśmy ci dozgonnie wdzięczni – dodała Sara.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo – wtrącił Jordan, a Vika znów się zarumieniła pod jego badawczym spojrzeniem.

– Powinniśmy iść spać – powiedział profesor, próbując stłumić ziewnięcie.

– Oczywiście – poderwała się Vika. – Miejsca jest dość, ale pościeli może brakować. To znaczy w sypialniach są kołdry, ale może za mało? W każdym razie są jeszcze koce, więc jeśli ktoś potrzebuje...

– Dzielna dziewczyno! Mamy znacznie więcej, niż potrzebujemy – powiedział Jordan. – I bardzo ci za to dziękujemy.

– Nie wiedziałam, czego się spodziewać, więc macie dwie sypialnie – odparła Vika. – Jest jeszcze gabinet. Zaraz się tam położę, a wy czujcie się jak w domu.

– Ależ skąd! – zaprotestował profesor. – Ja idę do gabinetu, jeśli łaska, a wy się jakoś umówcie co do reszty. W każdym razie chyba wszyscy jesteśmy zgodni, że nie ma sensu ruszać Allie z kanapy. Śpi niebożatko i pewnie do rana nawet nie drgnie. To gdzie ten gabinet, moja droga? – zwrócił się do Viki.

Wskazała mu kierunek, po czym spojrzała na Jordana. Max i Sara kończyli pić piwo. Wyglądali na śpiących.

– A gdzie ja mogę się przespać? – zapytała Sara

– Wejdz po schodach na górę. Drzwi z lewej strony – powiedziała Vika.

Sara momentalnie się ulotniła, a Max poszedł do toalety, po czym wrócił do kuchni. Przez chwilę zabawiał Jordana i gospodynię rozmową, a potem chrząknął z zakłopotaniem i oznajmił, że idzie spać.

– Wygląda na to, że zostaliśmy sami. – Jordan roześmiał się nienaturalnie.

– Niezupełnie. Jest jeszcze cudowne dziecko na kanapie.

– Cudowne dziecko – podchwycił chłopak. – Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo trafiłaś w sedno. To jest tak niesamowita dziewczynka, że drugiej takiej nie znajdziesz. Uwierzysz, że skołowała absolutnie wszystkie systemy monitoringu na trasie z Tybetu aż tutaj?

– Biedna malutka – szepnęła Vika.

Jordan nie rozpatrywał tego w taki sposób i współczucie dziewczyny trochę go zbiło z tropu. Zastanowił się.

– W zasadzie masz rację – powiedział wolno, starając się sformułować myśl. – Na jej barkach spoczywa tak wiele, że pewnie nie ma kiedy być po prostu dzieckiem. Chociaż i tak jej los jest znacznie lepszy od tego, co zgotowali dla niej Wordsworth i mój ojciec. – Zaśmiał się gorzko.

– To znaczy? – zapytała cicho.

– Chcieli ją zabić. Ot tak! – Jordan pstryknął palcami, po czym podniósł puszkę z piwem i opróżnił ją jednym haustem. – Gdyby nie Max i Sara, to więźniowie Arki 28 zjedliby konserwę



z tego dziecka na kolację. Nie żyłaby od miesiący. I nawet nikt by o tym nie wiedział.

– Utrzymujesz kontakt z ojcem? – zapytała.

– Nie chcę dzisiaj o nim rozmawiać – podniósł głos, po czym się zreflektował, patrząc na śpiącą Allie. – Nie chcę go znać – dodał znacznie ciszej.

– Nie dziwię się – odparła. – Ja nie jestem w stanie przebywać z własną matką w jednym pomieszczeniu, a jedyną jej wadą jest to, że ciągle chce mnie pouczać. Nie chcę przez to powiedzieć, że wiem, co czujesz, ale rozumiem.

– Czasem nie wiem, kim jestem – zwierzył się.

– Człowiekiem – odparła. – Czasem lepszym, czasem gorszym. Jak my wszyscy.

Jordan podszedł bliżej i spojrzał na nią badawczo. Przez chwilę myślał, żeby się wycofać. Pomyślał o Monice. Ale ta natrętnie pojawiała się z Hassanem stojącym przy jej boku.

– Nie możesz myśleć o sobie surowo i obarczać się tym, kim są twoi rodzice – dodała miękko.

Jordan widział jedynie jej kształtne usta. Wykonał ten ostatni, najtrudniejszy krok i objął ją mocno. Nie protestowała. Zarzuciła mu dłonie na szyję i przyciągnęła do siebie. Pocałował ją i poczuł, że w końcu znalazł swoje miejsce na ziemi.

– Jest jeszcze druga sypialnia – szepnęła.

Chwyliła go za rękę i powiodła po schodach. Minęli drzwi, za którymi panowała cisza, i wpadli do pokoju obok. Jordan nie wiedział, jak to się stało, ale dosłownie po kilku sekundach leżał na łóżku kompletnie nagi i ze zdumieniem obserwował Vikę siedzącą na nim. Głaskała go po klatce piersiowej i co chwilę pochylała się, by dotknąć miękkimi wargami jego ust.

– Vika! – jęknął i przygarnął ją do siebie.



Pokój był bardzo wygodny, urządzone w oszczędnym stylu, a centralne miejsce zajmowało podwójne łóżko. Brak osobistych przedmiotów kazał przypuszczać, że był to pokój gościnny i, co ważne, miał przylegającą do niego łazienkę z całkiem obszerną kabiną dezynfekcyjną. Sara właśnie wciągała przez głowę białą koszulkę, gdy rozległo się ciche pukanie do drzwi. Zdziwiła się, gdy Max zajrzał do sypialni, w której właśnie szykowała się do snu.

– Nie przeszkadzam? – zapytał.

– Wejź. Myślałam, że będziesz jeszcze siedział z Viką i Jordanem.

Roześmiał się cicho i wszedł, zamykając za sobą drzwi.

– Poczułem się zbędny – wyjaśnił, siadając na łóżku.

– Chcesz powiedzieć, że byli zbyt zajęci sobą, żeby zwracać uwagę na naszego gwiazdora? – parsknęła śmiechem.

– Uważasz, że się popisuję? – odpowiedział pytaniem, ale w jego oczach wyraźnie było widać, że się z nią droczył.

– Nie musisz – odparła z rozbawieniem. – Roztaczasz wokół siebie aurę zdobywcy świata.

– Zdobywca świata, co w dwóch uniformach na zmianę chodzi i nie ma niczego – roześmiał się serdecznie.

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi!

Nagle przestał się śmiać i spojrzał na nią uważnie.

– Nie wiem – powiedział miękko. – Nie wiem też, czy między nami coś jest – odważył się sformułować drczącą go myśl.

Sara milczała, a przedłużająca się cisza była dla Maxa nie do wytrzymania. Patrzył jej w oczy z rosnącym napięciem.

– Chciałabym, żeby było – odparła w końcu z ociąganiem i natychmiast opuściła wzrok.

– Ale?

– Nie ma żadnego ale, Max. Po prostu...

– Więc jest ale – powiedział, puszczając do niej oko.

Sara milczała. Zwyczajnie nie wiedziała, co powiedzieć. Zaciśnięte z emocji gardło nie chciało wypuścić nawet pojedynczego słowa. Zamiast tego położyła się na łóżku, odwracając się plecami do Maxa. Prawą rękę wyciągnęła do tyłu i poklepała materac w wymownym geście. Przez chwilę nie działo się nic. Dziewczyna wstrzymywała oddech, nasłuchując odgłosów. Usłyszała szelest zsuwanego uniformu, a Max ostrożnie wyciągnął się na łóżku. Nic nie mówił. Bał się coś zepsuć. Nie bardzo wiedział, czego oczekuje od niego Sara, więc tylko leżał za jej plecami i bardzo delikatnie gładził jej włosy. Przynęła się do niego, a on objął ją ramieniem i przycisnął się do jej pleców. Odszukała jego dłoń i splótła jego palce ze swoimi. Pocałował ją w szyję. Tuż za uchem. Zadrżała i odwróciła się w jego stronę. Uniósł głowę i pocałował ją. Przyciągnęła go do siebie i westchnęła. A potem po prostu wyrzuciła z głowy Yoshiego, ojca, cały ten chory świat i otworzyła się przed Maxem całą sobą.

Tej nocy jedynymi osobami, które smacznie spały, byli Allie i profesor Howard.

Alex znalazła chłopca na dachu. Siedział pomiędzy doniczkami z majerankiem i z uwagą im się przyglądał. Zatrzymała się na chwilę na ostatnim stopniu drabiny, by na niego popatrzeć. Był taki drobny i kruchy... Nie mieściło się jej w głowie, że to mikre ciało kryło tak potężny mózg. Dzięki pobytowi u Hansa wyraźnie okrzepł i nabrał pewności siebie. Chodził już bardzo dobrze, a po zaniku mięśni przez siedzenie w klatce właściwie nie pozostał ślad. Alex po raz kolejny przekłęta w myślach Ellę i O'Briana i nie wiedzieć czemu pomyślała o Jordanie. Chyba ze współczuciem, że miał generała za ojca, ale i z pewnym niewygodnym odczuciem, że właściwie niewiele o tym chłopaku wie. Uznała, że z pewnością nie z nim będzie szukała kontaktu, jeśli uda jej się znaleźć jakikolwiek nadajnik.

– Jadłeś coś? – zapytała pogodnie, wychodząc na dach.

Jerry spojrzął na nią roziskrzonym wzrokiem.

– A wiedziałaś, że nie trzeba wiedzieć z sieci, ile co ma listków, tylko można je po prostu policzyć? – odparł, podnosząc w jej stronę doniczkę z młodą sadzonką.

Alex uśmiechnęła się do niego. Miała pewne wyrzuty, że chce dzieciaka zawlec w strefę sieci, i było jej żal absolutnie każdej chwili, jaką chłopiec mógłby spędzić na beztrudnej zabawie, ale czas im się zdecydowanie kończył. Poza tym w życiu by się nie przyznała Jerry'emu, ale pomyśl dalszego życia w kamienicy pełnej trupów i wspomnień po Hansie uznawała za upiorny. Alex podeszła do krawędzi dachu. Ptaki były dziwnie spokojne. To było zdecydowanie nietypowe. Spojrzała w głąb ulicy w kierunku rzeczki Kittelbach. Przy jej korycie ujrzała kilkadziesiąt osobników z watahy pijących wodę z obu stron betonowego mostu. Najwyraźniej nie unikały dnia, jak próbował jej wmówić Hans. A może poszły za jej zapachem i zgubiły go przy strumieniu? Alex odsunęła się w głąb dachu. I poczuła, że narasta w niej panika. Musiała obmyślić jakiś plan, i to szybko, jeśli chciała wyostać stąd chłopca.

– Gdzie jest Hans? – zapytał Jerry. Alex zamknęła oczy i policzyła do dziesięciu.

– Później porozmawiamy, dobrze? – zbyła go, okraszając wypowiedź wymuszonym uśmiechem. – Jadłeś coś? – powtórzyła.

– Kilka rzodkiewek.

– Czyli nie schodziłeś dzisiaj na dół? – upewniła się.

– Jeszcze nie.

– Chodźmy więc. Musisz zjeść coś treściwego.

Sprowadziła chłopca na parter, starając się nie zerkać w stronę mieszkań. Wcześniej pozamykała je starannie, a klucze odwiesiła na miejsce. Nie chciała, żeby Jerry natknął się na makabryczne znaleziska.

– Gdzie jest Hans? – powoli pytał chłopiec.

– Musiał coś załatwić – skłamała.

– Kiedy wróci?

– Nie wiem. Usiądź, zaraz podam obiad. Niestety dzisiaj będzie na zimno.

– Dlaczego? Nie możemy rozpalic paleniska przed blokiem? – zdziwił się Jerry i spojrzął w stronę okna tarasowego.

– Nie dzisiaj – ucięła dyskusję Alex i postawiła przed nim talerz z pieczonym mięsem i świeżymi warzywami. – Jedz, musisz odzyskać siły. Wkrótce ruszamy w dalszą drogę.

Chłopak nie odpowiedział, a ona nawet na niego nie spojrzała. Usiadła po drugiej stronie stołu i rozłożyła atlas. Studiowała go w skupieniu po raz kolejny, ucząc się na pamięć topografii dzielnicy. Wiedziała, że po wyjściu z budynku musi wrócić do rzeczki Kittelbach i iść wzdłuż niej Heinrichstraße, która doprowadzi ją do starej autostrady. Nią przejdzie nad torowiskiem. Zgodnie z mapą musiał tam być jakiś wiadukt. Droga nie wyglądała na skomplikowaną i w zasadzie trzeba było skręcić raptem raz, w prawą stronę, by dotrzeć do lotniska. Wyglądało na duże, więc prawdopodobieństwo natknięcia się tam na jakieś urządzenia emitujące sygnał do sieci było spore. Tak przynajmniej wmawiała sobie Alex, wiedząc, że to ich ostatnia deska ratunku.

– Nigdzie nie idę bez Hansa – powiedział stanowczo Jerry.

Alex spojrzała na niego z uwagą. Miał zaciętą minę i założył ręce na piersi na znak protestu. Dzieciak był wzruszający w swojej lojalności, a do niej dotarło, że jeśli chce go zmusić do współpracy, musi zburzyć jego z mozołem zbudowany, szczęśliwy świat. Jeżeli nie wyjaśni mu, jak duże grozi im niebezpieczeństwo, nie może liczyć na to, że chłopiec sam, z własnej woli, odejdzie z tego domu trupów.

– Hans nie żyje – powiedziała cicho, a serce jej się ścisnęło na widok pełnej niedowierzania miny dziecka i wielkich jak groch łez, które stoczyły się po jego policzkach. – Zagryzły go dzikie psy – dodała, sama siebie nienawidząc za traumę, w jaką go właśnie wpędza.

Jerry wpatrywał się w nią rozszerzonymi ze strachu oczami. Trzęsła mu się broda, ale dzielnie próbował powstrzymać szloch.

– Jeśli nie odejdziemy, to nas też zjedzą – dodała bezlitośnie, uciekając spojrzeniem w stronę zabarykadowanego okna.

– Możemy się tu zamknąć. Hans mówił, że tu jest bezpiecznie – wyszeptał dzieciak.

– Hans mówił różne rzeczy – odparła Alex. – Na przykład to, że wszyscy stąd wyjechali. A to nieprawda.

– A jego syn? Tyle razy mi o nim opowiadał. Miał na imię Robert.

– Nigdy nie było żadnego syna, Jerry – odparła poważnie Alex. – Nie było też żony. Była dziewczyna. Ale nigdy stąd nie wyjechała i nigdy się z nim nie związała.

– Co się z nią stało? – wyszeptał Jerry.

Alex momentalnie wróciła myślami do dziewczęcego pokoju w mieszkaniu na drugim piętrze. Pojedyncze łóżko, resztki spłowiałych, kiedyś różowych tapet i szkielet. Drobny i niewielkich rozmiarów. Leżał na podłodze pozbawiony głowy. Ta spoczywała na rozbitym biurku, prowizorycznie podpartym całkiem świeżą deską. Tuż za czaszką stała pusta ramka. Zachował się jedynie tłoczony napis „Sigrid”. Natomiast polne kwiaty leżące tuż obok wyglądały na dość świeże. Hans musiał tam być nie dalej niż dzień czy dwa temu.

– Nie żyje – odparła. – Od bardzo dawna. A jeśli my mamy przeżyć, to jutro skoro świt ruszamy w drogę – dodała stanowczo.

Słowa, brutalnie burzące idylliczny świat małego, chyba w końcu podziały. Jerry zjadł bez dyskusji posiłek i bez ociągania podniósł się z za stołu.

– Dokąd idziemy? – zapytał rzeczowo.

– Na lotnisko. Jeśli nam się poszczęści, znajdziemy tam jakieś urządzenia połączone z siecią.

– Nie wyczuwam żadnych sieci w okolicy – powiedział. – Wszystko jest martwe!

– Może tam coś się zmieni – ucięła dyskusję. – Jeśli nie spróbujemy, my też wkrótce będziemy martwi – dodała, patrząc poważnie w oczy dziecka.



Wordsworth czuł, że powinien natychmiast wyjechać do stolicy. Ale najpierw musiał wytrzeźwieć. Ucieczka Eleonory, o której nie myślał od lat i która była zbuntowanym mieniem osobistym przewodniczącego, doprowadzała go do wściekłości. Za niesubordynację należała jej się surowa kara. Nakazał obyczajówce i Geneo, by wydostali ją choćby spod ziemi. W zasadzie nie wiedział po co. Chyba wyłącznie dla kaprysu i odegrania się na Sarze po zdradzie, jakiej się dopuściła. Raporty spływały jednak opieszale, a służba w domu zachowywała się dziwnie. Ludzie wprawdzie wypełniali wszystkie rozkazy, ale przyłapywał ich na gorączkowym szeptaniu po kątach. Oczywiście podkreślał im aplikację paraliżującą wolę, ale nie miał pojęcia, jaką miała skuteczność po zainfekowaniu sieci przez SeeIT. Co do jednego miał pewność. Jego ludzie nienawidzili go za kolejne zwłoki młodych dziewczyn wyrzucane za drzwi bądź zostawiane na łóżku do wyniesienia wraz ze zmianą pościeli. Eugene nie był głupi i wyczuwał wrogość personelu.

Pod drzwiami postawił dwóch strażników, ale choć sprowadził ich dopiero niedawno, wcale nie miał pewności, czy nie weszli już w konszachty z resztą. Na wszelki wypadek oszczędził dwunastolatkę. Prześliczną i płaską jak deska blondyneczkę z niewielkimi różowymi sutkami i dziewczymi skarbami skrywanymi we wnętrzu roboczego kombinezonu fabryki z Obszaru Europa 1. Nawet nie wiedział, że tam jest jakaś cywilizacja. Takie dane zazwyczaj podawała mu Felicja, ale po aferze w domu kompletnie nie mógł na nią liczyć.

Zymając się w duchu na kochankę, wziął dość gwałtownie młodą blondyneczkę i nie zważając na jej szloch, próbował doznać jakiegokolwiek satysfakcji. Była ciasna, w zasadzie się nie broniła, ale choć ręce go świerzbily, oparł się pokusie i nie przydusił ofiary. Jego penis szybko zwiotczał, a Eugene zacisnął zęby, żeby nie zawyć z bezsilności i zawodu.

– Wynoś się – powiedział z wściekłością, staczając się z chudej dziewczyny.

Złapała koszulę, zakryła nią miejsca intymne i potykając się o własne nogi, podbiegła do drzwi.

– Byłaś beznadziejna! – wrzasnął przewodniczący i usiadł na łóżku.

Jedynym, co mogło mu teraz pomóc, była potężna butelka whisky. Nawet nie wiedział, kiedy ją opróżnił. Alkohol uderzył mu do głowy, więc wyszedł na taras zaczerpnąć świeżego powietrza. Oparł się o barierkę i dostrzegł ruch w ciemnościach. Za krzakami przemknęła

niewysoka jasnowłosa postać – dziewczyna, która wcześniej nie dała mu satysfakcji. Czyżby myślała, że od przewodniczącego tak po prostu można uciec? Eugene parsknął śmiechem, ale szybko umilkł. Dziewczynę eskortowało kilku uzbrojonych w widły i siekiery wieśniaków z zabudowań gospodarczych. Najwyraźniej tuż pod jego nosem szykował się jakiś bunt.

– Kurwa mać! – zaklął pod nosem i wszedł pośpiesznie do domu, starannie zamykając drzwi tarasowe.

Ubrał się szybko i chwiejnie ruszył do łazienki. Odnalazł w szafce spray neutralizujący działanie alkoholu i kilka razy prysnął nim na język. Przypoda w domu nad jeziorem nauczyła go, żeby zawsze mieć specyfik pod ręką. Miło jest się upić i odprężyć, ale bywały sytuacje, które wymagały trzeźwego spojrzenia. Ta była jedną z nich. Wordsworth usiadł na sedesie i czekał, aż substancja zacznie działać. Już czuł, że ma mniej chaotyczne myśli, ale jednocześnie wraz ze spadkiem stężenia alkoholu jego strach rósł coraz bardziej. Zastanawiał się, komu może zaufać, i doszedł do wniosku, że wyłącznie swoim przybocznym. Wolał nie korzystać z systemu automatycznego przywoływania, który przecież mógł być sabotowany przez potencjalnych buntowników. Uchylił ostrożnie drzwi. Nie licząc dwóch strażników, którzy wyprostowali się na jego widok, w korytarzu nie było nikogo.

– Wy dwaj! Do mnie! – rozkazał półgłosem.

Posłuchali natychmiast i weszli do środka, po czym stanęli obok siebie i donośnie trzasnęli obcasami.

– Ciszej, idioci! – skarcił ich Wordsworth, a potem zgañił się w myślach, że nie powinien obrażać swoich być może jedynych sojuszników. – Co tam się dzieje? – zapytał znacznie łagodniejszym tonem. – Widziałem w tarasu wieśniaków z widłami. Szli, kryjąc się w krzakach. Zdaje mi się, że była z nimi ta gówniara, którą wyrzuciłem z pokoju.

– Nic nie wiemy, panie przewodniczący – odezwał się jeden ze strażników. – Od trzech godzin, czyli odkąd zaczęła się nasza zmiana, stoimy pod pańskimi drzwiami.

– Ilu was jest aktualnie w rezydencji i gdzie jest wasz dowódca? – zapytał Eugene.

Spojrzeni na naręczne lokalizatory i odszukali identyfikatory kolegów z oddziału.

– Dwunastu. W tym dowódca Jones. Większość patroluje teren wokół zabudowań. Dowódca jest na terenie rezydencji. Aktualnie w okolicach kuchni – zameldował drugi z ochroniarzy.

– W domu bunt, a ten polazł się nażreć – mruknął pod nosem Wordsworth i ponownie się skarcił w myślach. – Dobra. Czekaćcie tutaj, a ja wezmę parę rzeczy i odeskortujecie mnie do autolotu. Muszę niezwłocznie udać się do stolicy.

– Rozkaz, panie przewodniczący! – odparli chórem i ponownie trzasnęli obcasami.

Wordsworth zmełł w ustach przekleństwo i poszedł wrzucić do torby kilka drobiazgów. Po chwili wrócił do strażników i pod ich eskortą opuścił prywatny apartament. W korytarzu w dalszym ciągu nie było żywej duszy. Zeszli po schodach na parter. Pierwszy szedł jeden ze strażników, za nim Eugene, a na końcu podążał drugi ochroniarz. Hol na dole, teraz urządzonej w oszczędnym, prostym stylu, również był pusty. Rezydencja sprawiała wrażenie wymarłej.

– Wezwijcie dowódcę – polecił Wordsworth.

– Poruczniku Jones, zgłaszam się – powiedział cicho do nadajnika strażnik. – Kod zero dwa. Powtarzam, kod...

– Chyba głuchy nie jest – przerwał mu Eugene, nerwowo się rozglądając.

– Panie przewodniczący, wychodzimy! – ponaglił drugi strażnik. – Autolot zapewne już czeka przed wejściem.

– Gdzie jest porucznik Jones, czy ktoś mi to może wyjaśnić? – zaprotestował Wordsworth.

– Nie możemy nawiązać połączenia – zameldował strażnik.

– Dlaczego? – zirytował się Wordsworth.

– Nie wiemy, szefie! – odparł drugi. – Zejdźmy niżej i sprawdźmy – zaproponował.

– Nie ma czasu na sprawdzanie! Macie mnie natychmiast eskortować do pojazdu! – zażądał przewodniczący.

Wyszli przed budynek. Zazwyczaj podjazd był oświetlony, ale teraz, nie licząc skąpej smugi padającej z otwartych drzwi, dom otaczały ciemności.

– Co tu się dzieje? – warknął Wordsworth.

– Nie wiemy, panie przewodniczący – odparli jednocześnie strażnicy.

– Gdzie jest mój autolot? Miał czekać pod samymi drzwiami! – dodał Eugene, rozglądając się na wszystkie strony i próbując dostrzec coś w mroku. – Natychmiast sprowadźcie moją limuzynę!

– Rozkaz! – powiedział jeden ze strażników.

Obydwa wykonali ruch, jakby chcieli odejść. Eugene poczuł, że narasta w nim panika, więc przestaje jasno myśleć.

– Nie. Zostajecie ze mną – zreflektował się w końcu. – Wzywać do skutku dowódcę – rozkazał.

Wordsworth stał niepewny i nie wiedział, co ma dalej robić. Myślał intensywnie, ledwie rejestrując przytłumione głosy ochroniarzy, którzy bezskutecznie próbowali wywołać dowódcę. Zastanawiał się, czy powinien dalej stać na podjeździe i czekać na rozwój sytuacji, czy cofnąć się do domu i zostać w nim do czasu, aż podwładni sprowadzą limuzynę.

– Nie zgłasza się, szefie! – zameldował strażnik. – Czy mamy iść do garażu i sprowadzić autolot?

– Nie możecie sprowadzić kolegów z oddziału sami, skoro dowódca nie reaguje? – odpowiedział pytaniem Wordsworth.

– Nie możemy. Uprawnienia do przegrupowania ludzi ma tylko dowódca! – zameldował ochroniarz.

– W takim razie odbieram uprawnienia Jonesowi i przyznaję tobie – zdecydował przewodniczący. – Jak się nazywasz?

– Harry Montero, panie przewodniczący.

– W takim razie, żołnierzu Montero, nadaję ci status i uprawnienia dowódcy mojej straży przybocznej – powiedział Wordsworth i przystawił nadgarstek do nadgarstka mężczyzny. – Wywołaj ich teraz! – zażądał, gdy transfer kodów się zakończył.

– Nie działa, panie przewodniczący! – zaraportował strażnik. – Nie mogę wezwać posiłków.

Eugene przyjrzał mu się badawczo. Czy wspominając o wzywaniu posiłków, miał na myśli konkretne zagrożenie, czy było to po prostu przypadkowe sformułowanie? Strażnik zachowywał się naturalnie, zważywszy na okoliczności, więc chyba nie miał nic do ukrycia. Formułując ten wniosek, przewodniczący kątem oka zauważył, że drugi z ochroniarzy co chwilę zerka nerwowo na wciąż otwarte drzwi wejściowe. Było to o tyle zastanawiające, że nie

miało raczej sensu szukanie autolotu wewnątrz rezydencji. Czy strażnik rozglądał się za swoim dowódcą? Według tego, co przekazał mu wcześniej, lokalizator pokazywał, że Jones powinien kręcić się w okolicach kuchni. A może obydwaj kłamali i wcale go nie wzywali? Może na coś czekali? A może próbowali opóźnić wylot Eugene'a?

– Dalsza zwłoka jest bezcelowa, dowódco Montero! – powiedział przewodniczący. – Odeskortujecie mnie do garażu, a były dowódca i reszta jego ludzi pożałują, że kiedykolwiek się urodzili!

Strażnicy porozumieli się wzrokiem i do Eugene'a dotarło, że popełnił fatalny błąd. Powinien zachęcić ich do lojalności nagrodami, a nie pogrożkami pod adresem ich kolegów z zespołu.

– Nie ma czasu do stracenia! Chodźmy – zarządził Wordsworth, wkładając mnóstwo wysiłku w to, żeby jego głos brzmiał naturalnie.

Prawda była taka, że Eugene coraz bardziej się bał. Prawie odetchnął z ulgą, gdy strażnicy posłusznie ustawili się w poprzednim szyku i ruszyli w stronę garażu. Nie było daleko. Nie więcej niż dwieście metrów, które przebyli w całkowitym milczeniu. Strażnicy oświetlali drogę niewielkimi latarkami wbudowanymi w mundury na wysokości obojczyków. Światło, które emitowały, było dość słabe, ale Eugene i tak wkrótce dostrzegł drzwi garażu. Były szeroko otwarte, co bardzo go zdziwiło, bo na jego osobiste polecenie do autolotów nie dopuszczano nikogo oprócz kierowcy i serwisanta. Ochroniarze się zatrzymali, a chwytając światełka laterek mundurowych omiotły wnętrze garażu. Eugene wyteżył wzrok. W ciemnościach majaczyło coś białego. Strażnicy podeszli bliżej. Na wprost przewodniczącego stała dwunastoletnia dziewczucha. Zauważył z niesmakiem, że dół koszuli miała uwalany krwią. Czyżby potraktował ją tak ostro? Stała bez ruchu. Coś błysnęło w jej dłoni. Wordsworth zrobił krok w tył, chowając się za plecy strażników. Dziewczyna trzymała siekiere.

– Zlikwidować ją! – rozkazał Wordsworth.

A potem głos uwiązał mu w gardle, a nogi zmiękły w kolanach. Z mroku wyszli robotnicy uzbrojeni w widły i szpadle. Otaczali kołem Eugene'a i jego dwóch ochroniarzy.

– Natychmiast wezwijcie posiłki, barany! – wrzasnął niepomny, że wcześniejsze próby spełzły na niczym. – Gdzie jest ten cholerny Jones?

– Jestem tutaj, panie przewodniczący.

Eugene odwrócił się na pięcie i zmierzył wzrokiem dowódcę straży. Ten stał w rozkroku, trzymał rękę na kaburze z pistoletem. Za jego plecami ustawilo się w pewnym rozproszeniu pozostałych dziewięciu żołnierzy. Oświetlenie mundurów mieli wyłączone.

– Najwyższa pora! – warknął Wordsworth. – Proszę mi oczyścić drogę do autolotu.

Jones nie odezwał się nawet słowem. Nie ruszył się też z miejsca. Stał i świdrował przewodniczącego spojrzeniem. Eugene zbyt długo chodził po świetle, by przyjąć reakcję dowódcy za dobrą monetę. Poczul, że karta się odwraca. Nie mylił się.

– Przegrupować się i opuścić broń! – rozkazał swoim ludziom Jones.

Posłuchali i odsunęli się poza krąg światła emitowanego z mundurów strażników przewodniczącego.

– Co pan wyprawia, Jones?! – wrzasnął Wordsworth i sam usłyszał, że jego głos brzmi piskliwie.

Dowódca w żaden sposób nie zareagował. Obserwował uzbrojonych w widły ludzi. Eugene rozumiał, że nie może liczyć na pomoc.



– Degraduję cię, Jones! – ryknął Eugene. – Montero przejmuje dowodzenie!

Stojący obok strażnik spojrział na niego z ukosa, a potem ponad głową przewodniczącego porozumiał się bez słów z partnerem. Obaj skierowali broń na Eugene'a i nie spuszczać go z oczu, odeszli do swoich towarzyszy. Latarki z ich mundurów oświetlały przewodniczącego. Nie zostało już w zasadzie nic do powiedzenia.

Mężczyzna kręcił się wokół własnej osi, z paniką patrząc na długi łańcuch twarzy. Zlewały się jedna w drugą, dopóki nie natrafił na dziewczynę w białej zakrwawionej koszuli. Stała bez ruchu i wpatrywała się w niego z nienawiścią. Jej długie jasne włosy były potargane, a bosa stopy uwalane ziemią. Eugene myślał, że dziewczucha coś powie, ale ona tylko uniosła w górę siekiere, dając sygnał do ataku. Sama nie ruszyła się z miejsca. Obserwowała, jak niewolnicy otaczają Wordswortha coraz ciasniejszym kręgiem, a w końcu rzucają się na niego i rozrywają na strzępy. Przewodniczący żył podczas tej egzekucji na tyle długo, żeby dotkliwie poczuć piekło umierania.

Dowódca Jones przyglądał się scenie z satysfakcją. Usłudźni wieśniacy wykonali za niego mokrą robotę. Wywołał szyfrowane połączenie w interfejsie. Rozmówca odezwał się dosłownie po sekundzie.

– Panie generale, Sekcja 2 melduje wykonanie zadania – powiedział spokojnie.



Generał O'Brian nawet nie próbował udawać, że śmierć Wordswortha go nie cieszy. Tuż po otrzymaniu wiadomości od Jonesa nalał sobie whisky i zapalił cygaro. Rozsiadł się wygodnie w fotelu w domu pod kopułą i wywołał połączenie z synem. Skoro miał dobrą passę, to może i z tym upartym gówniarzem jakoś się dogada. Zachęcające było to, że chłopak nie odrzucił połączenia i od razu odebrał. I to właściwie tyle. Nie odezwał się ani słowem, w żaden sposób nie ułatwiając ani sobie, ani generałowi czekającej ich rozmowy.

– Witaj, synu – odezwał się O'Brian. – Przemysłałeś moją ofertę? Chcę się z tobą spotkać najszybciej, jak to możliwe.

– Po co chcesz się spotykać? – zapytał Jordan po dłuższej chwili milczenia. – Mam wrażenie, że w ostatniej wiadomości wyraziłeś się jasno.

– Nie wiem, co masz na myśli – zdziwił się generał.

– Chodzi mi o Alex – wyjaśnił chłodno chłopak. – Jeśli rzeczywiście jej pomogłeś, to może wypadaloby w korespondencji wspomnieć, co u niej słyhać, zamiast robić z tych informacji kartę przetargową.

– Tak to odebrałeś, synu? – zdziwił się O'Brian. – Wolaleś założyć, że mam złą wolę, zamiast pomyśleć, że nadmiar informacji w wiadomości, którą ktoś mógłby przechwycić, jest zwyczajnie niebezpieczny?

– Wystarczyło napisać, że jest cała i zdrowa, a nie wstawiać teksty, że pewnie jestem ciekaw, co u niej słyhać – odparł szyderczo Jordan.

– Alex przeżyła i wyzdrowiała – odparł generał.

– Czyżbym wyczuwał jakieś ale? – szydził już całkiem otwarcie Jordan.

– W istocie, synu – skapitulował Jack. – Alex uciekła i nie wiem, gdzie się podziewa.

– Mogę się tylko domyślać, jakiego zaznała u ciebie traktowania, skoro, jak byłeś łaskaw się wyrazić, uciekła.

O'Brian zdusił w sobie potrzebę wytłumaczenia, jaki przebieg miała jego znajomość z Alex. Nie chciał tracić czasu na nieistotne sprawy.

– Uwierz mi, że traktowałem ją dobrze – odparł i natychmiast zmienił temat rozmowy. – Chciałbym się z tobą jak najszybciej spotkać. Synu, myślę, że grozi ci niebezpieczeństwo i potrzebujesz mojej ochrony.

– Przed czym? – zapytał rzeczowo chłopak.

O'Brian nie był gotowy na tak bezpośrednie pytanie i przez chwilę milczał, myśląc gorączkowo nad wymijającą odpowiedzią.

– Co takiego może mi zagrażać, że aż straciłeś mowę? – drwił otwarcie Jordan. – A tak przy okazji, czego chcesz od Allie Mc Anderson? I jak to się stało, że tak drżysz o jej los? Jeśli dobrze pamiętam, Geneo wysłało ją na Arkę. Z troski?

– Dziewczynka jest w niebezpieczeństwie – odparł O'Brian.

– Z pewnością – zgodził się Jordan. – Ale nie mam z nią kontaktu, więc raczej nie przekażę jej wyrazów troski od ciebie. – Czego chcesz, tato? – zapytał spokojnie.

– Chcę, żebyś udał się do kosmodromu Freedom i tam porozmawiał z moim człowiekiem. On ci wszystko wyjaśni. Po rozmowie z nim zadecydujesz, czy chcesz się ze mną spotkać, czy nie.

– Nie mogę się pokazać w kosmodromie – zaprotestował Jordan. – Natychmiast złapią mnie ludzie Wordswortha.

– Nie złapią – uspokoił go ojciec. – Prześlę kod, który pozwoli ci przejść przez wszystkie bramki.

O'Brian wrócił myślami do Jonesa i jego meldunku. Od lat planował pozbycie się Eugene'a, ale teraz, gdy rzeczywiście go zabrakło, czuł pewną pustkę. Fałszywa Felicja się nie liczyła, ale wciąż było dziewięciu członków Rady, z którymi musiał się zmierzyć. Wordsworth odszedł i z tego, co Jack wiedział, nawet nie zmapował zawartości mózgu. Zawsze był na bakier z nowinkami technicznymi i wolał poświęcać wolny czas na kurwy i alkohol. Jeśli chodziło o generała, strata zawartości mózgu przewodniczącego nie robiła na nim większego wrażenia. Wordsworth był marionetką Felicji. A jego największą zasługę stanowiło to, że przez dekady nie dał rady zapisać się na śmierć.

– Tato? – zagaił Jordan. – Jesteś tam jeszcze?

– Jestem, synu – odparł generał. – I marzę o chwili, gdy znów się spotkamy.

– Po co pytasz o Allie?

Na łączach zapadła cisza. O'Brian zastanawiał się, co powiedzieć. Ostatecznie postawił na częściową prawdę.

– Dziewczynka jest biomodką, czyli...

– Wiem, kim są biomodzi, tato – przerwał mu Jordan.

Generał się zdziwił. Najwyraźniej nie docenił syna. Wiedza o biomodach była ściśle tajna, więc chłopak musiał być jeszcze lepszy w hakowaniu, niż przypuszczał. Włamanie się do najpilniej strzeżonych akt Geneo było nie lada wyczynem. Istniała też inna możliwość.

– Skąd to wiesz? – zapytał, siłąc się na obojętny ton.

Nie taki przebieg rozmowy zaplanował, ale syn zbił go nieco z tropu. Czy to możliwe, że zetknął się jakimś cudem z chowającym się po kątach fanatykiem z Orbis Perditus?

– Co za różnica, tato? – zniecierpliwiał się Jordan. – Chciałeś o czymś ze mną porozmawiać, prawda? A może to przesłuchanie?

– Nie, synu, po prostu jestem ciekaw, jakim cudem wiesz o rzeczach, o których nie wiedzą nawet członkowie Rady Dwunastu – odparł spokojnie generał.

Teraz Jordan umilkł. Miał świadomość, że niepotrzebnie powiedział o słowo za dużo. Z drugiej strony rozmawiał z ojcem. Cokolwiek by mu powiedział, nie będzie to raczej miało wpływu na jego uczucia. Chłopak czuł, że ta rozmowa prowadzi do nieuchronnej konfrontacji. Ze zdumieniem zrozumiał, że jest na to gotowy.

– Co tak naprawdę stało się w Key West? – zapytał szybko, zanim zdążył stchórzyć, jak to zawsze się działo, gdy zahaczał o ten niewygodny dla ojca temat.

– Synu, naprawdę nie uważam, żeby to był dobry moment na taką rozmowę – zaprotestował O'Brian. – Wróćmy do tego, ale najpierw omówmy bieżące sprawy...

– Albo mi powiesz, jak zginęła matka, albo przerywam połączenie – zagroził Jordan.

Znów zapadła cisza. Nie ponaglał ojca. Wiedział, że ten próbuje sformułować myśli i w zależności od tego, jaki efekt chce wywołać, albo powie kolejne łgarstwo, albo poda mu zachowawczym tonem choćby część prawdy. Na nic więcej nie liczył. Znał ojca doskonale. Był wojskowym, generałem, politykiem i dopiero w dalszej kolejności głową rodziny.

– Synu... – powiedział O'Brian i umilkł, najwyraźniej nie wiedząc, co powiedzieć.

– Jak zginęła moja matka? – ponowił pytanie chłopak.

– To był wypadek – odparł cicho Jack. – Za dużo wypiliśmy. Ona, ja i Wordsworth z Felicją.

– Co się stało?

– Spędzaliśmy wieczór na tarasie przy plaży. Key West jest tylko oficjalnie wyludnione, jak wiesz. Stoi tam przyzwoity hotel z niezłym zapleczem gastronomicznym. A plaże są puste i szerokie. W każdym razie pojechaliśmy tam na weekend we czworo. Ty byłeś wtedy w Akademii.

– Wiem, gdzie byłem, gdy dowiedziałem się o śmierci mamy – powiedział lodowatym głosem Jordan.

– No tak – zreflektował się O'Brian. – W każdym razie wypiliśmy za dużo. Eugene z Felicją wyszli, a twoja mama nie chciała jeszcze iść spać. Wyszła z pokoju na balkon i naląła sobie wina. Próbowałem ją namówić, żeby poszła do łóżka, ale zaczęła mówić, że noc jest piękna, niebo rozgwieżdżone, a ocean cudownie szumi. Oparła się o drewnianą balustradę, a potem próbowała na niej usiąść. Podbiegłem. Widziałem, że jest pijana i zaczyna się zachowywać nieodpowiedzialnie. Zaśmiała się i odchyliła do tyłu. Złapałem ją, ale w tej samej chwili pękła barierka. Twoja matka spadła dwa piętra w dół i to tak nieszczęśliwie, że skręciła kark na pniakach palm wyciętych dosłownie kilka dni wcześniej. Gdyby wciąż rosły, to niewykluczone, że wyhamowałyby upadek i skończyłoby się to inaczej.

– Czy nie mogłeś mi tego wszystkiego od razu wytłumaczyć, zamiast milczeć przez lata?! – wrzasnął Jordan. – Odszedłem z domu, myśląc, że to ty odpowiadasz za jej śmierć i dlatego nie chcesz mi niczego powiedzieć! Tyle lat, a ty nie raczyłeś niczego mi wyjaśnić!

– Wiem, synu – odparł Jack. – I bardzo mi przykro z tego powodu. Ja po prostu chyba nie umiałem o tym mówić. Nawet teraz serce mi krwawi, gdy wracam myślami do tej strasznej

nocy. Przecież wiesz, że kochałem twoją matkę.

– Dlaczego nigdy mi nie opowiedziałeś, że po prostu wypadła z balkonu? – spytał chłopak. – Uważasz, że ot tak przyjąłem do wiadomości, iż wracasz sam i mówisz, że mamy już nie ma? Że to mi wystarczy? Że zapomnę i zajmę się swoim życiem?

– Bo gdybym zaczął o tym mówić, pewnie rozpadłbym się na kawałki – wyszeptał generał. – A tak, po jej stracie, ciągle miałem ciebie. Zrozum, ciebie kocham najbardziej w świecie i twoje bezpieczeństwo jest dla mnie najważniejsze.

– Wierzę ci, tato – powiedział cicho chłopak.

– Dlatego pozwól się uratować. Przyjdź jutro do kosmodromu. Synu, błagam cię! – powiedział O'Brian.

– Przyjdę – odparł Jordan.

– Weź ze sobą Allie. Jej też pomogę – dodał generał.

– Wezmę – skłamał chłopak i się pożegnał.

Jordan przerwał połączenie i westchnął. Jeśli choć przez chwilę się łudził, że ojciec się zmienił, to rozmowa dobitnie mu wyjaśniła, że nic takiego nie nastąpiło. Profesor Howard miał rację. Generał dążył do wojny. I jeśli nie uda im się go zatrzymać, świat wkrótce stanie w płomieniach. Na tyle swojego ojca znał, a poza tym doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że stoi za nim Geneo, najpotężniejsza organizacja na Ziemi. Pomyślał, że ich jedyną szansą jest odzyskanie danych sprzed Wielkiego Resetu, ale to nie on tego dokona. Jeśli ma powstrzymać ojca, to musi się z nim spotkać. Przyjaciele sobie poradzą, szczególnie że mają Allie po swojej stronie. Vika też na pewno pomoże. Jest bystra. I piękna.

Jordan spojrzął na dziewczynę, która spała obok niego na łóżku. Była naga i tylko częściowo okryta kołdrą. Jej plecy, wygięte w łuk, prowokowały, żeby obsypać je pocałunkami. Jordan podziękował w duchu za technologię TOW, która umożliwia generowanie głosu w rozmowie bez otwierania ust. Nie chciał obudzić Viki. Na pewno nie kłótnią z ojcem. Były znacznie ciekawsze sposoby. Przsunął się do niej bliżej i mocno ją przytulił.

Mary Sue siedziała na kanapie i wodziła obojętnym spojrzeniem za swoją młodziutką służącą. Gwen usługiwała jej przy śniadaniu. Rozstawiała na stoliku talerzyki i nalewała herbatę do filiżanki.

Starła się zachowywać jak bezszelestny cień, ale i tak niechący upuściła widelec, który upadł obok talerza z głośnym brzdęknięciem. Mary Sue podskoczyła gwałtownie i zmierzyła dziewczynę złym spojrzeniem.

– Mogłabyś bardziej uważać? – fuknęła.

– Przepraszam, pani sekretarz, to niechący – tłumaczyła się cicho przerażona dziewczyna.

Nie poznawała swojej pani. Wcześniej odnosiła się do niej spokojnie i Gwen miała czasem wrażenie, że ta nawet ją lubi, choć nigdy nie okazywała uczuć. Ale od paru dni zmieniła się nie do poznania. Teraz też patrzyła na nią lodowato, nawet nie tając pogardy.

– Do niczego się nie nadajesz! – powiedziała Mary Sue z nieskrywaną irytacją.

Poczuła nagle, że tęskni za obecnością Fumiko, i nawet się zdziwiła, bo przecież nigdy nie była z nią specjalnie związana, a od czasu przybycia do tego domu unikała jej jak ognia. Bała się, że najbliższa służąca Felicji zwyczajnie ją zdemaskuje. Teraz żachnęła się na tę niedorzeczność. Odsuwanie zaufanej osoby było kompletną głupotą. Po pierwsze, ktoś taki, jeśli poczuje się odrzucony, z sojusznika staje się wrogiem, a po drugie, Mary Sue po prostu czuła, że Azjotka jest jej potrzebna. Mówiąc precyzyjniej, potrzebowała jej obecności.

– Możesz odejść! – warknęła do Gwen. – I przyslij mi tu natychmiast Fumiko.

Służąca podskoczyła ze strachu i stanęła na baczność. Nie czekając, czy jej pani powie coś jeszcze, podeszła szybko do drzwi i bezszelestnie za nimi zniknęła. Mary Sue odprowadziła ją spojrzeniem i sapnęła z irytacją. Ostatnio wszystko ją denerwowało, a w szczególności płaczący się po rezydencji ludzie. Nie czuła się dobrze w ich obecności i dlatego stanowczo odrzuciła zwyczaj jądania posiłków w wielkiej jadalni na parterze, gdzie musiała oglądać niekończącą się procesję służących, którzy podawali kolejne półmiski.

Mary Sue odpowiadało przebywanie w prywatnym apartamencie. Traktowała go jak własne mieszkanie w bloku. Właśnie dlatego jadła śniadanie tu, w prywatnym salonie. Mary Sue upiła łyk herbaty z filiżanki i ugryzła kawałek rogalika. Nie była głodna. Przymknęła lekko oczy i weszła w folder wiadomości. Nie dostawała ich wiele. Ze względów bezpieczeństwa kontaktem do Felicji Lawrance dysponowała garstka ludzi. Oprogramowanie Felicji nie poinformowało jej o nadejściu wiadomości. Zwykli obywatele powiadomienia dostawali zawsze i nie mieli możliwości odinstalowania tej funkcji. Miało to zresztą bardzo konkretny powód. Zdarzało się, że pewne informacje propagandowe były ludziom rozsyłane przez Geneo albo Obyczajówkę. Czasami na bezpośrednie żądanie Rady Dwunastu. Wówczas informacja

oznaczona wysokim priorytetem wyświetlała się bez pytania i nie znikwała, dopóki nie zarejestrowała ruchu mięśni gałki oka na każdej kolejnej literze tekstu lub klatce filmu. Proste i skuteczne. Felicji Lawrance żadne wiadomości oczywiście nie atakowały. Musiała wejść w odpowiedni folder i wysłać żądanie ich przetworzenia. Były dwie nowe.

Pierwsza od tej nudziary Fanny Wise. Wraz z mężem, Martinem, zaprosili Felicję na uroczystą kolację, którą chcieli wydać na jej cześć, i dopraszała się o odpowiedź, jaki termin by jej odpowiadał. Nawet tak nieobyta w świecie polityki osoba, jak Mary Sue, doskonale wiedziała, o co chodzi. Prawdopodobnie o lobbowanie na rzecz prywatnych holowizji i bezpieczeństwa jakichś krewnych, którym groziło zesłanie na Arkę.

Druga wiadomość była bardziej interesująca. Przede wszystkim z tego powodu, że nie istniał żaden ślad nadawcy, a jednak system przepuścił list przez najbardziej szczelny system antywirusowy, jaki został wymyślony. Zgodnie z wiedzą kobiety czegoś takiego mógł dokonać wyłącznie Jordan. Otworzyła wiadomość i z mocno bijącym sercem zaczęła ją czytać.

*Szanowna Pani Sekretarz!*

*Dotarła do mnie wiadomość, że wzywa mnie Pani na widzenie, i chciałbym uprzejmie zapytać, na kiedy zechce mi je Pani łaskawie wyznaczyć. Oczywiście nalegam na spotkanie w miejscu dla Pani dogodnym i przy zachowaniu odpowiednich środków osobistej ochrony. Jestem głęboko przekonany, że Pani rezydencja doskonale się nada, ponieważ jednym z tematów rozmowy, jak Pani zapewne wie, będzie omówienie pewnych zawiłości technologicznych mających spory wpływ na globalne bezpieczeństwo.*

*Z poważaniem  
Jor Sarhovic*

Mary Sue dwukrotnie przebiegła oczami tekst, by się upewnić, że nic jej nie umknęło. Przeczucie jej nie myliło. Wiadomość nadesłał Jordan. Bez trudu odszyfrowała podpis i wiedziała, że wraz z nim są Sara i Howard. Ostatni człon wymyślonego nazwiska upewnił ją, że jej znajomi są już blisko. Wskazywało na to imię Viki Novakovič, dziewczyny, której poleciła przekazać wiadomość. Jak widać, spisała się dobrze, mało tego, musiała dołączyć do misji ratunkowej. Mary Sue nie doceniła odwagi dziewczyny. Sama wiadomość była dla niej tylko częściowo czytelna, choć i tak była pod wrażeniem sprytu Jordana. Dla kogoś z boku wiadomość była wyłącznie zapowiedzią nudnego spotkania polityków, i to takich, którzy zdecydowanie za sobą nie przepadają. Ona jednak rozumiała istotę: Jordan szedł jej na ratunek i ze względu na siebie tylko znane sprawy związane z technologią chciał się spotkać w rezydencji. Troska o osobistą ochronę oznaczała, że ma się na wybrany przez siebie termin pozbyć z domu jak najwięcej ludzi.

Mary Sue się zamyśliła. Jeśli jej przyjaciele są w stolicy, to muszą się ukrywać i w każdej chwili mogą zostać zdemaskowani. Z kolei zbyt szybki czas spotkania może sprawić, że nie zdążą się przygotować do misji. Mary Sue ułożyła odpowiedź.

*Szanowny Panie Sarhovic!*

*Wyznaczam spotkanie na pojutrze o godzinie dwudziestej.*

*Osobiscie będę czekać w holu głównym mojej rezydencji.*

*Z poważaniem  
Sekretarz Felicja Lawrance*

Miała nadzieję, że Jordan prawidłowo odczyta wiadomość i nie będzie się bawił w jakąś wojenkę ze strażami. Zamierzała mu to ułatwić i pozbyć się wszystkich, których mogła. Jeśli przyjaciele zachowają spokój, może nie dojdzie do rozlewu krwi. Na logikę mogła po prostu wyjść z rezydencji i spotkać się z nim na zewnątrz, ale chłopak miał jakiś interes w rezydencji Lawrance. Nie chciała mu pokrzyżować planów. Zresztą ona sama też potrzebowała jego pomocy wewnątrz domu ze względu na obecność tego zaawansowanego technicznie sprzętu. Może Jordan pomoże jej się pozbyć wirusa Felicji? Mary Sue sięgnęła po filiżankę z herbatą. Nagle poczuła potężny ból głowy. Nawiedzał ją od czasu, gdy zainstalowała sobie ten fatalny plik. Filiżanka wypadła jej z dłoni i z trzaskiem rozbiła się o podłogę. W tej samej chwili rozległo się krótkie pukanie i do środka weszła Fumiko.

– Pani wzywała? – zapytała cicho.

Mary Sue ucieszyła się na jej widok, choć sama nie rozumiała dlaczego.

– Podejdz, Fumiko! Potwornie boli mnie głowa – poskarżyła się. – Zrób mi masaż, taki jak zwykle!

Taki jak zwykle? Przecież nigdy wcześniej mnie nie masowała! Co ja właściwie wygaduję? – zdziwiła się w duchu Mary Sue. Zdażyła jeszcze pomyśleć, że chyba do końca traci zmysły i że znów wpada w czarną otchłań, po której obudzi się, nie wiedząc, co wcześniej robiła.



Alex ostrożnie stawiała kroki. Jerry szedł po jej prawej stronie. Tak mu kazała, argumentując, że jeśli pojawi się zagrożenie, to będzie jej łatwiej go osłaniać podczas ucieczki do wnętrza którejś z mijanych kamienic. Wiedziała, że to kompletna mrzonka i jeśli pojawi się wataha, nie będą mieli najmniejszych szans. Żeby zminimalizować ryzyko, tuż po wschodzie słońca wdrapała się na dach i uważnie zlustrowała okolicę. Nigdzie nie było widać dzikich psów. Widocznie wczoraj nie podjęły jej tropu i zawróciły do opuszczonego sklepu. Nie rozumiała, dlaczego wolały polować wyłącznie w nocy. Hans również nie umiał jej tego wyjaśnić, ale tylko dzięki temu mieli jakąkolwiek szansę, żeby się stąd wydostać.

Poprzedniego wieczoru spakowała plecaki. Zabrała głównie żywność i wodę. Choć dzień szykował się ciepły, kazała chłopcu włożyć ciepłe buty, które dostał od Hansa, i lekką przeciwdeszczową kurtkę, będącą własnością starego. Jemu już nie była potrzebna.

Z duszą na ramieniu doszła do skrzyżowania ulic, cały czas trzymając w dłoni broń. Wiedziała, że w konfrontacji z watahą na niewiele się przyda, ale może w razie innego zagrożenia da bezcenną sekundę przewagi. Właściwie dobrze wiedziała, że sama się oszukuje, ale i tak nie było innego wyjścia niż podjęcie ryzyka.

Heinrichstraße była szeroką aleją, przedzieloną wzdłuż przez rzeczkę. Szli, trzymając się prawej strony, w pewnej odległości od mijanych z lewej strony czteropiętrowych kamienic. Większość domów była spalona i częściowo porośnięta roślinnością. Również tutaj gniazdowały ptaki i panował okropny harmider. Alex szacowała trasę na dwie godziny szybkiego marszu, pod warunkiem że nie napotkają żadnych przeszkód.

– Głowa do góry – powiedziała do chłopca, próbując dodać mu otuchy.

– Łatwo ci powiedzieć – burknął.

– Hej, co jest? – zapytała cicho. – Wiem, że się boisz i że ci smutno z powodu Hansa, ale trzeba żyć dalej.

Alex ominęła krzewy wyrastające z popękanej nawierzchni i po raz kolejny omiotła czujnym spojrzeniem okolice. Oprócz hałasujących ptaków nie odnotowała żadnego podejrzanego ruchu. Ciągące się rzędem, rozsypujące się wraki spalonych pojazdów sprawiały przynębiające wrażenie. Wiedziała od Hansa, że to nie autoloty, tylko samochody, które dawniej jeździły po ulicach.

– Łatwo ci powiedzieć – odparł Jerry. – To nie ciebie schwytyają i wsadzą do klatki, gdy tylko znajdziemy się.

– Myślisz, że na to pozwolę? – odezwała się trochę zbyt szybko i aż się zdziwiła, jak fałszywie brzmi jej głos.

– Ich jest dużo i wszyscy są źli. Sama ich nie pokonasz – powiedział.

Umilkła. Miał rację. Właściwie jaką mu mogła dać gwarancję, że zdoła go obronić? Zresztą jej samej też groziło niebezpieczeństwo. Gdy dostanie się w ręce Geneo, z pewnością żywa z tego nie wyjdzie. Od chwili podjęcia decyzji o przedarciu się na lotnisko, Alex intensywnie myślała, z kim będzie bezpiecznie się skomunikować. Wreszcie uznała, że zdecyduje później. Przy oszczędnym gospodarowaniu mieli jedzenia na tydzień. Bez problemu może też upolować królika, w ostateczności parę ptaków. Z jakiejś przyczyny brzydziła się ich, ale jeśli nie będzie innego wyjścia, zje ich mięso bez grymasu.

Szli w milczeniu, mijając kolejne kamienice. W krajobrazie niewiele się zmieniało. Ot, czasem ruiny domów nieco zmieniały kształty. Zmieniała się również wielkość zionących czernią otworów okiennych. Ulica też była w różnym stanie, miejscami tak pozarastała, że musieli się przeciskać pod samą fasadą domu. Przy pierwszym skrzyżowaniu zeszli na chwilę nad Kittelbach, korzystając z tego, że betonowa kładka w tym miejscu się urwała i stworzyła łagodną pochylnię. W pozostałych miejscach do wody było niezwykle trudno się dostać. Obydwa brzegi porastała roślinność, a w nurcie buszowały ptaki wodne. Gdy Alex i Jerry pochylili się nad lustrem wody, nawet nie odpłynęły. Nie bały się ludzi. Nie znały ich.

– Przecież mamy wodę – powiedział Jerry, patrząc z obawą na duże białe ptaki.

– Dopóki mamy dostęp do tej, tę w butelkach zachowamy na później – wyjaśniła.

Droga była nużąca. Identyczne kamienice zbudowane wzdłuż rzeczki ciągnęły się przez kolejnych kilkanaście minut i zdawały się nie mieć końca, więc gdy wyszli na ogromne skrzyżowanie, nawet Jerry się ożywił.

– Zobacz, jaki wielki budynek! – zawołał, wskazując lewą stronę szerokiej jezdni.

Rzeczywiście był ogromny. Alex oszacowała go na minimum trzydzieści pięter. O dziwo, nie spalili się doszczętnie jak większość zabudowań w okolicy. Po chwili zrozumiała, że to dzięki stalowej konstrukcji. Gdzieniedzie była nadtopiona i powyginana, ale nadal stała



prosto. Na wyższych piętrach zachowały się nawet szyby i połyskiwały w słońcu. Alex skojarzyło się to z upiorną latarnią morską stojącą na straży zniszczonego miasta.

– Chodźmy dalej – ponagliła chłopca.

Ruszyli przez skrzyżowanie, omijając samochody i wielkie szkielety ciężarówek. Na niektórych łopotały na wietrze strzępy plandek z wyblakłymi napisami. Ominęli je i poszli dalej prosto. Alex z pewnym niepokojem dostrzegła ruch w zaroślach nad rzeką, ale z ulgą ujrzała tylko króliki. Wkrótce rzeczka zniknęła, jakby się zapadła pod ziemię. Nie to było jednak ich aktualnym zmartwieniem. Wiadukt, którym mieli przejść nad torowiskiem, był całkowicie zawałony. Potężne hałdy kawałków betonu wykluczały dalszą wędrówkę.

– I co teraz zrobimy? – zapytał Jerry.

– Będziemy musieli obejść torowisko. Na pewno nadłożymy trochę drogi, ale innego wyjścia nie ma. Tu jest niebezpiecznie – powiedziała i rozłożyła mapę. – Jeśli dobrze widzę, musimy się cofnąć o parę kroków i z prawej strony będzie droga w dół skarpy. Tamtędy przejdziemy przez tory i dotrzemy na drugą stronę.

Skarpa była dość stroma, a popękany asfalt nierówny. Wkrótce okazało się, gdzie zniknęła rzeczka. Ujęta w betonowy rów skręcała w prawo i płynęła dalej wzdłuż torowiska. Kładka nad nią była na szczęście nienaruszona. Torowisko sprawiało przytłaczające wrażenie – ogromna otwarta przestrzeń pełna wygiętych pordzewiałych szyn. Jak okiem sięgnąć nigdzie nie było żadnych porzuconych wagonów. Widocznie wszystkie składy zdołały stąd wyjechać przed pożogą.

– Stój, Jerry – szepnęła Alex i powolnym gestem uniosła broń.

Na samym środku torowiska stał pies. Miał skołtunioną czarną sierść i wściekle wyszczerzone zęby. Warczał glucho, co dobrze słyszała pomimo sporej odległości. Alex rozejrzała się w poszukiwaniu watahy. Na szczęście nigdzie jej nie było widać. Pies ruszył w ich stronę, szczekając wściekle.

– Schowaj się za mnie, Jerry – powiedziała Alex.

Sama przyjęła w miarę pewną pozycję i zaczęła strzelać do zwierzęcia. Ujądanie stawało się coraz głośniejsze. Alex była kiepskim strzelcem, ale w końcu udało jej się trafić i pies ze skowytym padł na tory.

– Ruszamy stąd. Natychmiast – ponagliła chłopca. – Za chwilę będzie ich więcej!

Mijając psa, przykucnęła przy nim na chwilę. Nie żył. Musiała trafić go w serce. Oczy miał wybałuszone. Spojrzała w nieruchome ślepie. Były dziwne, jakby zasnuwane granatową mgłą.

– To dlatego polują głównie nocą – powiedziała ucieszona odkryciem. – Ich wzrok przystosował się do nocnej aktywności. Dobry znak dla nas, Jerry! Idziemy.

– Co tam jest? – zapytał chłopiec, wskazując przed siebie na coś małego ruszającego się na kolejnych torach.

– Może królik? Nie wiem, to kompletnie nieistotne – odparła, rozglądając się bacznie w poszukiwaniu watahy.

– To szczeniak, Alex – rzekł uradowany i podbiegł do znaleziska.

– Odejdź! Może być niebezpieczny! – zawołała i podeszła z wyciągniętą bronią.

Czarny szczeniak był nieporadny. Niezdarnie próbował pełzać po torach i żałośnie przy tym pisał. Z całą pewnością był zbyt mały, by przejawiać agresję. Alex wycelowała w zwierzątko, ale ręka jej zadrżała.

– Nie zabijaj go! Przecież to dziecko! – wrzasnął Jerry. – Nie wolno!

– Nie przeżyje bez matki. Nie chcę tego robić, ale tak będzie krócej cierpieć – powiedziała spokojnie Alex.

– Weźmiemy go!

– Jak ty to sobie wyobrażasz? – zapytała. – Nawet nie mamy go czym nakarmić.

– Coś wymyślimy – upierał się. – Nigdzie bez niego nie idę – oświadczył i schylił się po szczeniaka.

– Uważaj!

Jerry nie słuchał. Wziął pieska na ręce i przytulił. Stworzenie nie miało zamiaru się wyrwać. Przygłnęło do jego ręki i natychmiast umilkło. Alex skapitulowała. Nie miała serca tłumaczyć chłopcu, że pies i tak wkrótce zdechnie. Tak czy inaczej, będzie musiała skrócić jego cierpienia, gdy chłopiec pójdzie spać. O ile będą mieli gdzie spać.

– Ciekawe, co ta suka tu robiła? Podobno w dzień nie wychodzą z legowisk – zainteresował się Jerry.

Szedł obok Alex, podskakując radośnie, i tulił szczeniaka. Był bardzo ożywiony. W niczym nie przypominał osowiałego, przestraszonego dzieciaka, który bał się odejść z domu Hansa. Nie zamierzała mu odpowiadać szczerze na pytanie. Jedynym powodem, dla którego szczenna suka mogła iść przez torowisko z jednym młodym, było to, że czując jakieś zagrożenie, przenosiła szczenięta do nowego legowiska. Czy w starym, czy w nowym, wszystkie pozostałe młode czeka śmierć głodowa lub w najlepszym przypadku zostaną rozszarpane przez inne drapieżniki. Alex niepokoiło coś jeszcze. Suka przyszła z kierunku, w którym zmierzali. Jakie zagrożenie kazało jej uciekać w środku dnia?

– Nie wiem, Jerry – powiedziała spokojnie. – Nie mam zielonego pojęcia, co robiła na torowisku.

Na szczęście dzieciak nie kontynuował tematu. Wkrótce obesli zawałony wiadukt i omijając z lewej strony wysoki budynek całkowicie porośnięty bluszczem, wrócili na trasę. Bez przeszkód wędrowali dalej. Gdy skręcili w prawo, okazało się, że na dobre opuścili kwartał wypalonych domów. Te, które obecnie mijali, były z pewnością opuszczone i porośnięte pożerającą wszystko roślinnością, ale nie spustoszone ogniem. W serce Alex wstąpiła nadzieja. Gdy po kolejnych piętnastu minutach w oddali zamajaczył nietknięty płomieniami terminal, prawie popłakała się z ulgi.



Max przeciągnął się i ziewnął szeroko. Było już jasno, a jeden rzut oka za okno, w którym zapomnieli przyciemnić na noc szybę, upewnił go, że musi być późno. Słońce stało dość wysoko na niebie. Chciał się poderwać na równe nogi, ale nie zdążył.

– Dzień dobry – usłyszał ciepły głos Sary.

Odwrócił się. Leżała na boku, z głową wspartą na łokciu i uśmiechała się do niego. Spojrzał na nią z zachwytem. Czyli to nie był tylko piękny sen. Max uśmiechnął się szeroko i natychmiast otoczył ją ramieniem.

– Dlaczego mnie nie obudziłaś? – zapytał, całując ją w skroń.

– Spałeś tak słodko – mruknęła.

– Ale mamy misję do wykonania!

Max objął ją ciaśniej i zaczął całować.

– Właśnie widzę, jak się palisz do tej misji, żołnierzu – parsknęła śmiechem Sara.

Gdy zeszli na dół, trzymając się za ręce, pierwszym, co poczuli, był fantastyczny zapach smażonych jajek.

– Prawdziwie! Nie z proszku! – ogłosił uradowanym głosem Howard, podnosząc w triumfalnym geście trzymaną w dłoni patelnię. – Żegnajcie, papki proteinowe, witaj, cudowne życie! – roześmiał się głośnie.

– I żegnaj, papko z mąki od mnichów – dodała Allie.

Siedziała na wysokim stolku barowym i machała nogami. Wyglądała na wypoczętą i z apetytem zaatakowała widelcem jajecznicę, którą postawił przed nią profesor. Sara dobrze znała dziewczynkę i widziała, że ta cały czas toczy walkę. Świadczyły o tym lekko zmarszczone brwi i krótkie nerwowe ruchy, kiedy jadła.

– A gdzie reszta gołąbków? – zapytał niewinnym tonem Howard. – Czyżby jeszcze spały?

– Nie wiemy, panie profesorze, ale z chęcią byśmy się załapali na trochę tych jajek – odparł Max, przełykając ślinę.

– Siadaj, chłopcze. Ty, Saro, też. Dla wszystkich wystarczy. A gdy tamte gołąbki zdecydują się do nas zejść, usmażymy nową porcję. Jak zdążyłem zauważyć, w domu tej uroczej młodej damy ktoś postanowił schować tyle żywności, że w normalnych układach wykarmiłoby się ze dwie fabryki ludzi – powiedział Howard.

Sara usiadła obok Allie i spojrzała na profesora.

– Mam trochę wyrzutów sumienia, że zabawiamy się tutaj jak na imprezie towarzyskiej, a misja leży odłogiem – powiedziała.

– Saro, spokojnie. Przecież przyjechaliliśmy zaledwie wczoraj – odparł Howard. – Nie będziemy niczego robić pochopnie. Poza tym czekamy na odzew Mary Sue, prawda?

Allie nie przysłuchiwała się rozmowie. Jadła śniadanie i zajmowała się swoimi sprawami. Biomodzi z Arki generała wciąż byli osłabieni, więc nie dokuczały jej żadne głosy w głowie. Bardziej zajmowało ją to, że nie mogła się do tej Arki włamać. Zupełnie jakby ktoś celowo ją odciął. Wciąż miała jednak mnóstwo informacji na jej temat. Co jakiś czas zerkala w stronę schodów z nadzieją, że ujrzy na nich Jordana i będzie mu je mogła przekazać. Allie wiedziała, że chłopak nie lubi swojego taty, ale na pewno będzie chciał wiedzieć, gdzie się chowa. Najpierw na dół zeszła Vika i uśmiechnęła się promiennie do swoich gości.

– Jordan zejdzie za chwilę – poinformowała bez najmniejszego zażenowania. – Powiedział, że w nocy bardzo długo rozmawiał z ojcem, więc musiał nieco odespać.

Wszyscy, łącznie z małą Allie, wyglądali na wstrząśniętych. Vika spojrzała na nich ze zdumieniem. Wiedziała oczywiście, kim jest ojciec chłopaka, ale ojciec to jednak ojciec. Choćby nie wiadomo co się działo, zawsze będzie chciał, żeby jego dziecko było bezpieczne. Podzieliła się tą opinią z pozostałymi.

– Nie do końca tak jest – zaoponował Howard. – Najwyższe kręgi władzy bardzo deprawują, droga Viko. A generał O'Brian stoi na samym szczycie. Różnych rzeczy można się po nim spodziewać.

– Ale mimo wszystko to ojciec – upierała się Vika.

– Zapewniam cię, że profesor ma rację – odezwał się Jordan, schodząc do kuchni. – A najlepszym dowodem na to, że mojemu ojcu nie można ufać, jest fakt, że bardzo mocno interesował się naszą kochaną Allie – dodał, zanim zdążył ugryźć się w język.

Nie chciał przerazić dziewczynki i teraz był zły, że nie porozmawiał z profesorem na osobności. Nie docenił jednak Allie. Nie wyglądała na przestraszoną ani nawet na zdziwioną, że generał rozmawiał o niej z synem. Zeskoczyła z barowego stołka i podeszła do Jordana.

– Generał nie wie, gdzie ja jestem, ale ja wiem, gdzie jest on! – powiedziała triumfalnie, jakby się chwaliła wygraną w chowanego.

– Gdzie jest? – zapytał zaintrygowany Jordan.

– Na swojej tajnej Arce! – oznajmiła.

– Nie ma go na Ziemi? – zdziwił się chłopak. – Po cóż chce więc spotkania w kosmodromie?

– Allie, skąd o tym wiesz? – zapytał Howard. – Jak się dowiedziałas?

– Znalazłam go przypadkiem, gdy walczyłam z innymi biomodami – odparła dziewczynka.

Teraz już wszyscy wpatrywali się w nią porażeni. Poczła się nieswojo i odruchowo poszukała oczami Maxa.

– Hej, spokojnie – powiedział i podszedł do dziewczynki. – Przecież nam możesz wszystko opowiedzieć.

– A mogę wam pokazać? – zapytała Allie.

– Co nam chcesz pokazać? – zainteresował się Max.

Nie odpowiedziała. Zamiast tego przesłała wszystkim symulację Arki 173. Sara nie miała interfejsu, więc dla niej Jordan wyświetlił holo. Przez dobre kilka minut w kuchni Viki panowała cisza.

– To zmienia właściwie wszystko – podsumował w końcu Howard. – Właśnie dostaliśmy ostateczny dowód, że generał dąży do przejęcia władzy. Gdyby chodziło mu wyłącznie o obalenie Rządu Światowego, osobiście bym biegł, żeby mu pomóc...

– Tyle że mój ojciec chce zdobyć władzę, ale gwarantuję wam, że nie zamierza się z nikim nią dzielić – powiedział z goryczą Jordan.

– Czy istnieje jakiś sposób, żeby go powstrzymać? – szepnęła Vika. – Co właściwie planuje?

– Tego dokładnie nikt nie wie – odparł Howard. – Ale jeśli połączy się fakt, że przebywa poza Ziemią, z tym, że chce Jordana stąd wyciągnąć, to jego zamiary wobec planety mogą być niezwykle groźne.

– Niezłą kryjówkę sobie wyszykował – zauważył z przekąsem Max.

– W zasadzie nie kryjówkę, Max, tylko twierdzę. Rozmach części mieszkalnej powala, ale arsenał, jaki tam trzyma, budzi jeszcze większy respekt. To wszystko, czego dowiedzieliśmy się dzięki Allie, zmienia całą perspektywę – powtórzył Howard. – Jordan, opowiedz nam dokładnie, o czym rozmawiałeś z generałem?

Chłopak zamyślił się głęboko. Nie chciał mówić o prywatnych sprawach, a już szczególnie o okolicznościach śmierci matki. To jednak w pokrętny sposób łączyło się z obecnymi wydarzeniami. Jak bez wspomniania dawnych dramatów byłyby w stanie wyjaśnić przyjaciółom trudne relacje z ojcem?

– Opowiedz nam wszystko – poprosiła Vika i mocno chwyciła go za rękę.

Słowa popłynęły właściwie bez jego udziału. Gdy skończył mówić, poczuł ulgę. Nikt nie wydawał się oburzony tym, że Jordan nie lubi swojego ojca i właściwie nigdy się z nimi nie dogadywał. I nie wierzy mu za grosz.

– Hej – powiedziała cicho Sara. – Nie jesteś sam. Chyba zapomniałeś, kim jest mój ojciec.

Zapadła pełna zakłopotania cisza. Jajecznicza całkiem wystygła na talerzach. Jakoś nikt nie kwapił się do jedzenia.

– Pozostaje jeszcze jedna kwestia. Moim zdaniem najważniejsza – wtrącił profesor. – Allie, dziecko, o jakich biomodach wspomniałaś? Możesz nam opowiedzieć?

– Tata Jordana ma ich na Arce – wyjaśniła.

– Czy oni są źli? – zapytał Max.

Sara, wiedziona odruchem serca, ukucnęła przy małej i mocno ją przytuliła. Dziewczynka nie wrywała się, ale nie oddała uścisku.

– Allie, czy to właśnie oni ci dokuczali? To ich głosy słyszałaś? – szepnęła jej do ucha.

Dziewczynka się rozplakała. Max delikatnie wyplątał ją z ramion Sary i podniósł. Wtuliła się w niego mocno i oplotła jego szyję rączkami. Głaskała ją uspokajająco po włosach i nie zastanawiając się nad tym, co robi, wyniósł ją przez drzwi tarasowe do niewielkiego, obsadzonego kolorowymi kwiatami ogródka.

– Nie powinni wychodzić – powiedziała cicho Vika. – Gdy zaczął się SeeIT, zniknęły płoty oddzielające posesje. Każdy z sąsiadów może ich zobaczyć.

– I zobaczą męczyznę z małym dzieckiem – zbagatelizował sprawę Howard. – Myślę, że mamy ważniejsze problemy. Jordan! – zwrócił się energicznie do chłopaka. – Uważam, że w tych okolicznościach w żadnym wypadku nie wolno ci się spotykać z ojcem. Cała ta sprawa z kosmodromem jest podejrzana.

– Pan nie rozumie, profesorze – odparł gorzko chłopak. – Ja muszę tam pojechać, żeby odwrócić uwagę od Allie. Jeśli jego biomodzi na nią polują, sytuacja jest śmiertelnie niebezpieczna dla małej. Poza tym jest potrzebna do odbicia Mary Sue i rozpuszczenia poprzedniej wersji sieci przez TakeIT. Wyznaczyła nam spotkanie na pojutrze wieczorem. Umówię się na tę samą godzinę z człowiekiem ojca i powiem mu, że przyprowadzę dziewczynkę. To na jakiś czas odwróci jego uwagę, a wam pozwoli wykonać misję.

– To zbyt wielkie ryzyko – zaproponowała Vika.

– Widzisz inne wyjście? – zaśmiał się ponuro Jordan. – Ojciec ma niezależną Arkę i biomodów, którzy ścigają Allie. Jak chcesz go powstrzymać?

– Nie damy sobie bez ciebie rady w rezydencji Felicji Lawrance. Jeśli plan się powiedzie, trzeba będzie poradzić sobie z jej sprzętem – zaproponowała Sara.

– Dacie sobie świetnie radę – odparł Jordan. – Będzie z wami Vika. Zrobi, co trzeba.

Sara zdziwiła się w duchu. Rozumiała wprawdzie, że Jordan spędził z nią noc, ale to chyba zbyt mało, żeby uznawać dziewczynę za najważniejszy filar misji.

– Zastanowimy się nad tym jutro – próbował łagodzić Howard. – Najważniejsze jest to, żebyśmy się trzymali razem.

– Jordan, też to czujesz? – zapytała Vika.

– Przymus włączenia holo dla użytkowników TOW? – szepnął z niedowierzaniem. – Przecież to przeczy wszelkim zasadom!

– U mnie też działa – potwierdził profesor.

– Ja nie mam interfejsu, więc nie wiem, o czym mówicie – skomentowała Sara, patrząc ze zdziwieniem, jak jej towarzyszom na moment mętnieją oczy.

Sekundę później na środku salonu wyświetlił się słup wizyjny. Nadawano program stacji Holo 2.

– To stacja, w której kiedyś pracowałam! – wykrzyknęła Vika. – Propagandowa sieczka i nic innego.

– Co to za miejsce? – zdziwił się profesor, patrząc w nadawany obraz.

Nikt nie udzielił mu odpowiedzi. Wszyscy wpatrywali się bez słowa w hologram spikera. Każdy widział go inaczej. Był wirtualnym tworem, który w zależności od estetycznych preferencji widza przybierał inną postać. Chodziło o to, żeby tak dobrać wizerunek spikera, aby widz we wszystko wierzył. Niezwykle prosty algorytm, jaki się za tym krył, skanował interfejsy użytkowników i na tej podstawie podsuwał wzbudzający zaufanie wizerunek. Spiker był wypadkową wszystkiego, czym dany człowiek zajmował się w sieci. Profesor zobaczył drobną Azjatkę, a Jordan rudą dziewczynę do złudzenia podobną do Moniki. To go zdziwiło, ale nie dał tego po sobie poznać. Był w szoku, bo TOW do tej pory nie podlegał przymusom i rząd nie paraliżował woli użytkowników.

– Widzicie to co ja? – zapytała w tym czasie Sara i wskazała na holo.

– Tak – odparł grobowym głosem Howard. – Przewodniczący Wordsworth został zamordowany we własnej rezydencji.

– I bardzo dobrze! – ucieszył się Jordan i natychmiast ucichł, spiorunowany spojrzeniem Viki.

– Jak możesz? – powiedziała z wyrzutem i przytuliła szlochającą Sarę.

Profesor Howard skinął na chłopaka i poprowadził go do wyjścia.

– To wszystko jest bardzo trudne – wyznał nie bez wysiłku. – Wszyscy jesteśmy uwikłani w sprawy dotyczące najwyższych kręgów władzy. To nie jest łatwe, choć należą nam się brawa za to, że umieliśmy się postawić. Ale to nadal są wasi krewni, do cholery! Ty, Sara i Yoshi jedziecie na jednym wózku, zrozum to! Ja czy Max albo Allie i Monica to zupełnie co innego. My nienawidzimy władz i ludzi u steru nieomal organicznie.

– Mam płakać, że przewodniczący dokonał żywota? – zaśmiał się sarkastycznie Jordan.

– Masz współczuć Sarze, że straciła ojca – odparł profesor. – Tak jak ona współczułaby tobie, gdyby zginął twój.

– Nie byłoby takiej potrzeby – zachnął się chłopak.

– Dobrze, zostawmy to – skapitulował Howard. – Jak myślisz, kto go zabił i dlaczego tak bardzo chciano podać tę informację wszystkim nadrodowcom, że po raz pierwszy w historii poddano manipulacji TOW?

– Nie wiem, kto zabił, ale wiem, jaki miał cel – powiedział Jordan. – Chciał wywołać chaos.

– Chaos przed planowanym przejęciem władzy? – zapytał profesor, nawet nie próbując tłumaczyć złośliwości.

Jordanowi krew odpłynęła z twarzy. Zaciśnął szczęki i bezwiednie spojrzął w stronę Sary łkającej w objęciach Viki.

– No widzisz? Nic nie jest czarno-białe – skwitował profesor.

– Zabiję sukinsyna – warknął Jordan.

– Jacka? Za to, że pozbawił świat najgorszej wszy, czy za to, że twoja przyjaciółka płacze po utracie ojca, który przez całe życie miał ją głęboko w dupie? – zapytał Howard i zajął się jedzeniem zimnej jajecznicy.

Jordan nie znalazł żadnych słów. Uderzył pięścią w blat kuchenny i wyszedł przez drzwi tarasowe. Ze swojego miejsca na stolku barowym Howard widział, że chłopak usiadł obok Viki i coś cicho mówił. Max, nie wypuszczając z objęć Allie, próbował pocieszać Sarę. Misja ratowania Mary Sue była w totalnej rozsypce.

Alex z niedowierzaniem oglądała terminal. Nie musiała się do niego włamywać. Drzwi były zamknięte, ale udało się je odsunąć bez większego wysiłku. Szyba była całkowicie zakurzona, więc nie wiedziała, jaki widok zostanie w środku. Na wszelki wypadek miała broń w pogotowiu i kazała Jerry'emu trzymać się z tyłu.

Terminal był bezludny, wewnątrz panowały cisza i ład. Nie było słychać wszechobecnego ptasiego harmidru, pokrytej warstwą kurzu posadzki nie pstrzyły odchody, a wewnątrz sprawiała wrażenie nienaruszonego od bardzo wielu lat. W oddali ujrzała witryny sklepów.

– Jerry, chodź – powiedziała z entuzjazmem do chłopaka. – Tam mogą być bardzo ciekawe rzeczy!

Chłopiec był znużony, ale nie wypuszczał z rąk szczeniaka. Ten ciągle spał, jednak było kwestią czasu, kiedy się obudzi i zacznie skomleć.

– Jestem zmęczony – powiedział Jerry.

– Wyczuwasz jakąś sieć? – zapytała, ignorując jego skargi.

– Niczego tu nie ma – odparł i usiadł na najbliższej ławce, wzniciając tuman kurzu.

– No dobrze, skoro jesteś zmęczony, to posiedź tu chwilę, a ja przeszukam sklepy. Może uda mi się znaleźć coś do jedzenia. – Zaśmiała się perliście.

– Wolę marchewki Hansa – burknął i mocniej przytulił szczeniaka.

– Jak sobie chcesz – zgodziła się Alex. – Siedź więc i nigdzie nie odchodź.

Alex nie bez oporów zostawiła chłopca na ławce w dużej hali. Rozejrzała się. Sufit wspierały metalowe słupy. Częściowo zardzewiały, ale nadal sprawiały wrażenie solidnych. Sklepy były niesamowite. Podkraśla się do tego, który miał podniesioną kratę. Minęła naruszone zębem czasu stanowiska kasowe i weszła między półki. Większość towarów po dziesiątkach lat zdegradowała się kompletnie. Z działów, które rozpoznała jako spożywcze, nie zostało nic. Jeśli kiedyś śmierdziało tu zepsutą żywnością, to ten stan minął dawno temu. Nie było też śladu pleśni. Ona też musi się czymś żywić. Pochłonęła wszystko, co tylko zdołała, po czym zdechła, zostawiając po sobie kupki wysuszonych czarnych zarodników. Obok stały zakurzone plastikowe butelki z napojami, które skutecznie oparły się niszczycielskiemu działaniu czasu. Nie odważyła się wziąć żadnej z nich, za to podeszła do półek z alkoholami.

Butelki stały w karnych szeregach. Były do połowy zasypane szarym kurzem. Większość z nich miała ogromne ubytki w zawartości. W końcu nikt nie powiedział, że szczelność korków jest obliczona na dziesiątki lat. Alex i tak ucieszyła się ze znaleziska. Namierzyła kilka butelek z nakrętkami i zgarnęła dwie z półki. Nie zwracając uwagi na zawartość, wylała płyn i puste schowała do plecaka. Przydadzą się na wodę, a w ostateczności jako broń. Z sąsiedniego regału spoglądała na nią kompletnie zmurszała butelka wina.



Wyglądała dostojnie, jak coś, co oparło się niszczycielskiej sile upływającego czasu. Zabrała ją i zaczęła się bacznie rozglądać w poszukiwaniu bardziej potrzebnych rzeczy.

Nie przyznała się do tego przed sobą, ale nawet oblewając się dla zabawy przeterminowanymi o kilka dekad perfumami, wciąż przeglądała półki, chcąc znaleźć cokolwiek dla szczeniaka. Niestety niczego takiego nie znalazła. Zapamiętała, że w kacie stoi kilkadziesiąt butelek z wodą. Nie miała ochoty jej próbować, ale uznała, że dobrze o nich wiedzieć. W sytuacji podbramkowej mogły stanowić żelazną rezerwę.

Alex wyszła ze sklepu i rozejrzała się po terminalu. Był ogromny. Wydawało się, że nikt tu niczego nie splądrował. Tak jakby lotnisko ewakuowało się jako ostatnie. Ciekawiło ją, jakie wydarzenia się tu rozegrały, ale jeszcze bardziej to, czy uda się gdzieś znaleźć sieć. Tylko żeby była sieć, musiałyby być zasilanie. Nie miała pojęcia, jak sobie poradzić z tym problemem, tkwiąc w środku opuszczonego miasta. Wróciła do ławki, na której siedział Jerry.

– Idziemy dalej – powiedziała, wskazując w głąb hali.

Podniósł się z ociąganiem, ale posłusznie ruszył za nią w stronę wielkich donic. Kiedyś pewnie rosły w nich rośliny, ale teraz nie pozostał po nich nawet pojedynczy suchy badył. Zamknięte, zabezpieczone kratami sklepy i kawiarnie ciągnęły się aż do końca terminalu. To znaczy, myślała, że to już koniec, ale dalej były korytarze i przeszklone pomieszczenia. Jedno z nich było niewielkie i usytuowane nieco z boku. Wewnątrz również stały w rzędach ławki.

– Zostań tutaj – poprosiła chłopca. – Tu będziesz bezpieczny. Na pewno bardziej niż na otwartej przestrzeni. Ja idę obszukać kolejne sklepy.

– Po co? – zapytał.

– Może trafi się coś pożytecznego – odparła wymijająco, nie chcąc mu robić nadziei. – Musisz mi obiecać, że nigdzie się stąd nie ruszysz, słyszysz? – dodała, patrząc mu poważnie w oczy.

– Dobrze, obiecuję – potwierdził i zajął się głaskaniem szczeniaka.

Piesek nie spał już i zaczynał się niespokojnie kręcić. Niedługo zacznie popiskiwać, a potem drzeć się z głodu wniebogłosey. Nie tracąc czasu, Alex ruszyła w stronę pozamykanych lokali. Pierwszy, do którego postanowiła się dostać, był duży, znacznie większy od poprzedniego, z którego zabrała butelkę wina. Nie zawracała sobie głowy wyłamywaniem kraty. Nieopodal stały wysokie stołki barowe, otaczające drewniany kontuar. Wzięła jeden z nich i rozbiła szybę wystawową. Szkło posypało się z głośnym brzękiem. Uważając, by się nie skaleczyć o wystające odłamki, weszła do środka.

– No nieźle – powiedziała na głos i gwizdnęła z podziwem.

Sklep był po brzegi wypchany wszelką odzieżą. Nawet po tylu latach wciąż była cała i z pewnością mogła posłużyć im dzisiaj w nocy za postanie. Znalazła półkę z butami. Podniosła kilka na próbę. Jednym uderzyła o półkę. Trzymały się nieźle. Wzięła na próbę koszulkę z wieszaka. Strząsnęła kurz. Materiał wyglądał dobrze.

– Kim, do cholery, był Harry Potter? – rzekła na głos ze zdziwieniem. – Przewodniczącym Rządu Światowego? Nie... za młody. Pewnie jakiś starożytny gamer.

Z mocnym postanowieniem, że wróci tu później, Alex włożyła na głowę czapkę z daszkiem z dziwnym obrazkiem postaci w wielkim czarnym hełmie i poszła w stronę zamkniętej restauracji. Musiała być spora, bo zajmowała kilka kolejnych szklanych okien. Niewiele było widać z zewnątrz. Alex zbiła kolejną witrzynę. Pograżone w półmroku stoliki były uporządkowane, a krzesła równo poustawiane. To dawało pewne wyobrażenie o sposobie

ewakuacji lotniska. Musiała zostać ogłoszona odpowiednio wcześniej i przebiegała w spokoju. Drugą ewentualnością było to, że do terminalu nie wpuszczono nikogo po bombardowaniu i nieuchronnym wybuchu paniki.

Z lewej strony umieszczono długi kontuar, ale to nie jego szukała Alex. Odczekała, aż oczy przywykną do półmroku, i poszukała drzwi prowadzących na zaplecze. Jeśli miała znaleźć jakieś zapasy, to właśnie tam. Wejście na tyły restauracji dostrzegła tuż obok wysokiej szklanej witryny. Kiedyś pewnie leżały w niej jakieś przysmaki. Teraz naczynia były ledwie widoczne pod warstwą kurzu. Alex przeszła za kontuar i ostrożnie popchnęła drzwi. Ustały bez oporu. Tak jak się spodziewała, za nimi był pograżony w mroku korytarz. Odczekała chwilę, nasłuchując, ale nie weszła do środka. Rozejrzała się po restauracji. Na niektórych stolikach stały świece. Znała je z bloku Hansa. On sam ich nie palił, oszczędzał na szczególne okazje, ale wyjaśnił Jerry'emu, do czego służą. Alex wzięła jedną do ręki. Zastanawiała się, jak ją podpalić. Rozejrzała się dookoła. Pod ścianą stał bufet, a na nim kolejnych kilka świeczek. Jeśli to stąd roznoszono je po sali, to była nadzieja, że znajdzie tam coś do zapalania. Alex nie miała doświadczenia z otwartym ogniem. Właściwie pierwszy raz spotkała się z nim u Hansa, który uzyskiwał iskry za pomocą hubki i krzesiwa. W Obszarze Ameryka 5 był całkowity zakaz używania ognia i, prawdę mówiąc, nikt nawet nie próbował go łamać. Ogień nie był nikomu do niczego potrzebny. Przynajmniej zwyczajnym obywatelom. Nie wiedziała, jak to jest u nadrodowców, którzy przecież słynęli z hipokryzji, czego dobitnym dowodem był Jack O'Brian.

Alex podeszła do bufetu i przeszukała szuflady. W jednej z nich znalazła plastikowy przedmiot z przyciskiem. Nacisnęła go, ale nic się nie wydarzyło. Sięgnęła do drugiej szuflady i wyjęła małe beżowe pudełko. Zdziwiała, że przetrwało. Na bokach miało chropowate w dotyku paski. Otworzyła je. W środku leżały patyczki z zielonymi łebkami. Wyjęła jeden i obwąchała. Z niczym jej się to nie kojarzyło. Potarła od niechcenia patyczkiem o szorstki pasek. Zielona główka lekko zadymiała i rozszedł się smród. Zaskoczona Alex rzuciła drewnienko na ziemię, ale natychmiast zrozumiała, do czego służy. Wyjęła kolejny patyczek i potarła mocniej. Drzazga zapaliła się jasnym płomieniem i Alex natychmiast podsunęła go do knota. Świeczka zaskwierczała ostrzegawczo, ale rozpałała się po chwili.

– No to w drogę! – szepnęła do siebie i osłaniając dłońią migotliwy płomynek, weszła w głąb korytarza.

Na szczęście nie był długi i kończył się dużym pomieszczeniem kuchennym. Alex znalazła drzwi, które prowadziły do magazynu. Ośmielona poprzednimi sukcesami weszła do środka i natychmiast się wycofała, sycząc z obrzydzenia. Za drzwiami roilo się od ogromnych karaluchów, które zaczęły się w panice rozbiegać, rozdzielając się na obrzydliwe czarne strumienie. Alex wskoczyła na metalowy blat i gwałtownie połykając ślinę, próbowała powstrzymać odruch wymiotny. Strumienie insektów zdawały się nie mieć końca. Kobieta wyciągnęła przed siebie świeczkę i przechylając głowę, starała się zajrzeć do ciemnego magazynu. Na niewiele to się zdało. Alex wiedziała, że za nic tam nie wejdzie. Nawet jeśli będzie musiała zastrzelić konającego z głodu szczeniaka, to z pewnością nie odważy się wejść do pomieszczenia pełnego pulsujących chitynowymi pancerzykami odrażających karaluchów.

Odwróciła się i próbowała dojrzeć sąsiednią ścianę w chybliwym świetle świecy. Zdawało się, że widzi tam szeregi półek. Przeszła na sąsiedni blat zastawiony patelniami.

Strąciła je butem. Spadły na ziemię z ogłuszającym łoskotem. Kolejna fala owadów wypadła spod szafek i pobiegła w sobie tylko znanym kierunku.

– Kurwa mać – zakłęta pod nosem Alex i cofnęła się o krok w głąb blatu.

Zahaczyła nogą o zlew i wpadła do niego, uderzając się w bark. Przez chwilę leżała oszołomiona bólem, ale wyobraziła sobie kolejną lawinę insektów i natychmiast poderwała się do pionu, rozcierając ramię. Upuszczona świeczka ledwie się tliła.

– Nie, proszę cię, nie! – szepnęła Alex i podniosła ją ostrożnie.

Świeczka zaskwierczała i prawie całkiem zgasła, ale po chwili rozpalila się ponownie. Kobieta spojrzała na podłogę. Maszerowały nią pojedyncze karaluchy, ale posadzka była doskonale widoczna. Alex ostrożnie zsunęła się z blatu i podeszła do półek. W końcu znalazła puszkę. Stały w równych szeregach, ale część była nieszczelna. Spod spuchniętych wieczek wydobywał się zaschnięty, czarny ślad. Patrzyła wnikliwie i w końcu znalazła to, po co przyszła. Kilka puszek skondensowanego mleka z pewnością nie trzymało daty ważności, ale było to lepsze niż strzał w głowę szczeniaka. Alex troszczyła się o zwierzaka, ale bardziej o Jerry'ego. Jeśli chłopiec będzie nieszczęśliwy, to w żaden sposób nie namówi go do współpracy. A mieli zadanie do wykonania.

Zgarnęła trzy puszki z mlekiem i dwie z fasolą w sosie pomidorowym. Miała nadzieję, że zawartość będzie się do czegośkolwiek nadawała. Poupychała trofea po kieszeniach. Prawie zwymiotowała, gdy karaluchy pękały z trzaskiem pod jej stopami. Wypadła do restauracji, a z niej na korytarz. Wróciła do sklepu z ubraniami i nabrała tyle rzeczy, ile tylko była w stanie. Do szklanego boksu, w którym zostawiła Jerry'ego, wpadła w ostatnim momencie. Chłopak szlochał, a szczeniak skamlał przeraźliwie.

– Hej, Jerry, wszystko będzie dobrze – powiedziała Alex, wyciągając puszki.

Otworzyła tę ze skondensowanym mlekiem i powąchała je uważnie. Wydawało się, że nie jest zepsute. Rozcieńczyła zawartość wodą ze studni Hansa i wręczyła dzieciakowi. – Musisz mu to podać. Jest bardzo głodny – wyjaśniła. – Najlepiej nasączaj kawałek materiału. Oderwę z koszulki – zaproponowała i zaczęła się mocować z połyskującą tkaniną z napisem „Star Wars”.

Jerry podał szczeniakowi szmatkę, a ten natychmiast zaczął ją łapczywie ssać. Alex odetchnęła z ulgą. Przynajmniej ten kryzys udało się zażegnać. Ominęła stos ubrań i podeszła do panoramicznego okna. Wcześniej nie miała czasu, by choćby rzucić okiem na płytę lotniska. Było opustoszałe. Nie licząc różnych maszyn nieznanego przeznaczenia, stojących w przypadkowych miejscach, zobaczyła tylko jeden samolot. Stał samotnie w pewnym oddaleniu i połyskiwał w popołudniowym słońcu. Alex pomyślała, że chętnie się przyjrzy maszynie z bliska, ale to będzie musiało poczekać do jutra. Odwróciła się i spojrzała na Jerry'ego. Karmił z zapalem pieska, a na jego twarzy w końcu zagościł uśmiech. Oderwany od sieci był po prostu małym, zwyczajnym chłopcem. Poczula wyrzuty sumienia, że chce mu tę beztroskę odebrać. Przemknęła jej przez głowę myśl, że może uda im się zamieszkać na lotnisku, polować na króliki i unikać watah. Tylko jak długo? Alex westchnęła ciężko. Jutro musi przeszukać cały obiekt i znaleźć sposób na kontakt ze światem.



Mary Sue otworzyła oczy i przez chwilę nie rozumiała, co się dzieje. Leżała w łóżu, ale nie sama. Obok niej spała naga Fumiko, tylko częściowo nakryta kołdrą. W pokoju było prawie jasno, zaczynał się świt.

Niczego nie pamiętała, ale sceneria mówiła sama za siebie. Spędziła noc z ulubienicą Felicji. I zarazem doznała najdłuższej jak do tej pory amnezji. Nie pamiętała kilkunastu godzin i coraz mocniej ją to przerażało. Zrozumiała, że ma naprawdę mało czasu. Co się stanie później? Przystanie istnieć, a jej mózg przejmie osobowość Felicji?

Mary Sue odczuła bezsilną złość. Najpierw zabrali jej ciało, a teraz chcą odebrać myśli i wspomnienia. Już teraz czuła, że umyka jej coraz więcej spraw. Pamiętała o dzisiejszym spotkaniu z Jordanem. To musiała pamiętać. Czepiała się kurczowo myśli, że chłopak jej pomoże. Co, jeśli do wieczora zapomni także o tym? Skóra jej ścierpła na samą myśl.

Wstała ostrożnie, starając się zachowywać jak najciszej. Nie chciała obudzić Fumiko. Oczywiście nie ze względu na komfort jej snu. Zwyczajnie nie umiałaby jej spojrzeć w oczy. Odczuwała kaca moralnego, choć przecież podczas seksu, którego nie pamiętała, ale do którego z pewnością doszło, nie była z Fumiko ani ciałem, ani myślą. To wszystko było tak złe i pogmatwane, że chociaż zażenowania chciała sobie oszczędzić. Włożyła szlafrok i wyszła na palcach z sypialni. Zaszła się w gabinecie, zajęła studiowaniem kolejnych dokumentów Felicji i nie wychodziła z pomieszczenia przez kolejne godziny w nadziei, że Fumiko sobie poszła.

Trzy godziny później rozległo się ciche pukanie.

– Proszę! – powiedziała Mary Sue.

Miała nieomal pewność, że to Fumiko, więc mile się zdziwiła, widząc Gwen.

– Przyniosłam pani śniadanie – odezwała się nieśmiało dziewczyna. – Wiem, że miałam się pani nie pokazywać na oczy, ale nikt nie pomyślał, że może trzeba przynieść jedzenie. W całym domu chaos... – Umilkła, mitygując się w myślach, że może za dużo mówi.

– Jaki chaos? – zdziwiła się Mary Sue. – O czym ty w ogóle mówisz?

– Wszyscy biegają w popłochu, co chwilę też zagląda ten pani asystent, ale powiedziałam, że nie wolno pani budzić ani niepokoić, bo sama pani mi tak wczoraj powiedziała – plątała się służąca.

– Wysłówże się wreszcie! – krzyknęła na nią. – Co się właściwie wydarzyło?

– To pani nie wie? – zdziwiła się dziewczyna i widząc jej wściekłą minę, zaczęła tłumaczyć pospiesznie. – W holowizji powiedzieli, że przewodniczącego Wordswortha ktoś zamordował w jego własnym domu!

Mary Sue zaniemówiła. Czy to możliwe? Od tak długiego czasu marzyła o tym, żeby usłyszeć te słowa, a teraz, gdy podły sukinsyn nie żył, ona nie odczuwała z tego tytułu żadnych emocji.

– Wołaj asystenta na górę – zarządziła. – Oczekuję go w salonie za pięć minut. Najpierw sprawdź, czy w apartamencie nikogo nie ma, a jeśli jest, niech go natychmiast opuści. Chcę

porozmawiać z asystentem w cztery oczy.

– Ale pani strój – zaprotestowała nieśmiało Gwen.

– Rząd się wali, a ty mi będziesz kieckami dupę zawracać?! – huknęła Mary Sue.

Dziewczyna okręciła się na pięcie i uciekła z gabinetu.

Asystent zmaterializował się w apartamencie, zanim Mary Sue zdążyła usiąść na kanapie. Był czerwony na twarzy i miał urywany oddech.

– Pani sekretarz, to niebywałe po prostu – wysapał. – Kto śmiał?!  
– Ktoś, komu zależy na obaleniu rządu – odparła pogodnie.

– Ale to przecież niedorzeczne! Kto chciałby obalić...  
– Jakieś parę miliardów ludzi na początek – powiedziała z uśmiechem. – Ale nie o pragnienia tu chodzi, tylko o wymierną korzyść. Temu, kto to zrobił, nie zależało na zemście, jedynie na wywołaniu chaosu. Do tego jest człowiekiem na tyle potężnym, że potrafi zmusić państwową holowizję do opublikowania druzgoczących informacji bez autoryzowania ich przez rząd – dodała, ciesząc się w duchu, że dobrze odrobiła lekcję. – Bo przecież nikt z rządu nie pozwolił na przeciek do mediów?

– Nie, oczywiście, że nie – potwierdził gorliwie asystent, wpatrując się w nią z podziwem. – Przynajmniej tak mi się wydaje.  
– Ten, kto to zrobił, z pewnością osiągnie cel – powiedziała z zadumą.  
– Myślę, że szybko dowiemy się, kim jest – odparł asystent, ale jego głos nie brzmiał zbyt dziarsko. – Za godzinę zaczyna się nadzwyczajne posiedzenie rządu – dodał, zmieniając temat.

Mary Sue zakłęła w duchu. Dlaczego to wszystko musi się dziać właśnie dzisiaj? Pocięła się w myślach, że do wieczornego spotkania z Jordanem zostało jeszcze mnóstwo czasu. Starła się być pełna optymizmu. Przecież z perspektywy przeciwników rządu ostatnie wydarzenia były jak najbardziej pozytywne. A Wordsworth dostał to, na co zasłużył. Poza tym chaos był kobiecie na rękę. W całym tym zamieszaniu może będzie jej łatwiej wprowadzić przyjaciół niepostrzeżenie do rezydencji.

Trzy godziny później musiała zmienić zdanie. Wyszła z posiedzenia w towarzystwie wzmocnionej straży osobistej po tym, jak dziewięciu obecnych członków wybrało ją jednogłośnie na stanowisko przewodniczącej Rządu Światowego.



Jordan uznawał te niespełna dwa dni spędzone w domu Viki za najszcześniejsze chwile w życiu. I nawet nie chodziło o seks, choć ten był absolutnie cudowny. Po raz pierwszy od śmierci matki czuł, że komuś na nim bezinteresownie zależy. Vika była ciepłą, mądrą dziewczyną, która otworzyła przed nim serce i dom. Nie padły między nimi żadne wielkie słowa ani tym bardziej deklaracje. Jak by mogły po dwóch dniach znajomości? Ale takie rzeczy zwyczajnie się czuje. I Jordan wiedział, że jej na nim zależy. Z wzajemnością. Tym trudniej było się rozstać. Vika nie miała świadomości, że nie zobaczą się pewnie przez jakiś czas. Myślała, że Jordan uda się do

kosmodromu, a później wróci do niej. Lecz on zbyt dobrze znał ojca. Jeśli nie uda mu się po dobroci, siłą zaciągnie go na tę swoją prywatną Arkę. Przynajmniej taki scenariusz zakładał profesor. I w sumie tak przedstawiał się plan. Miał stamtąd szpiegować ojca i donosić profesorowi o jego poczynaniach.

– Będę czekała – szepnęła Vika, żegnając się z nim.

Wszyscy mieli niewesołe miny i ze zdenerwowaniem czekali na swoje zadania. Sara była bardzo blada, profesor niezwykle poważny, Allie zaś cichutka i zatopiona we własnych myślach.

– Trzymaj się, stary – powiedział Max i mocno uściśnął dłoń Jordanowi.

– Pamiętaj – pouczył go profesor. – Nie ryzykuj niepotrzebnie. Jeśli coś wyda ci się podejrzane, natychmiast zwiewaj. Nawet nie podchodź do kosmodromu.

– Pa, Jordan! – zaświergotała Allie i wycisnęła mu na policzku soczystego całusa.

– Pa, Allie! – odparł, niezdarnie głaszcząc ją po głowie.

Sara rzuciła mu się w ramiona, dzielnie powstrzymując łzy.

– Trzymaj kluczyki! – zawołała Vika. – Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci różowy kolor autolotu mojej matki – dodała, uśmiechając się blado.

– Jest niezwykle stylowy – roześmiał się. – Podziękuj mamie za pożyczkę.

– Musiałaby o niej wiedzieć! – parsknęła Vika.

Jordan uściśkał ją ostatni raz i nie oglądając się na resztę przyjaciół, wyszedł z domu. Bał się, że jeszcze chwila i zmieni zdanie. Zaciśnął więc zęby i podszedł do kuriozalnego różowego autolotu. Na jego szybach co jakiś czas wyświetlały się małe serduszka. Parsknął śmiechem i pospiesznie wsiadł do środka. Tutaj przynajmniej serduszek nie było widać. Wyjechał z podjazdu i skierował się w stronę bramy. Vika uspokoiła go wcześniej, że pojazdy wyjeżdżające nie są sprawdzane, ale Allie na wszelki wypadek obiecała czuwać. Nie było takiej potrzeby. Jordan bez problemu wyjechał z osiedla nadrodowców i wzbil się na powietrzny pas prowadzący do kosmodromu. Wywołał połączenie z ojcem. Zgłosił się natychmiast.

– Jesteście na miejscu? – zapytał, nie zaprzatając sobie głowy słowami powitania.

– Jestem w drodze – odparł. – Będę za jakieś dwadzieścia minut.

– Ale sam? – drążył ojciec. – Nie ma z tobą tej małej dziewczynki?

– Jest – warknął Jordan. – Widzę, że bardziej się przejmujesz nią niż mną.

– Nic podobnego – obraził się generał. – Wgrywam ci kody wejściowe. Niczego nie musisz robić. Wszystkie bramki będą się automatycznie otwierać.

– Co z robotami? – zapytał rzeczowo chłopak. – Mam status poszukiwanego.

– Już nie masz, dziewczynka też nie – odparł zadowolony Jack. – Po śmierci tego łajdaka Wordswortha tylko ja mam uprawnienia do nadawania i odwoływania statusów. To znaczy, dopóki trwa ten chaos. Później rada się połapie i jakoś to ureguluje.

Gdyby Jordan miał jeszcze jakieś wątpliwości, kto stoi za likwidacją przewodniczącego, to teraz musiałyby się rozwiać. Nie żałował zamordowanego, bo jak żałować największego łajdaka, jakiego nosiła ta planeta? Bolało to, że jego ojciec jest zdolny do takich rzeczy.

– Jesteś tam jeszcze, synu? – zapytał generał.

– Jestem.

– Kocham cię, synu!

– Ja ciebie też – bąknął pod nosem Jordan i przerwał połączenie.

Wkrótce tuż przed nim wyrósł kosmodrom Freedom. Chłopak zniżył lot, zaparkował różowy autolot na parkingu i poszedł w stronę budynku. Bez najmniejszego problemu wszedł do środka.



Generał O'Brian wyszedł z domu pod kopułą i udał się do laboratorium Elli. Kobieta z wypiekami na twarzy miotła się pomiędzy kilkoma słupkami wykresów, jakie wyświetlały się nad blatem.

– Jak się czują? – zapytał Jack, wskazując brodą biomodów.

– Wszystko w normie. Są gotowi do podłączenia – wyjaśniła rzeczowo.

– Niech w żadnym wypadku nie próbują szukać Allie Mc Anderson!

– Skąd więc będziemy mieć pewność, gdzie się znajduje?

– Niech cię o to głowa nie boli! – powiedział Jack i podszedł do drzwi. – Zaczynamy równo za piętnaście minut.

– Oczywiście, panie generale!

O'Brian wyszedł z kokpitu i skierował się do mieszkalnej części Arki. Minał mostek, nie zaszczyciwszy nawet spojrzeniem swojego zastępcy Gonzalesa, i przez pola upraw hydroponicznych dotarł do swojego prywatnego lasu. Zaszły się w nim i przez chwilę zwalczał pokusę, by po prostu położyć się na mchu i poobserwować gwiazdy wiszące nad szklanym sklepieniem. Niestety na to nie mógł sobie pozwolić. Wszedł do domu z bali i nad stołem w salonie wywołał ogromne holo Ziemi wraz ze sztucznymi satelitami. Na samym środku widniały czerwone liczby odliczające czas do zera. Obecnie pozostawało niewiele ponad osiem minut.

Zamyślił się nad splotem tych wszystkich okoliczności, które przywiodły go w to miejsce i przed ten hologram odliczania. Pierwszym bodźcem, by postawić się systemowi, była sprawa likwidacji Arki 15 przed kilkadziesiątoma laty. Nie mógł znieść, że w oczach Felicji Lawrance jest wyłącznie pachółkiem od brudnej roboty. W końcu to on musiał wydać komendę głosową, która uwolniła pociski i zlikwidowała obiekt wraz z mieszkańcami. Przeżył to okropnie, ale potem odrobił lekcję. Jakaż to była ironia losu! To, o co wtedy się zżywał, teraz dawało mu ogromną przewagę. Arsenal Ziemi bez jego komendy głosowej mógł wyłącznie beczynnienie niszczyć w silosach. I minie bardzo dużo czasu, zanim znajdzie się ktoś, kto obejdzie zabezpieczenia. Nawet nie był pewny, czy mają kogoś aż tak dobrego. Pewnie mogliby się posiłkować biomodem, ale wszystkich oprócz małej Allie miał pod kontrolą. Zanim znajda hakera równie dobrego jak jego syn, też upłynie sporo czasu.

Między piątą a trzecią minutą odliczania wrócił myślami do pamiętnego weekendu na Key West. Powiedział synowi tylko część prawdy, a ta była taka, że pewnego razu podejrzął żonę, jak się pieprzyła z Wordsworthem. Nie zrobił jej awantury, uznał to za bezsensowne. Odczekał i namówił ich na ten wyjazd. Z olimpijskim spokojem obserwował spojrzenia, jakie

jego żona rzuca Eugene'owi. Tej samej nocy wypchnął ją z balkonu na ostre kikuty po wyciętych palmach.

Gdy licznik się wyzerował, a kosmodrom Freedom wraz z okolicznymi budynkami przeszedł do historii wskutek potężnej eksplozji wywołanej przez czternastu biomodów, generał tylko zacisnął szczęki. Pomyślał, że Jordan nawet nie musiał być jego synem. Przecież Katrin pieprzyła się z Wordsworthem nie wiadomo od jak dawna. Za Allie Mc Anderson też raczej nikt nie będzie tęsknił.

O'Brian zdławił wyrzuty sumienia i zaczął napawać się triumfem. Zniknął ostatni łącznik pomiędzy Arkami a Ziemią. Teraz mógł wypowiedzieć planecie wojnę. Generał podniósł się ciężko i poszedł na mostek, by zebrać zasłużone pochwały i burzę oklasków. Skandowali jego nazwisko. Apetyczna brunetka miała wypieki na twarzy i wpatrywała się w niego błyszczącymi oczami. Dziś w nocy pozwoli jej ukoić swój ból po stracie syna.



Rezydencja Felicji Lawrance zrobiła na nich ogromne wrażenie. Czaili się w mroku za krzakami, z niepokojem wpatrując się w strażników patrolujących okolice bramy wjazdowej.

– Nie mamy najmniejszych szans – szepnęła Vika. – Wewnątrz też aż się roi od ochrony i służby.

– Mary Sue na pewno coś wymyśliła – uspokoił ją Howard.

– Mamy jeszcze piętnaście minut, więc czekamy spokojnie – powiedział Max. – Allie, nie jest ci zimno?

– Nie, Max.

Pomimo tej deklaracji Sara okryła dziewczynkę połą swojej bluzy i pogłaskała po włosach. Allie przyłgnęła do boku opiekunki. Czuła się przy Sarze nieco bezpieczniej, choć i tak udzielało się jej zdenerwowanie dorosłych. Dziwiła ją też całkowita cisza w głowie. Nie było nawet najmniejszego szumu.

– Idzie – szepnął Max.

Allie zerknęła za ogrodzenie. W ich stronę szła energicznym krokiem obca pani w towarzystwie dwóch mężczyzn. Podeszła do budki wartowników i energicznie gestykułując, nakazała im otwarcie furtki.

– Miała być sama – zdziwił się profesor. – Nie wiem, czy w tej sytuacji powinniśmy się ujawniać.

– Patrzę na nią i widzę Felicję Lawrance – szepnęła Sara. – W głowie mi się nie mieści, że to może być Mary Sue.

– Wygląda dokładnie tak samo jak wtedy, gdy z nią rozmawiałam – wtrąciła Vika.

– To jest coraz bardziej podejrzane – powiedział Max i natychmiast umilkł.

– Jordan, jesteś? – rozległ się zduszony głos od strony furty.

Felicja Lawrance czy też Mary Sue Johnson wyszła w otoczeniu ochroniarzy poza teren rezydencji i stojąc w kręgu światła rzucanego przez latarnię, rozglądała się na wszystkie strony.



– Ja wyjdę – zdecydowała Sara.

– Jeśli już, to ja! – zaprotestował Max.

– Zna cię tylko z holowizji i może pamięta, że bywałeś w jej barze – storpedowała jego plan dziewczyna. – Panu, profesorze, też nie zaufa! Allie nie wysłemy, więc w zasadzie sprawa się rozwiązuje.

– To nie jest bezpieczne – zaoponował Max.

– Zgadza się i rozumiem ryzyko – powiedziała Sara. – Ale zakładając, że to jednak jest Mary Sue, to tylko mnie zaufa. Skoro Jordana tutaj nie ma – dodała z goryczą w głosie.

– Chyba zapomiecie o mnie – odezwała się milcząca dotychczas Vika. – Jeśli to pułapka, właśnie ja mam większe szanse, żeby się z niej wydostać, bo za mną nikt nie rozesłał listu gończego. Przewodnicząca mnie zna. W razie czego od razu uciekajcie, nie oglądając się na mnie. Spotkamy się w domu.

Z tym nie mogli dyskutować. Max uściśnął pokrzepiająco jej ramię, Vika przeszła zarośłami parę kroków i wyszła na chodnik z uniesionymi nieco w górę rękami. Sygnalizowała, że jest nieuzbrojona i nie ma złych zamiarów. Felicja Lawrance niecierpliwym ruchem dłoni osadziła strażników w miejscu i podeszła do Viki. Stały naprzeciwko siebie, cicho rozmawiając. Po kilku minutach Vika uniosła do góry rękę i zamachała. Nie patrzyła przy tym w stronę kryjówki przyjaciół, jakby chciała im przekazać, że jest bezpiecznie, ale sami muszą zdecydować, czy się ujawnić.

– Wydaje się, że wszystko jest porządku – powiedział profesor.

– Allie, wezmę cię na barana, dobrze? – zapytał Max. – Wiem, że już jesteś duża – dodał, widząc jej niezadowoloną minę. – Ale tak w razie czego będzie mi łatwiej z tobą biec.

Wyszli z ukrycia i podeszli do kobiet. Sekretarz Lawrance omiotła obojętnym spojrzeniem Maxa i profesora, po czym uśmiechnęła się szeroko do Sary.

– Jak miło cię widzieć, moja kochana! – przywitała się z nią serdecznie. – Gdzie jest Jordan? Black?

– Wszystko u nich w porządku, ale nie ma ich z nami – powiedziała pośpiesznie Sara, oddychając z ulgą. – Ci strażnicy... – zawahała się i zamilkła.

– Wszystko w porządku – uspokoiła ją Mary Sue. – Nie byłam w stanie się ich pozbyć. Przez zamieszanie z Wordsworthem mianowali mnie przewodniczącą na jego miejsce, więc odchodzą ode mnie na krok. Plusem jest to, że obecnie tu rządzą, więc jeśli chcę was zaprosić do rezydencji, nikt mnie nie powstrzyma – dodała pogodnie i natychmiast spoważniała. – Och, Saro, jestem taka bezmyślna. Przecież Wordsworth...

– Nie przejmuj się – mruknęła Sara. – Już przebolełam stratę.

– Nie stójmy tak dłużej – ponagliła ich Mary Sue. – Porozmawiamy wewnątrz.

Poszli za nią. Allie przez całą drogę milczała i tylko z otwartymi szeroko oczami oglądała ten piękny, olbrzymi dom. Dotychczas sądziła, że duże budynki, tak jak fabryka i klasztor, zawsze są brzydkie i nieprzytulne, ale ten był piękny. Weszli na piętro i dziewczynka z zachwytem spojrzała na długą, lśniąca poręcz schodów. Pomyślała, że można by było po niej zjeżdżać na sam dół. Weszli w korytarz, a w końcu zatrzymali się przed drzwiami.

– Zostaniecie tutaj – rozkazała strażnikom Mary Sue. – I nie wpuszczać nikogo do odwołania.

– Musimy obszukać wszystkich wchodzących, pani przewodnicząca – powiedział służbiście jeden z nich. – Takie procedury – wyjaśnił.

– Chyba zapominacie, kto tu rządzi – odparła ostro przewodnicząca.

– W porządku, pani Lawrance, niech robią swoje. Nie mamy nic do ukrycia – załogodził sprawę Max.

Gdy w końcu weszli do środka i pilot zamknął za wszystkimi drzwiami, na twarzy Mary Sue odmalowała się ulga.

– Dziękuję, że przyszliście – powiedziała. – Rozgoście się – dodała i wskazała dużą kanapę. – Powiedźcie, proszę, gdzie jest Jordan. To nie tak, że nie cieszę się na wasz widok, ale wydaje mi się, że tylko on może mi pomóc!

– Co się dzieje? – zapytał rzeczowo Howard.

Mary Sue opowiedziała im wszystko. W niektórych momentach jej historii czworo dorosłych jak na komendę kręciło z niedowierzaniem głowami. Gdy skończyła, wszyscy milczeli oszłomieni.

– Jordana tu nie ma, to prawda, lecz jest Allie – odezwała się w końcu Sara. – Kochanie, umiałabyś pomóc naszej przyjaciółce? – zwróciła się do dziewczynki.

Allie nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Wcześniej nie próbowała zaglądać do głowy tej obcej pani, bo Monica jej wytłumaczyła, że tak nie wypada.

– Dobrze, nie męczcie dziecka. – Mary Sue uśmiechnęła się blade. – Wrócimy do tego. Jordan wspominał w swojej wiadomości, że koniecznie musimy się spotkać tutaj, w rezydencji. Wiecie dlaczego?

– Wiemy – odparł Howard. – Mamy nadzieję znaleźć parę odpowiedzi na dyskach należących do Felicji Lawrance.

Opowiedział Mary Sue w skrócie o Wielkim Resecie i o mitycznej kopii zawartości starej sieci.

– Jeśli coś takiego rzeczywiście istnieje, to myślę, że gabinet Felicji jest najlepszym miejscem poszukiwań – powiedziała Mary Sue, zrywając się energicznie z kanapy. – Tylko powiedźcie, czego dokładnie mam szukać?

– Nie ty, tylko Allie – wyjaśniła Sara.

Na twarzy kobiety odmalowało się bezbrzeżne zdumienie. Tyle pytań w jej głowie jak dotąd nie doczekało się odpowiedzi. Nie wiedziała, dlaczego Sara trzymała się z tym przystojnym pilotem, gdzie podziewała się reszta Skorpionów i kim właściwie jest ta mała dziewczynka. Rozumiała, że to nie pora na pogaduszki o minionych czasach, więc zdusiła ciekawość i bez dalszej zwłoki zaprowadziła gości do gabinetu.

– Poczekajcie, zaraz to wszystko aktywuję, bo sami nie będziecie w stanie – powiedziała.

– Nie trzeba – obwieściła piskliwym głosem Allie. – Już wszystko włączone.

Dziewczynka przemaszerowała obok zszokowanej Mary Sue i umościła się wygodnie w fotelu.

– Panie profesorze – zapytała poważnie. – Jak to może wyglądać?

– Nie mam zielonego pojęcia. Na pewno jest ogromne.

Allie buszowała po prywatnych plikach Felicji Lawrance z ogromną łatwością. Ponieważ była w samym sercu systemu, nie musiała walczyć z wewnętrznymi blokadami. Poza tym w dalszym ciągu nie słyszała w głowie żadnych szumów ani krzyków, więc mogła się całkowicie skupić na zadaniu. Szukała potężnych plików, ale nie mogła przejść obojętnie obok ikony z wizerunkiem Sary. Zdziwiła się i pospiesznie zapamiętała zawartość folderu.

Metodycznie przeszukiwała potężne dyski, aż w końcu znalazła coś, co natychmiast przykuło jej uwagę. W czerwonej próżni, stanowiącej tapetę w ustawieniach Felicji Lawrance, unosiła się potężna postać tego śmiesznego kaczora, który nagle pojawił się w jej myślach, gdy walczyła z biomodami generała.

– Mam! – krzyknęła entuzjastycznie.

– Świetnie – ucieszył się profesor Howard. – Musimy to przetransferować do TakeIT. Viko, możesz podać Allie hasło dostępu?

– Oczywiście – potwierdziła gorliwie dziewczyna. – Hasło to: TakeIT1234.

Wszyscy w pokoju spojrzeli na nią z niedowierzaniem i równocześnie parsknęli śmiechem. Jedynie Allie zachowała powagę i patrzyła na nich z wyrzutem.

– Jak mam to wpisać? Przecież ja jeszcze nie znam wszystkich liter! – przypomniała im z wyrzutem.

Przez gabinet przeszła kolejna lawina śmiechu. Profesor otarł wierzchem dłoni załzawione oczy i próbował opanować chichot.

– Nikt się nie śmieje z ciebie, kochanie – zdołał z siebie wydusić i ponownie zaczął się śmiać.

Allie przewróciła oczami i wyświetliła na blacie biurka klawiaturę. Vika z namaszczeniem i przerysowaną dokładnością wpisała ciąg znaków i zatwierdziła enterem.

– Gotowe! – obwieściła dziewczynka. – Ale to będzie trwało pewnie długo, może całą noc.

– Możesz zablokować dostęp do komputera? Tak, żeby nikt nie spróbował przerwać transferu? – zapytał Max.

– Mogę – odparła pogodnie Allie i skupiła się na zadaniu.

Wrócili do salonu i Sara już otwierała usta, żeby przypomnieć o problemie Mary Sue, ale nie zdołała powiedzieć nawet słowa, bo rozegrało się jednocześnie kilka zdarzeń, które wyrzuciły ich dotychczasowy świat do góry nogami.

Do pokoju wdarł się jakiś mężczyzna i powiódł po zgromadzonych nieprzytomnym spojrzeniem.

– Zniszczyli kosmodrom! – wrzasnął. – Przed niespełną godziną była potężna eksplozja.

– Zamknij za sobą drzwi, asystencie – poleciła mu lodowatym tonem Mary Sue.

Sara spojrzała na nią zdziwiona nowym brzmieniem jej głosu. To ciągle była ta sama twarz, ale jej wyraz zmienił się nie do poznania. Mary Sue miała uniesiony dumnie podbródek, zaciśniętą ze złości szczękę, a w jej oczach widać było jawną pogardę dla mężczyzny. Ten potulnie zamknął drzwi i spojrział pokornie na kobietę. Ale ona już się nim nie zajmowała, tylko rozglądała się nienawistnym spojrzeniem po przyjaciółach.

– Ona się zmieniła – szepnęła Sarze do ucha Max i bezszelestnie doskoczył do Mary Sue.

Złapał ją od tyłu i mocno do siebie przycisnął, krępując jej ruchy. Potężną dłońią zasłonił jej usta.

– Co tu się, do cholery, dzieje?! – wrzasnął asystent.

Nie zdołał powiedzieć niczego więcej. Z ciemnego kąta pokoju wyskoczyła jakaś drobna kobieca postać i biorąc spory zamach, rozbiła mu na głowie trzymany w dłoniach duży wazon. Mężczyzna osunął się na ziemię z głuchym łoskotem.

– Kim jesteś? – wyjąkał zdumiony profesor, przygarniając do siebie przestraszoną Allie.

– Jestem Gwen. Słyszałam wszystko, o czym rozmawialiście – odparła dziewczyna, otrzępując dłonie. – Nie wydam was, ale musicie stąd szybko uciekać. Poddusi ją trochę, żeby straciła przytomność – zwróciła się do Maxa. – Do jutra z pewnością nie będzie tego pamiętała i zje jak zwykle śniadanie.

– Ona idzie z nami! – powiedziała z oburzeniem Sara.

– A jak to sobie wyobrażasz? Wyprowadzisz najpilniej strzeżoną babkę i po prostu odejdziesz? Zwiążemy ją i zakneblujemy, a potem wyprowadzę was stąd, mówiąc strażnikom, że ta wiedźma mi kazała – odparła kpiącym tonem Gwen.

– Właściwie dlaczego nam pomagasz? – zapytał Max.

– Powiedzmy, że w pewnym sensie jesteśmy po tej samej stronie – odpowiedziała dziewczyna.

Max, nie bez żalu, poddusił Mary Sue i ostrożnie położył na kanapie. Z pomocą Sary zakneblował kobietę i leżącego na podłodze asystenta, po czym związał ich sznurami od zasłon. Mężczyznę zaciągnął do przylegającej do pokoju sypialni i rzucił w kąt za komodą. Mary Sue położył na łóżku i okrył kołdrą.

– Nie ma czasu, zwijamy się – polecił reszcie.

W całym zamieszaniu nikt nie zwrócił uwagi na Vike, która siedziała jak skamieniała. Sara podeszła do niej i wyciągnęła w jej stronę dłoń.

– Jordan – powiedziała Vika. – Był w kosmodromie.

Pod Sarą ugięły się nogi. Wszyscy wyglądali na zszokowanych. Wcześniej nikt nie miał czasu na skojarzenie prostych faktów, ale teraz dotarło do nich z pełną mocą znaczenie słów Viki.

– Ruszcie się! – rzuciła Gwen. – Strażnicy w końcu się pokapują, że coś nie gra!

Ocknęli się w jednej sekundzie i jak automaty poszli za dziewczyną. Ta wyprowadziła ich z pokoju i zmierzyła zuchwałym spojrzeniem strażników.

– Pani przewodnicząca poleciła mi odprowadzić gości, a wam nie ruszać się stąd aż do odwołania – powiedziała zadziornym tonem.

– A skąd ty się tam wzięłaś? – zdziwił się jeden ze strażników. – Jakoś nie widziałem, żebyś wchodziła.

– A może po prostu nie musiałam wchodzić, bo byłam w środku? – odparła Gwen z szyderczym śmiechem. – Może po prostu pani przewodnicząca lubi mnie mieć przy sobie? – dodała, sugestywnym gestem klepiąc się w pośladek.

Strażnik wyraźnie się zmieszał i odwrócił wzrok.

– Idźcie już – powiedział tylko i zapatrzył się w ścianę.

Nie niepokojeni dotarli do bramy, gdzie pilnujący wejścia strażnicy nie robili żadnych trudności i wypuścili ich na ulicę.

– Jak ci się odwdzięczymy, Gwen? – zapytała szeptem Sara.

– Nigdy nikomu o tym nie wspominając – odparła.

– Uciekaj z nami, przecież skojarzą, że nam pomogłaś!

– Ja chodzę własnymi ścieżkami – odparła dziewczyna i poszła pospiesznie w dół ulicy.

Grupa przyjaciół ruszyła w przeciwną stronę. Po kilku minutach dotarli do zaparkowanego w bocznej uliczce autolotu Viki. Dziewczyna nie była w stanie prowadzić. Trzęsła się jak galareta i była bardzo blada. Wszyscy trzymali się kiepsko, ale ona zdecydowanie najgorzej. Max poprowadził maszynę. Przez całą drogę nie padło ani jedno słowo.

Alex otworzyła oczy. Obudziło ją popiskiwanie pieska. Jerry twardo spał wtulony w stertę ubrań. Na zewnątrz było już jasno.

– Obudź się, Jerry – powiedziała półgłosem. – Trzeba nakarmić szczeniaka.

Mruknął coś niezrozumiale i przewrócił się na drugi bok, lekko przygniatając pieska. Ten pisnął głośno i chłopak zaraz otworzył oczy.

– Co się stało? – zapytał zdziwiony, dotykając dłońmi klatki piersiowej. – Dlaczego jestem cały mokry?

– Pewnie twój pupil cię obsikał przez sen – zaśmiała się Alex.

– Co? Faj! Ohyda! Musiał na mnie?

– Jemu przecież wszystko jedno!

– Do gniazda też by sikał?

– No pewnie. I kupę też by zrobił – powiedziała, tłumiąc śmiech.

– I tak by leżał w tym?

– Ależ skąd! Suka by sprzątnęła.

– Ale jak? – zdziwił się chłopiec.

– Językiem! – powiedziała Alex i roześmiała się na głos.

Jerry'ego aż zatrzęśło z obrzydzenia, ale dzielnie nic nie powiedział, tylko sięgnął po popiskującego szczeniaka.

– Daj, potrzymam go i nakarmię – ulitowała się nad nim Alex. – A ty się przebierz. Czemu jak czego, ale koszulek nam nie brakuje.

Jerry natychmiast zdarł z siebie przemoczone ubranie i wciągnął przez głowę koszulkę z napisem „Metallica”.

– Alex, jeśli uda nam się dostać do sieci, to właściwie kogo chcesz zawołać na pomoc? – zapytał po chwili wahania. – Ludzie są źli. Wydadzą nas generałowi.

– Nie wszyscy ludzie są źli, Jerry – odparła. – Spróbujemy odszukać ludzi, którzy już kiedyś mi pomogli.

– Oni są dobrzy? – zapytał cicho.

– Tak, są dobrzy – potwierdziła z przekonaniem.

– I co im powiemy?

– Nie wiem – odparła z rozbijającą szczerością i wsunęła szmatkę nasączoną mlekiem do pyszczki szczeniaka. – Jerry? A myślałeś już, jak chcesz go nazwać? – spytała po chwili.

– Nie. Zupełnie o tym zapomniałem! – powiedział ze zdumieniem i zaczął intensywnie myśleć.

– Nie musisz przecież teraz – roześmiała się Alex. – Zbieraj się. Zjemy coś, a potem mamy mnóstwo rzeczy do roboty.

Obeszli cały terminal w nadziei, że znajdą jakiegokolwiek urządzenie, w którym Jerry wychwyci obecność sieci. Niestety za każdym razem chłopiec kiwał przecząco głową. Alex była bliska rozpaczy. Traciła nadzieję, że uda im się stąd wydostać. Wyszła przed terminal. Dzień był bardzo pochmurny, ale nie padał deszcz. Jak okiem sięgnąć nie było widać kawałka trawy, na której mogłaby ustrzelić jakiegoś królika. Za wielopiętrowym, rozległym budynkiem dostrzegła wysoką wieżę. Górowała nad okolicą i przykuwała spojrzenie. Z miejsca, gdzie stali, widać ją było tylko częściowo. Alex szacowała odległość na nie więcej niż paręset metrów.

– Chodź, Jerry, pójdziemy na małą wycieczkę – powiedziała. – Może wieża przyniesie nam jakieś odpowiedzi.

Chłopiec bez protestu ruszył za nią. Szczeniaka trzymał w pomysłowym nosidelku, jakie zrobił z koszułek z pomocą Alex, więc dopóki pies spał, właściwie nie trzeba było się nim zajmować. Jerry szedł obok opiekunki, zastanawiając się, jak dać psu na imię. Czuł, że to jest ważna sprawa i musi ją gruntownie przemyśleć. Nic sensownego nie przychodziło mu do głowy. Gdy w końcu stanęli pod wieżą, nadal niczego nie postanowił.

– Zobacz! Jest ogromna! – powiedziała Alex i zadarła głowę. – Nie mam pojęcia, ile ma metrów, ale trochę się zasapiemy, zanim na nią wejdziemy.

W czasach działającego zasilania sprawa byłaby prosta. Wjechaliby windą, i tyle. Teraz zostawała wspinaczka po pnących się wysoko w górę schodach. Dobrze, że przynajmniej je zabezpieczono metalową siatką. Konstrukcja sprawiała solidne wrażenie. Nie było też na niej zbyt wielu śladów rdzy. Szli, dysząc ciężko, i co parę minut zatrzymywali się na odpoczynek. Z każdym metrem Alex wpadała w coraz większe przygnębienie. Im wyżej się wdrapywała, tym większy teren mogła obejrzeć z góry. Nie zauważyła żadnych śladów cywilizacji oprócz wszechobecnych opuszczonych domów porośniętych roślinnością. Gdy udało im się wejść na samą górę, Alex pchnęła drzwi. Ustąpiły nie bez trudu. Wewnątrz stały w rzędzie wygaszone, zakurzone monitory i parę bardzo starych, prymitywnych lornetek.

– Jerry, wyczuwasz sieć? – zapytała z nadzieją.

– Nie – odparł chłopiec.

Ostatnia nadzieja zgasła. Jeśli tu, na tak dużej wysokości, chłopiec nie wychwytywał żadnego sygnału, to sprawa była przegrana. Alex rozejrzała się po okolicy. Jak okiem sięgnąć nie było niczego, co dawałoby choć cień nadziei na wyrwanie się z tego miejsca. Wylącznie zarośnięte domy, a dalej spalone kwartały. Z tej perspektywy okazało się, że pożoga objęła bardzo dużą część miasta. Hans miał ogromne szczęście, że ominęła jego blok. Czarne, zarośnięte w dużej mierze wypalenia ciągnęły się kilometrami. Alex przeszła na drugą stronę i przez chwilę oglądała płytę lotniska oraz dwa betonowe pasy. Samolot, który wypatrzyła wczoraj, z tej odległości wyglądał jak ulubiona zabawka chłopca. Zerknęła z ukosa na małego. Zdawał się niczym nie przejmować i spokojnie chrupał ogórka z ogródka Hansa.

– Nic tu po nas, Jerry – powiedziała zrezygnowanym tonem.

– Dokąd idziemy? – zapytał.

– Wracamy na lotnisko.

Rzuciła okiem na lornetkę i pod wpływem impulsu przystawiła ją do oczu. Pomyślała, że zobaczy z bliska dom Hansa. Wodziła chwilę szklami po ulicach, nie mogąc się do końca zorientować w topografii spalonego miasta. Nie udało jej się znaleźć bloku przy Ludwig-Beck StraÙe, ale jej uwagę przykuło coś innego. W okolicach torowiska, nieopodal portu lotniczego, przemieszczała się ogromna wataha psów. Szła w ich kierunku. Nie wiedziała, czy przyjdą aż

tutaj, ale nie zamierzała niczego zostawiać przypadkowi. W pierwszej chwili zdziwiła się, że poruszają się w samo południe. W grę wchodziły dwa wyjaśnienia. Albo przed czymś uciekały, albo zwyczajnie nie przeszkadzało im przytłumione światło pochmurnego dnia. Jeśli to drugie wyjaśnienie było prawdziwe, mieli wielkie szczęście, że podczas wyprawy na lotnisko świeciło ostre słońce.

– Spadamy stąd! – popędziła chłopca.

Przewiesiła przez ramię pasek lornetki i pociągnęła Jerry'ego w stronę schodów. Schodzenie było zdecydowanie mniej męczące niż mozolne wspinanie się, ale i tak zdrowo się zasapali, zanim dobiegli do drzwi terminalu. Zasunęli je za sobą, po czym Alex dodatkowo zabarykadowała je rzędem krzeselek, co było o tyle bezsensownym działaniem, że takich samych wejść było kilka. Wątpiła, by psy umiały je otworzyć, ale niewykluczone, że znajdują inne sposoby. Gorączkowo myśląc, co powinna zrobić, przypomniała sobie o opuszczonym samolocie. Jeśli tylko udałoby im się dostać do środka, tam z pewnością przetrwaliby przemarsz watahy. Z dużym prawdopodobieństwem psy nawet by ich tam nie wyczuły.

– Może powinniśmy byli zostać na wieży? – zapytała retorycznie.

Jerry spojrział na nią ze zdziwieniem.

– Może tam byśmy byli bezpieczni – wyjaśniła.

Formułując tę myśl, w zasadzie od razu wiedziała, że podjęła dobrą decyzję. Nie miała pojęcia, czy i jak długo musieliby czekać, a na górze nie mieli żywności ani wody. Poza tym wprawdzie niewiele wiedziała o psach, ale na pewno potrafią chodzić po schodach.

– Jerry, biegnijmy do naszej wczorajszej sypialni i zbieramy nasze graty, szybko! – poleciła.

– Dokąd idziemy?

– Spróbujemy się schować w samolocie – odparła.

Objuczeni plecakami i ubraniami, z którymi Jerry za nic w świecie nie chciał się rozstać, ruszyli na piechotę w poprzek płyty lotniska. Samolot z każdą chwilą stawał się coraz większy. Tkwił w otoczeniu maszyn, których przeznaczenia nie znała. Wszystko to sprawiało wrażenie, jakby zostało porzucone w ostatniej chwili. Alex podniosła głowę i zobaczyła, że samolot ma uszkodzone skrzydło.

– Dlatego tu został – mruknęła pod nosem.

Wkrótce co innego zaprzętnęło jej myśli. Wejście do samolotu było tak wysoko, że nie mieli najmniejszych szans, by się do niego wdrapać o własnych siłach. Bliska załamania kopnęła dziurawą oponę koła przedniej goleni.

– Alex! Zobacz! – zawołał Jerry. – Tu coś jest!

Podeszła i przyjrzała się spodowi kadłuba w miejscu, które wskazywał chłopiec. Prostokątny kształt był jakimś włazem. Alex pociągnęła za rączkę i bez większego wysiłku otworzyła klapę. Z szarpnięciem wysunęła drabinkę.

– Jerry, jesteś genialny! – powiedziała. – Zaraz wejdziemy. Aż tak nam się chyba nie spieszy. Ale bagaże lepiej wrzucmy od razu, dobrze?

Chłopiec usłuchał bez dyskusji. W pierwszej kolejności podniósł z ziemi torbę z puszkami skondensowanego mleka. Bardziej dbał o potrzeby szczeniaka niż o swoje, a to świadczyło o sporej wrażliwości. Alex pogratulowała sobie w duchu, że darowała zwierzakowi życie. Podniosła plecak i dostrzegła dziwne urządzenie. Było w kształcie prostopadłościanu i osadzone na czarnych oponach, kompletnie sflaczałych. Miejscami były wtopione

w nawierzchnię. Nie to ją jednak zaintrygowało. Od urządzenia ciągnął się w stronę kadłuba gruby, pomarańczowy kabel. Pomimo upływu tyłu lat wyglądał zaskakująco dobrze. Alex poszła jego tropem do boku samolotu. Kabel kończył się czarną wtyczką. Wyciągnęła ją ostrożnie i przyjrzała się sześciu wystającym z niej bolcom. Odwróciła się i ponownie przyjrzała urządzeniu na sflaczałych oponach. To musiał być jakiś prymitywny system zasilania. Poczula, jak zaczęło jej mocniej bić serce. Wetknęła wtyczkę tam, skąd ją wyjęła, i podeszła do maszyny.

– Nie mam pojęcia, jak to działa! – poskarżyła się. – Jerry, jeśli uda nam się to jakoś uruchomić, to samolot być może odzyska zasilanie. W środku na pewno są komputery, które kiedyś łączyły się z siecią. Tylko jak to, do cholery, ożywić?

Chłopiec podszedł i stanął przy urządzeniu. Przyglądał się z uwagą zegarom ze wskazówkami.

– Alex! Tu jest jakiś kluczyk! – krzyknął uradowany.

Kobieta podeszła i przekręciła go. Nic się nie wydarzyło.

– To nie mogło być takie proste – powiedziała z zawodem.

Obeszła jeszcze raz maszynę dookoła i znalazła klapkę. Otworzyła ją. Pod nią znajdował się jakiś wlew. Pomimo wielu lat ze środka nadal wydobywał się specyficzny zapach.

– Tu trzeba wlać jakiś rodzaj paliwa. Tylko gdzie go znaleźć? – mruknęła pod nosem i rozejrzała się po okolicy.

W pewnym oddaleniu zobaczyła skupisko maszyn i samochodów, a za nimi otwarte drzwi hangaru.

– Jerry, zostań tu. Gdybyś zobaczył psy, to natychmiast zamknij się w samolocie i nie czekaj na mnie, słyszysz? Nie wiem, jak daleko jest wataha i czy w ogóle się tutaj wybiera, więc mówię tylko tak na wszelki wypadek – tłumaczyła mu, siłąc się na spokojny ton. – I nie maż mi się tu! Masz być dzielny i opiekować się szczeniakiem – dodała.

Chłopiec z przejęciem pokiwał głową i pogłaskał pieska przez materiał nosidełka. Alex odetchnęła z ulgą i puściła się sprintem w stronę hangaru. Nawet specjalnie się nie zasapała. Widocznie adrenalina dodawała jej sił. Wnętrze wysokiego pomieszczenia nieco ją zawiodło, bo było nieomal puste. Miejscami wały się jakieś szmaty i puszki. Nie dała za wygraną i zapuściła się głębiej. Po lewej stronie stał niewielki samolocik, nakryty butwiejącą plandeką. A tuż za nim znalazła to, czego szukała. Szereg kanistrów stał pod samą ścianą. Kucnęła przy nich i odkręciła korek jednego. Od razu wyczuła charakterystyczny zapach. Znacznie silniejszy niż ten z urządzenia. Rozejrzała się wokół w poszukiwaniu jakiegoś wózka, lecz tu już szczęście jej nie dopisało. Nie miała czasu na dokładniejsze poszukiwania. Chwyciła dwa najmniejsze kanistry i stękając z wysiłku, poszła w stronę samolotu.

Jerry spisał się doskonale. Wszystkie bagaże zniknęły spod brzucha samolotu, a chłopiec siedział w środku. Z klapy wystawała tylko jego czarna czupryna.

– Alex, już wszystko schowałem! – powiedział uradowany. – Wchodź!

– Za chwilę, Jerry – wysapała z wysiłkiem. – Coś tu jeszcze zrobię i zaraz przyjdę.

Odchyliła klapę i odkręciła korek z pierwszego kanistra. Podniosła go do góry i zapierając się z całych sił nogami, wlewała ciecz do środka. Opróżniła obydwą pojemniki i zamknęła klapę. Przekręciła kluczyk. Nic się nie wydarzyło.

– Kurwa mać! – zaklęła.



Zaczęła kręcić pokrętłami, a nadzieja topniała w niej z sekundy na sekundę. W końcu maszyna wydała z siebie warkot.

– Nareszcie!! – krzyknęła i podbiegła do włazu.

Jerry przesunął się, robiąc jej przejście. Alex weszła i zamknęła za sobą kłapę. Rozejrzała się po pomieszczeniu pełnym prymitywnych komputerów. Spojrzała w górę. Jerry już zdążył otworzyć kłapę, przez którą dostała się do przedniego bufetu maszyny. Rzuciła okiem do kabiny pasażerskiej, która wyglądała, jakby parę dni wcześniej opuścili ją ostatni ludzie. Ciesząc się w duchu ze względnie bezpiecznej i komfortowej kryjówki, Alex odwróciła się na pięcie i weszła do kokpitu.

– Pospiesz się, Jerry, nie wiem, na jak długo wystarczy paliwa do zasilania!

Wpadli do kabiny pilotów i zaczęli włączać na oślep różne przyciski. Było ich mnóstwo. W końcu się udało. Pulpit zapłonął różnokolorowymi diodami, a nad ich głowami zapaliła się niewielka lampka.

– Alex! Jest! Mogę wejść do sieci! – szepnął Jerry.



Allie siedziała na kanapie i bez entuzjazmu oglądała bajkę w holo. Ta zresztą wkrótce się skończyła i włączył się kolejny blok wiadomości. Trąbili na zmianę o śmierci Wordswortha, mianowaniu Felicji Lawrance przewodniczącą rządu i oczywiście o wybuchu kosmodromu Freedom.

Atmosfera w domu Viki stała się nie do zniesienia. Wszyscy byli w grobowych nastrojach, co udzielało się także dziewczynce. Jordan przepadł. Nie można było się z nim skontaktować. Sara z Maxem cały czas coś do siebie szeptała, a Vika i profesor zniknęli na cały dzień. Z tego, co Allie rozumiała, pojechali do biura holowizji TakeIT, żeby rozpowszechnić wszystkie ciekawe rzeczy, które znalazła w folderze z kaczorem. Jej nie zabrali. Vika zapewniła, że doskonale poradzi sobie sama. Tym akurat dziewczynka się nie przejmowała. Bardziej martwiło ją to, co znalazła w folderze opatrzonym zdjęciem Sary. A były tam smutne rzeczy. Allie nie chciała, żeby Sara była jeszcze bardziej smutna, zwłaszcza że już teraz popłakiwała, wtulona w ramię Maxa.

Zerknęła w stronę kuchni. Tych dwoje się kochało, a ją to cieszyło. Allie uważała, że jak na dorosłych są całkiem fajni. Teraz też spojrzeli na nią i się uśmiechnęli. Sara wzięła talerzyk z ciasteczkami i postawiła na niskim stoliku tuż obok niej.

– Częstuj się, kochanie! – powiedziała.

Usiadła obok Allie i ją objęła. Max umościł się po drugiej stronie i zaczął głaskać dziewczynkę po głowie, co jakiś czas pieszczotliwie pociągając ją za jeden z licznych warkoczyczków. Gdyby jeszcze mogła mieć przy sobie mamę i braciszka, byłaby najszczęśliwszą osobą pod słońcem. Allie westchnęła i przymknęła oczy. Usłyszała znajomy szum i natychmiast zeszytniała.

– Allie, co się stało? – zapytała natychmiast Sara, przyglądając jej się z troską w oczach.

Nie odpowiedziała. Skupiła myśli i w napięciu czekała na atak biomodów generała. Ale ten nie nastąpił. Zamiast tego usłyszała kpiarski głos, o którym prawie zapomniała.

– Salto! – krzyknęła uradowanym głosem. – To naprawdę ty!

Sceneria, jaką tym razem dla nich stworzył, nie była ładna, a on wyglądał tak jak za pierwszym razem, gdy ją odwiedził. Skośnooki i ciemnowłosy chłopiec skakał po fotelu w jakimś mrocznym miejscu. Allie przypominał się straszliwy lot wahadłowcem i to, jak schowała się za fotelem w kabinie pilota. Tu było podobnie.

– Salto, gdzie my jesteśmy? – zapytała z niepokojem.

– Słuchaj, Allie, musisz nam pomóc – powiedział poważnie.

– Skąd znasz moje imię? Nigdy ci go nie podawałam!

– Od Alex. Znasz ją z egzaminów w przedszkolu. To ci właśnie kazala przekazać.

Allie była coraz bardziej zdumiona.

– A skąd ty znasz Alex?

– Pomogła mi uciec z Arki generała.

– Z Arki 173?

– A skąd o tym wiesz? – zdziwił się. – Dobra, to nie jest ważne. Mamy mało czasu. Zaraz się skończy połączenie, a drugiego może nie będzie. Allie, utknęliśmy z Alex w samolocie na opuszczonym lotnisku. Jeśli nas nie uratujecie, umrzemy tu zjedzeni przez głodne dzikie psy. Długo nie wytrzymamy!

– Salto, uratuj cię, wiesz?

Nie odpowiedział. Połączenie zostało zerwane. Allie zapamiętała miejsce, z którego pochodził sygnał, i otworzyła oczy.

– Znalazłam Alex – powiedziała do Maxa i Sary. – Musimy koniecznie ją uratować!

Pewnie nawet eksplozja wulkanu w Yellowstone nie zrobiłaby na nich większego wrażenia.



Arka 6 znajdowała się nieopodal windy. I jedną z pierwszych, jakie powstały. Z powodu przestarzałej technologii to miejsce było piekłem. I wcale nie na Ziemi, tylko w kosmosie. W zasadzie to na orbicie. To właśnie tutaj powstawały pierwsze Arki. Dopiero później projekt nabral rozmachu. Pierwsze konstrukcje były mniejsze i wyposażone w minimum udogodnień. W większości składały się z linii produkcyjnych i zakładów przetwórstwa protein. Na każdej wytwarzano tylko jedną konkretną linię produktów, które zabierano wahadłowcami na Ziemię tuż po tym, jak opróżniono je z pasażerów. System był bardzo prosty i niezwykle skuteczny. Nowi więźniowie, poddani wstępnej selekcji, trafiali albo do przetwórnicy, gdzie przerabiano ich na karmę dla robotników, albo zasilali szeregi pracowników fabryki.

Po co ten cały trud z wysyłaniem ludzi tylko po to, by ich w znacznej części od razu zamordować? Cyniczne, choć praktyczne podejście wykluczało logistykę z transportem żywności. A żywe się przecież nie psuje. Ludzie, którzy mieli szczęście bądź nieszczęście –

zależy, jak się na to spojrzy – i zostali robotnikami, pracowali tylko do chwili, gdy nie opadli z sił i na ich miejsce nie przyszedli nowi. Slabsi trafiali oczywiście do przetwórci protein. Jeśli na Arce żyli jacyś wolni ludzie, to robotnicy nigdy ich nie widywali. Wszystkim zarządzają bezduszne maszyny, z którymi nie dało się dyskutować.

W dziesięcioosobowych celach z piętrowymi metalowymi pryzkami dzień zaczynał się wraz z przeraźliwym dźwiękiem dzwonka. Chwilę później do celi wjeżdżał robot. Jeśli ktoś leżał w łóżku, to znaczyło, że nie był zdalny do pracy i był eliminowany na miejscu strzałem w głowę. To zresztą należało do najbardziej popularnych sposobów na popełnienie samobójstwa wśród więźniów. Pozostali, którzy chcieli żyć dalej i kurczowo trzymali się nadziei, która ponoć umiera ostatnia, wychodzili w karnym szeregu na korytarz, gdzie pobierali z automatów wmontowanych w ścianę poranną porcję papki proteinowej. Oczywiście wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę, skąd się biorą ich posiłki, ale w zasadzie nikt się nie krzywił i wszyscy jedli z apetytem.

Potem mieli dziesięć minut na toaletę, a właściwie na pospieszne wypróżnienie się. Kto zamarudził na sedesie, ten już z niego nie wstawał. Ludzie z zaparciami kończyli żywot w pierwszym tygodniu pobytu, a reszta błyskawicznie dostosowywała metabolizm do obowiązujących zwyczajów. Po tak zwanej toalecie roboty gnały ludzi do taśm produkcyjnych.

Na Arce 6 powstawały części do autolotów. Po co aż taka fatyga, żeby produkować je daleko poza Ziemią i potem transportować? Z kilku powodów. Przede wszystkim chodziło o ideę oczyszczenia z toksyn poprodukcyjnych atmosfery planety, ale to oczywiście stanowiło tylko fragment większej całości. Ludzka praca była darmowa. Nawet roboty czerpały energię, generując koszt. Ludzie nie. Precyzyjny, obliczony przez maszyny pod kątem opłacalności model sprawiał, że ludzie żywili samych siebie. Nic się nie marnowało i nic nie generowało kosztów. Produkcja kosztowała więc grosze, a z dala od planety można było traktować ludzi gorzej niż w fabrykach na Ziemi, gdzie próbowano chociaż zachować pozory. Ale nawet nie to było powodem rozmachu, z jakim rozrastał się projekt. Przemysł, jaki wokół tego powstał, napychał kasę państwową dobrami, które ludzie dobrowolnie porzucali, żeby tylko dostać się na Arkę. Samoistnie rozwiązywał się problem przeludnienia. Dochodowo, tanio i bardzo dyskretnie.

W sali produkcyjnej były niewielkie podłużne iluminatory. Z pewnym trudem, ale pomiędzy montażem jednej i kolejnej części czasem udawało się rzucić okiem na bezkresną przestrzeń. Zniszczona winda była stąd doskonale widoczna.

Więść o tym, że są odcięci od Ziemi, rozeszła się lotem błyskawicy i wcale nie spowodowała radości czy choćby podniecenia. Na ludzi padł jeszcze większy strach. Mieli świadomość, że pozbawieni protein i dostarczanych przez wahadłowce części do montażu są skazani na zagładę. Produkcja wkrótce upadnie, a oni zjedzą samych siebie na polecenie bezdusznych algorytmów maszyn. Potężny czarnoskóry mężczyzna zerknął w iluminator.

– Nie gap się tak, Thomasie, bo zauważą i rozwałą cię na miejscu – szepnął do niego życzliwie stojący naprzeciw niego robotnik. – A w sumie co mi do tego, i tak wszyscy zginiemy. Z maszynami nikt tu jeszcze nie wygrał.

Thomas uśmiechnął się do niego zdawkowo. Nie wygrał, bo wcześniej nie było tu biomoda.

## Z DZIENNIKA KAPITANA MAXA WHITE'A

Plany planami, a życie i tak nas zaskakuje. Gdyby jeszcze kilka dni temu ktoś mi powiedział, że trafię do Europy, roześmiałbym się z niedowierzaniem. A tymczasem jesteśmy tu. Sara, Allie, profesor i Alex z Jerrym. I ja. I pies, któremu ta dwójka nadzwyczajnych dzieciaków dała na imię Salto. Nie wiem, skąd im się to wzięło, ale wyjątkowo pasuje do tego ruchliwego czarnego stworzenia. Obszar Ameryka 5 opuściliśmy dość pośpiesznie. Allie nalegała, mówiąc, że Alex i chłopiec są w niebezpieczeństwie. I rzeczywiście tak było. Siedzieli zabarykadowani w archaicznym wahadłowcu, z resztką zapasów wody i żywności. Według ich opowieści dzień wcześniej przetoczyła się przez lotnisko potężna wataha dzikich psów. Przeszły przez terminal, pustosząc wszystko, i odeszły dalej w stronę Renu.

My z kolei wyjechaliśmy pełni obaw i wyrzutów sumienia. Przede wszystkim zostawiliśmy Wikę. Prosiłiśmy, by leciała z nami, ale stanowczo odmówiła. W chaosie po wybuchu kosmodromu rząd jest na granicy upadku, a obszar pograża się w anarchii. Vika uznała, że etyka dziennikarska nie pozwala jej opuścić placu boju. Myślę, że to tylko część prawdy. Jej holo TakeIT zdobywa potężne wpływy. Po wycieku danych sprzed Wielkiego Resetu ludzie oszaleli i szukają wszelkich informacji na temat utraconego świata. Rekordy popularności biją stare holofilmy, które Vika emituje w paśmie najwyższej oglądalności. Trzeba jej oddać sprawiedliwość, że tworzone przez nią serwisy informacyjne są tak bliskie rzetelnej prawdzie, jak tylko się da. Obiecała nam przed rozstaniem, że skontaktuje się z Mary Sue. Ale to chyba nie będzie możliwe. Po jej wystąpieniach holowizyjnych doskonale widać, że jaźń Felicji Lawrance opanowała ją bez reszty. Ogromnie nas to przygnębia, a profesor twierdzi, że jeśli rzeczywiście tak jest, to mamy kolejnego potężnego wroga. Sara niewiele mówi na ten temat. Sprawa Mary Sue bardzo ją martwi.

Nie rozmawiamy też o Jordanie. To jest zbyt świeże i boli zbyt mocno. Allie zdaje się nie pamiętać. Jest pochłonięta przyjaźnią z Jerrym i kwitnie. Tęskni do Moniki, ale zadawała się obietnicą, że wkrótce do niej polecimy. Wcale nie jestem pewien, czy to tak szybko nastąpi.

Od wczoraj podróżujemy pieszo. Nie stało się nic spektakularnego. Po prostu wysłużony autolot Viki całkowicie stracił zasilanie i musiałem go posadzić tuż za dużą rzeką Odrą. Zmierzamy w stronę wielkiego kiedyś miasta Warszawy, gdzie podobno mieści się jakiś niezależny instytut. Wciąż mamy przed sobą setki kilometrów. Co jakiś czas znajdujemy sieć. Dzisiaj udało nam się skontaktować z Wiką. Powiedziała, że generał O'Brian wypowiedział Ziemi wojnę.

Już nie ma odwrotu. Wkrótce planeta zapłonie ogniem. A my staniemy do walki, żeby pomścić Jordana.